

CARYL PHILLIPS

ODLEGŁY BRZEG

# Część pierwsza

Anglia się zmieniła. Dzisiaj trudno powiedzieć, kto jest, a kto nie jest tutejszy. Kto tu należy, kto nie. To niepokojące. Wydaje się niewłaściwe. Przed trzema miesiącami, w pierwszych dniach czerwca, sprowadziłam się tutaj, na nowe osiedle Stoneleigh. Chyba żadnemu z dawnych mieszkańców wioski nie podoba się określenie „nowe osiedle”. Po prostu nazywają Stoneleigh „nowymi domami na wzgórzu”. Zresztą nasze domy wznoszą się na skraju Weston, wsi, która przecież nie zrezygnuje ze swojej nazwy i tożsamości tylko dlatego, że jakiemuś deweloperowi przyszedł do głowy pomysł szybkiego zbitcia forsy na budowie parterowych bliźniaków, ustawieniu przed nimi powozowej latarni i nazwaniu ich „Stoneleigh”. Jeśli mnie ktoś pyta, mówię po prostu, że mieszkam w Weston. Jak wszyscy z wyjątkiem jednego czy dwóch, którzy uparcie piszą „Stoneleigh” w adresie nadawcy. Listonosz powiedział mi, że po zastanowieniu dodają „Weston”, jakby pierwsza nazwa cywilizowała drugą. Zirytowany poinformował mnie, że kiedyś padła propozycja zmiany Weston na Market Weston, lecz się nie spodobała. Usilnie przekonywał, iż w nazwie Weston nie ma nic złego, a skoro zaczął, nie mogłam mu przerwać. Działo się to w zeszłym tygodniu, kiedy musiał zastukać do drzwi, bo nie zdołał wcisnąć przesyłki w otwór na listy, a jak mówił, nie chciał jej zgnieść („Nigdy nie wiadomo, co jest w środku, prawda, kochana?”). Powiadomił mnie, że zgodnie z instrukcją centrali ma wykreślać nazwę „Stoneleigh”, gdyby się pojawiała na kopertach. W razie gdyby mieszkańcy z uporem popełniali wykroczenie, miał im grzecznie przypominać, że żyją w Weston. Oświadczył jednak, że zapewne nie byłby do tego zdolny. No, bo jeśli chcą mieszkać nie wiadomo gdzie, jakim prawem miałby im tego zabraniać? Oczywiście nie powiedział o tym szefowi, żeby nie wylecieć z pracy. Na zbity łeb.

Tak więc nasza wieś dzieli się na dwie. U podnóża wzniesienia droga biegnie na zachód, do oddalonego o pięć mil miasta, i na wschód, w kierunku oddalonego o jakieś pięćdziesiąt mil wybrzeża. Wszyscy o tym wiedzą, gdyż przed samym wjazdem do Weston od strony miasta drogowskaz informuje, że do wybrzeża jest pięćdziesiąt mil. A dalej duża tablica z napisem „Weston” obwieszcza, że łączy nas siostrzany układ z jakimś miasteczkiem w Niemczech i wsią na południu Francji. Broszurki pośrednika w handlu nieruchomościami, dotyczące „Stoneleigh”, zawierają wzmiankę, że w czasie drugiej wojny światowej miasteczko niemieckie zrównały z ziemią bombowce RAF - u, a we wsi francuskiej było pełno Żydów, których spędzono i wywieziono do obozów. Mam nieodparte wrażenie, że w porównaniu z tymi miejscowościami Weston jest nudnawe. Chyba największym wydarzeniem w jego dziejach było zamknięcie przez panią Thatcher kopalń, a to się stało z górą dwadzieścia lat temu.

W tych stronach jedynym świadectwem historii jest przypuszczalnie architektura. Szeregowce po obu stronach głównej drogi to typowe domki górnicze, zbudowane z brudnej czerwonej cegły; ich pierwotni mieszkańcy musieli się kąpać w kuchni, ubikacje zaś mieli na końcu ulicy. We wszystkich tych domkach jednak już dawno temu zmieniono instalację wodociągową, fasady większości oczyszczono z brudu metodą piaskowania, tak że teraz wyglądają niemal uroczo. Oczywiście ich obecni lokatorzy nadal muszą w dzień i w nocy znosić hałas uliczny, wyobrażam też sobie, jak trudno jest utrzymać w czystości okna. Oprócz szeregowców jest tam stacja benzynowa, smażalnia ryb, sklep z gazetami i artykułami spożywczymi, mały urząd pocztowy, otwarty trzy razy w tygodniu z rana, i za ostatnim rzędem domów pub nad kanałem, równoległym do głównej drogi. Jest też kamienny

kościółek z ładnie utrzymanym terenem, ale tam nie będę potrzebowała wchodzić. Stoneleigh leży na niewysokim stromym wzgórzu, z którego rozpościera się widok na główną drogę. My jesteśmy przybyszami albo takimi owakimi elegancikami, jak nas nazwała na pocztce pewna ordynarna kobieta. Nie ma nas aż tak dużo, zaledwie dwadzieścia cztery bungalowy przy dwóch ślepych zaułkach, ale jest mnóstwo talerzy telewizji satelitarnej, a przed niektórymi domami stoją dwa samochody. Ja nie prowadzę. Na osiedlu brak sklepów, więc kiedy czegoś potrzebuję, muszę schodzić na dół. Albo jechać pięć mil autobusem do miasta.

W maju przeszłam na nauczycielską emeryturę. Cztery lata temu moja szkoła stała się ogólnodostępna, co spowodowało gwałtowne obniżenie poziomu. Znalazłam się w dość niezręcznej sytuacji, bo przez prawie całe życie wmawiałam innym, że lepiej byłoby, gdyby dzieciaki na różnym poziomie i z różnych środowisk mogły się kształcić razem i uczyć jedno od drugiego. W to wierzył tata. Nie cierpiał widoku uczniów szkół, które przygotowywały do egzaminów na studia, chłopców noszących białe koszule, krawaty i szpanerskie blezery, gdy tymczasem dzieciaki ze średnich szkół ogólnokształcących miały trudności ze znalezieniem dwóch skarpet do pary. Wciąż widzę, jak kiwa głową i wskazuje palcem. „Walka klas, skarbie - mawiał. - Walka klas, jeszcze zanim wyrosną z krótkich spodenek”. No i cztery lata temu władze oświatowe zlikwidowały szkoły przygotowawcze, zrobiły z nich szkoły ogólnodostępne, mnie zaś poddały próbie. Nagle zażądano, żebym - jak wszyscy inni - uczyła każdego, kto przyjdzie do szkoły. Trudne dzieciaki znoszę, co innego jednak prymitywy. I wtedy na ratunek przyszła mi wcześniejsza emerytura, kiedy zaś w gazecie zobaczyłam reklamę Stoneleigh, pomyślałam, czemu nie, zmiana jest równie dobra jak odpoczynek. Po upływie

czterech tygodni stałam już przed drzwiami tego domu i wręczałam dwadzieścia funtów napiwku facetom od przeprowadzki. Widziałam, jak kurz się podnosi, a potem z wolna tworzy chmurę za ich odjeżdżającą dużą ciężarówką. Była dopiero szósta po południu, więc pomyślałam, że zamiast przeglądać i porządkować rzeczy, zejść ze wzgórza i porządnie się rozejrzeć.

Zdziwił mnie duży ruch na głównej drodze, wielkie ciężarówki z łoskotem jadące w obie strony. Dopiero po dobrej chwili zdołałam przemknąć przez jezdnię. Po drugiej stronie niewiele było do zobaczenia, jeśli nie liczyć kobiet, opalających się na frontowych schodkach, albo małych dzieci, biegających dookoła. Drzwi były pootwierane na oścież, przypuszczalnie ze względu na upał, lecz nie odniosłam wrażenia, by świadczyły o życzliwości. Ludzie gapili się na mnie, jakbym miała na czole piętno Kaina, więc parłam do przodu i tak odkryłam kanał. Ta ciemna smuga stojącej wody wyglądała nieomal znośnie, bo nie docierał tu hałas uliczny ani obojętne spojrzenia gapiących się mieszkańców wioski. Przy brzegu stały zacumowane szkielety paru barek i wkrótce się okazało, że głównym zajęciem ludzi w tych stronach jest wyprowadzanie psów. Na łąkach krowy i owce poruszały się ze swobodą, która świadczyła, że są na własnym terytorium, choć przez ziemię farmera przebiega kręta ścieżka publiczna. Usiadłam na niskim murku pod obwisłymi gałęziami wierzby i rozejrzałam się po okolicy. Cichy chlupot kanału rozbrzmiewał kojąco, choć nerwowy lot ważki i bzykanie nad moją głową wydawały się nie na miejscu. Murek ogródka, otaczającego wioskowy pub Pod Przewoźnikiem, sięgał do kanału. W ogródku kilkoro młodych chuliganów i ich dziewczyn ganiało się i ryczało ze śmiechu. Obserwowałam ich, kiedy zaczęli się nawzajem oblewać piwem, a potem zanosić ochryplym śmiechem nałogowych palaczy. Nie

chciałam sprawiać wrażenia, że się im przyglądam, więc znów skupiłam uwagę na względnym spokoju zatęchłego kanału i tak upływał mi czas.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, a druga martwa ryba przepłynęła obok, bez wdzięku przecinając powierzchnię srebrnym półksiężycem wzdętego brzucha, nabrałam ochoty na drinka. Ponieważ w gardle mi zaschło, wstałam i ruszyłam w stronę pubu. Czułam teraz na sobie ich wzrok, więc przez parę chwil zastanawiałam się, czy nie miałam niedawno wątpliwej przyjemności uczyć jednego z grupy niechlujnych młokosów, posługujących się koszarowym językiem. Przyszło mi jednak do głowy, że lepiej się nie odwracać i nie patrzeć im w twarz, toteż ruszyłam bez eskorty, ze spuszczonej oczami przez ogródek, w górę po kilku kamiennych stopniach do baru. Już w środku stwierdziłam, że mała izba świeci pustkami, jeśli nie liczyć pary zakochanych, przytulonych do siebie w kącie, gorączkowo splatających palce, po czym dało się poznać, co będzie dalej.

- Czego się pani napije, kochana? - Mimo upału właściciel miał na sobie białą koszulę i krawat niczym członek jakiegoś klubu. W pubie utrzymywał czystość i porządek, a ściany ozdobił czymś, co wyglądało na rodzinne fotografie i pamiątki z wakacji. Tęgi mężczyzna wystawiał swoje prywatne życie na pokaz, więc wyobraziłam sobie, że młoda para w kącie z poszanowania dla tego faktu zachowuje się powściągliwie.

- Poproszę małego guinnessa. - Podczas gdy właściciel ostrożnie nalewał piwo z beczki, usłyszałam dobiegający z dworu krzyk i dalsze odgłosy rozróby.

- Cholerni chuligani. - Nie patrząc w moją stronę, postawił przede mną małego guinnessa. - Funt czterdzieści.

- Nadal wyglądał przez okno, ale otwartą dłoń wyciągnął nad barem. Położyłam na niej dwie funtowe monety, on ją poderwał, jakby chcąc je zważyć, po czym zamknął.

- Dzięki, kochana.

Godzinę później poprawiałam się na stołku barowym, podczas gdy on stawiał przede mną drugie małe piwo. Choć zrobiło się ciemno, młodzi ludzie nadal hałasowali w ogródku, a dwoje zakochanych w kącie za moimi plecami zapomniało o przyzwoitości i teraz jedno dosłownie siedziało na drugim. Po wypiciu pierwszego piwa wstałam, lecz właściciel nie pozwolił mi odejść.

- Nie, kochana, proszę wypić na koszt firmy. I uważać to za powitanie. - Musiałam się rozpakować; po przeprowadzce w domu panował bałagan, pomyślałam jednak, że niegrzecznie byłoby odrzucić miłą propozycję. Z powrotem wdrapałam się na stołek i patrzyłam, jak nalewa drugą szklankę.

- Mieliśmy tu lekarkę. Młodą kobietę, ale długo nie wytrzymała. Kobietom nie podobało się, że chodzą do niej mężczyźni.

- Przecież to lekarka. - Z wolna pociągnęłam łyk z nowej szklanki.

- Tak, ale jest kobietą, a pani wie, jacy są ludzie.

Nie miałam pewności, czy podziela stanowisko mieszkańców wsi, czy też je krytykuje, lecz akurat w tej chwili naszą uwagę zwrócił brzęk tłuczonego szkła. Choć w ciągu minionej godziny właściciel dwukrotnie wychodził na dwór, żeby prosić wyrostków o spokój, sytuacja najwyraźniej wymknęła się spod kontroli. Rozumiałam jego frustrację. To byli klienci i gdyby ich wyrzucił, poniósłby stratę. Starając się nie słyszeć odgłosu tłuczonego szkła, podjął przerwany wątek.

- Dzisiaj, jak trzeba się poradzić doktora, należy jechać do miasta. Macie tam lekarza, prawda?



Kiwnęłam głową. Popatrzyłam na właściciela i pożałowałam, że ta zdawkowa rozmowa nie potoczyła się inaczej. Ale on uczepił się tematu lekarzy i trudno było narzucić mu inny.

- Jest tu młoda irlandzka pielęgniarka, przychodzi do ośrodka cztery razy na tydzień po południu, z nią jednak człowiek nie rozmawia o właściwym leczeniu. Ona potrafi zmierzyć ciśnienie krwi, zalecić dietę i tym podobne, lecz niewiele więcej.

Znów kiwnęłam głową. Urwał i popatrzył przez moje ramię na parę zakochanych w kącie.

- U was wszystko w porządku, gruchające gołąbki? - Nie odwróciłam się, usłyszałam tylko ich nerwowy chichot. Gospodarz uśmiechnął się do nich, po czym wyjrzał na dwór, gdzie zobaczył chuliganów, ganiających po jego ogródku. Prawie niezauważalnie pokręciwszy głową, znów się mną zajął.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Lubiłem doktor Epstein. Miła kobieta. - Umilkł, a oczy mu się zaszklily, jakby gdzieś daleko błędził myślami. Spostrzegłam za oknem dwóch łobuzów, bawiących się teraz na huśtawkach dla dzieci. Wzlatywali wysoko, w przeciwnych kierunkach, i w momencie mijania polewali się piwem. Ich dziewczyny przyglądały się temu i zanosily piskliwym śmiechem.

- Ale jak mówiłem, ludzie nie nabrali przekonania do doktor Epstein, bo była kobietą. Uprzykrzali życie jej, jej mężowi i dzieciom. Były małe, miały może pięć czy sześć lat, chłopczyk i dziewczynka. Nazywały się Rachel i Jacob. Zabawne, ale może byliby szczęśliwsi, gdyby przyjechali tu teraz. Wie pani, teraz, kiedy zakończono budowę Stoneleigh czy jak wy to nazywacie. Tam na wzgórzu może lepiej by pasowali, ale mieszkając tu z nami, cóż, mieli trudności z nawiązaniem kontaktów. - Znowu zamilkł. - W mieście

nikomu zbytnio nie zależy, ale tutaj nie pasowali. Myślę o Rachel i Jacobie. Nawet nie próbowali bawić się z innymi dziećmi. Wie pani, jak to jest, trzeba zdobyć się na wysiłek. Pani mieszkała w tych stronach przez całe życie, prawda?

- Cóż, jak mówiłam, na ogół w mieście, nigdy tutaj.

- Więc jeszcze raz witamy w Weston. - Podniósł szklankę. - Za długą i szczęśliwą emeryturę w Weston.

Uśmiechając się, wzięłam swoją szklankę. Zadowoleniem nappełniała mnie myśl, że mieszkam w ślepych zaułku. Taki zaułek jest jakiś bezpieczny. Widać wszystko, kiedy się mieszka na jego końcu.

Wieczorem weszłam na wzgórze przy świetle księżyca. Stoneleigh chyba spodobałoby się mamie, ale nie tacie. Ona wyobrażałaby sobie, że mieszkanie tutaj oznacza lepsze życie i pozostawienie czegoś za sobą. Natomiast tata nie żywił jej ambicji i między innymi dlatego się kłócili, aż mama w końcu przestała się odzywać. Tego jednak robić nie powinna, bo tata nie znosił sprzeciwu. Prawie do końca tlił się w nim ogień i wystarczał tylko bodziec w formie rozmowy lub niewczesnej uwagi, a buchał płomieniem. Tata lubił rozmawiać, lecz już w dzieciństwie stało się dla mnie jasne, że mama machnęła ręką na jego humory. Więc tata mówił do mnie i usiłował traktować mnie jak syna, którego nigdy nie miał. Najbardziej lubił zasiadać z fajką i kapciuchem, ugniatać tytoń w główce i opowiadać mi o tym, jak to stracił swojego tatę na wojnie i jak jego mama starała się związać koniec z końcem.

W momencie zakończenia wojny miał dwadzieścia lat, ale pracował już jako kreślarz i postanowił ożenić się z mamą, którą zawsze opisywał jako „najładniejszą z wszystkich miejscowych dziewczyn”. Ilekroć to mówił, spoglądał na nią, jakby zadając sobie pytanie, co takiego stało się z tą „ładną dziewczyną”, mama jednak nigdy nie odwzajemniała spojrzenia i po prostu dalej robiła swoje. Obowiązki taty w

połączeniu z brakiem pieniędzy uniemożliwiły mu studia, a choć twierdził, że dzięki temu ominęło go zamieszanie związane z opuszczeniem rodzinnego miasta, nigdy mu nie uwierzyłam. Kiedy w końcu ja zapisałam się na uniwersytet w wieku lat osiemnastu, widziałam, jaki jest dumny, choć nigdy mi tego nie powiedział. Nigdy też nie podróżował, wyjąwszy jedną nieudaną wycieczkę z mamą na Majorkę. Ojca stracił na froncie w Belgii i chyba to przesądziło o jego wrogim nastawieniu do wszystkiego, co znajdowało się poza orbitą życia w rodzinnym mieście. Tak wrogim, że ilekroć przeklinał, zresztą z rzadka, zawsze dorzucał pośpiesznie: „przepraszam za francuszczyznę”, co oczywiście nie miało sensu, jeśli człowiek nie patrzył na to przez pryzmat pogardy.

Niestety, podczas gdy mnie z tatą łączyły chyba dobre stosunki, Sheila prawie się do niego nie odzywała. Na początku istniała między nimi więź. Ja mogłam być „synem”, lecz zdecydowanie to ona była ukochaną córką. Właściwie jej zazdrościłam, bo wariował na jej punkcie, zabierał ją na działki, kupował prezenty i dlatego nazywałam ją „pieszczoszką tatusia”. Ale w miarę jak dorastała i nabierała rozumu, tata jakby zaczynał inaczej się do niej odnosić. Wiedziałam, co Sheila ma na myśli, kiedy mówi, że on za wszelką cenę stara się jej dokuczyć, nie robiła natomiast nic, żeby to zmienić. Przy każdej okazji zachowywała się źle, co oczywiście pogarszało sytuację. Mama stawiała po jej stronie, tata jednak nie liczył się ze zdaniem żony, więc Sheila zaczęła mieć mamie za złe bezsilność w sprawach domowych. No a ja? Albo odrabiałam lekcje, albo grałam na pianinie. Wiedziałam, że nie bardzo przydaję się Sheili, lecz kiedy zaczęła palić, a potem późno przychodzić do domu, choć tata kazał jej wracać przed dziesiątą, zrozumiałam jego punkt widzenia. Niewątpliwie chciała sobie nawarzyć piwa, później ja dołożyłam cegielkę, bo pojechałam na uniwersytet i ją

zostawiłam z nimi. Często się zastanawiam, czy wszystko nie ułożyłoby się inaczej, gdybym została w domu albo poszła do miejscowego college'u, albo po prostu do pracy. Pewnie mogłabym bardziej pomóc im trojgu.

Na szczycie wzniesienia przystanąłam i obejrzałam się na Weston. Pamiętam, że widziałam wioskę wyraźnie, gdyż księżyc w pełni ciężko zawisł na niebie, jakby wsparty na niewidzialnej kolumnie. Miejscowość skąpana w jego jasnym blasku wydawała się pogodna i wolna od problemów, ustawicznie nękających miasto. Z lekkim wstydem przyznaję, że dzisiaj, ilekroć jadę do miasta, najbardziej irytują mnie bezdomni, a przeraża to, że są chyba wszędzie. Całe ich dziesiątki, ze zmierzwionymi włosami i butelkami denaturatu, mieszkają w przejściu podziemnym w kartonach po lodówkach albo dużych kolorowych telewizorach. Według mnie pozostaną tam dopóty, dopóki Kościół będzie się ograniczać do rozdawania im plastikowych kubków słodkiej herbaty i zmieniania ich zaropiałych bandaży, a nie zaczną od nich czegoś wymagać. Za dnia przesiadują w pasażu, grając na gitarach, jakby byli na letnim obozie. Dlaczego nie uważali w szkole? Nie jest jeszcze za późno, ich życie może potoczyć się normalnie. Są zdrowi, sprawni umysłowo. No, przynajmniej ci młodszy. I do pewnego stopnia utalentowani. To po prostu rozmyślne marnotrawstwo, i koniec, a w moim przekonaniu większość z nich postępuje tak celowo, bo są leniwi i pragną budzić współczucie, ale ja im nie współczuję. Kiedy nie chcę im dać pieniędzy, wrzeszczą na mnie, a mijając ich, często wyczuwam pogardę. Dawniej nie, dopiero teraz, gdy zaczęli naskakiwać na mnie i innych przechodniów. Parę dni temu, w drodze powrotnej ze szpitala, przyłapałam jednego z nich, brudnego zwierzaka, na wyjadaniu resztek ze śmietnika, jakby był psem. Nic nie powiedziałam, tylko patrzyłam na niego, a on zaczął krzyczeć. „Nie możesz mi zrobić większej

przykrości - wrzeszczał. - Nie możesz mi zrobić przykrości". Kto powiedział, że chcę mu zrobić przykrość? Cieszę się, że tata nie widzi, co się stało z jego miastem. I chyba się cieszę, że nie widzi mnie, mieszkającej w Stoneleigh. Nigdy nie powiedziałaby nic na ten temat, ale jakoś potrafiłby dać mi do zrozumienia, że tego nie pochwała.

Wetknęłam do dziurki klucz, zrzuciłam z nóg pantofle i padłam na ulubiony fotel, pośród kartonów i skrzynek z rzeczami. Właściwie nie zdjęłam nawet płaszcza. Spacer pod górę i dwa małe piwa zrobiły swoje. Przez odsłonięte okno nadal widziałam mocne światło księżyca. Tacie podobałoby się Pod Przewoźnikiem, tego przynajmniej byłam pewna, bo uważał puby za miejsca zapewniające schronienie. Zawsze powtarzał, że powinny stanowić azyl, gdzie człowiek może być sobą i nie zważać na formy, ale do tego potrzebny jest pub, który mu odpowiada. Przypominał mi, że puby bardzo się od siebie różnią, podobnie jak ludzie, i podczas gdy jedne wydobywają z ciebie to, co dobre, i skłaniają do otwartości, inne powodują, że się zamykasz w sobie, milkniesz, chcesz tylko siedzieć w kącie nad piwem. „Tam nie chodzi o picie”, brzmiało jego słynne powiedzonko, ale mama jedynie przewracała oczami, nie przerywając prasowania czy jakiejś innej roboty. Ja natomiast słuchałam. Z uporem twierdził, że tam człowiek jest sobą, i podkreślał konieczność szukania, dopóki nie znajdzie pubu, gdzie czuje się swobodnie. Nigdy natomiast nie mówił, co mam zrobić, jeśli zamieszkam w miejscowości z jednym tylko pubem. Chyba żadne z nas nie wyobrażało sobie podobnej sytuacji.

Nie byłam w miejscowym pubie od tego pierwszego wieczoru, czyli od trzech miesięcy. Mimo to przez cały czas mam przed oczami ich wszystkich. Młodą parę zakochanych, łobuzów bawiących się na dworze, właściciela. Nic na to nie poradzę. Idę na spacer czy po gazetę albo czekam na

przystanku autobusowym, a oni tam są, wioskowi aktorzy, grający wyznaczone im role. My ze Stoneleigh, mała grupka statystów, zamieszkałych na wzgórzu, musimy dopiero dostać role. Wciąż jesteśmy obcy dla siebie, nie mówiąc już o innych mieszkańcach wsi. Z lekka niedożywiony kolorowy lokator parterowego domku przy bramie to jedyny człowiek, którego widuję regularnie. Pełni funkcję dozorcę całego osiedla; do niego należy się zwracać w sprawie reperacji zamka, osadzenia na nowo drzwi czy naprawienia instalacji wodno - kanalizacyjnej. Jak się okazuje, po wykończeniu domów było tak dużo usterek, że niektórzy właściciele z obu zaułków straszili pozwaniem do sądu deweloperów, jeśli czegoś z tym nie zrobią. Widocznie miałam szczęście, bo u mnie wszystko jest w porządku, ale niewątpliwie stanowią wyjątek. Więc dla zadowolenia wszystkich zbudowano mały domek dla złotej rączki i nocnego stróża w jednej osobie, po czym wprowadził się tam Salomon. Widzę go teraz za jego zasłonami. Nigdy do końca ich nie zaciąga, jakby zawsze potrzebował trochę światła, wpadającego z zewnątrz. Albo nie bardzo umiał się z nimi obchodzić.

Jego samochód stoi zaparkowany na swoim miejscu przed domem. Najwyraźniej pochodzi z drugiej ręki, lecz zawsze jest starannie umyty i czysty. Któregoś dnia widziałam Salomona, kawałkiem sukna przecierającego karoserię, jakby polerował jakiś mosiężny przedmiot. Przyszło mi na myśl, czy nie zapytać, dlaczego zadaje sobie tyle trudu z samochodem, nie miałoby to jednak sensu, bo on wszystko robi starannie. Ubiera się, kosi trawnik, czesze się z przedziałkiem ostrym jak brzytwa. Wszystko wykonuje z taką precyzją. Podobnie jak większość mieszkańców zaułka, trzyma się na uboczu, ale przeciwnie niż oni mieszka sam. Jest samotnikiem jak ja. Oprócz mnie i niego sam mieszka w drugim zaułku mężczyzna, który dał do zrozumienia, że kiedyś był kimś na

londyńskiej scenie jazzowej. Powołuje się na znajomości z różnymi sławnymi ludźmi i twierdzi, że grywał w rozmaitych klubach, ale za dużo mówi, co oczywiście budzi podejrzenie, że zmyśla. Salomon jest inny. Będzie tu za dziesięć minut. Poznałam już rozkład jego zajęć i muszę być gotowa, kiedy przyjedzie, żeby mnie zawieźć do miasta, gdzie mam zamówioną wizytę u doktora Williamsa. Właściwie jestem już prawie gotowa. Muszę jeszcze tylko znaleźć skierowanie i włożyć płaszcz. Doktor Williams to nie zwykły lekarz, raczej specjalista. Od stresów. Mój dawny lekarz pierwszego kontaktu polecił mi go parę miesięcy temu, zaraz po śmieci Sheili. Uważał, że rozmowa z kimś dobrze mi robi, ale mimo upływu czasu nadal nie mogę porządnie się wyspać, więc poprosiłam doktora Williamsa o poddanie mnie testom, co zrobił. Dzisiaj spodziewam się wyników.

W oczekiwaniu na Salomona spoglądam na gzymś kominka. Poznaje charakter pisma mojej siostry na kopercie. Kreski są słabsze, kształty liter mniej agresywne. Naprawdę dziwne, bo nigdy nie przyszło mi do głowy, że pismo może się starzeć, a jednak się starzeje. Kiedy zobaczyłam list na słomiance, popatrzyłam na niego, bojąc się go dotknąć. Wreszcie go podniosłam i położyłam w widocznym miejscu na gzymś, świadoma, że muszę nabrać sił, zanim będę mogła coś z nim zrobić. Pamiętam, jak się śmiałam. To nie rugbista, myślałam, tylko list. Nie muszę się nim zajmować, więc zostawiłam go nad kominkiem, codziennie jednak łapię się na tym, że na niego zerkam. Słabe czy zmienione, pismo nadal jest jej. Po tylu latach milczenia siostra nadal może mi to zrobić. I wtedy słyszę pukanie Salomona.

Podoba mi się jego sposób brania zakrętów. Zawsze trzyma kierownicę obiema rękami i porusza nią delikatnie, jakby robił coś innego, a nie obracał nią niczym w grze hazardowej. I prowadzi w rękawiczkach, co lubię. Nie takich

tandetnych na rzepy; jego rękawiczki zapinają się na zatrzaski i otulają dłonie. To mi się u kierowcy podoba. Świadczy o schludności, ostrożności, daje poczucie bezpieczeństwa.

- Czy lekarz będzie miał dziś pani wyniki?

Zadając pytanie, Salomon nie odrywa oczu od drogi. Za pierwszym razem wydało mi się to niegrzeczne, teraz jednak wiem, że to dowód ostrożności. Po prostu dla niego najważniejsze jest bezpieczeństwo, i tyle. Ponieważ nie odpowiadam, mówi dalej.

- Mam nadzieję, że nie wzięła mi pani za złe tego pytania?

Tym razem szybko zerka w moją stronę. Jest przystojnym mężczyzną, co wprawia mnie w zakłopotanie. Nigdy o to nie pytałam, lecz domyślam się, że ma niewiele po trzydziestce, choć trudno mi odgadnąć jego wiek. Uwagę znowu zwraca na drogę.

- Oczywiście, że nie. - Milknę. - Lekarz ma mi je podać dzisiaj. - Znowu urywam, niepewna, czy powinnam dobrowolnie udzielać dalszych informacji. Temu człowiekowi jednak ufam. Nie oczekuje, że będę ideałem.

Po raz drugi rzuca mi przelotne spojrzenie. Wyraża ono troskę, jakby chciał powiedzieć: „Czy pani czegoś nie ukrywa?”. Milczę, gdy zwalnia i skręca na szpitalny parking. Naturalnie zamierzałam coś mu powiedzieć, ale nie było okazji. O tym jego myciu samochodu. Chcę mu powiedzieć, że w Anglii trzeba się stać częścią otoczenia. Pozdrawiać ludzi. Chodzić do kościoła. Wprowadzać dzieci do nowej szkoły. Nie można tak zwyczajnie się pojawić i zabrać do mycia samochodu. Ludzie będą uważać takiego człowieka za nieprzystępnego prymitywa. Ale muszę znaleźć odpowiedni moment na rozmowę z Salomonem o tym, jak się afiszuje na podjeździe z kubelkiem mydlanej wody i irchą.



Doktor Williams jest łysiejącym mężczyzną około czterdziestki. Znajduje się w punkcie, po którego osiągnięciu mężczyźni szybko zaczynają się staczać w nieodwracalne grzęzawisko wieku średniego albo gimnastykować i troszczyć o zachowanie resztek młodości. Podejrzewam, że nie wie, co ze sobą zrobić. Prosi mnie, żebym usiadła, sam jednak nie wstaje. Siadam i kładę na kolanach torebkę, po czym przychodzi mi do głowy, że przypuszczalnie wyglądam na nauczycielkę szkoły niedzielnej. Niestety jest już za późno. Mam tremę, lecz każdą zmianą pozycji dam mu do zrozumienia, że się denerwuję, tego zaś nie chcę.

- Dostałem wyniki pani badań, panno Jones, i chyba wszystko jest w porządku. - Patrzy mi prosto w twarz, siląc się na ten głupawy lekarski uśmieszek, typowy dla każdego z nich. - Ale pielęgniarka przekazała mi wiadomość, i skoro nadal ma pani trudności ze spaniem, może powinniśmy porozmawiać. - Z taką samą jak każdy lekarz na pół smutną, na pół wesołą zachętą, żebym trzymała głowę do góry, otwiera moją kartę i z górnej kieszeni białego kitla wyjmuje długopis. Naciska go kciukiem, a następnie wodzi nim po luźnych kartkach.

- Miała pani ostatnio ciężkie przeżycia, prawda? Patrzę na niego niepewna, czy rzeczywiście pyta, czy tylko informuje.

- Wcześniejsza emerytura może być problemem, ale pani nadal uczy muzyki, prawda? Gry na fortepianie. Mam na myśli lekcje prywatne.

Dlaczego o to pyta? Sam podsunął mi pomysł ogłaszania się w ten wulgarny sposób. Zdesperowana kobieta udziela lekcji muzyki.

- Próbuję z panią rozmawiać, panno Jones. Żadnemu z nas nie pomoże wpatrywanie się w ścianę, prawda?

Patrzę na jego puciołowatą twarz i uznaję, że teraz ja z kolei powinnam go obdarzyć tym głupim uśmiechem.

- Śmierć pani rodziców, rozwód, śmierć siostry, wcześniejsza emerytura, potem przeprowadzka, to dla każdego byłby duży stres, nie do przewyciężenia w krótkim czasie. - Przerywa, żebym mogła wtrącić komentarz, ja jednak nie mam mu do powiedzenia nic więcej. - Musi pani zaplanować sobie nowe życie, Dorothy. Siostra odeszła, lecz pani jest jeszcze dość młoda i pod względem fizycznym nic pani nie brakuje. Ma pani jeszcze kawał życia przed sobą i musi pani zacząć je planować, czerpać z niego pełnymi garściami. Czy wyrażam się jasno?

Przed powrotem do Stoneleigh zwykle jemy z Salomonem lunch w mieście. Kiedy jestem w szpitalu, on coś tam kupuje, choć nigdy mi nie mówi co. A ja naturalnie nigdy nie pytam. Wraca do szpitala ze sprawunkami bezpiecznie ukrytymi w bagażniku. Czasami już jestem na dworze i czekam pod zieloną markizą ambulatorium, kiedy indziej wiem, że to jemu kazałam czekać, ale on nigdy się nie skarży. Jest kierowcą - wolontariuszem, więc wioskowa pielęgniarka pewnie mu powiedziała, że musi być tolerancyjny, jeśli zamierza wozić chorych. Ponieważ kiedyś mieszkałam i uczyłam w mieście, zazwyczaj ja wybieram restaurację. Od czasu do czasu wybieram jadłodajnię Somalijską i Śródziemnomorską, teraz zaś wygląda na to, że staliśmy się jej bywalcami, choć mogłaby w niej panować nieco większa czystość. Ale jemu chyba się tam podoba.

Podnosi wzrok znad jagnięcego kebabu i patrzy na mnie swoimi dużymi oczami, jakbym dopuściła się wobec niego zdrady.

- Nie powiedziała mi pani o wynikach.

- Nie są jednoznaczne - mówię, nie przerywając jedzenia. Wpycham do ust trochę pity, więc przez chwilę nie mogę nic dodać.

- Rozumiem. - Czeka, aż skończę żuć. - Będą jeszcze dalsze badania?

- Zdaje się, że lekarz nie wie, co robić.

- Nadal nie umie postawić diagnozy?

- Tak twierdzi.

- To bardzo kłopotliwe. - Urywa i dalej wpatruje się we mnie. - A pani siostra? Odpowiedziała pani na jej list?

Odkładam widelec i już mam się odezwać, kiedy zdaję sobie sprawę, że zaraz powiem temu człowiekowi za dużo.

- Jeszcze go nie przeczytałam.

- Nie przeczytała go pani? - Z kolei on odkłada widelec i patrzy na mnie nad stołem. - Ale teraz, po śmierci rodziców, ona jedna pani została. A pani mówi, że mieszka zaledwie o godzinę drogi stąd, na wybrzeżu. Mówiłem już, że jestem gotów panią zawieźć.

Dziwny człowiek. Dozorca ze Stoneleigh. Osiedlowa złota rączka w swoim wolno stojącym domku. Salomon i jego używany samochód. Nie ma nawet psa. Tylko on sam, chowający się za tymi zasłonami, czekający na rynnę do naprawienia albo klamkę, którą trzeba umocować. Nocami widuję go, jak robi obchód z latarką. Irlandzka pielęgniarka powiedziała mi, że jeśli nie będę chciała jechać do miasta autobusem, są dwaj kierowcy - wolontariusze. A potem pewnego popołudnia to właśnie on przyszedł i zastukał do moich drzwi. Mój rycerz w lśniącej zbroi i wypolerowanym na połysk rydwanie. Teraz chce mnie zawieźć na wybrzeże, żebym mogła spędzić trochę czasu z Sheilą, ja zaś tylko się zastanawiam, dlaczego nie kończy jagnięcego kebabu. Są na świecie ludzie, umierający z głodu, którzy zrobiliby wszystko za kawałek takiego kebabu.

Wieczorem znów wpatruję się w list na gzymsie kominka. Czuję, że przed rozerwaniem koperty powinnam pójść na grób rodziców i poprosić ich o pozwolenie. W moim wieku nie powinnam się poczuwać do obowiązku pytania o zgodę, ale Sheila źle ich potraktowała, a ja nie chcę, żeby myśleli, że czytając jej list, dopuszczam się zdrady. Nalewam sobie kieliszek białego wina i wyglądam przez okno. Po paru minutach dociera do mnie, że nie tyle zależy mi na pozwoleniu rodziców, ile na zwykłym poinformowaniu ich, co się dzieje. Chyba tak. Chcę im po prostu powiedzieć, co jest grane, i liczę, że zrozumieją. Na niebie światło zaczyna zanikać. W tym domu między innymi najbardziej podobają mi się wieczory, bo widać, jak słońce chowa się za horyzont. Po stronie zachodniej otwiera się widok prosto na miejsce, gdzie stary wiadukt kolejowy maszeruje przez dolinę na swoich mocnych kamiennych nogach. Pociąg nie przejeżdżał nim od ponad pięćdziesięciu lat, więc obecnie jest to swego rodzaju pomnik. Każdego wieczoru słońce zachodzi za wiaduktem, co oznacza, że mogę siedzieć przy oknie z kieliszkiem wina i patrzeć, jak dzień dobiega do spokojnego końca.

Ledwie wstałam z łóżka, rozlega się walenie do drzwi. Nic nie szkodzi, bo jestem już umyta i mogę się pokazać. Zdążyłam nawet wyszczotkować włosy przed upięciem ich w zwyczajny kok. Dawno temu zaprzestałam poddyktowanych próżnością prób ukrycia siwizny, a pozostawienie naturalnego koloru zaoszczędza mi mnóstwo czasu. Chociaż nie muszę już być w szkole o ósmej, z przyzwyczajenia pozostaję rannym ptaszkiem. Zazwyczaj zdążam zjeść miskę płatków śniadaniowych i wypić trochę soku pomarańczowego, nim samochody zaczną wyjeżdżać spod domów, a dzieci bieć na szkolny autobus. Znów słyszę to dokuczliwe walenie do drzwi, jakby ktoś uznał, że śpię, i postanowił mnie obudzić. Jestem niezadowolona, bo to dowodzi złego wychowania. Idę

do drzwi, za którymi widzę panią Lawson, lecz bez Carli. Granatowy lniany kostiumik i dopasowana do niego kolorem bladoniebieska chustka na szyi wskazują, że jedzie do pracy.

- Przepraszam za tak wczesne najście, ale chciałam panią zastać przed moim odjazdem.

Cóż, tego się domyślałam, a ze sposobu, w jaki stała, wyraźnie wynikało, że nie przyszła pożyczyc filizanki cukru.

Przed dwoma dniami, podczas jej ostatniej lekcji fortepianu, Carla nie chciała na koniec zagrać gam. Znowu jej przypomniałam, że siedząc przy pianinie bez cienia przyzwoitości, z nogami bezużytecznie dyndającymi powyżej pedałów, obraża zarówno nauczycielkę, jak instrument. Delikatnie nakryłam jej dłonie rękami i poprosiłam, żeby poczuła to w piersi. Żeby pozwoliła temu wezbrać w ciele i wylecieć czubkiem głowy. Ścisnęłam jej dłonie i kazałam o nich zapomnieć, bo powinny być jak sałata, wiotkie i bezużyteczne. Powtórzyłam, że to wszystko zaczyna się w piersi, że jej wykonanie musi być zawsze silne i namiętne, co na dziewczynie najwyraźniej nie wywarło wrażenia. W końcu warknęłam na nią i spytałam, czy jej zdaniem matka tyle płaci za to, żeby ona mogła siedzieć, gapić się jak sroka w kość i bezczelnie się zachowywać. To pogorszyło sytuację. Carla zaczęła mi się odszczekiwać, potem z trzaskiem opuściła wieko pianina, odepchnęła do tyłu krzesło i wstała. Chwyciła swoją torbę, krzyknęła: „Powieм o pani matce”, po czym wybiegła z domu, nie zamykając za sobą drzwi. Popatrzyłam na pozostawione na pianinie wprawki, z rogami starannie pozaginanyimi, żeby łatwiej było odwracać kartki, i uznałam, że jeśli idzie o tę dziewczynę, co za dużo, to niezdrowo. Choć spodziewałam się zobaczyć matkę Carli przed upływem godziny, nie byłam zdziwiona, kiedy nie przyszła. Właściwie już w chwili, gdy odpowiedziała na moje ogłoszenie, napisane ręcznie i umieszczone na wystawie sklepu z gazetami, dość

nieskromnie zachwalające mnie jako „znakomitą” nauczycielkę fortepianu, nie wątpiłam, że pani Lawson po prostu szuka najwygodniejszego sposobu chronienia córki przed kłopotami. Powiedziała mi, że jest pracownicą biurową dużego supermarketu w mieście, często zajęta do późnego wieczoru. Widocznie żyła w separacji z ojcem Carli, toteż biedna dziewczyna większość czasu spędzała sama. Carłę jednak, co było do przewidzenia, szybko znudziłam zarówno ja, jak pianino, więc nieuchronną kolejną rzeczą musiała z czasem poszukać zaczepki. A teraz zjawiała się jej matka. Patrzyłam na nią obojętnie.

- Chodzi o Carłę - przemówiła pierwsza.

- Przykro mi. - Mrugam oczami i próbuję znów zwrócić je na nią. - Proszę wejść. Napije się pani herbaty?

- Nie mam zbyt dużo czasu. Najwyżej minutkę. - Kobieta przeciska się obok mnie i kieruje do saloniku, jakby regularnie składała mi wizyty.

- Woli pani herbatę czy kawę? - pytam.

- Wszystko jedno. Jak pani wygodniej. Szczerze mówiąc, naprawdę się śpieszę.

Idę za nią do saloniku, podsuwam krzesło, a potem wracam do kuchni po herbatę. W moim domu łatwo jest prowadzić rozmowę z kuchni. Nie trzeba krzyczeć ani nic takiego, więc czekam, żeby powiedziała, o co jej chodzi, ponieważ jednak się nie odzywa, dolewam do herbaty mleka i mieszam łyżeczką.

Po jej wyjściu zaczynam wnosić filiżanki, potem talerzyk kruchych ciasteczek, za które podziękowała. Biorę talerzyk i wyglądam przez okno. Pani Lawson ze stukiem pantofli na głupich wysokich obcasach idzie na koniec ślepego zaułka, gdzie czeka na nią nowy czerwony hatchback. Nie ogląda się do tyłu, a ja zamiast zazdrościć jej pewności siebie, raczej nią gardzę. Przecież niemal natychmiast po wejściu do mojego

domu przekroczyła granice dobrego wychowania. Kiedy, postawiwszy przed nią herbatę i ciasteczka, spytałam, czy słodzi, energicznie pokręciła głową, jakbym jej proponowała truciekę na szczury.

- Cóż - zaczęłam - chyba musi pani zadać sobie pytanie, czy Carli naprawdę zależy na tych lekcjach.

- Tak sądziłam - powiedziała matka - ale teraz już nie wiem. Jest w trudnym wieku i ma zdecydowane poglądy na pewne sprawy.

- Rozumiem. - Wzięłam ciasteczko. - Takie jak gra na fortepianie?

- No, nie tylko. Trzeba się też zastanowić nad pani zachowaniem.

- Moim zachowaniem? - Odłożyłam ciasteczko na talerzyk i popatrzyłam na nią.

- Chyba potrzebuje pani pomocy, prawda? Owszem, Carla panią lubi, ale twierdzi, że pani raz krzyczy, raz jest miła, ale na ogół wygląda pani jedynie przez okno i nie słyszy, co ona mówi. Czy mogę zapytać wprost, panno Jones, co się dzieje?

- Pani wierzy córce na słowo? - Kobieta popatrzyła na mnie z politowaniem, które wystawiłoby na próbę cierpliwość świętego. - Aha, więc daje mi pani do zrozumienia, że to ja mam problemy z koncentracją?

- Carla jest dobrym dzieckiem i nigdy by nie skłamała. Właściwie nawet się o panią martwi. To znaczy, ona panią lubi, ale uważa, że pani wymaga pomocy z uwagi na dziwne zachowanie.

Przez dłuższą chwilę przypatrywałam się jej, po czym zaświtało mi w głowie, że mówi serio.

- Jeszcze herbaty? - zapytałam. Spojrzała na zegarek i chwyciła torebkę.

- Wie pani, przynajmniej spróbowałam. Naprawdę muszę już iść.

- Jak pani chce.

Teraz się nachyliła i próbowała okazać mi współczucie.

- Chyba powinna pani pamiętać, że to mała wioska. Ja mieszkałam kiedyś w mieście tak jak pani. Ale tu ludzie gadają, wie pani...

- O kim?

- O pani, panno Jones. We wsi są dobrzy ludzie, z którymi można spędzać czas. Nie musi pani być sama.

- Cóż, nie mogę im zabronić gadania. - Nie potrafiłam zapanować nad gniewnym brzmieniem głosu i pani Lawson chyba pogodziła się z faktem, że niewiele więcej da się powiedzieć na ten czy jakikolwiek inny temat.

- Cóż, przykro mi, ale tak naprawdę przyjechałam powiedzieć, że Carla nie będzie już brała lekcji. - Wstała i pożegnała się ze mną. Teraz patrzę, jak się pochyla i otwiera drzwiczki samochodu. Wsiada, uruchamia silnik, po krótkiej chwili miga prawym kierunkowskazem i włącza się w sznur pojazdów, zmierzając do pracy.

Na cmentarzu młody mężczyzna pieli. Jest tam prawie zawsze, kiedy przychodzę. Pracuje w dziwny sposób, bo rękami. Nie kosą, łopatką czy choćby sekatorem; rękami wyrywa chwasty i upycha w czarnej plastikowej torbie, przywiązanej do paska kawałkiem wystrzępionego sznura. Wchodząc po niewielkiej pochyłości, widzę, że uporządkował grób moich rodziców. Leżą obok siebie, mama zmarła wcześniej, tata o rok później. Wspólnie zaplanowali to miejsce wiecznego spoczynku i przybyli na nie w niemal idealnej zgodzie. Pewnego dnia, kiedy tata był na działce, mama dostała ataku serca. Pożegnał się z nią rano i wyszedł z domu, przez blisko pięćdziesiąt lat należącego do obojga. Kiedy wrócił pod koniec dnia, już nie żyła. Sąsiedzi mówili, że



upadła za domem, wynosząc śmiecie. Jeden wezwał karetkę, inni próbowali mamę cucić. Przez te lata przydarzyło jej się parę razy coś niezbyt groźnego, włącznie z lekkim udarem w trakcie pierwszej i ostatniej podróży za granicę, na Majorkę. Była ubezpieczona, więc samolotem odstawiono ją do Anglii, gdzie dwa tygodnie spędziła w szpitalu. Ten ostateczny cios okazał się jednak szybki i nieoczekiwany jak uderzenie młotkiem i nie pozostawił czasu na nic innego poza przyjęciem tego do wiadomości. Tata zadzwonił do mnie, ja przyjechałam z Birmingham, zaparzyłam mu herbaty, po czym aż do bladego świtu siedzieliśmy razem bez słowa przed żarzącymi się czerwono węglami na kominku. Wiedziałam, że długo bez niej nie pociągnie.

Z rana poprosił, żebym złapała moją siostrę, co obiecałam, choć znałam tylko jej adres, a nie numer telefonu. Mimo iż numer w Londynie miała zastrzeżony, znalazłam go bez większego trudu, zadzwoniłam i przekazałam wiadomość o mamie. Milczała, po czym na pytanie, czy przyjedzie na pogrzeb, odpowiedziała po prostu „tak”. Kiedy dwa dni później zjawiła się ze swoją przyjaciółką, musiałam siłą powstrzymywać się przed powiedzeniem czegoś młodszej siostrze. Nie była to pora odpowiednia do zapoznawania i tak dość kruchego taty z podobnym stylem życia. Właściwie nie pamiętam, żebym się kiedyś bardziej zezłościła, ale na szczęście pogrążony w smutku tata nie zauważył, co zrobiła Sheila. Mój tak zwany mąż Brian odgrywał rolę mediatora i wszyscy jakoś przetrwaliśmy pogrzeb. A potem tata zapadł na zdrowiu. Wszystko naraz zaczęło mu dolegać. Płuca po tylu latach palenia fajki. Następnie biodra, od lat niszczone przez artretyzm, wreszcie oczy, zachodzące mgłą na skutek jaskry. W sześć miesięcy po pogrzebie mamy pogorszyło się tak, że nie mógł już sam pójść do toalety, wykapać się ani nic zrobić. Najpierw przyjeżdżałam z Birmingham na każdy weekend, ale

jego lekarz w końcu mnie ostrzegł, że jeśli nie weźmiemy pielęgniarki, skończy się na domu opieki. W tej sytuacji poprosiłam, żeby mi szczerze powiedział, jak długo jeszcze tata pożyje. Splótł palce i odparł, że może rok, ale pewnie krócej, więc umieściliśmy emerytowaną położną w wolnym pokoju. Niebawem tata przestał wstawać z łóżka, wciąż jednak uprzykrzał życie biedaczce, mówił jej nawet, że według niego nie ma dobrych kobiet, są tylko kobiety, na które wywierają wpływ dobrzy mężczyźni.

W niespełna rok po śmierci mamy zmarł we śnie, a skwaszona położna zrobiła scenę i wyniosła się z domu, nim zdążył ostygnąć. Znowu zadzwoniłam do siostry, tym razem włączyła się automatyczna sekretarka. Nagrałam się, lecz nie otrzymałam odpowiedzi. Nie zdziwiłam się, a prawdę powiedziawszy, odczułam pewną ulgę, że zostanie mi oszczędzony drugi pokaz egoizmu Sheili. To ona jako siedemnastolatka samowolnie postanowiła opuścić dom i przez prawie trzydzieści lat mama i tata nie mieli z nią właściwie żadnego kontaktu. Niechętnie nauczyli się z tym żyć i nabrali wprawy w uchylaniu się od odpowiedzi na pytania, w mówieniu półprawd i ukrywaniu smutku. Chyba mamę szczególnie to bolało. Odtrącenie ich obojga przez Sheilę, która postanowiła żyć własnym życiem na południu, sprawiło, że mama jeszcze bardziej odsuwała się od ludzi i unikała rozmów. Zaczęła jadać na osobności i było coś bardzo przykrego w jej widoku, kiedy siedziała sama nad Biblią, z twarzą porytą zmarszczkami, świadczącymi o skupieniu. Tata dawno wybił mi z głowy jakąkolwiek prawdziwą wiarę, ale mama nie przestała wierzyć, choć nie fatygowała się chodzeniem do kościoła. Zrazu zastanawiałam się, czy nie byłoby dla niej lepiej, gdybym obdarzyła ją wnukami, z których mogłaby być dumna, lecz wkrótce zrozumiałam, że nic by to nie pomogło. Mama straciła młodszą córkę i nawet

błogosławieństwo, jakim są wnuki, nie zdołaloby choć częściowo wynagrodzić tej straty. Tata, przeciwnie, nadal pomstował na wszystko pod słońcem, nie poruszał tylko jednego tematu: naszej Sheili.

Ilekcio w ciągu tych lat wracałam do domu, zawsze wiedziałam, że znajdę go w jego szopce. Mijałam stare domki, potem nieużytki, aby w końcu dojść do szachownicy działek, z rzepą i fasolką szparagową, posłusznie rosnącymi w rzędach. Siedział sobie, pykał fajkę i biadał nad tym, że rezygnujemy z praw, należnych nam jako Anglikom, a zatracamy się w Stanach Zjednoczonych Europy, że w niedziele w ogóle nie widuje się mężczyzn w koszulach i krawatach. Albo wyrażał ustawiczne zdziwienie, dlaczego zwykli ludzie z szacunkiem wspominają Churchilla, człowieka, który podczas strajku generalnego w 1926 roku nazwał robotników „wrogami”, co tata powtarzał mi, odkąd byłam mała. Słuchałam, świadoma, że z ust jego ani mamy nigdy nie padnie słowo „Sheila”, choć całym zachowaniem dowodzili, jak bardzo cierpią z powodu tego, że nie udało im się zatrzymać przy sobie jednego z dwojga dzieci. Oczywiście ja łatwiej to znosiłam: była moją młodszą siostrą i choć mi jej brakowało, w żaden sposób nie czułam się od niej zależna. Nigdy.

Młody mężczyzna, pielący między nagrobkami, poznaje mnie. Nasza znajomość polega na kiwaniu sobie głowami i machaniu rękami. On chyba lubi swoją pracę albo przynajmniej nigdy na nią nie narzeka, co jest dziwne. Przywykłam do tego, że młodzież albo nie chce pracować, albo jasno daje do zrozumienia, że robi to niechętnie. Etos pracy tego mężczyzny zrodził się chyba w jakimś wcześniejszym pokoleniu. On sam zresztą ubiera się tak, jakby należał do wcześniejszego pokolenia: w płaską czapkę i wielkie buciory. Stoję i spoglądam w dół na moich rodziców, na ich imiona świeżo przetarte wilgotną szmatą. Czuję na

sobie wzrok młodego mężczyzny i nagle przychodzi mi do głowy, żeby zapytać, czy widział kiedyś kogoś innego, kto by tu stał i patrzył na mamę i tatę.

Może Sheila, z niejasnego poczucia obowiązku, przychodziła na grób, kiedy wiedziała, że mnie nie spotka. Przez chwilę rozważam tę możliwość, ale prawdę powiedziawszy, Sheila nie starałaby się być tak przebiegła. Moja Sheila, siedemnastoletnia dziewczyna, która uciekła z domu, kiedy byłam na uniwersytecie, i bez grosza przy duszy stanęła na moim progu. Ledwie minął szok, wywołany widokiem Sheili i jej krzywego uśmiešku, zaprosiłam ją do środka. Zostawiła plecak przy drzwiach i usiadła na brzegu mojego wąskiego łóżka.

- Gdzieś ty była, Sheilo? Strasznie się zabrudziłaś.

Milczała, wpatrzona w afisz filmu Jeana - Luca Godarda na ścianie, więc zaparzyłam jej filiżankę herbaty i czekałam, aż się odezwie. Miałam tego wieczoru próbę przed koncertem, ale wiedziałam, że na nią nie pójdę. W czasie, kiedy herbata naciągała, wymyśliłam na poczekaniu jakiś pretekst i pognałam korytarzem akademika. Wsunęłam kartkę pod drzwi mojej przyjaciółki Margaret. Wolałam nikomu niczego tłumaczyć, napisanie kartki było łatwiejsze. Zgodnie z prawdą powiadomiłam Margaret, że coś mi wypadło, więc będą musieli poradzić sobie sami. Prędko wróciłam do pokoju i zamknęłam drzwi na klucz. Sheila nie podnosiła oczu. Czuję się winna, ale musiałam zauważyć, jak bardzo urósł jej biust. Nalałam herbaty do filiżanek i usiadłam obok siostry, gotowa do rozmowy. Ona jednak nie była gotowa; łzy stanęły jej w oczach, w końcu popłynęły, potoczyły się po chudych policzkach.

Widocznie za długo stałam nad grobem, bo uciekł mi autobus o czwartej. Kobiecie w moim wieku i trudno, i niezbyt wypada biegać. Siadam na przystanku, obserwuję

kłębiące się hordy źle ubranych, rozwrzeszczanych uczniów. Rozpoznaję zielone bluzy sportowe i krawaty, zwisające jak sznurki, których pociągnięciem zapala się światło. Potem uprzytamniam sobie, że znam kilkoro z tych dzieci, więc odwracam oczy i usiłuję być jak najmniej widoczna. Miejsce obok mnie zajmuje mężczyzna z podwójnym podbródkiem, objuczony torbami na zakupy. Parę godzin wcześniej jechał ze wsi tym samym co ja autobusem, a obecnie stara się nawiązać rozmowę: „Nadal jest ciepło”. Nie mogę mu pomóc, więc się uśmiecham i bez słowa proszę o wybaczenie. Widząc moją niechęć, otwiera wieczorną gazetę. Rozglądam się dookoła i nie rozumiem, jak mogłam żyć w tym hałaśliwym, brudnym mieście. Na szczęście teraz mieszkam w Weston lub w „nowym osiedlu”, czego mój sąsiad niewątpliwie już się domyślił. Na pewno przesiaduje w domu u podnóża pagórka, przypuszczalnie sam, sądząc po liczbie tych toreb z zakupami, i uważa mnie, tak jak każdego w nowym osiedlu, za intruza. My wszyscy zakłóciliśmy pewien układ, istniejący przez całe dziesięciolecie, dopóki nie powstało Stoneleigh i nie dało im odczuć, że resztki ich życia, na które już i tak cień rzuca zamykanie fabryk i bezrobocie, są jeszcze mniej ważne, niż dotychczas sądzili.

Parę minut po wpół do szóstej autobus powoli wtacza się do wsi. Część pasażerów nie rusza się z miejsc, bo wysiądzie w którymś z miasteczek albo w którejś odosobnionej wsi za Weston. Widzę jednak, że mój sąsiad z ławki na przystanku wstaje, zmagając się z torbami, następnie dwie młodsze kobiety przechodzą do przodu i dołączają do niego przy drzwiach. Ja zamykam pochód. Kierowca, grzeczny chłopak, chyba często jeździ na tej trasie i teraz, zauważcie, każdemu z nas z osobna życzy dobrej nocy. Dziwne, myślę, bo na dworze jest wciąż jasno, ale doceniam ten gest. Normalnie skręciłabym w lewo i wybrała krótką drogę na wzgórze,

ponieważ jednak czytałam ostatnią stronę wieczornej gazety mojego sąsiada, przychodzi mi do głowy, że miło byłoby spędzić wieczór na zapoznawaniu się z najnowszymi wiadomościami. Po odjeździe autobusu przechodzę na drugą stronę głównej drogi. Carla widzi, że zmierzam w jej kierunku, i w pierwszej chwili jest trochę zaskoczona, jakbym była ostatnią osobą, którą chciałaby spotkać. Potem bierze się w garść i spogląda na mnie z lekkim zdenerwowaniem.

- Dobry wieczór pani. - Jest wystrojona, oczy ma za mocno podmalowane, ładnie rozczesane włosy rozsypują się jej na ramionach. Jeśli się nie mylę, przyprószyła nawet twarz brokatem. Patrzę na nią, rozkwitającą, zrobioną jak rozpustna stara mała, ale nie mogę jej skarcić, bo już nie jest moją uczennicą.

- Dobry wieczór, Carlo. Przykro mi, że przestanę cię widywać.

Carla wzrusza ramionami, nie bezczelnie, ale jakby na znak bezradności.

- I mnie jest przykro, proszę pani. - Urywa. - Czy naprawdę idzie pani do domu opieki?

Milczę zaskoczona.

- Ludzie mówią, że jest pani chora.

Wpatruję się w Carlę, która nie jest złą dziewczyną, choć ma taką matkę. Chryste, uczyłam o wiele gorsze. W rzeczy samej, jeśli chodzi o wykroczenia i złe zachowanie, to dosłownie anioł. Zaczynam się zastanawiać, co bym z nią zrobiła, gdyby była moim dzieckiem. Ale nie Jest moją córką ani, prawdę mówiąc, nawet przyjaciółką. Zadaje to wścibskie pytanie, bo jak cała dzisiejsza młodzież czuje się do tego uprawniona; uprawniona do strojenia się, złego zachowania, mówienia, chodzenia, robienia, jak chce.

- Tak, Carlo, jestem chora, cierpię na straszną chorobę. Dziewczyna zdradza przelotny niepokój. - Ale masz rację. Nie można się nią zarazić. - Carla uśmiecha się blado.

- Co to za choroba, proszę pani?

- Co za choroba? Jak myślisz? Carla wzrusza ramionami.

- Nie wiem, proszę pani. Nerwy?

Rumieniec dziewczyny wskazuje, że wolałaby nie zadawać tego pytania, więc śpieszę jej na ratunek.

- Chyba jeszcze nie całkiem nadaję się do domu opieki, jak sądzisz, Carlo? - Z pożegnaniem uśmiechem ruszam po gazetę, ona zaś czeka na autobus, który niewątpliwie zawiezie ją do miasta na wieczorne szaleństwo z nastoletnimi przyjaciółmi.

Pokonanie ostatniego odcinka pod górę wymaga sporego wysiłku i zaczynam odczuwać zmęczenie. Dzień był długi i biodro już mi dokucza. Zbyt wiele lat spędzonych przy pianinie w tej samej pozycji, powiedział mój stary lekarz, kiedy poskarżyłam się na to po raz pierwszy. „Musi pani regularnie się gimnastykować”. Takie znalazł rozwiązanie, ale na ćwiczenia nie było szansy, bo zajmowałam się Brianem, starałam się uczyć przez cały dzień i wieczorami dodatkowo udzielać lekcji dla zarobku. Więc stan biodra się pogarszał, aż doszło do tego, że z trudem pokonywałam jakąkolwiek odległość. Wówczas stary lekarz zapisał mi sterydy i jakimś cudem zastrzyki poskutkowały. Teraz, na emeryturze, mam oczywiście więcej czasu na gimnastykę. Ale co mi po niej? Doktor Williams nie pozwala tak myśleć, to jednak specjalista, nie lekarz pierwszego kontaktu. Czuję, że wieczorna gazeta wilgotnieje mi w ręce, więc wpycham ją do torby. A potem, po wejściu w zaułek, dostrzegam Salomona. Jak zawsze samotnego, zajętego myciem samochodu, obojętnego na wszystko dookoła. Ma zwyczaj nastawiać radio i troszkę opuszczać szybę, żeby mógł słuchać lekkiej muzyki

w drugim programie. Nie znoszę takiej bezmyślnej komercyjnej tandety, ale nie chcąc go urazić, nigdy mu tego nie mówiłam. Nastawia radio, kiedy mnie wozi, choć najpierw pyta o zgodę. Ja zawsze ją wyrażam, mówię „świetnie”, więc oczywiście sama jestem sobie winna. Z pewnością nie wpadnie w szal ani nic podobnego, jeśli powiem: „Nie, to mi się nie podoba”, na ogół jednak staram się być miła. Podchodząc do niego, zdaję sobie sprawę, że dziś nie słyszeć muzyki. Salomon myje swój samochód w ciszy.

- Wszystko w porządku? - pyta ze spuszczonego wzrokiem. Na sekundę zbija mnie z tropu, lecz rozumiem, że zapewne usiłuje być dyskretny. Nie narusza mojej prywatności. Przystaję i patrzę, jak glansuje maskę samochodu.

- Chyba tak - odpowiadam. - Spóźniłam się na powrotny autobus i to było najważniejsze wydarzenie dzisiejszego dnia.

Salomon wpatruje się we mnie.

- Spóźniła się pani na autobus? Jakim sposobem?

- Wygląda na szczerze zatroskanego, więc próbuję go uspokoić.

- Nie zaszło nic nadzwyczajnego. Po prostu zasiedziałam się u rodziców. - Nadal wydaje się zaintrygowany.

- Na cmentarzu. I tak czas zleciał.

- Och, rozumiem. - Teraz odkłada ścierkę. - Panno Jones, niekiedy życie naprawdę potrafi być trudne, mam rację? - Zwraca się do mnie twarzą. W blasku zachodzącego słońca jego głowę otacza aureola i na moment ten obraz każe mi zapomnieć o zadanym pytaniu. Salomon widzi, że jestem nieobecna myślą, ale po prostu czeka, aż się skupię.

- Przepraszam - mówię. - Widocznie zmęczył mnie ten spacer pod górę. - Sprawia wrażenie zmieszanego, oboje wiemy jednak, że jego pytanie zawisło między nami w powietrzu. - Tak, Salomonie, życie niekiedy potrafi być



trudne. - Robię krótką pauzę. - I czemu, na litość boską, z takim uporem tytułujesz mnie „panną Jones”? - Wybucham śmiechem. - Proszę cię przecież, żebyś mi mówił Dorothy. Wiesz, że nie jestem twoją pracodawczynią.

- Tak, Dorothy, wiem o tym. Po prostu staram się być grzeczny.

Teraz jest mi głupio, bo widzę, że nie wie, czy z niego nie kpię.

- Nie mógłbyś, Salomonie, być grzeczniejszy, choćbyś się starał. Właściwie zastanawiam się czasami, czy nie powinienes być mniej grzeczny. Wiesz, ludzie będą cię wykorzystywać.

Salomon milczy, chyba ma tylko ten sam co zawsze tajemniczy uśmiech na twarzy.

- Twoi rodzice na pewno byli wspaniałymi ludźmi. - Nie daje za wygraną. Stawiam swoją torbę, on zaś ciągnie: - Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o twojej rodzinie.

- Cóż, niełatwo jest mówić o moich rodzicach i mojej siostrze, Salomonie.

- Ale nie należy tłamsić tego w sobie.

Patrzę na niego i rozumiem, że chce mi tylko pomóc. Nie powinniśmy jednak stać w zaułku, na oczach wszystkich, i tak ze sobą gwarzyć.

- Wiesz co, Salomonie, wstąp do mnie, a ja zaparzę dobrej herbaty. Jak skończysz myć samochód.

Salomon unosi brwi.

- Zapraszasz mnie na herbatę?

- Cóż, pod jednym warunkiem, że zechcesz przyjść. Może nawet przy odrobinie szczęścia dostaniesz ciasteczko.

Salomon uśmiecha się i rzuca szmatę.

- Ciasteczko? Teraz pokusa jest za wielka.

- Nie ma gwałtu - mówię. - Muszę nastawić czajnik. Równie dobrze możesz skończyć robotę.

Ociera mokre ręce o kombinezon. Potem się schyla i wylewa spienioną wodę z kubelka do rynsztoka.

- Jeszcze trochę wywoskuje.

- Zobaczymy się za chwilę. - Kiedy ruszam do domu, w twarz uderza mnie pełny blask zachodzącego słońca. Salomon prawie je zasłaniał, a teraz mrużę oczy w mocnym świetle.

Salomon czeka i dopiero po wypiciu drugiej filiżanki herbaty zadaje swoje pytanie. Patrzą, jak się do tego przygotowuje. Będąc chudym mężczyzną, wręcz niknie w fotelu. Choć nie jest rachityczny, nogi i ramiona ma jakby trochę za długie w stosunku do tułowia. Za późno podsuwam mu całą paczkę ciasteczek, aby nie dopuścić do pytania.

- Nie powiedziałaś właściwie nic o swojej chorobie. Nie chciałbym być wścibski.

- Nie jesteś wścibski. - Ujmuję filiżankę w złożone dłonie.

- Ale wydobrejesz?

- Doktor Williams twierdzi, że na razie wszystko jest w porządku, muszę jednak robić dalsze badania.

- Nie rozumie, na czym polega problem?

- Tak twierdzi.

- Tego nie pojmuję. Wydajesz się silna.

- Mam trudności ze spaniem. I niekiedy się zamyślam, co musiałeś zauważyć.

Patrząc na Salomona, teraz chyba lekko zakłopotanego, że poruszył ten temat, po czym milkniemy. Gapi się na mnie i choć chciałabym, żeby odwrócił oczy, widzę, że nie nosi się z takim zamiarem.

- Dość o mnie. - Siłę się na lżejszy ton.

- Skoro tak uważasz.

- Owszem, uważam. - Na ten moment liczyłam. Odpowiedni, żebym to ja mogła zadać pytanie. - A co powiesz o sobie, Salomonie? Prawie nic o tobie nie wiem.

Spoglądam na niego, on zaś nagle zdradza jakby wielkie zmęczenie. Nie dokończywszy kolejnej herbaty, przechyla filiżankę. Grzecznie robi to nad spodkiem, który trzyma na szerokiej dłoni drugiej ręki, niczym małą monetę. Myje swój samochód, wozi mnie do szpitala, siedzi w domu za zasłoniętymi oknami. W nocy patroluje zaułek. Przesyła mi nerwowy uśmiech, jak gdyby przeproszał, że nie potrafi odpowiedzieć na pytanie. Ale mniejsza z tym. Patrzę na niego, przekonana, że wkrótce dźwignie swe chude ciało z fotela pod pozorem czekających go obowiązków. Zawsze grzeczny. Na razie z przyjemnością obserwuję Salomona, którego myśli wybiegają poza moje pytanie, leniwie poruszają się jak liście na wietrze. Przebywanie w jego towarzystwie po prostu sprawia mi radość.

Wyszedł przed godziną. Nagle stanął na baczność, rozejrzał się dookoła i zorientował, gdzie jest. Był zakłopotany, że pozwolił sobie zasnąć w moim towarzystwie, lecz ja chichotałam uspokajająco, kiedy się tłumaczył i pośpiesznie kierował do wyjścia. Teraz znów jestem sama. Nie ma sensu gotować obiadu dla jednej osoby, więc zjem jeszcze parę ciasteczek i napiję się herbaty. Widzę wpatrzony we mnie list Sheili i znów sobie przypominam, jak się zjawiała w moim pokoju na uniwersytecie. Podałam jej filiżankę herbaty i usiadłam przy niej na brzegu łóżka. Patrzyłam, jak w milczeniu ociera łzy.

- Uciekłam - powiedziała.

Nie mogłam oderwać wzroku od jej chudego, nieumytego ciała. Pominąwszy nowy biust, moja biedna siostra w brudnej, wiszącej na niej odzieży przypominała patyczaka.

- Potrzebuję trochę pieniędzy i muszę się gdzieś zatrzymać. Tylko na tę noc.

Pamiętam, jak się śmiałam. Nikt nie mógłby Sheili zarzucić, że nie nazywa rzeczy po imieniu.

- Więc chcesz dostać pieniądze o d e m n i e?
- Zwrócę ci, jeśli to cię niepokoi.
- Nie to mnie niepokoi, Sheilo. Ale najpierw chcę usłyszeć, jak doprowadziłaś się do takiego stanu.
- Co rozumiesz przez „taki stan”?

Widziałam, że jest zła. Zawsze przygryzała dolną wargę w chwilach poirytowania na coś czy na kogoś; w tym wypadku na mnie.

- Niepotrzebnie się wściekasz, Sheilo. Mówię tylko, że się zjawiasz, podobna do utopionego szczura, więc niby co mam myśleć?

- Jadę do Londynu i najzwyczajniej potrzeba mi trochę pieniędzy. Mam tego po dziurki nosie.

- Masz po dziurki w nosie mamy i taty czy północy?
- Jednego i drugiego. Z ciebie taki lizus, że studiujesz na uniwersytecie w Manchesterze, więc niedaleko.
- Nie jestem lizus. Tylko na ten uniwersytet mnie przyjęli.
- Cóż, ja się stąd wynoszę.
- Nie wynosisz się dzisiaj, prawda?
- Mówiłam ci, że muszę gdzieś przenocować.
- Czemu to robisz, Sheila?
- Uważają mnie za swoją własność. Ciebie też. Ale chyba nie jesteś ich własnością, co?

Choć w jej słowach wyczułam uszczypliwość, widziałam, że nadal jest zdenerwowana. Spróbowałam przemówić innym tonem.

- Sheilo, oni po prostu nie rozumieją. Czemu nie możesz ich ignorować, tylko wciąż musisz walczyć? Przy odrobinie sprytu zawsze zdołasz postawić na swoim.

- Nie mam ochoty. - Tym stwierdzeniem zatrzasnęła drzwi. Odczekała chwilę, po czym spojrzała na mnie i powiedziała spokojnie: - To moje życie i nie rozumiem, po co mi te gierki.

Spędziła noc u mnie, ale tak naprawdę żadna z nas nie spała. Kiedy się nie kłóciłyśmy, któraś wspominała jakieś wydarzenie z przeszłości i wybuchałyśmy śmiechem. Na przykład, jak mama postanowiła się zapisać do miejscowego chóru, choć miała najgorszy głos pod słońcem. Albo jak ja się zgłosiłam do szkolnych zawodów pływackich, przez zapomnienie nikomu nie mówiąc, że nie umiem pływać. Obiecałam dać jej pieniądze na podróż do Londynu, gdzie we własnym przekonaniu mogła dostać pracę, rano obdarzyła mnie tym swoim uśmiechem, ja pomachałam jej na do widzenia i patrzyłam, jak znika z naszego życia. Z chwilą gdy dotarła do Londynu, między nią a „domem” zapadło milczenie. Przez parę pierwszych lat po studiach znajdowałam powody do sporadycznych wypadów do Londynu, gdzie jeździłam sama lub z Brianem, i dzięki temu podtrzymywałam z Sheilą kontakty. Nigdy jednak nie mówiłam o tym mamie ani tacie, żeby ich nie denerwować, a potem z niezrozumiałych przyczyn oddaliłyśmy się od siebie. Teraz zaś list na gzymisie kominka. List z prośbą o co?

Nalewam sobie herbaty, biorę list i siadam w tym samym co Salomon fotelu przy oknie. Patrzę w głąb uliczki, tak oświetlonej przez księżyc, że dziś nie trzeba właściwie zapalać latarni. Za zasłonami Salomona nie widać żadnego ruchu, więc przypuszczam, że poszedł na patrol. Próbuję sobie wyobrazić wnętrze jego domku, zapewne tak nieskazitelnie czyste i schludne jak on sam, o czym w żaden sposób nie mogę się przekonać. Trzymam złowieszczy list w dłoniach, świadoma, że kiedyś będę musiała go otworzyć. Powoli zasypiam w fotelu, z jednej strony spragniona wypoczynku, z drugiej ciekawa losów siostry. Kiedy jednak głowa zaczyna mi ciążyć, zdaję sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na mnie spadła w związku z ponownym pojawieniem się Sheili w moim życiu.

Rano budzę się tam, gdzie zasnąłam, pośród kartek listu Sheili, rozsypanych dookoła jak konfetti. Szyja mi dokucza od trzymania na krawędzi fotela i natychmiast sobie uświadamiam, że jestem obolała. Odczuwam też coś innego, na co nie znajduję słowa. Wyglądam przez okno w nadziei, że Salomon będzie mył swój samochód, lecz nikogo nie ma w polu widzenia. I już umiem nazwać to dziwne uczucie. Jest nim samotność. Carla nie przyjdzie. Wpatruję się w pianino świadoma, że lekcje muzyki dzisiaj mi nie pomogą, ale wiem, co robić, zanim popadnę w depresję. Obejrzałam w telewizji dość programów na ten temat i przeczytałam dość artykułów. Na pewno muszę wyjść na dwór, więc postanawiam wziąć prysznic i szybko się ubrać, nim więcej myśli zagości w mojej głowie.

Kobieta w sklepie z gazetami u podnóża wzniesienia wie, kim jestem. Zresztą odnoszę wrażenie, że zna wszystkich i wie, czym się kto zajmuje. Przesyła mi promienny uśmiech, a ja się zastanawiam, czy tę wyjątkowo głupią minę rezerwuje dla mnie, czy też robi ją na widok każdego z mieszkańców osiedla. Zawsze przerywa rozmowę z klientem, którego akurat obsługuje, żeby się mną zająć. Tego dnia kupuję gazetę i parę artykułów spożywczych, więc korzystając z okazji, mówi:

- Rozumiem, że dziś nie wybiera się pani do miasta?

Uśmiecham się w odpowiedzi.

- Nie, nie wybieram się.

- Lekcje? - pyta. - Czy kartka na wystawie przyniosła pani szczęście?

Na pewno wie, że po wywieszeniu kartki zgłosiła się tylko Carla, a teraz nie ma nikogo.

- Było parę obiecujących telefonów. - Daję w ten sposób do zrozumienia, że temat jest wyczerpany. Druga kobieta stoi w sklepie i przygląda mi się z czymś w rodzaju współczucia. Coś mnie w niej złości. Nie ma prawa tak się gapić, a tym

bardziej myśleć tego, co myśli. Biorę resztę i odwracam się tyłem do nich obu. Wychodząc, słyszę dzwonek nad drzwiami, ale czuję też ich wzrok na plecach i wiem, że ledwie drzwi się zatrzasną, one powrócą do przerwanej rozmowy. Będzie już całkiem inna i oczywiście poświęcona mojej osobie. Prawie na pewno stałam się kimś, o kim mieszkańcy Weston chętnie gadają.

Wracam na wzgórze przeświadczona, że wiem, co mam zrobić. Idę prosto do jego domku i głośno stukam. Otwiera mi trochę wymiętoszony Salomon i lustruje mnie spojrzeniem od stóp do głów. Przeciera oczy, mruga szybko, po czym wierzchem dłoni grzecznie tłumi kaszel. Bez wątpienia się dziwi, że stoję rano na jego progu, z paroma sprawunkami w ręce. Milczymy, wreszcie on się odzywa.

- Nie mieliśmy dziś jechać do miasta, prawda? Nie zapomniałem o tym? - Sprawia wrażenie zakłopotanego, więc parskam śmiechem na znak, że wszystko jest w porządku i niepotrzebnie się martwi.

- O niczym nie zapomniałeś. Przyszło mi tylko na myśl, że wpadnę zobaczyć, czy dobrze się czujesz.

Teraz wydaje się zaskoczony. Znów lustruje mnie wzrokiem, jakby próbował odgadnąć, co się we mnie zmieniło. Szuka potwierdzenia zmiany, lecz nic nie zobaczy. Przynajmniej tak sędzę.

- Cóż - mówi - wejdź do środka. - Odstępuje na bok.

- A może już znasz odpowiedź na swoje pytanie.

- Jakie pytanie? - Z kolei on mnie zaskoczył.

- Możesz je zadać, jak wejdiesz.

Mijam Salomona, który zamyka za mną drzwi. Wewnątrz jest znacznie ciemniej, niż się spodziewałam, ale po zapaleniu światła czuję się swobodniejsza.

- Proszę, odłóż zakupy i pozwól, że zdejmę ci płaszcz. Kawy? Czy może herbaty?

- Co będzie szybciej.  
- Proszę, siadaj. - Wskazuje salonik. - Ja się pośpieszę.  
- Znika w kuchni, zostawiając mnie samą. W pokoju nie ma dużo mebli ani domowych wygod. Właściwie jest pustawy, największe wrażenie robi jednak zupełny brak rodzinnych fotografii, choć, rzecz dziwna, stoi tu oprawione zdjęcie Anglika w średnim wieku. Na próżno szukam czegoś, co wskazywałoby, kim jest ten mężczyzna. Salomon woła z kuchni:

- Pijesz kawę z cukrem?  
- Poproszę o dwie kostki. - Urywam. - Wiem, że to zły nawyk. - Salomon nie odpowiada, co budzi moje zaniepokojenie. Oczywiście ma rację. Chcę go o coś zapytać. Czy zdaje sobie sprawę, że on też jest kimś, o kim mieszkańcy Weston chętnie gadają? Czy się tym przejmuje? Kiedy podnoszę wzrok, wchodzi z dwiema filiżankami kawy, które stawia na małym stoliku.

- Słodzenie to nie grzech. Tylko sobie możesz dogadzać, prawda?

- No, tak - przyznaję. - Chyba tak.

- Ciasteczka? - Najwyraźniej pamięta wczorajszą wizytę.

- Nie, dzięki. Tylko kawa. Ale i tak dziękuję.

Teraz siada, bierze swoją kawę i głośno pociąga łyk. Potem ją odstawia i zwraca się w moją stronę.

- Może ludzie mówili ci o mnie? - pyta.

- Nie, nie mówili, ale ja i tak nie zwracam uwagi na ich gadanie.

Uśmiecha się, potem wybucha głośnym śmiechem. Wstaje, trzema czy czterema krokami podchodzi do wysokiej komody, wyciąga szufladę, a z niej plik listów. Po zamknięciu szuflady kładzie listy na stoliku do kawy.

- Co to? - pytam.

- Listy. Może od tych samych ludzi, którzy mówią.



- Co masz na myśli? - Odstawiam filiżankę. - Nie rozumiem.

- Niektórzy lubią do mnie pisać. - Salomon się śmieje. Znowu bierze do rąk filiżankę, więc idę za jego przykładem.

- O czym do ciebie piszą?

Odczuwam zakłopotanie, jakbym to ja w pewnym sensie ponosiła odpowiedzialność za tych ludzi, kimkolwiek są. Salomon widzi, że znalazłam się w niezręcznej sytuacji, więc znowu wstaje.

- Doleję sobie kawy. A tobie? - Kręcę głową. Salomon wskazuje na stosik listów. - Oto Anglia. Gdzie ja przyjechałem? Możesz mi powiedzieć?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Podoba ci się tutaj? - pyta z nagłą żarliwością w głosie. Patrzę na niego, ale nic nie rozumiem. Czuję się tak, jakby mnie o coś obwiniał.

- Naprawdę nie znam innych krajów. To znaczy, stąd pochodzę i nie mam żadnego porównania. Tylko z Francją. Byłam tam na jednodniowej wycieczce. To ci się musi wydawać dość żałosne, prawda?

Kręci głową.

- Nie, ale ja pytam, co sądzisz o tym kraju.

- Stąd pochodzę.

Znowu pokazuje plik listów.

- Więc może nie powinnaś ich czytać. - Znika w kuchni, skąd dolatuje brzęk naczyń i głośny szum wody, nalewanej do czajnika. Sądząc po odgłosach, Salomon jest zły, ja natomiast nie wiem, co robić, więc po prostu wpatruję się w listy.

Po dłuższej chwili odgłosy milkną, Salomon wychodzi z kuchni i siada naprzeciwko mnie. Wydaje się spokojniejszy, patrzy łagodniejszym wzrokiem, lecz zauważam, że lekko trzęsą mu się ręce. Ostrożnie podnosi do ust filiżankę, następnie zaś odstawia ją na spodek. Kiedy prowadzi, mocno

trzyma kierownicę. Jest opanowany i czuję się z nim bezpieczna, tu w domu jednak wydaje się dziwnie bezbronny. Spogląda na listy, więc czuję się w obowiązku coś powiedzieć.

- Chcesz, żebym ci je przeczytał, co?

Teraz się śmieje, ale nic nie mówi. Rozumiem, że jest urażony, toteż zanim postanawiam wyjść, przez moment go obserwuję. Wstaję i on też się podnosi. Choć oboje czujemy się niezręcznie, sądzę, że to nie popsuje naszych wzajemnych stosunków. Salomon sięga po jedną kopertę.

- Jak otwierasz listy? - Nie podaje mi jej, po prostu trzyma ją dwoma palcami. Patrzę na niego niepewna, co powinnam odpowiedzieć.

- No cóż, po prostu rozrywam kopertę.

- Ach. - Teraz się uśmiecha. - Po prostu rozrywasz kopertę. Zazwyczaj ja też tak robię, ale w tym wypadku zdecydowałem się postąpić inaczej.

Nie wiem, do czego zmierza, wciąż jednak słucham.

- Z jakiegoś powodu zabrałem się do tego nożem. Decyzja była słuszna, bo ktoś pozaszywał żyłki w kartkę papieru i starannie ją złożył, żebym, biorąc tak zwany list, porznął sobie palce. To niezbyt miłe z jego strony.

Z uśmiechem rzuca kopertę na stosik. - Listy miłosne - mówi ze śmiechem. - Od ludzi, którzy mnie tu nie chcą. - Znowu się śmieje. - Zaczynam brać to do siebie.

Siadam z powrotem i wpatruję w kupkę listów. Salomon też siada i pyta, czy napiłabym się jeszcze kawy. Spoglądam na niego i potakująco kiwam głową.

- Można? - Znika z moją filiżanką w kuchni.

- Nie jestem naiwna - mówię do siebie szeptem. Nie jestem naiwna. Spierałam się o to w przeszłości. Najpierw z mamą i tatą, którzy nie lubili kolorowych. Tata twierdził, że stanowią wyzwanie dla naszej angielskiej tożsamości.

Walijczyków uważał za sentymentalnych głupców, Szkotów za beznadziejne sknery i ponuraków, którzy powinni siedzieć po swojej stronie muru Hadriana, Irlandczyków za popędliwych katolickich pijaczków. Dla niego angielskość była ważniejsza od brytyjskości, angielskość zaś wykluczała kolorowych. Nie chciał mnie słuchać, podobnie jak nauczyciele w szkole, też nienawidzący kolorowych. Przy ludziach opowiadali, jak trudno dostosowują się do naszego systemu szkolnego, ale na osobności zawsze nazywali ich „bezczelnymi małymi czarnuchami”. Znam te poglądy, nie jestem naiwna, skąd jednak ta nienawiść do Salomona, który z nikim nie rozmawia? Który myje swój samochód. Który nie zrobił nic złego. Co te osoby spodziewają się osiągnąć? Kim właściwie są? Czy to ci sami ludzie, którzy piszą do gazet listy ze skargami, że nowe monety są za duże, a budek telefonicznych nie maluje się już na czerwono? Czy ich znam? Czy jeżdżę z nimi autobusem? Podnoszę oczy. Salomon wrócił z kuchni i obserwuje mnie, wpatrzoną w stosik listów.

- Przepraszam - mówię, kiedy stawia przede mną kawę i zajmuje miejsce naprzeciwko.

- Za co przepraszasz? - pyta. - Nie rozumiem. Ty nie napisałaś żadnego z tych listów, prawda? - Błyska zębami w uśmiechu. Nie wiem, czy wypada się śmiać, czy też mój śmiech zostanie zinterpretowany jako wyraz lekceważenia. Salomon wybawia mnie z kłopotliwej sytuacji. - Nic się nie martw - mówi. - Wiem, że nie napisałaś żadnego z tych listów. Ja tylko żartuję.

- Ale mnie jest przykro i wstyd.

- No, mnie też jest wstyd.

- Ale czego ty masz się wstydzić? Nie powinieneś wstydzić się niczego.

- A to czemu? Czasami wstydzę się zachowania innych ludzi. - Milknie. - I ja nie jestem bez winy. Bo któż z nas nie zawinił?

Patrzę, jak je ciasteczko. Podnosi oczy i napotyka mój wzrok.

- Proszę cię - mówi - nie przepraszaj za tych ludzi. Większość z nich podpisuje się swoim nazwiskiem. Chcą, żebym wiedział, kim są.

- Ale czego żądają?

- Żebym się stąd wyniósł.

- Dlaczego?

Salomon odchyła się do tyłu. Wygląda na zdenerwowanego, lecz za niepewnością kryje się uraza.

- Nie wiem. Po prostu chcę, żebym się wyniósł. I tyle.

- Ale dokąd? Nie rozumiem.

- Dokądkolwiek. - Salomon wydaje się zmęczony, choć jest wczesny ranek. Ma postawę człowieka, który poniósł klęskę. - Po prostu, żebym się stąd wyniósł, i tyle. - Milknie i powoli kręci głową.

Wieczorem postanawiam drugi raz pójść do pubu. Gospodarz jest przyjacielski. Zapamiętał mnie, nie pamięta natomiast, co piję, więc pyta, na co miałabym ochotę.

Proszę o małego guinnessa, choć nigdy nie mam pewności, czy powinnam pić w trakcie badań doktora Williamsa. Kiedy gospodarz zaczyna nalewać piwo, obiecuję sobie, że ograniczę się do jednej szklanki.

- Nie widzimy was tu często.

Nie wiem, czy mnie krytykuje, czy jest zadowolony z tej sytuacji.

- Mnóstwo ludzi pracuje do późna. Niektórzy chyba na dwóch posadach.

- Tak. - Plastikowym nożem obcina pianę. - Wyobrażam sobie, że muszą zarobić trochę kasy, żeby pospłacać te szalone

kredyty. - Śmiechem daje do zrozumienia, że ma poczucie humoru. A ja uśmiechem daję do zrozumienia, że nie czuję się urażona.

Wręczam mu odliczone pieniądze i siadam w kącie, bo chcę patrzeć na kanał. W ogrodzie i przy drewnianych piknikowych stołach młodzi chuligani piją piwo, miłośnicie wpatrzeni w skupisko swoich motorowerów, jakby się bali, że ludzie mogą nie wiedzieć, do kogo one należą. W pubie oprócz właściciela i mnie tylko niemłody mężczyzna siedzi nad dużym piwem w przeciwległym kącie. Kiedy siadałam, w milczeniu skłonił głowę na znak, że mnie zauważył, a ja odpowiedziałam mu lekkim skinieniem. Już wtedy było jednak jasne, że nasze kontakty do tego się ograniczą.

Patrzę przez okno na ciemne liście starego dębu. Przez gałęzie prześwituje powiększone słońce, wreszcie chylące się ku zachodowi. Nie zastanawiałam się nad tym, co może świadczyć o braku spostrzegawczości, ale Salomon jest jedynym kolorowym we wsi. W mieście widuje się mnóstwo ciemnych twarzy, tu natomiast jest tylko on. I może doskwiera mu samotność. Może powinnam go zaprosić do pubu? Łatwo byłoby powiedzieć: „Wybierzmy się gdzieś wieczorem. Może na spacer wzdłuż kanału, a później do pubu na drinka. Miałbyś ochotę, Salomonie?”. Nie podjęłam jednak próby. Nawet dziś wieczorem, wychodząc z domu, mogłam wstąpić do niego i zapytać, czy chciałby pójść ze mną na drinka, lecz tego nie zrobiłam. Właściciel myje szklanki za ladą. Mam w torebce numer Salomona, zapisany na świstku papieru. Mogłabym skorzystać z publicznego telefonu, jeśli tu jest, zadzwonić do Salomona i poprosić, żeby przyszedł i dotrzymał mi towarzystwa, wyglądałoby to jednak na propozycję zrobioną po namyśle i mogłoby go urazić. Choć nie chcę, żeby Salomon stał się moim życiowym problemem, dzisiaj na to wygląda, co jest mi nie na rękę. Podnoszę piwo

do ust i pociągam łyk. Postanawiam pić wolno, dopóki słońce nie zniknie za kanałem, a później, kiedy na niebie zostanie jeszcze trochę światła, wrócić do Stoneleigh. Zanim dotrę na szczyt wzniesienia, zapadnie zmrok, więc powinnam dojść do domu niezauważona.

Czekam na przystanku autobusowym i niepokoję się, że pomyliłam godzinę. Po długiej bezsennej nocy podjęłam z rana decyzję i właśnie tak zrobię. Ale stoję tu sama. Po drugiej stronie głównej drogi czekają mieszkańcy wsi, którzy jadą do miasta. Rozmawiają ze sobą od niechcienia, jakby podejmowali wątki po paru minutach przerwy. Stoję z walizką u boku i udaję się w niewłaściwym kierunku. Czuję się jak uciekinierka. W rzeczywistości unikam chwilowo mężczyzny, którego prawie nie znam. Wyjeżdżam z domu na parę dni. Na jeden dzień? Nie wiem. Ale jestem sama na przystanku, czekam na autobus i nie potrafię powiedzieć, czy dobrze robię. Macha mi dziewczyna. To Carla, siedzi w białej furgonetce, zaparkowanej przed sklepem z gazetami. Chłopak w skórzanej kurtce, po wojskowemu ostrzyżony na jeża, wychodzi ze sklepu i siada za kierownicą. Carla odwraca się w jego stronę. Mówią coś do siebie, potem bezwłosy chłopak wychyla się zza Carli, patrzy na mnie i uruchamia silnik. Odjeżdżają w stronę miasta, Carla macha mi na pożegnanie. Niewątpliwie chłopakowi gdzieś poniżej pasa już jak pstrąg wyskakuje żądza, lecz kim jestem, żeby ostrzegać Carlę przed mężczyznami? Może to sprawa wyobraźni, ale myślę, że Carla mi współczuje. Choć nie powinna, bo jestem dość odporna. Ludzie, zwłaszcza młodzi, zawsze coś biorą i znów odrzucają. W szczególności uczucia. Uważam jednak, że Carla w swoim czasie sama do tego dojdzie.

Idąc wzdłuż kanału, rozglądam się dookoła i zastanawiam, gdzie go właściwie znaleźli. Wiem, że za pubem, w stronę śluzy. To głupota tak się tym przejmować, ale się przejmuję.

W którym dokładnie miejscu? O ile wiem, nie spacerował nad kanałem. Przecież prawie nigdy nie wychodził z domu, jeśli nie zabierał mnie do szpitala albo nie robił obchodu Stoneleigh z latarką. Po obfitych opadach ścieżka holownicza rozmokła, tu i ówdzie utworzyły się na niej kałuże. Gdzieś za żywopłotem szumi strumień, wezbrany po niedawnym deszczu, a nad kanałem zwisa cienkie pasmo mgły, co wygląda tak, jakby pociła się woda. W najlepszych okresach przełazy stanowią przeszkodę, lecz dzisiaj pokonywanie ich przypomina wspinaczkę na Ben Nevis. Nie lubię się włóczyć w takich warunkach. Tyle samo czasu poświęca się na patrzenie pod nogi, ile na kontemplowanie widoków. Wędrówka wzdłuż kanału ma i tę złą stronę, że nie stoją nad nim ławki, więc nie można nigdzie przysiąść. A ścieżki holownicze zawsze przypominają o pracy. Napięte liny, żadnego objawiania się, iść dalej. W przeciwieństwie do rzek kanały są bardzo konkretne, co nie pozwala mi się odprężyć. Jest późny ranek i zapewne dlatego nikt się tu nie kręci. Wczesnym rankiem lub późnym popołudniem, przed pracą albo po niej ludzie wyprowadzają psy bądź spacerują dla zaostrenia apetytu; to jest pora kanału. Choć nawet wtedy prawie nikt nie przechadza się nad kanałem i nie wiadomo, dlaczego Salomon miałby tu przebywać.

Policjanci nie wpadli na żaden trop. Powiedzieli mi, że niekoniecznie musiało się stać coś podejrzanego, choć odkryli sińce na jego głowie. Prawdę mówiąc, wątpię, czy bardzo się starali. Mam na myśli brak żółtej policyjnej taśmy i to, że nie szukali świadków. Przed dwoma zaledwie dniami we wsi utonął człowiek, a wszystko jest tak jak zawsze. Przystaję i ponad żywopłotem patrzę na konia o białych pęcinach, który odwzajemnia spojrzenie, z tym bezmyślnym, lekko zdziwionym wyrazem oczu, jaki miewają konie. O co ci chodzi? Chodzi mi o to, że mojego przyjaciela znaleziono w

kanale, twarzą do dna, czym chyba nikt się nie przejmuje. Odwróciwszy się od żywopłotu i ciekawskiego użytkownika łąki, ruszam w stronę wsi. Twarzą do dna kanału, bo coś komuś powiedział? Po prostu nie wiem. Pod Przewoźnikiem skręcam ze ścieżki holowniczej, przecinam ogród, przesiąknięty wilgocią, i omijając porzucone zabawki, docieram do sześciu kamiennych stopni, po których wchodzę do środka.

W pubie panuje spokój. Parę osób już siedzi przy południowym piwie i ledwie podnosi na mnie wzrok. Kieruję się do baru, a stojący za nim właściciel ku memu zaskoczeniu sięga po szklankę.

- Małe piwo, prawda?

Z uśmiechem sadowię się na stołku. Gospodarz nalewa guinnessa w skupieniu, bo zwykle tak się to robi, po czym spogląda na mnie.

- Był pani przyjacielem, prawda? - Podaje mi piwo, ja zaś nie zapominam odpowiedzieć na pytanie.

- Tak - mówię. - Był moim przyjacielem.

- Smutna sprawa, prawda? Żal mi go i żałuję, że tak się to odbija na naszej wsi.

Biorąc piwo, zastanawiam się, czy nie zwolnić stołka i nie przejść na drugą stronę pubu, ale jest już za późno. Wyglądałoby to na ucieczkę i rzeczywiście by nią było.

- Jak się odbija na naszej wsi?

- No, psuje jej opinię, prawda?

- Nadal nie rozumiem. - Tym razem pociągam łyk piwa i patrzę właścicielowi prosto w oczy.

- Cóż, musiał to być wypadek, bo żaden z mieszkańców Weston czegoś takiego by nie zrobił.

- Ach, tak.

Nad moim ramieniem spogląda na innych mężczyzn w pubie. Teraz rozumiem. To nie jest prywatna rozmowa.



- Gdybyś, kochana, mieszkała tu równie długo jak ja i dorastała z podobnymi ludźmi, wiedziałabyś, że żaden z nich nie byłby zdolny wyrządzić drugiemu krzywdy. Tacy już są. Przyzwoici, oddani swoim rodzinom i swojej wspólnotce. Nie mamy tu morderców. Paru łajdaków, paru z lepkimi rękami, paru skorych do bójki, ale to wszystko. Nic więcej.

Potakuję, bo nie chcę zachwiać jego poczucia przynależności. Nie jestem pewna, czy chcę dopić piwo, lecz wychodząc w tej chwili, przyznałabym się do porażki, tego zaś nie zrobię z szacunku dla mojego przyjaciela. Nie zrobię w obecności tych ludzi. Raptem gospodarz sięga pod ladę, jakby coś sobie przypomniał. Rozdziera i podsuwa mi torebkę chrupek, ale kręcę głową.

- Nie, dzięki.

Zabiera torebkę, wsadza do niej rękę i wyciąga z sześć chrupek naraz.

- Nic nie mogę poradzić - mówi. - Jestem od tego świństwa uzależniony, ale tylko od bovril i może krewetkowych. Inne mogę sobie darować, za to nałogowo zjadam bovril.

Patrzę na jedzącego bez skrępowania mężczyznę i rozumiem, że dopóki nie opróżni torebki, nie podejmie rozmowy, co mi ze wszech miar odpowiada.

Drzwi za sobą zamykam na klucz, potem na zasuwę. Zegar mi przypomina, że jest dopiero pierwsza po południu, więc się rozglądam i uświadamiam sobie, że po prostu półmrok pubu zastąpiłam półmrokiem własnego domu. Mimo że to wczesna jesień, sprawia wrażenie zimy. Guinness poszedł mi chyba do głowy i nie otrzeźwił mnie nawet spacer pod górkę na świeżym powietrzu. Padam na fotel, stojący najbliżej kominka, i zamykam oczy. Za ledwie wczoraj po południu, po powrocie znad morza, pojechałam prosto do szpitala. Kiedy autobus przejeżdżał przez wieś, siedziałam

nieruchomo. Lekarz już wcześniej polecił mi niezwłocznie się zgłosić, jak tylko źle się poczuję, więc to zrobiłam. Choć spędziłam poza domem jedną noc, odczuwałam lekkie skrępowanie i z trudem potrafiłam zebrać myśli. W szpitalu doktor Williams obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem, po czym skierował wzrok na moją walizkę. Wskazał mi krzesło i zaczął wypytywać, gdzie byłam, a ja odparłam, że z wizytą u siostry. Zmartwił się, zgodnie z moimi przewidywaniami.

- Dorothy - powiedział. - Twoja siostra nie żyje. Umarła na początku tego roku w Londynie. Wiesz, że nie byłaś z wizytą u niej, więc w takim razie gdzie? - Milczałam, bo przerabialiśmy to już wielokrotnie. Zrobił tę swoją zatroskaną minę. - Dorothy, będziesz musiała nauczyć się żyć bez Sheili. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale jeśli nie potrafisz zapomnieć, nie będziemy mieli wyboru, jak tylko zapewnić ci pomoc. - Wciąż w milczeniu czekałam, aż zabraknie mu słów. W końcu miał mnie dość i pognałam na przystanek, ponieważ zanosilo się na deszcz. W drodze powrotnej do domu, stojąc w autobusie, poczułam, że coś jest nie tak. Przeszkadzał mi nie tylko widok krzepkich bezrobotnych na miejscach dla osób niepełnosprawnych i starszych, lecz także coś innego. Patrzyłam przez okno na szeregowie domy, ciągnące się długimi pasmami wzdłuż wąskich, prostych jak strzała ulic, dopóki nie wyjechaliśmy z miasta i nie znaleźliśmy się na pustkowiu, wśród ogołoconych pól, nad którymi słońce stało teraz niebezpiecznie nisko.

Ledwie dotarłam do domu i postawiłam walizkę, usłyszałam pukanie do drzwi. W ciemnościach stali na progu policjant i policjantka, oboje w mundurach, więc nie musieli się przedstawiać. Poczulałam skurcz żołądka. Spytałi, czy jestem panną Dorothy Jones, a kiedy odpowiedziałam twierdząco, spytałi, czy mogą na chwilę wejść do środka. Odstąpiłam na bok, próbując się domyślić, co tutaj robią. Bo

niby dlaczego policja miałyby się dobijać do moich drzwi? Wytarli nogi na słomiance, zdjęli czapki, po czym wprowadziłam ich do saloniku. Jeszcze zanim się odezwali, nagle zaświtało mi w głowie, o kim przyszli porozmawiać. Głos zabrała kobieta.

- Chodzi o Salomona Bartholomew.

- Tak - odparłam. - Proszę, niech państwo siadają.

Rozejrzeli się i delikatnie zasiedli na kanapie, trzymając czapki w dłoniach. Zamierzałam im zaproponować filiżankę herbaty, jednak wydało mi się to śmieszne. Chciałam usłyszeć, co mają do powiedzenia. Mężczyzna zapytał:

- Więc zna pani Salomona Bartholomew?

- Tak, wozi mnie do szpitala. To bardzo miły facet, mieszka o tam. - Wskazałam gdzie. - Zielony samochód należy do niego.

Teraz wtrąciła się policjantka.

- Kiedy po raz ostatni widziała pani pana Bartholomew?

- Przed samym wyjazdem. Ostatni dzień spędziłam na wybrzeżu. No, jedną noc i dwa dni. Właściwie wróciłam przed chwilą. Czy coś się stało?

Znów odezwała się kobieta.

- I wraca pani prosto stamtąd, prawda?

- No, nie. Zatrzymałam się w mieście, w szpitalu.

- Ale chodzi o to, że nie było pani przez ostatnie dwa dni tutaj, na wsi.

- Przecież powiedziałam, że wróciłam przed chwilą.

Policjantka spojrzała na mężczyznę, jakby oddając mu głos.

- Z przykrością muszę panią poinformować, że pana Bartholomew znaleziono martwego. Utopionego, leżącego twarzą w dół w kanale.

Nie wiem, co się odmalowało na mojej twarzy, ale najwyraźniej o czymś świadczyło, skoro policjant poczuł się zmuszony mówić dalej.

- Wie pani, o którym kanale mówimy?

- Co się stało? - Wiedziałam, że szepczę, lecz nie mogłam złapać tchu.

- Cóż, miał sińce na głowie, więc nie możemy wykluczyć przestępstwa. Niewątpliwie jednak docenia pani fakt, że nie chcemy pochopnie wyciągać wniosków, kiedy nie ma w tym właściwie nic podejrzanego.

Kobieta pochyliła się do przodu i ściszyła głos.

- Przykro mi. Uznaliśmy, że najlepiej będzie, jak sami przyjdziemy pani powiedzieć, bo ludzie mówili, że pani go znała.

Po wyjściu policji odwiedziła mnie Carla. Prawie nikt nie puka do moich drzwi, więc zaniepokoiły mnie dwie wizyty w tak krótkim odstępie czasu. Wstałam z fotela, wyobrażając sobie, że to ktoś inny chce mi zakomunikować o Salomonie. Dziewczyna wpatrzyła się we mnie smutnymi oczami, więc zaprosiłam ją do środka. Wytarła nogi, po czym dość ciężko klapnęła na fotel, na którym siedziałam przed chwilą. Ani na moment nie spuszczała ze mnie wzroku, toteż zaczęłam się denerwować. Spytałam, czy napije się herbaty albo kawy, ona jednak pokręciła głową i dopiero wtedy przemówiła.

- Chodzi o pani przyjaciela. Tego czarnego.

- Salomona.

- Taak, o niego.

Obserwowałam ją, czekając na dalszy ciąg, lecz milczała. Spuściła oczy i wbiła je w miejsce między własnymi sportowymi butami.

- Co się stało, Carlo?

- Naprawdę nie powinnam tu być. Paul mnie zabije, jak się dowie, że przyszłam.

Teraz usiadłam i ja z kolei bacznie się jej przyjrzałam.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Carla zrobiła obrót, sięgnęła do tylnej kieszeni dżinsów i wyciągnęła list. Podniosła oczy, kiedy mi go wręczała.

- Znalazłam go i jest zaadresowany do tego czarnego. Oni są niemożliwi, proszę pani. Nie jestem głupia. Wiem, jacy są.  
- Urwała. - Przepraszam panią.

- Za co przepraszasz?

Uważnie wpatrzyłam się w Carlę, teraz wychyloną do przodu tak, że siedziała na brzeżku fotela.

- Oni mnie zabijają, proszę pani, jak się dowiedzą, że tu jestem.

- Jacy „oni”, Carlo?

- Paul i jego kumple. Paul to mój chłopak. Są po prostu głupimi opryszkami.

- Czy ktoś wie, że tu jesteś?

- Nie. Skądże znowu.

- Naraziłaś się na niebezpieczeństwo?

- Chyba nie. - Carla ze skonsternowaną miną odchyliła się na oparcie fotela. - Co pani ma na myśli?

- Skąd wzięłaś ten list, Carlo?

- Wyciągnęłam go z kieszeni Paula. Mówiłam pani, że to opryszki. Wypisują takie rzeczy już od dłuższego czasu. Uważają to za śmieszne, ale im powiedziałam, że jest całkiem nie w porządku.

Popatrzyłam na wzburzoną Carlę, najwyraźniej gotową odejść.

- Czy oni zrobili krzywdę Salomonowi, Carlo?

- Moim zdaniem chcieli go tylko nastraszyć. Ale ja nie miałam ochoty brać w tym udziału, proszę pani. Co to, to nie.

- W czym?

Carla wstała. Zaczęła się bawić zamkiem błyskawicznym kurtki.

- Proszę pani, może pani powinna pójść na policję, ale nie mówić o mnie ani słowa.

- Może ty powinnaś pójść na policję, Carlo. Oczywiście, jeśli wszystkiego po prostu nie zmyśliłaś. - Carla popatrzyła na mnie, początkowo z błyskiem niedowierzania w oczach. Potem zobaczyłam, jak jej twarz zmienia się pod wpływem złości. - Słuchaj, Carlo, jeśli masz coś do powiedzenia, proszę cię, powiedz. Nie powinniśmy się kłócić. Nie o coś aż tak poważnego.

- Nie pokłóciłyśmy się, proszę pani.

Patrzyłam na nią, kiedy kończyła zasuwać zamek kurtki.

- Przyniosłam pani list. Czego jeszcze pani ode mnie chce?

- Chcę, żebyś powiedziała mi prawdę, Carlo. - Przez moment Carla patrzyła na mnie, jakby zamierzała wypaść za drzwi, po czym z westchnieniem pokręciła głową.

- Żałuję, proszę pani, ale kazali mi go sprowadzić, więc to zrobiłam.

- Kto ci kazał?

- Paul i jego kumple, Dale i Gordon. Zastukałam do drzwi tego czarnego i poprosiłam, żeby nam pomógł popchnąć furgonetkę Paula, bo nie chce zapalić. Zgodził się, a kiedy wyszedł, rzucili się na niego i go związali. Od tamtej chwili nie chciałam już mieć z tym nic wspólnego.

- Ale pomogłaś Salomonowi? Carla spuszcza wzrok.

- Nie, proszę pani. - Milknie. - Zawieźli go nad kanał, potem w stronę kamieniołomu. Chcieli się tylko trochę zabawić, ale kiedy otworzyli tylne drzwi furgonetki, żeby go wypuścić, oszalał, proszę pani. Rozwiązał linki i zaczął ich atakować jak wariat. To było straszne. Krzyczał i rzucał się, potem dopadł Paula. Tamci go złapali i wtedy Paul rąbnął go kamieniem.

- Co zrobił, Carlo?

- Byli przy kamieniołomie, proszę pani. Paul podniósł kamień, walnął go w głowę, a on upadł. Wtedy wszyscy zaczęli rzucać kamieniami i po chwili przestał się ruszać. Bałam się, proszę pani. Nie wiedziałam, co robić, ale Paul powiedział, że to była obrona konieczna, więc nic im nie zrobią. Tamci jednak nie chcieli słuchać i postanowili go wrzucić do wody, żeby to wyglądało na wypadek. - Carla popatrzyła na mnie. - To było przerażające, proszę pani. Myślałam, że ich pozabija, słowo daję. Nigdy nic nie powiedzą, ale widziałam, że są zestrachani. On jakby oszalał, proszę pani, mówił, że jest ptakiem i potrafi latać, i wciąż wspominał panią.

- Ależ, Carlo, oni go zamordowali, a ty im pomogłaś.

- Wiem, proszę pani. - Głos jej się załamał i łzy potoczyły się po policzkach. - Lepiej już pójdę.

- Co zrobisz, Carlo?

- Nie mam teraz dużego wyboru, prawda, proszę pani? - Urwała. - Paul i jego kumple wyjeżdżają na urlop w poniedziałek, więc będę musiała wcześniej powiedzieć policji.

- I powiesz? Wszystko to co mnie?

- Powiem, proszę pani. Mówiłam już, obiecuję.

Zdecydowana zostawić ją w spokoju, patrzyłam, jak Carla wychodzi. Nie potrzebowałam jej odprowadzać. Zaczekałam, aż drzwi się zatrzasną, po czym spojrzałam na brudną kopertę ze starannie wypisanym dużymi literami nazwiskiem i adresem Salomona.

Budzę się o zmroku. Zasnęłam w fotelu przed kominkiem i przespałam całe popołudnie. Widocznie małe piwo poszło mi do głowy. Wyglądam przez okno i widzę stojący samotnie zielony samochód. Bez Salomona. Weston nagle sprawia wrażenie obcej, pustej wsi i wydaje się, że całe wieki upłynęły od dnia, kiedy odwiedził mnie Salomon. Mam dzwonek, więc stukanie do drzwi było czymś niezwykłym. Właściwie

zabrzmiało dość niegrzecznie, toteż otworzyłam drzwi lekko naburmuszona. Stał w nich Salomon, odświętnie ubrany, z rękami złożonymi jak do modlitwy. Oczywiście widywałam go, myjącego samochód, i zauważyłam, że się przechadza, zwłaszcza wieczorami, ale za żadne skarby nie mogłam się domyślić, co sobie wyobraża, kiedy puka do moich drzwi.

- Widziałem panią wczoraj na przystanku autobusowym. A przedtem na deszczu.

Obrzuciłam go spojrzeniem od stóp do głów i czekałam, co jeszcze powie. Zrozumiałam jednak, że nie powie nic więcej, dopóki ja się do niego nie odezwę.

- Tak. Wybierałam się do miasta. Jeżdżę tam raz albo dwa razy na tydzień.

- Tak, wiem. Widziałem panią, przejeżdżając. Ale nie jestem właściwie pewny, czy miałem się zatrzymać.

- Zatrzymać gdzie? - Zmarszczyłam brwi.

- Zatrzymać się i spytać, czy nie chciałaby pani, żebym panią podwiózł. Jesteśmy przecież sąsiadami. Pracuję jako nocny stróż osiedla Stoneleigh. - Ręką zatoczył koło. - To moja praca.

Kiwnęłam głową. Wiedziałam, kim jest, ale zachowywał się dość dziwnie, więc uznałam, że lepiej nic więcej nie mówić. Właśnie się zastanawiałam, czy po prostu nie zamknąć drzwi, kiedy zadał pytanie:

- Proszę mi powiedzieć, którego dnia znów wybiera się pani do miasta?

Nagle go pożałowałam, bo okazał się nieszkodliwy. Najwyraźniej nie miał przyjaciół i głupio było trzymać go na progu jak świadka Jehowy czy kogoś takiego.

- Nie wejdzie pan?

Wpatrywał się we mnie bez słowa. Czy nie chciał wejść do środka? Zerknęłam nad jego ramieniem, ciekawa, czy nikt w zaułku nie patrzy, lecz nie dostrzegłam nikogo.



- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Jeśli musi pani rozważyć moją propozycję, ja to zrozumieć.

Bardzo wielkoduszny, pomyślałam, ale przynajmniej nie wygląda niebezpiecznie, tylko dziwnie.

- Wybieram się jutro. Muszę teraz regularnie chodzić do lekarza.

- Współczuję. Czy wszystko jest w porządku?

- No, niezupełnie. - Ledwie wymówiłam te słowa, zrobiło mi się strasznie. Wiedziałam, że nie trzeba mówić do niego w ten sposób. On tylko stara się pomóc, a prawdę rzekłszy, niczym nie zasłużył na taką odpowiedź. - Przepraszam. Ostatnio miałam chyba po prostu parę kiepskich dni.

- Cóż, stanie na przystanku autobusowym nie podnosi na duchu.

- Nie, ma pan rację. Bynajmniej. - Po chwili milczenia uprzytomniłam sobie, że po raz pierwszy od wielu tygodni prowadzę prawdziwą rozmowę.

- O której ma pani wizytę?

- W południe. To znaczy, muszę tam być w południe.

- W takim razie zabiorę panią punktualnie o jedenastej trzydzieści.

- O jedenastej trzydzieści - powtórzyłam. Skłonił się lekko, odwrócił i poszedł. Takie odejście wydało mi się dziwne, więc nie zamknęłam drzwi, tylko patrzyłam, jak krokiem dosłownie marszowym przemierza niewielką odległość, dzielącą go od domu. Nie odwrócił się, kiedy wkładał klucz do dziurki. Może czuł na sobie mój wzrok? Może już pograżył się we własnych myślach? Cokolwiek to było, wyczuwałam, że ten człowiek jest samotny i spragniony rozmowy.

Nazajutrz rano, zamiast przyjść i razem ze mną wrócić do samochodu, przejechał ten kawałek, nie wyłączył silnika, wysiadł i zapukał do drzwi. Zachciało mi się śmiać, nie

wiedziałam jednak, czy go nie obrażę. Milczał przez parę pierwszych minut, następnie zaczął mówić. Był ciekaw, czy to coś poważnego, z czym jadę do szpitala, ale nie odpowiedziałam.

- Nie chcę być wścibski. Po prostu pomyślałem, że przyjemnie będzie pani z kimś porozmawiać.

Za najbardziej niezwykłą część jego garderoby uznałam rękawiczki. Mimo upału nosił rękawiczki i koszulę z krawatem, lecz doceniłam odświętność tego stroju.

- Lekarz nazywa chorobę stresem, cokolwiek to znaczy. Bez słowa skinął głową, jakby dając do zrozumienia, że o tym słyszał.

- Widocznie trudno jest ustalić jego przyczynę. Nigdy nie wiadomo, co trzeba robić.

- To przykra wiadomość. - Spojrzał na mnie. - Ale dobrze pani wygląda. Bardzo dobrze.

- Dziękuję. - Urwałam. - Chyba jakoś sobie radzę.

- Ma pani kogoś do pomocy?

- Do pomocy? Nie jestem pewna, co pan ma na myśli. Popatrzyliśmy na siebie.

- Mam na myśli kogoś, z kim mogłaby pani porozmawiać. Kogoś, kto by panią wspierał w tej trudnej sytuacji.

- Czy wyglądam na osobę potrzebującą pomocy?

- Nie, nie o to mi chodzi.

Na pewno starał się mnie uspokoić. Choć to doceniałam, nie chciałam od niego nic poza tym, że mnie podwozi. Właściwie nie byłam pewna, czy chcę nawet tego.

- Przepraszam - powiedział skruszonym tonem, ze zboląłą miną. - Nie chciałem się wtrącać.

W drodze powrotnej znad morza myślałam w autobusie o biednym Salomonie, który sam siedzi w swoim domku, za jedyne towarzystwo ma wspomnienia i zastanawia się, dokąd pojechałam. Potrzebuje mnie. Sama podróż była nudna i

spokojna. Zajęłam miejsce z przodu, żeby nad ramieniem kierowcy spoglądać na drogę. Patrzyłam na wszystko z jego punktu widzenia, ponieważ jednak płaski, najeżony kępami orlic krajobraz po obu stronach szosy przedstawiał się nieciekawie, zamknęłam oczy. Kiedy je znów otworzyłam, niebo zaczęło ciemnieć, a mnie oślepiały światła, albo wyprzedzające nas czerwone, albo pędzące ku nam białe. Po przyjeździe do miasta wstałam z nadzieją, że doktor Williams może wciąż jeszcze przyjmuje pacjentów, bo głowa znów pękała mi z bólu tak jak poprzedniej nocy.

- Miłego wieczoru, kochana - rzekł kierowca, lecz nic nie odpowiedziałam. Jedną rękę zaciskałam na walizce, drugą trzymałam za uchwyt, starając się skupić i nie spaść ze stopni.

Małe piwo naprawdę mnie załatwiło. Nadal jestem zmęczona. Chociaż nic dziwnego, bo mało spałam w nocy. Wczorajszy dzień był naprawdę trudny. Po pierwsze, musiałam go spędzić samotnie na omiatanym przez wiatr deptaku. Potem znieść nudną jazdę autobusem i kolejne spotkanie z doktorem Williamsem, który chyba nie chciał potraktować mnie serio. Następnie policję. Później Carlę i głupi list. Po wyjściu Carli spałam najwyżej parę godzin, dopóki nie zbudziło mnie trzaśnięcie drzwiczkami samochodu. A dziś rano spacerowałam nad brzegiem kanału w posępnej jesiennej mgiełce i myślałam o moim przyjacielu, leżącym twarzą w dół w wodzie, jak martwa ryba. Niełatwo uwierzyć, że skończyły się wyprawy do jadłodajni Somalijskiej i Śródziemnomorskiej, rozmowy z nim u mnie w domu lub chwile spędzane w jego domu, kiedy to usiłowałam odgadnąć, kim właściwie jest obcy mężczyzna z fotografii na gzymsie kominka. Martwię się o to, kto będzie doglądał jego samochodu albo zawiadomi jego rodzinę. Nie wiem nawet, czy ma rodzinę. Biedak mógł równie dobrze zamieszkiwać ciemną stronę księżyca. Dopiero po wyprawie do pubu,

wypiciu małego piwa i powrocie na wzgórze wreszcie mnie olśniło. Opadłam na fotel świadoma, że w żaden sposób nie potrafię żyć wśród tych ludzi. Chyba nie troszczą się o nikogo, tylko o własne głupie ja, jeżeli zaś to prawda, ja również mogę zamieszkiwać ciemną stronę księżyca.

Poprzez wieczorny mrok za wiaduktem widzę, że noc zatrzymała się na horyzoncie. Jeszcze minuta, a wstanę z fotela i zaciągnę zasłony. Weston po prostu nie jest miejscem, gdzie spodziewałam się żyć na emeryturze. Przypuszczalnie stwierdziłam to wczoraj, kiedy policjant i policjantka przyszli powiedzieć mi o Salomonie, jakby pytali o niezapłacony na parkingu bilet. A potem biedna zmieszana Carla, najwyraźniej w strachu przed swoim chłopakiem, który Bóg wie co z nią wyprawiał przez parę ostatnich miesięcy. Słucham śpiewu ptaków, podczas gdy dzień wreszcie zaczyna przygasać za wiaduktem. Moje myśli krążą wokół Salomona. Może powinnam pójść do kamiennego kościółka i odmówić jakiś pacierz za swojego przyjaciela? Potem ostatni raz wybrać się do miasta, żeby położyć kwiaty na grobie rodziców? A potem co? Pojechać gdzieś w tropiki i powiedzieć rodzinie Salomona? A potem? Wrócić tutaj i zamieszkać z Sheilą nad morzem? Jeśli napomykam o niej doktorowi Williamsowi, tylko się irytuje, więc może lepiej nie mówić już nic na ten temat. Może razem z Sheilą mogłybyśmy się wybrać za granicę. Po raz pierwszy chcę wyjechać z Anglii. Zobaczyć Hiszpanię albo Włochy. Anglia się zmieniła.

Postanawiam zabrać list chłopaka Carli do pubu. Muszę coś zrobić, bo nie chcę drugą noc trzymać go w domu. Po śniadaniu wkładam żakiet, ale widzę, że jest jeszcze za wcześnie, więc w zapiętym żakiecie, z torbą na kolanach siedzę prawie do jedenastej. Następnie wstaję i wychodzę. Dzień zapowiada się ładnie. Zamykam za sobą drzwi na podwójny zamek. Naprawdę dziwne, gdyż miałam taki

zwyczaj, kiedy mieszkałam w mieście, i tylko wtedy, kiedy wyjeżdżałam na dłużej. Tu w Stoneleigh chyba nie jest to potrzebne. Nie wydaje się, żeby na terenie osiedla groziło włamanie. Zresztą mamy nocnego stróża, toteż nigdy nie przyszło mi do głowy zamykać drzwi w ten sposób. Może właśnie w tym rzecz. Nie mamy już nocnego stróża.

Schodząc na dół, widzę, jaka byłam głupia, bo zamiast przez trzy godziny siedzieć w domu i wpatrywać się przed siebie, mogłam pójść na spacer. To byłoby rozsądne. Zażyć trochę ruchu albo coś kupić, ale już zrobiłam z tego dnia zły użytek. W powietrzu wyczuwa się chłód wczesnej jesieni i wiem, że zima czeka za rogiem, gotowa do skoku. Niewiele będzie podobnych dni, więc jest coś grzesznego w marnowaniu lepszej części poranka. U stóp wzniesienia widzę paru mieszkańców wsi, lecz nie zwracam na nich uwagi. Zwłaszcza teraz, po tym, co zrobili. Zatrzymuję się przy głównej drodze i czekam na przerwę w ruchu pojazdów. Wygląda na to, że będę czekała w nieskończoność, ponieważ strumień samochodów i ciężarówek płynie w obu kierunkach. Czuję się nieswojo, stojąc tak bezradnie w miejscu, gdzie każdy może mnie zobaczyć. Myślę, czy nie rzucić się na szosę i nie zmusić kierowców do hamowania, wiem jednak, że to głupie. Muszę czekać jak wszyscy inni.

Pod Przewoźnika przychodzę pierwsza. Spodziewałam się tego, bo zaledwie przed paroma minutami minęła jedenasta. Zamykam za sobą drzwi, robię parę kroków w stronę baru. Właściciela ani śladu, lecz słyszę głosy. Ktoś się tu kręci. Przecież musiał poodstaniać okna i odryglować drzwi. Przypuszczalnie właściciel, nie spodziewając się gości o tak wczesnej porze, poszedł na zaplecze, żeby dokończyć jakąś robotę. W porządku, myślę, zaczekam. Wprawdzie jest dzwonek, nie chcę go jednak używać, gdyż wskazywałoby to na pośpiech czy irytację. Siadam na stołku i wyglądam przez

okno. Nie wiem, jak długo, chyba całe wieki, zanim rozlega się głos właściciela. Napędził mi strachu, ale kiedy się odwracam, stoi za barem uśmiechnięty. Zaskoczył mnie, ja jego też, bo dopiero zawiązuje krawat.

- Ciągnie wilka do lasu, co?

- Dzień dobry. - Mam nadzieję, że to będzie dla niego nauczka. Ostatecznie, jeśli zamierza nosić koszulę i krawat, może się wysilić i zachowywać tak, jakby wiedział, co przystoi człowiekowi przyzwoicie ubranemu. Choć sprawia wrażenie lekko zdziwionego moją reprimendą, stara się udawać, że jej nie dostał. Bez wątpienia tak mu wygodniej.

- W dodatku śliczny mamy ranek. Czego się pani napije? Tego co zawsze?

- Poproszę małego guinnessa.

Już nalewa piwo z beczki, lecz przerywa na moment, jakby zaskoczony. Potem znów robi swoje. Zresztą to jego wina, bo zanadto się spoufała. Powinien znać swoje miejsce. Podaje mi szklanę, a ja jemu banknot pięćofuntowy, po czym uśmiecham się słodko, kiedy wydaje resztę.

- Proszę, kochana.

Na pewno zakłada, że zostanę przy barze, ja jednak z pieniędzmi i piwem idę do stolika przy oknie, gdzie siadam zwrócona do właściciela bokiem, żeby, podnosząc głowę, nie napotkać przypadkiem jego wzroku. Słyszę, jak przez kilka minut sprząta bar, choć prawdę powiedziawszy, nie ma tam właściwie nic do zrobienia. Dopiero przed chwilą otworzył i wszystko jest na swoim miejscu. Swoim odejściem wprowadziłam go w zakłopotanie, lecz nie może się sprzeczać z panią w średnim wieku. Niech się trochę podenerwuje, myślę, po czym słyszę, jak mówi głosem nieco mniej stanowczym niż zwykle.

- Wyjdę na zaplecze coś dokończyć.

Odwracam się i patrzę na niego jak gdyby zaskoczona odkryciem, że jeszcze tu jest. Następnie uśmiecham się tak, jak mogłabym się uśmiechnąć, odprawiając ucznia.

Właściwie nie chcę piwa. Zaraz po zniknięciu właściciela odsuwam je od siebie. Pragnę zrobić to, co mam do zrobienia, i wyjść, zanim zjawi się ktoś inny. Wstaję i podchodzę do małej tablicy ogłoszeń. Nie ma na niej nic prócz kartki pocztówkowego formatu, ogłaszającej nabór ochotników do wiejskiej drużyny rugby. Wyjmuję z torby kopertę, a z niej obelżywy list, rozkładam go i pinezką, wyciągniętą z dolnego lewego rogu kartki, przypinam do tablicy. „Odesłałam” im ten list. Nie jest mi potrzebny w domu, bo nie tam jest jego miejsce. Mogą go wziąć z powrotem.

Po dotarciu na szczyt wzgórza mijam własny dom i kieruję się w stronę bungalowu Salomona. Robi się ciepło, więc zdejmuję żakiet. Przed bungalowem przystaję. Myślę o sekretach, na jakie mogłabym natrafić w środku, gdybym się zakradła i poszperała. Podczas jedynej wizyty u Salomona nie widziałam nic, co wskazywałoby na jego przeszłość albo mówiło o życiu obecnym. To znaczy nic poza fotografią Anglika na gzymsie nad kominkiem. Nie wiem nawet, co Salomon lubił. Oczywiście wyjąwszy jego ukochany samochód, który wciąż stoi na podjeździe. Kładę na ziemi torbę, żakiet zwijam w kłębek. Przynajmniej mogę dla niego wypolerować samochód. Pokrywa się kurzem, do czego Salomon nigdy by nie dopuścił. Zaczynam czyścić wóz, usiłując robić to tak jak on. Starannie, kolistymi ruchami, jakbym powoli mieszała zupę.

Chyba wtedy, kiedy ich zobaczyłam, jak stoją na ulicy, wpatrzeni we mnie, zaświtało mi, że coś jest nie w porządku. Muszę sobie zadać pytanie, czy aż tak ich fascynuje, że dbam o czystość samochodu Salomona? Czy oni nie myją własnych samochodów? Oczywiście, że tak, a ja nie przychodzę, nie

staję i nie patrzę na nich, więc nie rozumiem tego zbiorowego gapienia. Choć z domów wyszli nie wszyscy, ich liczba wystarcza, żebym poczuła się niezręcznie, więc przerywam pracę. Zresztą samochód lśni teraz prawie nieskazitelnym blaskiem, co wskazuje na to, że dobrze ją wykonałam. W dodatku nie chcę robić przedstawienia, które w swoim odczuciu robię. Nie chcę też dłużej zostawać z nimi w Stoneleigh. Postanawiam rozsądnie wykorzystać dzień, pojechać do miasta i porozmawiać z rodzicami. Rozwijam żakiet, składam i wpycham do torby. Jest tak brudny, że nie nadaje się do noszenia, mimo to nie zamierzam wracać do domu i czuć się tam uwięziona, więc go chowam przed ludzkim wzrokiem. Pozostaje mieć nadzieję, że pogoda się nie zmieni i nie zmarznę.

Na cmentarzu nie widać chłopca. Dziwi mnie to, ponieważ chyba zawsze tu jest, na pozór pełen niesłabnącego zapachu. Akurat dziś jednak nigdzie się nie kręci. Rozpościeram żakiet na trawie obok grobu mamy i taty, siadam i zaczynam z nimi rozmawiać. Opowiadam im o Salomonie wszystko, co mi przychodzi do głowy. Wiem, że tata ma swoje zdanie na temat kolorowych i nie do końca zrozumie, co mówię, ale nadal chcę się tym z nimi podzielić. Tata prawie się nie odzywa. Mama zaczyna po chwili płakać i pyta, co takiego miał w sobie Salomon, że chciałam, aby mnie z nim widywano. Po krótkim zastanowieniu odpowiadam, że choć nic szczególnego, był prawdziwym dżentelmenem. Właściwie jednym z pierwszych znanych mi dżentelmenów, w tych swoich eleganckich rękawiczkach samochodowych. Przy nim Brian prezentuje się niechlujnie, nie mam jednak okazji nic wyjaśnić, gdyż mama nie skończyła. Mówi dalej, taka zdenerwowana, że słowa z trudem przechodzą jej przez gardło. Czy nie rozumiem, co powiedzieliby ludzie, gdyby mnie zobaczyli z kolorowym, zwłaszcza tak ciemnym jak ten



Salomon? Nie wychowała mnie na tego rodzaju dziewczynę. Dlaczego. chce wiedzieć, dlaczego miałabym im obojgu zrobić coś podobnego? Od taty nie ma sensu oczekiwać pomocy, bo jej nie udzieli. Podejmuję kolejną próbę i mówię im, że Salomon odnosił się do mnie z szacunkiem, oni jednak nie chcą słuchać, bo już sobie wyrobili zdanie. W końcu milkną, więc zaczynam się usprawiedliwiać. Po prostu chciałam być szczęśliwa, mówię, a wiedziałam, że Salomon to mężczyzna, który mógł mi dać szczęście. Mama wciąż szłocha, natomiast tata wypowiada swoje jedno brzydkie słowo, co mogłam przewidzieć, zanim otworzył usta. Zdzira. Jest tak źle, że nawet nie chce na mnie spojrzeć. Kiedy się ściemnia, postanawiam zostawić ich w spokoju. To do niczego nie prowadzi, a mnie się robi zimno. Wstaję, wkładam brudny żakiet i po raz ostatni rozglądam się za chłopcem, lecz nigdzie go nie ma.

W drodze powrotnej na dworzec autobusowy widzę ich kilkoro. Wpatrują się we mnie, jakby coś ze mną było nie w porządku, staram się jednak nie zwracać na nich uwagi. Doprawdy powinni się wstydzić żebraniny, wyciągania rąk po pieniądze przyzwoitych ludzi, skoro nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pracowali i zarabiali na siebie. Jestem emerytką i nic dla nich nie mam. A nawet gdybym miała, czy musiałabym dawać? Powinni znaleźć pracę. Mówię to jednemu z nich, który tylko szczerzy żółte zęby w uśmiechu. Przyczajony w drzwiach jak zwierzę. Są obrzydliwi, doprowadzają do upadku siebie i kraj. Tuż za dworcem autobusowym podpalili beczkę po ropie i zebrali się dookoła. Tłoczą się nad sterczącymi z niej kawałkami drewna, energicznie zacierają ręce i przytupują. Złości mnie sam ich widok.

- Na co patrzysz? - pyta jedna z gromady. Jest kobietą, co jeszcze pogarsza sprawę. Wygląda i mówi jak Cyganka, ma

czarne włosy, czarne oczy i usmolone czarne ręce. Obie z Sheilą zawsze bałyśmy się Cyganek, a mama kazała nam uciekać, w razie gdyby któraś nas zaczepiła. Są wstrętne i, jak wiadomo, lubią zabierać ludziom dzieci. Więc nie odpowiadam, kiedy jednak pluje w moją stronę, krew mnie zalewa. To dziwne, bo nie jestem ubrana tak, jak chciałabym. Pomięty żakiet nie dodaje godności, lecz nie powstrzyma mnie od powiedzenia, co myślę. Nie wiem jednak, co powiedzieć.

Policjantka mówi, że znaleźli numer telefonu doktora Williamsa na skierowaniu w mojej torbie. Dzięki temu doktor Williams jest na komisariacie, siedzi po drugiej stronie stołu, wykonuje rękami nerwowe ruchy, jakby zagniatał ciasto na chleb. Wprawdzie wciąż nie wiem, co tutaj robię, lecz przypuszczalnie wydarzyło się coś złego, toteż czekam, aż odezwie się doktor Williams czy policjantka, bo wiem, że jedno z nich będzie musiało mi wyjaśnić, co zrobiła Cyganka. Jestem przecież posiniaczona i zakrwawiona.

- Dobrze się czujesz, Dorothy? - Doktor Williams patrzy na mnie wyraźnie zmartwiony. Odwzajemniam spojrzenie, ale co mam powiedzieć? Nie wiem, czy dobrze się czuję. Nie wiem nawet, co się stało.

- Która to godzina?

Lekarz spogląda na zegarek, po czym unosi brwi.

- Robi się późno. Prawie jedenasta.

- W nocy?

Doktor Williams potakuje, ja zaś wpatruję się w niego, potem w policjantkę i znowu w niego.

- Chyba nie jesteś zdrowa, Dorothy. Kłótnie i awantury z bezdomnymi, cóż, to nie w twoim stylu.

Teraz coś sobie przypominam. Ona splunęła, ja zrobiłam to samo, później zaczęły się krzyki, uderzyłam ją i przyjechał patrol. Może z tą policjantką, choć niezależnie od tego, jak długo się w nią wpatruję, nie mogę sobie przypomnieć, czy

tam była, czy nie. Ona spogląda na doktora Williamsa, jakby prosiła o pomoc, ale dlaczego? Nic złego nie robię, tylko na nią patrzę i usiłuję coś wykombinować, ale tak to ostatnio jest. Nie mogę zrobić nic dobrego, prawda? Zwracam się do doktora Williamsa:

- Nie chcę być na komisariacie.

Uśmiecha się do mnie, co mi nie wystarcza. Niestety, uśmiech to za mało.

- Nie chcę tu być! Słyszysz mnie pan? Nie chcę tu być!

- Myślę, Dorothy, że przydałoby się, gdybyś spędziła jakiś czas na rekonwalescencji w otoczeniu, w którym mogłabyś wydobrzeć, prawda?

- Nie rozumiem, co pan mówi.

Przyglądam mu się uważnie, lecz jego słowa nie mają sensu. Wiem, że jestem chora. Nadal mam kłopoty ze spaniem, jeśli jednak nie zaszła jakaś poważna zmiana, o której mi nie powiedział, powinnam wrócić do domu. Tam jest moje miejsce. Nie powinnam siedzieć na tym komisariacie, rozmawiać o rekonwalescencji. Może mam raka jak Sheila, lecz dawałam sobie z nim radę, prawda? Żakiet trochę się wymiał, to widzę. Właściwie jest brudny, lecz wystarczy go uprać i wszystko będzie w porządku, prawda? Będzie dobrze. Nic mi nie jest. Chociaż przychodzi mi do głowy, że jeśli będę się po prostu wpatrywać w doktora Williamsa, musi uwierzyć moim zapewnieniom, że wszystko jest w porządku, on tylko odwzajemnia moje spojrzenia, im dłużej zaś patrzę, tym bardziej głupio się czuję.

Widocznie wracam do zdrowia. Zawsze mają gdzieś zapalone światło. Na korytarzu czy po drugiej stronie pokoju. Owszem, nie śpiam dobrze. Kiedy im o tym mówiłam, odpowiedzieli, że jeśli nie poskutkują tabletki i gorące mleko, zawsze mogą mi zrobić zastrzyk. Nie mam jednak pewności, czy mnie naprawdę słuchają. Nad morzem nie spałam. Podróż

tam trwała ponad godzinę i po przyjeździe do miasta zobaczyłam duże pole, może z setką przyczep kempingowych, ustawionych na grubych cementowych płytach. W rogu ciągnął się rząd rdzewiejących blaszanych budek, jak się domyśliłam, ubikacji i kabin prysznicowych. Dzieciaki piły wodę z hydrantów, a niedawny deszcz zamienił całe to miejsce w olbrzymie morze błota. Wsiadłam z autobusu, ale nie miałam dokąd pójść, więc zataszczyłam walizkę do dworcowej kawiarni i znalazłam miejsce w odległym kącie. Ponieważ zauważyłam lepłą plamę miodu na stoliku, nieporządnie wytartym, starałam się nie położyć na niej łokci. Podeszła do mnie ciężarna dziewczyna i stanęła z rękami w kieszeniach. Zanim zdążyłam otworzyć usta, oznajmiła: „Zabrakło nam bułeczek, ale mamy keks owinięty celofanem i kanapki”. Chciałam tylko napić się herbaty, którą wreszcie z brzękiem postawiła na moim stoliku. Jakiś czas spędziłam na dworcu autobusowym, pijąc jedną filiżankę herbaty po drugiej i obserwując ciężarną dziewczynę, bez wątpienia głupio pewną siebie. Popiół z papierosa strząsała do takiej jak moja filiżanki, potem zaczęła wirować w takt wyimaginowanej muzyki pop i równocześnie ustawiać spodki na talerzykach. Z uczuciem, że ręce układają mi się na piersi jak rękawy uprasowanej koszuli, wpatrywałam się w to stworzenie.

W końcu zrobiło się ciemno i mała Panna Mądrała dała do zrozumienia, że musi zamknąć kawiarnię. Z rozmysłem ziewnęła w odpowiedzi na moje pytanie, po czym skierowała mnie do hoteliku z widokiem na deptak. Na szyldzie widniała nazwa hotelu, poniżej zaś znajdowały się dwa haki, na których zawieszano tabliczki z informacjami o wolnych pokojach albo ich braku. Fatalny stan budynku wskazywał na to, że prawie zawsze jest coś wolnego. Kobieta w recepcji zapytała, czy chciałabym zjeść obiad w swoim pokoju, czy w sali jadalnej razem z innymi gośćmi, lecz zaoszczędziłam jej kłopotu,

mówiąc, że nie będę jadła. Kropka. Nie zachowałam się nieprzyjemnie, uważałam jednak, że dla uniknięcia nieporozumień należy sprawę postawić jasno. Spytała, czy chcę dostać termofor, bo pokój mam na mansardzie i może się tam zrobić chłodno, lecz poinformowałam ją, że termofor nie będzie potrzebny. Zmęczenie zaczęło spowijać mój umysł gęstą mgłą i nie życzyłam sobie, żeby mi ktoś przeszkadzał.

W pokoju pachniało myszami i nieupraną odzieżą. Stało tam wąskie łóżko, surowa prosta szafa, sosnowa komoda, a w kącie metalowe krzesło z udrapowanym na oparciu białym ręcznikiem. Był tam również naftowy grzejnik, chyba od dłuższego czasu nieużywany. Pościel sprawiała wrażenie cieplej i lepkiej, jakby ktoś się z niej przed chwilą wygrzebał, więc sięgnęłam po ręcznik, szorstki niczym papier ścierny. Rozłożywszy go na brązowej narzucie, nasłuchiwałam. Zza drzwi dobiegł odgłos kroków, po czym ucichł w głębi korytarza. Jakieś drzwi się otwały i zamknęły, budząc donośne echo, a ja odwróciłam się i popatrzyłam w lustro na komodzie. Byłam zmęczona, wyglądałam okropnie, ale wiedziałam, że nie zdołam zasnąć w pojedynczym łóżku. Przez prawie całe dorosłe życie takie łóżka kojarzyły mi się z niedojrzałością i zawsze wywoływały uczucie, że się cofnęłam do czasów, które - jak pamiętam - chciałam zostawić za sobą. Zrzuciłam obuwie, położyłam się na ręczniku i wpatrzyłam w odsłonięty świetlik. Ponieważ przy łóżku nie było lampy ani radia, zrozumiałam, że będę musiała wytrwać tak do rana, obserwując czarną noc przez ten świetlik.

Do świtu nic się nie wydarzyło. Na przemyślenie wszystkiego została mi darowana cała noc. Chciałam dać Salomonowi do zrozumienia, że musi mnie doceniać. Chciałam mu opowiedzieć o moich przygodach z siostrą, odczekać parę tygodni i znów zniknąć. Osamotniony Salomon. Chciałam go trzymać w gotowości, dopóki nie

uświadomi sobie, że lubi, jak cały czas jestem w pobliżu. Wtedy mnie zapragnie. Ze spuszczone nogami usiadłam na wąskim łóżku i poczułam wilgotny chłód podłogi. Przypomniało mi się jeszcze coś niemiłego, związanego z pojedynczymi łózkami. To, jak Sheila pojawiła się z plecakiem na uniwersytecie. Odwołałam tego wieczoru próbę koncertu i siedziałyśmy obie na brzegu mojego łóżka, trzymając filiżanki z herbatą w złożonych dłoniach. Wtedy mi powiedziała. Wiedziałam, że samym patrzeniem na nią bynajmniej jej nie pomogę, ale nie było łatwo słuchać, co mówi. Wciąż próbowałam wracać do rzeczy przyjemniejszych, jak podejmowane przez mamę żenujące próby śpiewu, lecz Sheila na to nie pozwalała. Bez końca pytała, dlaczego nie chcę jej wierzyć i dlaczego, moim zdaniem, miałyby opowiadać takie kłamstwa. „Wiesz, że zabierał mnie ze sobą na działki. Co się z tobą dzieje? Dlaczego nie możesz mi uwierzyć?”. Problem polegał oczywiście na tym, że jej wierzyłam. Zgadzałam się, kiedy mówiła, że choć to się skończyło, wcale nie jest lepiej, nurtowało mnie jednak zasadnicze pytanie, dlaczego ja nie zwróciłam na siebie jego uwagi? Czy ją kochał bardziej niż mnie? Wiedziałam, że mnie kocha bardziej niż mamę, lecz dlaczego miałby zabierać na działki Sheilę? Właśnie naszą Sheilę? Znów bezskutecznie próbowałam zmienić temat. Sheila chciała mieć pewność, że słyszałam, i rzeczywiście słyszałam. W końcu otoczyłam ramieniem siostrę, która teraz przestała płakać i umilkła. Próba zmiany tematu była głupia, nie powiedziałam tego, co powinnam. Zawiodłam ją i obie wiedziałyśmy, że coś się między nami zmieniło. Przez tych parę chwil, kiedy siedziałyśmy na brzegu pojedynczego łóżka, część mojej siostry po prostu znikła mi z oczu. Reszta jej życia też nie była bardzo zadowalająca. Włącznie z krótkim okresem, który razem spędziłyśmy w Londynie. Po niemal

trzydziestu latach spróbowaliśmy znów być razem, na co okazało się za późno. Po tej nocy w moim akademiku Sheila nie potrafiła już ze mną rozmawiać, a moje współczucie nie mogło tak po prostu ukoić jej żalu. Byłyśmy w stosunku do siebie grzeczne, lecz utraciłam ją tej nocy, kiedy postawiła plecak przy drzwiach. Po jej śmierci pisywałam do siebie i udawałam, że to listy od niej. Tyle mi po niej zostało. Moja wyimaginowana Sheila, która mnie lubi i nadal potrzebuje mojej pomocy. Ale przez tchórzostwo straciłam prawdziwą siostrę. Moją biedną, zrozpaczoną Sheilę. Pieszczoszkę taty.

Pamięć mam coraz lepszą. Uważam to za oznakę powrotu do zdrowia. Jeśli tak, jest dobrze, bo nie chcę niczego zapomnieć. Dają mi tu tabletki i gorące mleko, ale choć to nie pomaga na spanie, pomaga na pamięć. Wyniosłam się z przygnębiającego hotelu i drugi dzień nad morzem spędziłam na deptaku, na ławce. Woda, smagana i szarpana wiatrem, wyskakiwała w górę wielkimi falami o łbach bizonów. Choć tak naprawdę pragnęłam stałego, kojącego łoskotu, piany morskiej, która rysuje swój koronkowy wzór na piasku, morze było gniewne. Wiatr błaznował z moją apaszką i wciąż rozwiewał mi pasma siwych włosów. Regularnie jak w zegarku musiałam odgarniać z oczu kosmyki, niewiele jednak było do zobaczenia. Statek towarowy daleko na horyzoncie i poniżej deptaka energiczny pies, który zwinnie chwycił latający plastikowy talerz, z coraz większym zniecierpliwieniem rzucał przez jego znudzonego właściciela. Zastanawiałam się, co on teraz robi. Stuka do drzwi, bo chce się upewnić, czy dobrze się czuję, a może tylko wygląda zza zasłony, ciekaw, dokąd pojechałam? Po południu zrobiło się chłodnawo, więc wzięłam walizkę i ruszyłam na dworzec autobusowy. Pomyślałam, że dla zabicia czasu wstąpię do pubu, lecz jedyny, jaki zobaczyłam, miał od frontu ogródek z trawą całkiem wydeptaną, niewątpliwie przez jakieś

prymitywne plemiona, z drewnianymi stolikami, na których było mnóstwo pustych szklanek po piwie i pełnych popielniczek. Poszłam dalej i na dworcu czekałam na autobus do Weston. Zająłam miejsce z przodu, żeby patrzeć nad ramieniem kierowcy. Irytowała mnie niechlujna kobieta, po drugiej stronie przejścia otrzepująca z bosych stóp piasek na podłogę, niewątpliwie w przekonaniu, że ktoś mniej ważny niż ona po niej posprząta. Postanowiłam nie wysiadać w Weston, tylko pojechać prosto do miasta i pójść do doktora Williamsa, co okazało się stratą czasu. Ale tak naprawdę chciałam nieco przedłużyć moją nieobecność, żeby Salomon bardziej za mną zatęsknił. Po jakiejś godzinie, kiedy wreszcie wróciłam do wsi, nabrałam przekonania, że stało się coś złego. Na widok policjanta i policjantki, stojących w drzwiach, ścisnęło mnie w żołądku. Zaprosiłam ich do środka, oni zaś zdjęli czapki. Potem mi powiedzieli.



## Część druga

Gabriel ociera zakrwawione oczy przyjaciela. Godzinę wcześniej Said spadł z dolnej pryczy na twardy beton i chociaż Gabriel natychmiast zeskoczył i próbował go wciągnąć z powrotem na łóżko, prędko zrozumiał, że nie należy go ruszać. Padając, Said walnął się w głowę i Gabriel w dalszym ciągu ściera ligninową chusteczką krople krwi z podłogi. Jego przyjaciel chyba nie zauważa krwi i nie ma dość energii, żeby zetrzeć z ust wymiociny. Przez prawie godzinę Gabriel klęczał przy nim w nadziei na jakieś słowo. Czasami wstawał z klęczek, chwycił za kraty i błagał nocnego dozorcę o wezwanie lekarza. Dozorca jednak nie przestaje oglądać telewizji, obute nogi trzyma na biurku, niedbale skrzyżowane w kostkach, a migotliwy odbłask ekranu rozjaśnia mu twarz. Nagle Gabriel podnosi wzrok, bo mężczyzna z sąsiedniej celi znów kopie w ścianę.

- Nie możecie, do cholery, skończyć z tym rzyganiem i awanturami?

Gabriel się dźwiga i podchodzi do drzwi. Jest gotów jeszcze raz zażądać lekarza, lecz wybuch jego sąsiada zwrócił uwagę nocnego dozorcę. Buty opadają z biurka i mężczyzna wolno podchodzi do Gabriela. Jest wysoki, krępy, a jego ciemny mundur i pobrzękujące u pasa klucze wskazują na srogość, której kłam zadaje tylko chłopięca twarz. Zatrzymuje się tuż obok Gabriela, który widzi, jak mężczyzna obiema rękami chwycił za kraty sąsiedniej celi. Przez chwilę dozorca tylko patrzy. Gabriel wyobraża sobie, że ten pokaz siły uciszy pyskatego sąsiada, niewątpliwie tchórza. Dozorca wciąż patrzy, a sąsiad się odzywa, tym razem jednak głosem nieomal bezradnym.

- Co ja mam robić? Spać nie mogę przez takie zachowanie.

Dozorca pochyla się do przodu.

- Mówiłem ci, słonko, że masz nie hałasować. - Urywa. -  
Próbuję oglądać telewizję.

- Jak możesz oglądać telewizję przy tym pieprzonym rzyganiu? To obrzydliwe.

Gabriel widzi, jak dozorca jedną rękę odrywa od krat celi i wskazuje na jej lokatora.

- Nie chcę słyszeć ani słowa więcej, zrozumiano? - Nawet okiem nie mrugnie. Powtarza: - Zrozumiano?

Do Gabriela dolatuje krótkie chrząknięcie, potem skrzypienie łóżka, kiedy sąsiad znów siada.

Usatysfakcjonowany dozorca zwraca się teraz do Gabriela. Idzie i pyta:

- Nic mu nie lepiej?

Gabriel odstepuje na bok, żeby dozorca mógł zajrzeć i sam się przekonać.

- Co mu jest?

- Widziałem już taką chorobę. Przypomina malarię, ale to coś gorszego. Według mnie Said umrze, jeśli nie znajdziemy lekarza.

Nocny dozorca zagląda do celi, nie chce jednak zanadto się zbliżyć. Kałuże rzygowin z wolna krzepną, smród jest okropny. Dozorca wyciąga zmiętą chusteczkę z kieszeni, jedną ręką przyciska ją do twarzy, drugą pokazuje wymioty.

- Pomogłoby, gdybyś uprzętnął to gównno.

- Proszę, panie Collins, mówię panu, że Said potrzebuje pomocy.

Dozorca przenosi wzrok z Gabriela na Saida, potem znów na Gabriela. Marszczy brwi, świadomy, że musi podjąć decyzję.

- Zobaczę, co się da zrobić. Gabriel reaguje szybko.

- Dziękuję, panie Collins. I może da pan trochę wody dla Saida, jak będziemy czekać na lekarza.

Dozorca nic nie mówi. Odwraca się na pięcie i spacerowym krokiem idzie do biurka, przez cały czas przyciskając chusteczkę do twarzy.

Gabriela znów spowija cisza, zakłócana tylko przez telewizor. W tej celi nie ma okien, lecz Gabriel wie, że jest noc. Za murami więzienia znajduje się Anglia. Przed trzema dniami, kiedy po raz pierwszy zamknęli go tu z Saidem, Gabriel zaczął powątpiewać, czy znów ją zobaczy, a kiedy jego współtowarzysz się odezwał, stało się jasne, że jest chory, bo trzęsły mu się ręce, oczy zaś miał zwilgotniałe ze strachu.

- Mówią, że obrabowałem w pociągu Anglika i jego żonę. Gabriel czekał, aż Said mu powie, co naprawdę się wydarzyło, ten jednak tylko wzruszył ramionami.

- To było niezupełnie tak. - Po dłuższym namyśle podjął:  
- Owszem, byłem w pociągu i rozmawiałem z Anglikami. Dobrze mówię po angielsku. U siebie w kraju jestem nauczycielem. Wprawiam się w angielskim. Rozmawiałem z Anglikami, bo się nie boję. Wiem, że kiedy pociąg dojedzie do miasta, poproszę o azyl na komisariacie policji. Tak się robi. Jestem człowiekiem, który zapłacił ponad trzy tysiące amerykańskich dolarów, wszystko, co mam, żeby przyjechać z mojego kraju ukryty pod ciężarówką. Jadę tak z Iraku jak zwierzę, choć może gorzej niż zwierzę, ale się nie przejmuję, bo wiem, że w Anglii dadzą mi pieniądze, jakiś voucher i pozwolą pracować. Nikt nie chce wpuszczać muzułmanów, w Anglii jednak wolność jest wszystkim. Mogą zmienić prawo, nie da się natomiast zmienić ludzkiej kultury, więc się nie boję. Brytyjczycy są dobrzy. Mam przyjaciół, którzy mówią mi prawdę. Nie czuję nienawiści do Amerykanów, ale oni nie są dżentelmenami. Dlaczego miałbym się bać?

Spojrzał na Gabriela, jakby oczekując odpowiedzi, lecz Gabriel milczał.

- I wtedy Anglik z żoną zapytali, czy popilnowałbym ich bagaży, kiedy pójdą do wagonu restauracyjnego. Zgodziłem się, naturalnie. Po powrocie patrzą na swoje torby, kobieta mówi, że wzięłam ich pieniądze, i biegnie po mężczyznę w czerwonej marynarce, po kierownika pociągu. Ale dlaczego miałbym jechać taki kawał drogi z mojego kraju, żeby tu zacząć nowe życie, a potem zabierać im pieniądze? Nie mogę wrócić. Sprzedałem ziemię i zwierzęta, żeby zapłacić za podróż. Nie mam do czego wracać. Moja żona i dzieci są u mojego brata, czekają, aż im przyślę pieniądze, żeby mogli przyjechać do Anglii. Mam dwie ręce. Mogę pracować. Z czasem mogę kupić telewizor i radio. Lodówkę. Dywan. Może kiedyś samochód. Mam dwie ręce.

Said pokazał je Gabrielowi, nadal trzęsące się, a Gabriel zauważył na jego czole kropelki potu.

- Policja - ciągnął Said. - Kiedy pociąg stanął, przyszli po mnie policjanci. Powiedziałem, że straciłem wszystko. Moją rodzinę, zostawiłem w kraju rodzinę. Choć jestem wykształcony, nie mogę wyżywić rodziny. Już nie jestem nauczycielem. Jestem tu, żeby zacząć życie od nowa, mam na to wielki apetyt, więc muszą mi pomóc, prawda? Powiedziałem, że przedstawię sprawę, ale mnie nie słuchali. Mówię im, nie odsyłajcie mnie, proszę, z powrotem do kraju. Nie tam. Policjanci pytają, co ci się stało w twoim kraju? Odpowiedziałem, że nie mogę o tym mówić, bo stracę te resztki apetytu, jakie mi zostały. Policjanci popatrzyli na mnie, więc ich pytam, czy to prawda? Czy to prawda, że w Anglii czuje się wolność w powietrzu? Że to inne powietrze? Ale nie chcą mi odpowiedzieć. Mówię, że powąchałem trochę powietrza i jest dobre, ale dlaczego wsadzacie mnie do tego więzienia? Nie chcę tych brudnych spodni ani tej szarej koszulki, którą nosił inny mężczyzna. Nie będę chodził w waszych rannych pantoflach. Anglia to nie mój kraj. Nic nie

zrobiłem. Nie jestem kryminalistą. Nigdy nie byłem kryminalistą. Mam dwie ręce. Mogę pracować.

Gabriel zapytał nowego kolegę z celi, czy dobrze się czuje, Said jednak wzruszył ramionami.

- Zimno mi, ale nie mam pieniędzy na lekarza. A teraz może nie zobaczę już Anglii po raz drugi. Czy zauważyłeś? Światło w Anglii jest bardzo słabe. To mnie przygnębia. Zabrali słońce z nieba.

Said wyglądał żałośnie, więc Gabriel poradził, żeby spróbował zasnąć. Ścisnął jego ramię, włożył na górną pryczę i wyciągnął się na niej. Słuchał, jak Said pod nim w dalszym ciągu kaszle i charkocze. Niestety przez ostatnie trzy dni stan przyjaciela uległ pogorszeniu.

A teraz nocny dozorca wraca pod celę, wrzuca przez kraty wilgotną szmatę do podłogi i rolkę papierowych ręczników.

- Masz, uprzątnij to gówna, Gabriel. Wszyscy poczują się lepiej.

Gabriel spogląda ze swojej pryczy, ale dozorca już wraca przed telewizor. Gabriel złazi ze swojej grzędy, bierze szmatę i rolkę ręczników, po czym zaczyna wycierać podłogę wokół leżącego plackiem Saida. Ten nadal oddycha z cichym świstem i choć oczy ma jeszcze otwarte, wygląda na to, że nie jest w stanie na niczym się skupić. Gabriel pochyla się i wciska mu pod głowę ręczniki, z których robi się zgnieciona rurowata poduszka. Przez ostatnie trzy dni opowieść o życiu Saida w Iraku stawała się coraz mniej prawdopodobna, naszpikowana sprzecznościami, lecz Gabriel był cierpliwym słuchaczem. Poprawia rolkę ręczników pod głową przyjaciela i znów słyszy, jak ten usiłuje mówić ledwie dosłyszalnym głosem.

- Proszę - szepcze. - Mój brat i moje dzieci. Musisz ich zawiadomić.

Gabriel ujmuje i mocno ściska jego dłoń.

- Said, nie możesz tracić nadziei.

- Proszę, musisz ich zawiadomić.

Saidowi opadają powieki. Gabriel się zrywa, odtrąca ścierkę w kąt celi.

- Panie Collins, to Said. Proszę, potrzebujemy lekarza. Dozorca odrywa się od ukochanego telewizora i szybko podchodzi do celi. Po raz pierwszy Gabriel widzi na jego twarzy niepokój. Dozorca mówi do Gabriela, nie odrywając wzroku od Saida.

- Wezwę lekarza, ale oni się nie śpieszą.

Zostawia Gabriela samego z przyjacielem. Według Saida jego brat nadal przebywa w Iraku, choć kiedy indziej jest w Ameryce. Czasami Said ma żonę, kiedy indziej jest kawalerem. Zawsze jednak ma dzieci, chłopca i dziewczynkę. Gabriel patrzy na Saida, a gdy nie może już znieść jego widoku, przysiada na podłodze, plecami oparty o kraty.

Zgrzyt kluczy w zamkach uświadamia mu, że zasnął. Nie zwracając na niego uwagi, do celi szybko wchodzi wysoki chudy mężczyzna. Za nim kroczy dozorca. Mężczyzna stawia brązową skórzaną torbę na podłodze i klęka obok Saida. Gabriel wpatruje się w chudzielca, który już stoi i zwraca się do dozorczy.

- Nie żyje od jakiegoś czasu. - Dozorca robi wrażenie wstrząśniętego, natomiast lekarz zbiera się do wyjścia. - Chyba mamy do odwalenia papierkową robotę, co?

Dozorca czeka, aż lekarz wyjdzie za drzwi, po czym je zamyka. Gabriel dźwiga się na nogi.

- Proszę, panie Collins, nie może pan tego zrobić. Musi go pan stąd zabrać!

Nocny dozorca nie zadaje sobie fatygi, żeby spojrzeć na Gabriela. Spokojnie odprowadza lekarza w stronę telewizora, Gabriel zaś wycofuje się do najodleglejszego kąta celi i zwija w kłębek. Osuwa się na podłogę.

W końcu zjawia się dzienny dozorca. Jest niskim, lecz potężnie zbudowanym mężczyzną, który wygląda tak, jakby swego czasu był zawodowym sportowcem. Staje przy drzwiach celi i pogardliwie przygląda się Gabrielowi.

- No więc, o co chodzi? Czemu skamlesz? On nie żyje. Nie ugryzie.

Mężczyzna zza ściany wybucha śmiechem.

- Każ mu go zjeść. Pieprzony, hałaśliwy ludożerca.

Dozorca robi krok w prawo i zagląda do sąsiedniej celi.

- A ty się zamknij, głupi kretynku.

Widocznie tych parę słów wystarcza, bo natychmiast zapada milczenie. Dozorca cofa się o krok i patrzy na Gabriela, który teraz zdaje sobie sprawę, że obok tego człowieka stoi nieprawdopodobnie chudy lekarz.

Zagląda do celi i zwyczajnie poucza dozorcę, że ma się brać do roboty. Gabriel z wolna podnosi się na nogi.

Lekarz szepcze coś do dozorca, który zaczyna zdejmować kurtkę.

- No, synu, i o co tyle krzyku? Pomieszało ci się tutaj? - Dozorca puka się w głowę.

Gabriel wpatruje się w niego, a potem znów osuwa się na podłogę i zwija w jeszcze ciaśniejszy kłębek. Dozorca z obrzydzeniem kręci głową, po czym zwraca się do lekarza:

- Może będzie pan musiał mi pomóc dźwignąć go i położyć na pryczy.

Lekarz stawia swoją skórzaną torbę i teraz on ściąga marynarkę. Przeciwnie niż dozorca, którego kurtka leży nieporządnie rzucona, lekarz swoją starannie składa i umieszcza na torbie.

- Za co siedzi?

- Lepiej nie wiedzieć.

- Więc nie za nielegalny pobyt?

- Och, tak, jak najbardziej, ale to tylko połowa problemu.



Dozorca bierze Gabriela za nogi, lekarz chwytą go za ramiona. Gabriel zaczyna wierzgać, lecz jest bezsilny w ich rękach.

- Która prycza? - pyta lekarz, który usiłuje przytrzymać ramiona wymachującego nimi Gabriela.

- Wszystko jedno. Połóżmy go na dolnej.

Gabriel dalej kopie i walczy, oni jednak bez trudu kładą swojego niedożywionego pacjenta na dolnej pryczy, po czym dozorca wyciąga z kieszeni cztery gumowe paski. Dwa podaje lekarzowi i zaczynają przywiązywać Gabriela do ramy łóżka.

- To powinno wystarczyć, żeby gnojek nie ruszył się z miejsca - mówi dozorca. Skinieniem głowy wskazuje Saida. - A z nim co?

Lekarz zaciska ostatni węzeł, po czym się cofa. Zaczyna wkładać marynarkę.

- Powinni wkrótce przyjść po ciało. Ale kto wie. Przerażony Gabriel obserwuje lekarza, otwierającego torbę i wyciągającego z niej strzykawkę z długą igłą.

- Niech pan nie mówi - odpowiada strażnik. - Cięcia, co?

- Brak karettek. W niektórych gminach używają prywatnych samochodów.

Lekarz siada na brzegu wąskiej pryczy i skupia uwagę na Gabrielu.

- Nie będzie bolało, ale poczujesz lekkie draśnięcie. Gabriel się skręca, kiedy igła celuje w jego ramię, a wzdryga, kiedy przebija mu skórę. Wreszcie lekarz ją wyciąga, wkłada do plastikowej torebki i wstaje. Gabriel patrzy, jak bierze torbę, okrąża Saida i bez słowa wychodzi z celi. Dozorca wydaje się nieco zdziwiony jego nagłym odejściem i śpieszy w ślad za nim, najpierw zatrząskując, potem zamykając na klucz drzwi celi.

Gabrielowi robi się ciepło. Chce wytrzeć nos, ręce ma jednak skrępowane. Czuje, jak z piersi wydobywa mu się

ciche westchnienie, później wykręca do tyłu szyję i obserwuje Saida. W wielkim skupieniu przygląda się przyjacielowi, który ma oczy mocno zamknięte.

Gabriel patrzy z kredensu, starając się nie oddychać. Najpierw zastrzelą jego podstarzałego ojca. Gabriel widzi zmęczoną twarz ojca, którego pewność siebie została poddana ciężkiej próbie, kiedy pod nieobecność dorosłego syna musiał przez dłuższy czas chronić swoją rodzinę. Ze śmiechem zmuszają starego człowieka, żeby położył się płasko na ziemi, z rękami rozpostartymi jak skrzydła. Jest ich sześciu, żołnierzy w polowych mundurach khaki, z czerwonymi chustkami zawiązanymi na głowach. Gabriel wkrótce się dowiaduje, że każdy ma przydomek. Kasjusz, Jacko, O.J., Brutus, Wielki Pies, Kurzący Joe. W przeciwieństwie do Gabriela są jednak młodymi mężczyznami. Chłopcami. Kiedy trafiają go kule, ojciec Gabriela podskakuje, lecz nie podfruwa.

Teraz ustawiają w szeregu pozostałych członków rodziny. Wielki Pies kopie ojca Gabriela, który w końcu wydaje okrzyk bólu. Wciąż żyje. Wielki Pies pyta go, czy nie poprosi o litość, jak mężczyzna? Czy nie kocha rodziny na tyle, żeby błagać o jej życie? Gabriel rozumie, że to zabawa. Chłopcy bawią się jego ojcem, a potem Kurzący Joe przystawia mu karabin do tyłu głowy. Pozostali nie przestają się śmiać i drwić z ojca, gdy Kurzący Joe od niechcienia pociąga za spust i czaszka eksploduje. Strzępki mózgu rozpryskują się na wszystkie strony, matka i dwie siostry Gabriela zaczynają wrzeszczeć. Wielki Pies wykrzykuje z niby amerykańskim akcentem, karci kolegę za to, że zepsuł im zabawę.

- Jak mogłeś to zrobić, człowieku? Nikt ci nie kazał strzelać.

Matka i siostry Gabriela rzucają się na ciało zabitego. Gabriel przywykł do huku wystrzałów. Jest oswojony z

brutalnością. Przygląda się obojętnie, bo wie, co nastąpi. Kurzący Joe podnosi głos, przez co wydaje się większy.

- Odpieprz się, człowieku. To robota. Nie mam czasu na zabawy.

Mężczyźni krzyczą na siebie coraz głośniejsze, Brutus zaś cicho wysuwa się do przodu, odciąga matkę i siostry Gabriela od zwłok jego ojca, zmusza je do położenia się twarzami do podłogi, wyciąga pistolet i oddaje po jednym strzale w plecy każdej z sióstr. Zwraca się do kolegów, z których żaden nie śmie zaprotestować.

- Teraz wszyscy zadowoleni? - Patrzą na niego z lekkim zażenowaniem. Znowu ktoś sprawuje nad nimi władzę. - Nie jesteśmy tu po to, żeby się sprzeczać. - Wskazuje pistoletem na dwie krwawiące dziewczyny. - Chcecie wziąć swoje, to je odwróćcie i bierzcie. Tylko migiem. - Wie, że mężczyźni nie interesuje matka.

Jacko ostatni bierze młodszą siostrę, lecz Brutus już traci cierpliwość. Klaszcze w dłoń.

- Dość. - Jacko wstaje i poprawia ubranie. Jego koledzy ze śmiechem obserwują te próby doprowadzenia się do ładu. Gabriel widzi, że młodszej siostrze cienka strużka krwi spływa po wewnętrznej stronie nogi, tworząc przy kostce kałużę. Siostra straciła też chyba przytomność.

- Skończcie z nimi - mówi Brutus i wskazuje na siostry - ale starą możecie zostawić. Nikomu się nie przyda.

O.J., najmniejszy z żołnierzy, posyła każdej dziewczynie kulę w czoło. Później, jakby po namyśle, strzela ich matce w pierś. Zirytowany Brutus kręci głową. Chłopaki rechoczą, lecz Brutus już się napatrzył.

- Chodźcie, idziemy.

Każdy mężczyzna spluwa, odchodząc.

W miarę jak zapadają ciemności, Gabriel uświadamia sobie, że nie może dłużej pozostawać w ukryciu. Słucha

chóralnego brzęczenia owadów, potrafi odróżnić w oddali pojedynczy głos ludzki i częste staccato strzałów karabinowych. Wie, że będzie musiał podjąć próbę opuszczenia tego miejsca, toteż otwiera drzwi kredensu i ostrożnie wychodzi w mrok izby. Ręce i nogi ma zeszywniałe, porusza się z wielkim trudem. Staje nad matką, która jeszcze żyje, choć obficie krwawi. Oddycha głośno, jak gdyby płuca miała wypełnione piaskiem. Gabriel nie śmie pozostać z nią zbyt długo. Kieruje się do drzwi, powoli je otwiera i widzi, że na niebie nie ma księżyca, tylko parę słabo świecących gwiazd. Po chwili wahania puszcza się biegiem. Choć kątem oka dostrzega ludzi skulonych w drzwiach lub przyuczajonych w cieniu, żaden podniesiony głos nie każe mu się zatrzymać, nie pada żaden strzał.

Gabriel dociera do pogrążonego w ciemnościach domu wuja. Czeka pod tylnymi drzwiami, starając się złapać oddech, lecz pierś wciąż mu faluje. Wyobraża sobie, że zastanie wuja w środku, wszystko jednak mogło się wydarzyć. Kiedy zaczyna oddychać normalnie, przyciska głowę do zimnej ściany z kamienia, żeby się uspokoić. Ściana jest podziurawiona kulami, jakby jakiś olbrzymi ptak z furją dziobał mur, rozpaczliwie szukając w nim słabego punktu. Gabriel staje wyprostowany, zaciska dłoń na gałce u drzwi i cicho ją obraca. Zamyka za sobą drzwi, po czym w mroku sięga do poręczy i posuwa się naprzód, aż w końcu natrafia na pierwszy stopień drewnianych schodów. Pod jego ciężarem rozlega się salwa trzasków, powodując łomotanie serca. Gabriel waha się na tym najniższym stopniu, po czym decyduje się nie zważać na odgłosy i raz dwa wspiąć się na górę. Choć stąpa lekko, wie, że ludzie muszą go słyszeć. U szczytu schodów po omacku znajduje drogę do drzwi przed sobą, ale już rozumie, że będą zaryglowane.

- Jozue? - szepcze, nikt mu jednak nie odpowiada. Mdlący upał nocy zaczyna go obezwładniać, przyprawiać o zawrót głowy. - Jozue? - powtarza.

I wtedy zza drzwi dobiega szept Jozuego:

- Kto tam?

- Gabriel. Jestem sam. - Po chwili Jozue uchyla drzwi.

- Gabriel? - Wuj nieco szerzej otwiera drzwi i Gabriel wyraźnie widzi jego twarz. To ciemnoskóry mężczyzna pod sześćdziesiątkę, z krótko przyszyżoną siwą czupryną. Zęby ma trochę za duże w stosunku do ust, do których często podnosi lewą rękę, zanim się odezwie. Zgodnie ze zwyczajem podnosi ją teraz. Szybko rozgląda się dookoła, po czym szepcze:

- Wejdz, wejdz do środka.

Przeciskając się obok niego, Gabriel widzi, że za sprawą ogarków świec, których płomyki migają w smrodliwym mroku, ten składzik na piętrze magazynu wuja przemienił się w niesamowitą komnatę światła i cieni. Na podłodze siedzi kilkunastu mężczyzn, jedni z głowami ukrytymi w dłoniach, inni z odrzuconymi do tyłu i opartymi o ścianę. W kącie stoi kubek z wodą do mycia i drugi, trochę brudniejszy, do załatwiania swoich potrzeb. Jozue zamyka drzwi za siostrzeńcem, po czym pyta:

- Dlaczego tu przyszedłeś, Gabrielu?

Gabriel patrzy na starszego mężczyznę, lecz słowa więzną mu w gardle. Odczuwa drzenie dolnej wargi, a ból, spowodowany tym, co niedawno działo się na jego oczach, zaczyna się rozchodzić po całym ciele. Jozue kładzie mu dłoń na ramieniu i zachęca go, żeby usiadł. Obaj kucają przy drzwiach, Jozue zdecydowany czekać, aż siostrzeniec się opanuje. Gabriel wbija wzrok w przestrzeń między swoimi stopami, a w miarę jak pogłębia się milczenie, Jozue nabiera pewności, że to on musi ratować sytuację.

- Znaleźli twoją rodzinę?

Gabriel podnosi wzrok.

- Ona się nie chowała.

- Pozabijali wszystkich? - Gabriel nie udziela odpowiedzi, lecz wie, że nawet w mroku Jozue zdoła zobaczyć łzy, spływające mu teraz po twarzy. - Musisz mi powiedzieć, Gabrielu. Pozabijali wszystkich? - Gabriel kręci głową.

- Twoją matkę? - Gabriel kręci głową. - Ale wszystkich innych tak? - Gabriel szybko potakuje. - Gdzie jest twoja matka?

- W domu. - Gabriel ociera łzy wierzchem dłoni.

- Co zrobisz, Gabrielu? Mówią, że wyrznąłeś niewinne kobiety i dzieci, a potem uciekłeś. Wiesz, że nie przestaną cię szukać.

- Nie zrobiłem nic złego, ale wiem, że muszę opuścić ten kraj. Zabiją mnie, jeśli tu zostanę.

Jozue kiwa głową i mówi pod nosem:

- Wiesz, Gabrielu, jak Bóg może nam wybaczyć coś tak karygodnego? - Gabriel patrzy na wuja, który na chwilę pograżył się we własnych myślach.

Po paru minutach Jozue wolno się dźwiga. Gabriel go obserwuje i też wstaje. Znużony Jozue, obejmując ramiona dorosłego dziecka swojej siostry, wskazuje na pozostałych mężczyzn w pokoju. Odzywa się szeptem:

- Krew to krew, Gabrielu. Niczego bardziej nie pragnę, jak przyjąć cię do rodziny, lecz każdy z tych mężczyzn zapłacił dwa tysiące dolarów, żeby wyjechać. Wyprzedali się ze wszystkiego.

- Ale ja muszę wyjechać - protestuje Gabriel. - To już nie jest mój kraj.

Jozue nie spuszcza oczu z siostrzeńca, świadomy, że ma on do zaoferowania tylko słowa.

- Jeśli zdołasz mi przynieść dwa tysiące dolarów, Gabrielu, ty także wyjedziesz. Ale masz na to zaledwie parę godzin. Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić.

Gabriel patrzy na wuja. Rozumie, że Jozue przyjmuje go, a zarazem odtrąca. I wtedy Gabriel spogląda na innych mężczyzn, oni zaś odwzajemniają jego spojrzenie. Ze skrucą odwraca i wbija wzrok w ciemne zacieki na ścianach, gdzie pleśń tworzy dziwne desenie i kształty.

Wie, że nie będzie mógł podróżować z tymi mężczyznami na innych niż oni warunkach.

Po wyjściu na ulicę wyczuwa zbliżający się świt. Niebo nadal jest czarne, natomiast budynki zaczynają odzyskiwać kontury, a odgłosy budzących się zwierząt i pianie kogutów zwiastują to, co ma nadejść. Gabriel kroczy szybko i śmiało, bo wie, że wojsko rządowe woli działać pod osłoną ciemności. Mija mężczyznę, owiniętego flagą narodową i popychającego na taczce komputer. Potem w oddali dostrzega żołnierza z ręką na temblaku, z zakrwawionymi bandażami na nogach, który na pewno nie będzie go niepokoić. Latarnie uliczne nie świecą i dopóki nie popłynie prąd, pozostaną zwykłymi ozdobami. Gabriel mija jedyny w mieście luksusowy hotel. Nawet z tej odległości czuje zapach butwiejących dywanów, a za drucianym ogrodzeniem zauważa butelki po piwie oraz meble, które unoszą się na stojącej wodzie basenu kąpielowego.

Dociera do sklepu z artykułami żelaznymi i widzi, że okiennice już są otwarte, a jego przyjaciel rozkłada na stole przy drzwiach nieliczne towary, jakie mu pozostały. Niedopasowane do siebie rondle, metalowe kubły, baterie, krzykliwe neonowe latarki; co pewien czas, kiedy potrzebny był jakiś sprzęt domowy czy elektryczny, przychodziło się do Feliksa. Jeśli on tej rzeczy nie miał, nie było jej w kraju, Gabriel stwierdza jednak, że od wybuchu wojny zapasy jego

dawnego pracodawcy mocno się uszczupliły. Teraz podchodzi do starszego mężczyzny i przyjaciela, który wprawdzie należał do rządzącego plemienia, lecz nigdy nie żywił uprzedzeń do ludzi takich jak on, mimo że mogliby być wrogami z uwagi na więzy krwi. Gabriel się zbliża, a Feliks podnosi oczy i ustawia stos białych naczyń stołowych. Wpatruje się w Gabriela, jakby zobaczył ducha, wreszcie na jego poranej zmarszczkami twarzy pojawia się uśmiezek. Parska śmiechem, zdumiony.

- Gabriel? To naprawdę ty? - Rozkłada ręce w geście niedowierzania. - Gabriel?

Teraz uśmiecha się Gabriel i ujmuje drobne dłonie Feliksa.

- Ale słyszałem, że szukali twojej rodziny, Gabrielu. - Feliks się opamiętuje. - Chodź, wejdź do środka. Naprawdę nie powinieneś stać na ulicy.

Gabriel się waha.

- Przepraszam, nie chcę cię narażać na kłopoty. Feliks bierze go pod pachę i wciąga przez drzwi.

- Po pierwsze, musimy ci znaleźć jakąś kryjówkę.

- Czy twoja żona i córka nadal mieszkają na górze? Feliks robi zdziwioną minę.

- Oczywiście. Gabriel markotnieje.

- Muszę iść. Nie mogę narażać twojej rodziny, Feliksie. To tylko kwestia czasu, kiedy tu przyjdą i przeszukają dom.

- Już byli. - Feliks ze śmiechem pokazuje Gabrielowi sińce na ramionach i blizny na nogach.

- Feliks? - Gabriel mówi teraz powoli, lecz to jedno słowo głupio zawisa w powietrzu.

Feliks unosi brwi, czekając, co młody przyjaciel ma mu do powiedzenia.

- Potrzebuję trochę pieniędzy, Feliksie. Przykro mi, że muszę cię prosić.

Feliks milczy, więc zdenerwowany Gabriel wyjaśnia:



- Muszę wyjechać z kraju. Wuj mi to załatwi, jeśli mu zapłacę.

Feliks kładzie palec na ustach i spogląda w górę. Gabriel rozumie, że ma ściszyć głos.

- Przepraszam.

Patrzą na siebie, lecz żaden się nie odzywa. Po chwili, która Gabrielowi wydaje się nieskończenie długa, jego były pracodawca kiwa głową, rozstrzygnąwszy spór, jaki sam ze sobą toczył.

- Zaczekaj tu, proszę.

Kładzie dłoń na ramieniu Gabriela, po czym znika w piwnicy. Gabriel wie, że Feliks trzyma pieniądze w metalowej skrzynce, ukrytej pod trzema luźnymi deskami podłogi, wie też, że przysypuje deski ziemią, aby wygląd brudnej piwnicy nie wskazywał na jej cenną zawartość. Po paru minutach Feliks wraca z mocno zaciśniętą prawą pięścią. W zdenerwowaniu otwiera powoli żyłastą dłoń i pokazuje mały zwitek amerykańskich dolarów.

- Nie jestem bogaty, Gabrielu. Mam żonę i dziecko, a wiem, że wkrótce stracę to, co zostało ze sklepu, ale proszę cię, weź te pieniądze.

Gabriel bierze kilka banknotów z wyciągniętej ręki Feliksa i wpycha je do kieszeni.

- Może wuj zrozumie twoją sytuację.

Gabriel potakuje i patrzy, jak Feliks się odwraca i nerwowo lustruje wzrokiem ulicę. Gabriel wie, że będzie musiał działać prędko, więc jednym szybkim ruchem chwytając rdzewiejący metalowy zegar, który wisi za drzwiami, i spuszcza go na głowę Feliksa. Przyjaciel wydaje stłumiony okrzyk, lecz Gabriela bardziej niepokoi odgłos, z jakim ciało uderza o ścianę, a potem pada na podłogę. Gabriel, starając się nie patrzeć na byłego pracodawcę, szybko przez niego przestępuje i kieruje się do drzwi, za którymi są schody.

Choć na dole jest ciemno, dokładnie zna to miejsce, więc pędzi w odległy kąt pustej piwnicy. Dawniej, kiedy pracował u Feliksa, była tak zapchana towarem, że nieraz poruszanie się po niej sprawiało trudności. Teraz świeci pustkami. Gabriel odgarnia kurz stopą, szybko podnosi trzy deski i odsłania skrzynkę. Kiedy ją chwyta, widzi, że jest zamknięta na ciężką kłódkę. Nie przyszło mu do głowy, że Feliks będzie zamykać skrzynkę, nie ma jednak czasu na rozważania. Biegiem wraca na górę, przeszukuje kieszenie spodni Feliksa i ze znalezionymi kluczami znów pędzi na dół. Po otwarciu skrzynki, na widok grubego pliku dolarów, ręce zaczynają mu się trząść. Chwyta i wpycha do kieszeni banknoty oraz znajdujące się w skrzynce dwa złote pierścionki. Klucze i skrzynkę rzuca na ziemię, wszędzie zostawia bałagan. Nie ma powodu zacierać śladów. Biegnie po schodach do sklepu, gdzie spostrzega powiększającą się kałużę krwi wokół głowy Feliksa.

Uchyła drzwi, lecz nie śpieszy się z wyjściem na ulicę. Na rogu stoi jakiś obcy człowiek i patrzy w jego stronę, toteż Gabriel postanawia poczekać, aż się oddali. Ten jednak wciąż mu się przypatruje i nie ma zamiaru odejść. Przeciwnie, rusza w stronę sklepu, popycha drzwi i spogląda na rannego Feliksa.

- Co tu się stało?

Gabriel patrzy na Feliksa, jakby dopiero teraz zauważył zakrwawionego przyjaciela, lecz mężczyzna wpada w złość.

- Wiem, kim jesteś. Co mu zrobiłeś?

Gabriel rozumie, że ma niewiele do powiedzenia, toteż wychodzi na ulicę i zaczyna się oddalać, nie przestając oglądać się do tyłu. Obcy mężczyzna krzyczy, więc Gabriel przyśpiesza kroku, a następnie przerażony puszcza się biegiem.

Wreszcie skręca w ulicę, przy której mieszka Jozue, znów zwalnia i próbuje nad sobą zapanować. Wchodzi po schodach,

nie zważając na czyniony hałas, następnie cicho, lecz stanowczo wali do drzwi składziku, aż wreszcie się otwierają. Jozue patrzy na niego jak na wariata, a już w bezpiecznym, rozjaśnionym świecami pokoju wprost zadaje mu pytanie:

- Jesteś spocony, a to co? Krew?

- Mam dla ciebie pieniądze. - Gabriel głęboko zanurza rękę w kieszeni i wyciąga zmięte banknoty. Jozue bierze je bez liczenia, nie spuszczając wzroku z twarzy siostrzeńca.

- Musisz mi powiedzieć, co zrobiłeś.

Gabriel widzi, że oczy pozostałych mężczyzn znów zwracają się w jego stronę.

- Proszę, Jozue. Mam pieniądze.

Jozue spogląda na banknoty i zaczyna je liczyć.

- To nie są dwa tysiące dolarów, Gabrielu.

Gabriel wsadza rękę do kieszeni i wyciąga dwa złote pierścionki.

- Nie mam nic więcej. - Wciska pierścionki Jozuemu i godzi się z losem, lecz wuj tylko wskazuje kątem ciemnego pokoju.

- Spróbuj się trochę przespać. Wyjeżdżamy dziś w nocy. Gabriel kiwa głową.

Czyjaś ręka szarpie go za ramię. Gabriel otwiera oczy i widzi pochylonego nad nim wuja, a przy drzwiach pozostałych mężczyzn z zawiniątkami w dłoniach. W pokoju panuje upał, więc chyba jest noc. Gabriel przeciera oczy i powoli wstaje.

- Musimy już iść. Dobrze się czujesz?

Gabriel szybko kręci głową, jakby próbował się ocknąć.

- Tak - mówi. - Jestem gotowy.

Jozue odwraca się od siostrzeńca i ledwie dosłyszalnym szeptem przemawia do grupy mężczyzn. Poucza ich, że mają czekać, a on tymczasem wyjdzie na dwór i sprawdzi, czy wszystko jest w porządku. Zamyka za sobą drzwi, oni zostają

w rozjaśnionym świecami pokoju. Wyczerpani mężczyźni z lekkim zdziwieniem spoglądają po sobie, lecz żaden nie ośmiela się odezwać. Po chwili do pokoju wpada Jozue i każe wszystkim iść za sobą. Jeden po drugim mężczyźni staczają się ze schodów, a wybiegając w noc, słyszą w oddali salwy karabinowe. Jozue wskazuje ciężarówkę, poleca mężczyznom szybko wrzucić tobołki z rzeczami osobistymi i wleźć do środka.

- Połóżcie się płasko i zachowajcie ciszę.

Gabriel wspina się ostatni, ledwie zaś znajduje skrawek podłogi, na którym mógłby się położyć, przytłacza go ciężar grubego brezentu, narzuconego na ciężarówkę i mocno przywiązanego do jej boków. Kiedy silnik ożywa z rykiem, Gabriel zdaje sobie sprawę, że dla nich, związanych jak ładunek, pierwsza część podróży nie będzie przyjemna. Czuje wilgoć spoconych ciał innych mężczyzn, ale nie rozróżnia, kto go przygniata ramieniem czy nogą. Ciężarówka rusza wąskimi ulicami miasta, kołysząc się na prawo i lewo, a silnik dopiero po jakimś czasie łapie swój regularny rytm, co pozwala się domyślić, że wyjechali na szosę. Znużenie zaczyna brać górę nad ciałem, lecz nagle obrazy matki i biednego Feliksa zaludniają strudzony umysł Gabriela. Wie, że jeśli ma wrócić do życia, nie wolno mu się zastanawiać nad tym, co było. Sentymenty są wykluczone. Pędzi szosą na oślep, świadomy, że przy odrobinie szczęścia wkrótce zapomni o przeszłości i że z każdym haustem smrodliwego powietrza, wdychanego pod ciężkim brezentem, życie unosi go dalej od tego koszmaru, do nowego miejsca i nowego początku.

Otwiera oczy. Zawisł nad nim smród. Próbuje się poruszyć, ale obie ręce i nogi ma przywiązane. Nad nim znajduje się drugie łóżko, pełniące funkcję sztucznego sufitu. Głowa nie ciąży mu na ramionach i jest ciekaw, jak długo spał. Przypomina sobie wysokiego chudego lekarza ze

strzykawką, układanie na pryczy, leżącego na podłodze Saida, któremu nikt nie udzielił pomocy. Kątem oka widzi, że zabrano ciało jego przyjaciela. Pozostał natomiast zapach, Gabriel kaszle, od razu jednak odczuwa suchość w zachrypniętym gardle, więc woła.

- Poproszę o wodę. - Głos ma zadziwiająco słaby. Mężczyzna z sąsiedniej celi odkrzykuje:

- Zamknij gębę, ty szumowino.

Gabriel czeka, lecz po dłuższej chwili nie może już znieść pragnienia.

- Proszę, muszę się napić wody.

W oddali słyszy telewizor i wie, że nocny dozorca siedzi z nogami na biurku. Wie również, że ten trudny człowiek ruszy się dopiero wtedy, kiedy zbyt głośne żądania nie pozwolą mu się odpowiednio skupić. Gabriel zamyka oczy, starając się nie myśleć o pragnieniu, ale po paru minutach słyszy, jak otwierają się drzwi celi, więc odwraca głowę i widzi nocnego dozorcę z jedzeniem i plastikową filiżanką na metalowej tacy. Dozorca stawia tacę, przy czym rozlewa trochę słabej herbaty. Pochyla się i zaczyna rozwiązywać Gabriela.

- Cholernie tu śmierdzi, co? - Cofnąwszy się, patrzy na Gabriela, który rozciera nadgarstki i kostki, żeby przywrócić normalne krążenie krwi.

- Jak skończysz jeść, zabiorę tacę.

Gabriel siada na brzegu łóżka, lecz dopiero po wyjściu tamtego z celi pochyla się, bierze tacę i stawia sobie na kolanach.

- Ty pieprzony zwierzaku. Nie wiem, po co cię karmią.

Nie zważając na mężczyznę zza ściany, Gabriel możliwie szybko wpycha do ust biały chleb z dżemem. Niebawem chleb znika, a on przestaje odczuwać głód, natomiast szalone pragnienie wciąż pali go w gardle. Po dopiciu herbaty wolno wstaje i podchodzi do drzwi celi, skąd widzi na końcu

korytarza odwrócony tyłem telewizor i nogi mężczyzny na biurku.

- Panie Collins, poproszę o trochę wody.
- Napij się własnych sików. Przecież pijecie je w dżungli.
- Sąsiad z celi obok śmieje się ze swojego dowcipu.

Gabriel nie odpowiada, tylko w skupieniu obserwuje nieruchome nogi dozorczy i migoczący odbłask telewizora na ścianie, po czym odwraca głowę od tego dziwnego kina i wchodzi na górną pryczę. Kładzie się płasko na wznak, ale uprzytamnia sobie, że skoro tak go przywiązali, sam wolałby przybrać inną pozycję. Przewraca się na bok, dzięki czemu odczuwa większy luz i leży zwrócony twarzą do drzwi, żeby zobaczyć, kto wchodzi do celi. Po jedzeniu jednak znów jest zmęczony, więc zamyka oczy i wkrótce wpada w otępienie.

Kiedy dzienny upał ustępuje miejsca odgłosom nocy, Gabrielowi zaczyna dokuczać pełny pęcherz i zimno. Ciężarówka wreszcie się zatrzymuje i kilkunastu mężczyzn może się wydostać spod brezentu. Złazą na ziemię, załatwiają swoje potrzeby, rozglądając się dookoła, ale chyba nikt nie wie, gdzie właściwie są. Gabriel już się odlał i siedzi z wujem na poboczu ciemnej drogi, wpatrzony w gwiazdziste niebo. Jozue pyta siostrzeńca, czy ktoś w grupie wyrażał zaniepokojenie, lecz Gabriel go informuje, że mimo trudnych warunków nie słyszał z ust mężczyzn żadnych narzekań. Po nocnym postoju, trwającym nieco ponad godzinę, na horyzoncie pokazuje się światło, a mężczyźni raz jeszcze zostają zapędzeni na ciężarówkę i ukryci pod mocno naciągniętym brezentem. Temperatura stopniowo się podnosi, drugiego dnia doskwiera tak nieznośny upał, że Gabriel wycina w brezencie dwa otwory, aby wpuścić więcej powietrza, następnie zaś poddaje się monotonnemu, niemiłemu rytmowi podróży.

Kiedy po dniu przychodzi kolejna noc i Gabriel przestaje się bać, że mężczyźni nie zniosą dalszej jazdy pod brezentem, ciężarówka raptownie hamuje. Nastawiwszy ucha, Gabriel słyszy rozmowę wuja z mężczyznami o gniewnych głosach. Wieki upływają, zanim ktoś wreszcie ściąga brezent i zachęca żywy ładunek do zejścia na ziemię. Gabriel natychmiast odgaduje, że ten postój oznacza zakończenie pierwszego etapu podróży, bo przyjechali na obrzeże lotniska, w oddali zaś stoi duży samolot. Gabriel, na chwilę zapominając o głodzie i pragnieniu, osłupiały wpatruje się w samolot, pierwszy namacalny dowód, że opuści swój kraj. Przeciąga zdrętwiałe kończyny i spogląda na wuja, który rozmawia z dwoma mężczyznami, ubranymi po wojskowemu. Jozue coś do nich mówi, a oni, jakby byli spóźnieni, biegną do swojego dżipa i z rykiem gnają po asfalcie w kierunku parterowego dworca lotniczego. Za nimi podnosi się tuman kurzu, kiedy zaś znikają z pola widzenia, Jozue podchodzi do ciężarówki, gotów przemówić. Gabriel ustawia się obok wuja i wraz ze swoimi towarzyszami czeka na informację o tym, jak potoczą się ich losy.

- Tamten samolot zabierze was do Europy. - Jozue pokazuje go, ze znużeniem unosząc ramię. - Ale konieczny jest pośpiech, ponieważ musi odlecieć w ciągu godziny.

Gabriel ze zdziwieniem słyszy własne słowa:

- A co się z nami stanie w Europie?

Jozue zwraca się do niego, świadomy, że siostrzeniec zadał pytanie, które nurtuje większość z nich.

- Powiem wam na miejscu, bo lecę z wami. Gabrielowi usta same otwierają się ze zdziwienia, lecz nie zdąża zadać następnego pytania, gdyż wuj mówi dalej:

- Kiedy dotrzemy do Europy, poinformuję was, jaki jest następny etap, i będziecie mogli iść ze mną, jeśli zechcecie.

Jeśli natomiast postanowicie działać na własną rękę, ja to uszanuję.

Przez kilka chwil Gabriel wpatruje się w siwowłosego wuja, który w końcu przerywa milczenie. Zwraca się do kierowcy ciężarówki:

- Mamy jeszcze wodę? - Ten potakuje, a Jozue mówi: - Wydadz wodę, niech wszyscy się napiją i wracają do ciężarówki, bo trzeba ruszać.

Kierowca kolejno podaje im tykwę z wodą, a tymczasem Gabriel łapie wuja za ramię.

- Wszystko w porządku?

Dopiero rozejrzawszy się dookoła, Jozue udziela odpowiedzi.

- Była kolejna masakra, Gabrielu. Nie mogę wrócić.

- A twoja rodzina? - pyta Gabriel.

Jozue kręci głową i obaj mężczyźni patrzą sobie w oczy.

Ledwie ciężarówka wjeżdża w cień samolotu, kilkunastu ludzi złazi z niej i staje na asfalcie. Zbici w gromadkę, czekają niecierpliwie, wszędzie dookoła zaś mężczyźni z wielkimi karabinami wykrzykują do siebie instrukcje w niezrozumiałym dla Gabriela języku. Jozue podnosi głos, żeby go słyszano.

- Tędy. Teraz musimy się śpieszyć.

Pierwszy wchodzi na przystawione do samolotu schodki. Na najwyższym stopniu Gabriel się odwraca i spogląda w dół na parterowy terminal, na słabo oświetlony pas startowy i na ciemny busz, rozpościerający się w każdą stronę, jak daleko okiem sięgnąć. W tym momencie przepycha się obok niego jeden, potem drugi mężczyzna i Gabriel zdaje sobie sprawę, że nie powinien zwlekać. Już w środku spostrzega ze zdumieniem około setki mężczyzn i kobiet, siedzących na podłodze i plecami opartych o ściany. W samolocie nie ma foteli, a jego wnętrze przypomina Gabrielowi długi, rurowaty



magazyn. Ci, którzy nie zdołali się ulokować pod ścianą, przykucnęli niezdarnie.

Ze swojego miejsca Gabriel może wyglądać przez jedno z okrągłych okienek, ale widzi jedynie czerń. Samolot wkrótce wyrównuje i odgłos silników zamienia się w monotony warkot. Gabriel zaczyna marznąć. Ogrzewa się przy wuju i próbuje zasnąć, ilekroć jednak zamyka oczy, coś mu każe je otworzyć, bo wie, że do zachowania ciepła potrzebna jest koncentracja. Obok widzi mężczyznę z jedną nogą i kikutem zawiniętym w brudną niebieską szmatę. Mężczyzna wyraźnie cierpi, oczy ma pełne łez, lecz Gabriel odwraca wzrok i wyobraża sobie, jak samolot równiutko przecina chmury nad rozpostartym w dole kobiercem buszu, potem piasku, a wreszcie wody.

Głośny wstrząs, spowodowany dotknięciem kół do asfaltu, budzi Gabriela i rzuca wujowi na kolana. W światłach pasa startowego, które przelatują do tyłu i na krótko rozjaśniają wnętrze samolotu, odzyskujący równowagę Gabriel widzi, że część kobiet i mężczyzn, włącznie z jego wujem, wygląda na chorych. Delikatnie popycha Jozuego, a ten się odzywa, choć oczy ma zamknięte.

- Dobrze się czuję, Gabrielu. Wszystko w porządku. -  
Głos ma jednak słaby.

Gabriel schodzi za wujem po stopniach i zanurza się w ciepłym powietrzu. Jest noc, w oddali jarzą się światła wielkiego miasta. Już po zejściu na płytę Gabriel zauważa, że wuj nie zdoła pokonać na piechotę odległości dzielącej ich od dużego terminalu. Nieogolony biały mężczyzna podaje każdemu z nich papierowy kubek z wodą i uważa, żeby nikomu nie dostało się więcej. Duszką wypijają wodę, kubków natomiast nie wypuszczają z rąk, chyba niepewni, co robić dalej. Kilkunastoosobowa grupa Jozuego, która przed dwoma dniami rozpoczęła podróż pod brezentową płachtą,

narzuconą na ciężarówkę, trzyma się razem. Jakby posłuszni wewnętrznemu nakazowi, inni pasażerowie też połączyli się w dawne grupy i teraz wszyscy stoją bezczynnie w cieniu olbrzymiego samolotu, którym przylecieli z Afryki. Zaczyna się podnosić kurz i Gabriel z niepokojem obserwuje pędzący ku nim sznur autobusów, nie wiadomo, czy wrogich, czy przyjaznych.

Wszyscy nowi imigranci, przewiezieni autobusami do terminalu, muszą przejść przez wąskie drzwi i minąć mężczyzn z karabinami i wyrazem lekceważenia na twarzach. W budynku panuje duchota. Jozue, oddaliwszy się od swoich towarzyszy, podchodzi do białego mężczyzny w mundurze, najwyraźniej kierującego całą operacją. Gabriel nie spuszcza wuję z oczu i usiłuje odgadnąć, co się dzieje, ale dopiero kiedy ten wraca i zbiera swoich ludzi wokół siebie, staje się jasne, jaki będzie następny etap. Jozue z podniesioną do ust ręką mówi, że przejdą do pomieszczenia, gdzie będą mogli się umyć, po czym tymi samymi autobusami dojadą do miejsca, skąd łodzią odbędą krótką podróż przez wodę. Wylądują już w Europie i pociągami udadzą się do Francji, stamtąd zaś do Anglii. Jozue przypomina, że po przeprawie przez wodę każdy może ruszyć, gdzie zechce. Jozue milknie, a ponieważ nikt się nie odzywa, dodaje, że muszą się pośpieszyć, aby przed wschodem słońca przepłynąć na drugi brzeg i wsiąść do pociągu.

Ledwie Gabriel zdążył zdjąć i ułożyć na ławce ubranie, a biały mężczyzna już krzyczy i kuksańcem popycha go w stronę potężnego strumienia lodowatej wody. Inni zagnani do mycia z wrzaskiem pędzą po swoją odzież, większość jednak, chyba wdzięczna za wodę, usiłuje wypić, ile zdoła. Gabriel szybko przebiega przez strumień i choć nadal jest mokry, wciąga na siebie ubranie. Podczas przejazdu przez miasto widzi z autobusu wysokie budynki, których okna na parterze

są na ogół pozabijane deskami, na wyższych piętrach otwarte, ale choć powiewają w nich firanki, nigdzie nie widać żywej duszy. Większą uwagę zwraca jednak na neonowe błyski stacji benzynowych oraz krzykliwą czerwień i zieleń napisów. Inni mężczyźni też gapią się na światła, stwarzające odświeżony nastrój, lecz zmęczeni kładą głowy na oparcia siedzeń przed sobą albo chowają je w spotniałych, złożonych dłoniach.

Choć zgodnie z wyobrażeniem Gabriela podróż miała być krótka, chyba już całe wieki tłuką się tak po nocy. Za oknem widać wąskie wiejskie drogi, a po obu ich stronach z rzadka stojące domy. Wyczerpany Jozue opiera się o siostrzeńca, głowa mu podskakuje, a on sam kiwa się z boku na bok jak lalka. Niemyte ciało biedaka śmierdzi, więc Gabriel ze wstydem się od niego odwraca. Tymczasem silnik zaczyna warkotać inaczej, autobus zwalnia i w końcu się zatrzymuje. Gabriel potrząsa wujem, żeby go obudzić. Jozue wydaje się zażenowany, że spał.

- Czy to tu przesiadamy się na łódź?

Jozue przeciera oczy i wstaje w milczeniu. Idzie na przód autobusu pomówić z kierowcą.

Gabriel dalej wygląda przez okno. Widzi mały pomost i przycumowaną do niego łódź. A za wodą niską linię świateł, co wskazuje, że są nad bardzo szeroką rzeką. Jego towarzysze podróży budzą się kolejno, przeciągają, po czym też zaczynają patrzeć na wodę i odległy ląd. Gabriel znów zwraca oczy na wuja, który wciąż rozmawia z kierowcą. Dyskusja staje się coraz głośniejsza, w końcu Jozue, gniewnie gestykułując obiema rękami, rusza przejściem. Po powrocie na swoje miejsce zwraca się do Gabriela:

- Musimy poczekać na inne autobusy. Gabriel robi zdziwioną minę.

- Jak długo mamy czekać?

- W tym sęk, że nie wiadomo.

- A jeśli nie przyjadą?

Jozue zbywa pytanie milczeniem.

W łodzi Gabriel siedzi blisko wuja, skulony, bo zimny wiatr porywa kropelki wody i smaga ich twarze. Gabriel obserwuje niewyraźną linię, jaką słaby silnik kreśli na rozświetlonej księżycem wodzie, linię zanikającą szybko, zacieraną przez niskie fale, tak że nie pozostaje po niej żaden ślad. Obciążona łódź sunie powoli, mozolnie, Gabriel zaś słucha stłumionego szeptu wody, prowadzącej ze sobą rozmowę. Tu, na tej ciemnej rzece, pełnej odbitych w niej gwiazd, coraz silniejszy wiatr może stać się dokuczliwy i Gabriel czuje, jak kolejne dreszcze wstrząsają jego szczupłym ciałem. Nad nimi niebo zaczyna tracić czarny odcień, lecz nic jeszcze nie zapowiada świtu. Gabriel wpatruje się w linię brzegową z coraz bliższą wstęgą światła, gdy silnik milknie, a łódź zaczyna dryfować. Na dziób wskakuje bosy chłopak, po czym rzuca linę niechlujnym mężczyznom na nabrzeżu, których papierosy szczególnie jasno żarzą się w półmroku. Teraz chłopak schodzi na ląd. Gabriela bolą oczy, źrenice ma jakby skurczone, za małe, niezdolne pomieścić blasku nadchodzącego dnia. Stopniowo jednak uczucie ulgi rozlewa się w jego pustym żołądku. To jest Europa. Potykając się ze znużenia, imigranci wychodzą na brzeg, zmęczeni, głodni i zdeorientowani.

Jozue stoi w drzwiach ciasnego przedziału kolejowego i tłumaczy wszystkim, że w żadnym wypadku nie wolno podnosić plastikowych zasłonek na oknach. Później prosi, żeby Gabriel wyszedł z nim na korytarz. Gabriel martwi się, że na pewno straci tak pożądane miejsce przy oknie, lecz Jozue cierpliwie czeka, aż siostrzeniec wstanie. Na korytarzu Gabriel widzi stojącego w każdym końcu wagonu umundurowanego mężczyznę z karabinem.

- Dopóki nie znajdziemy się we Francji, ty będziesz za nich odpowiedzialny. - Wuj wściekle drapie się po siwej głowie. - Nikomu nie wolno wchodzić ani wychodzić, chyba że do toalety. I tylko za twoją zgodą. Celnicy zostali opłaceni, lecz nie chcą nas widzieć.

Gabriel potakuje. Ponieważ w armii powstańczej był majorem, świadomy tego Jozue niewątpliwie zakłada, że umie wydawać rozkazy i zmuszać ludzi do posłuchu. Gabriel wie natomiast, że czym innym jest wydawanie rozkazów, a czymś zupełnie innym zmuszanie do posłuchu.

Po powrocie do przedziału musi się wcisnąć na ławkę, bo zgodnie ze swymi przewidywaniami stracił miejsce przy oknie, a wszyscy rozsiedli się wygodniej. Tłumaczy im, że będą musieli spędzić w tym przedziale dwa, może trzy dni. Podczas postoju nikomu nie wolno wychodzić na korytarz i pod żadnym pozorem wyglądać przez okno. Słuchają, jak mówi, że będą przejeżdżać przez Włochy, po czym dotrą do Francji, skąd podróż do Anglii będzie już stosunkowo krótka. Chociaż wszyscy słuchają z uwagą, Gabriel czuje się dość niezręcznie w nowej roli przywódcy, więc milknie, ledwie powiedział to, co musiał.

Spogląda na młodą kobietę w kącie. Była w innej grupie, ale widocznie miała trudności ze zrozumieniem, co tamci mówią, bo nie знаła ich języka. W łodzi usłyszała, jak mówią ludzie Jozuego, i uznała, że oni mogliby jej pomóc. Gabriel zerka ukradkiem na tę skromną piękność o dużych migdałowych oczach, zawiniętą w tkaninę, która przytrzymuje tobołek ze śpiącym dzieckiem. Kobieta podnosi oczy i napotyka wzrok Gabriela, więc on szybko spuszcza powieki i wsłuchuje się w stukot pociągu. Czuje, jak głowa zaczyna mu się kiwać, lecz stara się myśleć o tym, co zrobi po zakończeniu podróży, już w Anglii. Parę godzin później otwiera oczy i widzi, że z wyjątkiem kobiety wszyscy

pasażerowie śpią. Ona karmi niemowlę piersią, a czując na sobie wzrok Gabriela, spogląda na niego. Mimo chwilowego zakłopotania i przeświadczenia, że przyzwoitość nakazywałaby się odwrócić, Gabriel tym razem nie przestaje patrzeć. Jest zdziwiony, bo kobieta go ignoruje.

Rano, nie budząc innych, Gabriel wstaje ze swego miejsca, odsuwa drzwi i wychodzi na korytarz. Tam, przez częściowo zasłonięte okna, widzi, że pociąg sunie przez coś, co wygląda na pastwiska. Jozue siedzi na podłodze, plecami oparty o ścianę przedziału, więc rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na umundurowanych mężczyzn z prawej i lewej strony, Gabriel siada obok niego.

- Jak długo jeszcze?

- Nagle straciłeś cierpliwość? - Gabriel milczy, więc wuj mówi dalej: - Czy mężczyźni zaczynają się denerwować? O to chodzi?

Gabriel ogląda się za siebie i szepcze:

- Co robi wśród nas ta kobieta?

- Mój siostrzeńcze - odpowiada Jozue z uśmiechem - każdy wyjeżdża, bo szuka lepszego miejsca. Czy ona sprawia kłopoty?

- Nie, nie - szybko zapewnia Gabriel. - Nie wiem, co myśleć o dziecku.

- A czy dziecko to twoja sprawa?

- Oczywiście, że nie.

Jozue chichocze cicho.

- Ta kobieta, Gabrielu, nie byłaby tutaj z nami, gdyby nie umiała się zatroszczyć o siebie i dziecko. Nie martw się o nią. Mamy dość własnych kłopotów.

Gabriel zwraca się twarzą do wuja.

- Co to znaczy?

- Jedziemy tylko do Paryża. Ci ludzie mówią, że jeśli chcemy się przedostać do Anglii, będziemy musieli zrobić to na własną rękę.

- Przecież zapłaciliśmy za przejazd do Anglii. I tam nas mają zabrać.

Jozue kręci głową.

- Mówią, że mogą nas zawieźć do jakiejś miejscowości na francuskim wybrzeżu, skąd możemy podjąć próbę przedostania się do Anglii tunelem. Ale przeprawa jest pilnie strzeżona.

- Przecież Francuzi nie dadzą nam papierów. - Gabriel znowu spogląda na strażników w dwóch końcach korytarza, a następnie na wuja. - Nie możemy zostać we Francji.

- We Francji przynajmniej nas nie pozabijają.

Gabriel wpatruje się w wuja i rozumie, że to koniec rozmowy. Ma wrócić do przedziału i w odpowiedniej chwili poinformować pozostałych. Jozue zamknął zmęczone oczy, głowa zaczyna mu opadać na piersi.

Gabriel budzi się po południu i widzi, że zasnął wbrew woli. Nikt w przedziale nie śpi, wszystkim wyraźnie doskwiera upał. Gabriel patrzy na nich i postanawia zaraz przekazać otrzymaną od wuja wiadomość. Wysłuchawszy jej, niektórzy zaczynają podnosić głosy, bo oczywiście się zawiedli, lecz Gabriel namawia ich do zachowania spokoju. Zapewnia, że w Paryżu jest wielu Afrykanów i znajdą ludzi, którzy im pomogą. Wie jednak, że prawie wszyscy w przedziale chcą jechać do Anglii i że żadne jego słowa nie osłodzą rozczarowania. Wiadomość o pozostawieniu ich we Francji staje się tematem ożywionych rozmów, lecz kobieta nie ma chyba nic do powiedzenia. Do wieczora, podczas gdy pociąg wolno pruje przez Europę, Gabriel ukradkiem przygląda się tej pięknej kobiecie i jej dziecku.

Przestraszony wrzaskiem mężczyzny Gabriel siada prosto, jakby kij połknął.

- Zabierzcie ode mnie te pieprzone łapy.

Gabriel mruga szybko i rozgląda się dookoła. Dobiegający z sąsiedniej celi hałas wskazuje na bójkę. Rozlega się głośny łomot, po czym mężczyzna wydaje jeszcze jeden okrzyk, tym razem na pół stłumiony, jakby ktoś wpychał mu do ust szmatę.

- Dranie.

Gabriel złazi z górnej pryczy i podchodzi do krat. Dwaj policjanci wloką jego sąsiada korytarzem. Kiedy znikają z pola widzenia, Gabriel siada na dolnej pryczy, słyszy burczenie swojego żołądka, więc wstaje, znów podchodzi do drzwi i woła do dziennego dozorczy:

- Proszę, jestem głodny. - W braku odpowiedzi czeka parę minut, po czym woła: - Proszę, jestem głodny i potrzebuję wody. - Prawie natychmiast słyszy poirytowany głos.

- Dobra, za minutę zrobię z tobą porządek, okej? Gabriel wraca na dolną pryczę i napawa się ciszą.

Dziennego dozorczy nie zna tak dobrze jak nocnego, lecz martwi się, że ten żywi do niego jakąś skrytą urazę. Ponieważ jednak nie ma na to żadnego wpływu, dalej siedzi i wodzi po zębach językiem. Marzy o kawałku gumy do żucia. W domu lubił ją wydlubywać palcem ze szpar między dolnymi zębami, ale już od dawna był jej pozbawiony. Podnosi wzrok i widzi dozorcę z tacą w jednej ręce, drugą próbującego otworzyć drzwi. Przypuszcza, że kiedy krzyczał, taca musiała już być przygotowana. Drzwi się otwierają, więc wstaje, bierze ją i dziękuje. Krępy dozorca lekkim skinieniem głowy reaguje na tę oznakę szacunku, po czym szybko znika. Ledwie Gabriel zdążył ugryźć parę kęsów, znów się pojawia pod drzwiami. Patrzy na Gabriela jak na zwierzę w zoo, wreszcie jednak się odzywa:

- Masz gościa. Powinieneś teraz wyjść.



Gabriel odstawia tacę na łóżko i pośpiesznie przełyka to, co ma w ustach. Dozorca czeka, a kiedy Gabriel podchodzi do drzwi, wskazuje na tacę.

- Nie możesz jej tu zostawić. Będziesz musiał mi ją zwrócić.

- Przecież zjadłem dopiero połowę i nie wypilem wszystkiego.

- Trudno. Albo zostaniesz tu i skończysz, albo zobaczysz się z gościem. Nie możesz zrobić dwóch rzeczy naraz.

Gabriel się waha.

- Nie mogę tu sterczeć cały dzień - syczy dozorca. Gabriel nie ma wyboru, musi wziąć tacę i wynieść ją na korytarz. Dozorca zatrzaskuje i zamyka na klucz drzwi celi. Odchodząc, Gabriel zagląda do pustej celi obok. Ktoś śpi tylko na dolnej pryczy, na górnej leży goły materac. Drzwi są uchylone. Dozorca z uśmiechem spogląda na Gabriela.

- Chcesz, żeby wrócił, co? - Bawi go własny dowcip. - Założę się, że nie odczuwasz jego braku, prawda?

Choć Gabriel nie odpowiada, dozorca nie przestaje się śmiać, kiedy prowadzi go obok telewizora, ustawionego na brzegu biurka.

- Tu. - Wskazuje wolne miejsce na biurku. - Postaw ją tutaj. Jeśli chcesz, możesz wziąć wodę, ale z tacą się pożegnaj.

Gabriel bierze plastikowy kubek z wodą, łyka ją jednym haustem i rękawem wyciera usta.

- Proszę - mówi.

Dozorca przystaje i spogląda na niego.

- Nie mów mi, że zmieniłeś zdanie. Nie chcesz gości, o to ci chodzi?

- Nie, nie. - Gabriel czuje się niezręcznie. - Chodzi o mojego przyjaciela, Saida, tego, który był ze mną w celi. - Dozorca czeka na ciąg dalszy. - Czy nie mógłbym się skontaktować z jego rodziną? Prosił mnie o to.

Zmieszany dozorca patrzy na Gabriela.

- O co cię prosił?

- Żebym się skontaktował z jego krewnymi. Martwił się o nich. - Dozorca w milczeniu kręci głową. Otwiera drzwi i wprowadza Gabriela do pustego pokoju. - Proszę powiedzieć, co się stało Saidowi? - Dozorca zatrząskuje drzwiami.

- Co mu się stało? - Wybuchają śmiechem. - Jak myślisz, co mu się stało? Umarł i niedługo pójdzie do piachu, gdzie jest jego miejsce.

- Ale trzeba zawiadomić rodzinę. Tego sobie życzył. Dozorca kładzie dłoń na piersi Gabriela i przyciska go do ściany.

- Wydaje ci się, że po tym, co zrobiłeś, masz prawo wiedzieć cokolwiek?

Patrząc mu w oczy, Gabriel odpowiada spokojnie i wyraźnie:

- Mówię tylko, że jestem zmartwiony, bo jego rodzina nie wie, co się stało.

Dozorca puka knykciami w pierś Gabriela.

- Tylko uważaj, komu pyskujesz.

Jeden wpatruje się w drugiego i Gabriel postanawia nie mówić nic więcej, choć się nie boi. Nie tego człowieka.

- Chcesz zobaczyć się ze swoim gościem czy nie?

- Chcę.

Dozorca nie spuszcza z niego wzroku.

- Musimy wspólnie rozwiązać mnóstwo problemów, ty i ja, prawda? - Gabriel odwzajemnia spojrzenie, a dozorca zaczyna się śmiać. - Nie rozumiesz, jakiego piwa sobie nawarzyłeś, co? Kiedy cię już na dobre zapuszczają, koleś, twoje życie zamieni się w piekło.

Dozorca odstepuje na bok i przekręca klucz w kolejnych drzwiach. Z chwilą gdy je otwiera, Gabriel poznaje drobną kobietę w męskich spodniach. Ona i jakiś mężczyzna siedzą

przy zavalonym papierami stole. Ponieważ widzą wchodzących, dozorca zmienia ton.

- No, chodź, czekają na ciebie.

Gabriel go mija i wchodzi do pokoju. Katherine wstaje, wyciąga rękę, a jej twarz nagle się rozpromienia.

- Dlaczego to trwało tak długo, Gabrielu? - Nie czeka na odpowiedź. - To jest Stuart Lewis, który będzie twoim adwokatem.

Mężczyzna się podnosi, wyciągając dłoń.

- Miło mi cię poznać, Gabrielu. Nazywam się Stuart Lewis.

Też jest niewysoki, ma na sobie ciemnogrnatowy garnitur i jaskrawożółty krawat. Przypomina ucznia z tymi swoimi myszatymi włosami i okrągłymi okularkami. Gabriel obserwuje go uważnie, bo spodziewał się zobaczyć kogoś starszego, groźniejszego, a ten Stuart Lewis jakoś nie robi dobrego wrażenia. Gabriel ściska jego dłoń, słysząc za plecami trzaśnięcie zamykanych drzwi. Odwraca się i widzi, że dozorca, z rękami skrzyżowanymi na piersi, wpatruje się przed siebie. Kobieta zauważa, że jego obecność niepokoi Gabriela, więc kładzie mu rękę na ramieniu.

- Nic się nie martw, Gabrielu. Musisz swobodnie, szczerze mówić to, co ci serce dyktuje. Wtedy Stuart będzie mógł ci pomóc w odpieraniu zarzutów.

Stuart Lewis twierdząco kiwa głową, po czym siada. Kobieta puszcza ramię Gabriela, wskazuje krzesło po drugiej stronie stołu i sama zajmuje miejsce naprzeciwko.

- Siadaj, Gabrielu, i zaczynajmy. Nie jestem pewna, ile mamy czasu, ale spróbujmy zrobić możliwie jak najwięcej.

Gabriel siada, Stuart Lewis zaś pochyla się do przodu i pyta:

- Czy mogę ci mówić po imieniu? - Gabriel kiwa głową na znak zgody, a prawnik się uśmiecha, po czym wybucha

głośnym śmiechem. - Cóż, dzięki, nie oplaca się zbytnio spoufalać bez pozwolenia.

Gabriel patrzy na kobietę, też uśmiechniętą, ale nie aż tak wyraźnie. Zwraca uwagę na to, że dziś jej krótkie włosy są zaczesane do tyłu i przewiązane czerwoną wstążką, żeby nie wpadały do oczu.

- Widzisz - podejmuje prawnik - opracuję szczegóły sprawy, żeby dać wytyczne obrońcy, który w odpowiednim czasie wystąpi w twoim imieniu przed sądem.

Gabriel słucha, choć właściwie nie rozumie ani słowa. Patrzy na kobietę, która wciąż się uśmiecha, jakby dla dodania mu otuchy. Stuart Lewis nie traci czasu.

- Muszę ci zadać kilka pytań, a ty musisz na nie odpowiedzieć, jak najlepiej potrafisz. Jeśli nie będziesz pewny, o co pytam, to mi powiedz. Nie masz się czego obawiać, jeśli będziesz mówił prawdę.

Gabriel kiwa głową, lecz nagle czuje na plecach wzrok dozorczy. Kobieta wtrąca się szybko:

- Rozumiesz, Gabrielu?

Gabriel znów kiwa głową. Stuart Lewis zerka na kobietę, która w dalszym ciągu zwraca się do Gabriela:

- Ja tylko robię notatki, żeby w razie pomyślnego rozstrzygnięcia sprawy przedstawić istotne fakty w urzędzie imigracyjnym. Nie przeszkadza ci, że notuję, prawda?

Gabriel nie odrywa od niej oczu.

- Widzisz, będą chcieli wiedzieć wszystko, zanim osądzą, czy powinieneś zostać w tym kraju. A ponieważ sprawa jest bardzo poważna, oprócz pana Lewisa będziesz miał drugiego adwokata.

Gabrielowi zaschło w ustach, nie ma tu jednak wody do picia. Z trudem rozchyła wargi, jakby zlepione klejem.

- Jestem gotów odpowiadać na wszystkie pytania. Nie mam nic do ukrycia.

Kobieta z zadowoleniem kiwa głową, po czym odwraca się i patrzy na Stuarda Lewisa. Ten, odkasłując, poprawia okulary na nosie.

- W takim razie zaczynamy? - Gabriel obserwuje prawnika, który spogląda na zegarek i skrupulatnie zapisuje datę i godzinę. - Ja też będę robił dokładne notatki - mówi Stuart Lewis do kobiety - więc zawsze da się porównać jedne z drugimi. - Zwraca się do Gabriela: - Niestety w takich sytuacjach jak ta nie możemy zabierać ze sobą sekretarek. Moglibyśmy wszystko nagrywać, to jednak nigdy nie jest zadowalające. Wobec tego trochę czasu musimy poświęcić na spisanie wszystkiego i może będę musiał prosić o cierpliwość i powtarzanie różnych rzeczy. - Gabriel patrzy na niego tępym wzrokiem. - W takim razie zaczynajmy. Czy wiesz, którego dnia przyjechałeś do Francji?

- Nie wiem. Podróż trwała długo.

- Możemy się domyślić - mówi kobieta. - To znaczy, patrząc wstecz, możemy w przybliżeniu ustalić datę.

Mężczyzna obrzuca ją spojrzeniem.

- Wiem, ale do sprawy kryminalnej chyba potrzebne są szczegóły. - Znowu pyta Gabriela: - Więc nie masz najmniejszego pojęcia?

Gabriel kręci głową.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak długo byłeś we Francji?

- Parę dni.

- Rozumiem.

Prawnik pisze w bloczku, po czym odzywa się, nie patrząc na Gabriela.

- I nie wyobrażasz sobie, czy parę dni to było trzy lub cztery, albo siedem czy osiem, prawda?

Gabriel przez chwilę się zastanawia.

- Przykro mi. Nie zawsze można było mieć pewność, czy jest dzień, czy noc.

Prawnik pisze dalej i znów się odzywa, nie podnosząc oczu.

- Rozumiem, Gabrielu, lecz jutro będę musiał przedstawić możliwie najlepsze stanowisko obrony i dlatego teraz trzeba ustalić te fakty.

Kobieta kaszle, jakby chciała coś dorzucić, a ponieważ Stuart Lewis kieruje wzrok na nią, wyjaśnia bez zwłoki:

- Częściowo omawialiśmy to już z Gabrielem i jemu bardzo trudno jest coś ustalić, bo doznał urazu psychicznego na krótko przed ucieczką, która uratowała mu życie. - Prawnik patrzy na nią z lekkim zdziwieniem, więc wyjaśnia: - Wiesz, chodzi o wymordowanie rodziny Gabriela. Wywarło silny wpływ na jego pamięć i zdolność przyswajania sobie czegokolwiek, nie mówiąc o takich szczegółach jak dni i godziny. W tej chwili naprawdę nie jest mu łatwo coś sobie przypomnieć.

Prawnik czeka cierpliwie, dopóki kobieta nie skończy, po czym odchyła się na krześle.

- Rozumiem, co mówisz, Katherine, ale ja tylko próbuję ustalić daty. Stanem umysłu zajmę się później.

Kobieta kiwa głową, Gabriel zaś, spoglądając to na jedno z nich, to na drugie, wyczuwa, że są poirytowani. Niewątpliwie nie jest to ich pierwsza sprzeczka i na pewno on dał do niej powód. Stuart Lewis znów na niego kieruje uwagę. Stuka piórem w swój bloczek i mówi powoli:

- A więc, Gabrielu, nie wiesz, którego dnia przyjechałeś do Francji? I nie masz pojęcia, którego dnia przybyłeś tutaj, do Wielkiej Brytanii? Czy moje przypuszczenia są słuszne?

Gabriel potakuje. Znowu zabiera głos Katherine:

- Wciąż ci powtarzam, Stuart, że Gabriel nie może tego wszystkiego wiedzieć, ale opierając się na posiadanych informacjach, możemy zaryzykować ustalenie większości dat i pójść dalej. Nikt nigdy nie zdoła ich zweryfikować, prawda?

To znaczy, nie chcę cię pouczać, jak masz wykonywać swoją pracę, ale czy nie powinniśmy raczej skupić się na sytuacji z dziewczyną, dopóki mamy jeszcze czas?

Stuart Lewis spogląda na zegarek, a następnie zwraca się do Katherine:

- Jak wiesz, doceniam to, że próbujesz pomóc, lecz w sprawach kryminalnych ustalanie faktów jest ważniejsze niż w powództwie cywilnym. Więc jeśli on nie zdoła potwierdzić tych dat, argumenty obrony będą słabsze, czy mu się to podoba, czy nie. - Nie zważając na Katherine i Gabriela, zaczyna pisać w swoim bloczku.

Gabriel obserwuje prawnika, sporządzającego notatki pismem pełnym zawijasów, a potem przenosi wzrok na kobietę, która też pisze. Stuart Lewis chce chyba zwrócić na siebie uwagę, bo podkreśla fragment tekstu dwiema grubymi liniami, odkłada pióro i splata dłonie. Kobieta nie przerywa pisania.

- A teraz, Gabrielu, muszę ci zadać parę pytań o dziewczynę, rozumiesz?

Gabriel kiwa głową, lecz czuje, jak strużki potu zaczynają mu spływać po szyi.

- Rozumiesz, o co pytam, prawda? Gabriel znów potakuje.

- W porządku. Kiedy ją poznałeś?

Choć Gabriel słyszy pytanie, robi przed nim unik, jak bokser przed ciosem. Tępo wpatruje się w prawnika.

- Gabrielu, kiedy poznałeś dziewczynę, tylko to muszę wiedzieć.

Gabriel znów nie dopuszcza do siebie pytania. Katherine pochyla się do przodu.

- Gabrielu, będziesz musiał odpowiedzieć na to pytanie przed sądem, więc równie dobrze możesz odpowiedzieć teraz. Jesteśmy przecież po twojej stronie.

Gabriel patrzy na kobietę, po czym spuszcza oczy. Stuart Lewis bierze to za dobry znak i formułuje pytanie inaczej:

- Powiedz mi, Gabrielu, kiedy poznałeś dziewczynę i dlaczego nawiązałeś z nią rozmowę. Tylko tyle muszę wiedzieć w tej chwili. Resztę możemy uporządkować później, jak już poznam szczegóły.

Gabriel bez słowa podnosi wzrok na prawnika. Oczywiście irytuje go swoim milczeniem, lecz nie umie sobie przypomnieć szczegółów, które mogłyby się na coś przydać. Gabrielowi jest przykro. Krótka ostrzyżona kobieta uśmiecha się do niego, a następnie się pochyla i patrzy mu prosto w oczy.

- Musisz pamiętać, kiedy zobaczyłeś ją po raz pierwszy, Gabrielu? To musi być dla ciebie jasne?

Gabriel spogląda na nią tępym wzrokiem. Czuje, że go zdradziła. Dlaczego już go nie broni?

- Nic z tego. - Stuart Lewis odsuwa bloczek. Zamyka pióro i podnosi teczkę z podłogi.

- Zaczekaj, Stuart. - Katherine chyba się zaniepokoiła, że prawnik tak szybko chce zrezygnować z rozmowy. - Musimy dać Gabrielowi szansę. - Teraz zwraca się do Gabriela: - Pamiętasz przynajmniej jej imię, Gabrielu? Na pewno tyle pamiętasz.

Gabriel patrzy na kobietę i powoli, jak gdyby nagle zrozumiał, że żadnemu z nich nie może ufać, zaczyna kręcić głową. Nie, nie pamięta.

- Nie pamiętasz, jak miała na imię? - pyta Katherine z niedowierzaniem.

Gabriel spogląda na papiery, leżące przed nim na stole. Zastanawia się, co w nich jest i czy to możliwe, żeby wszystkie miały z nim związek. Może jakieś dotyczą innych ludzi? Prawniki zwraca się do Katherine:



- Nic z tego, Katherine. Jeżeli chce się tak zachowywać, musi zaryzykować w sądzie. Ale ja niewiele będę mógł mu pomóc, jeśli sam sobie nie pomoże. - Zaczyna wkładać do teczki papiery, na koniec zostawiając notatnik. Zatrząskuje teczkę, wsadza pióro do wewnętrznej kieszeni marynarki i wstaje. Mówi do Katherine tonem zrezygnowanym, a równocześnie poirytowanym: - No więc tak. Rano podejmiemy ryzyko, prawda?

Katherine przenosi wzrok ze Stuarta Lewisa na Gabriela i znów na Stuarta Lewisa.

- Wiesz co, Stuart? Zostaw mnie na parę minut samą z Gabrielem. To nie potrwa długo.

Prawnik skinieniem głowy wyraża zgodę i nie mówiąc już nic do Gabriela, podchodzi do dozorca, który odstępkuje na bok i otwiera drzwi. Kiedy Stuart Lewis znika z pola widzenia, dozorca znowu zamyka drzwi na klucz i pozostaje „na straży”. Katherine odzywa się po dłuższej chwili:

- Gabrielu, wiem, że to trudne, ale musisz spróbować, naprawdę musisz.

Gabriel milczy. Dozorca odchrząkuje.

- Pięć minut, proszę pani. Tyle niestety ma pani czasu.

Katherine nie zwraca na niego uwagi.

- Mówimy o dziewczynie, Gabrielu. Czy wiesz, o kim mówię?

Gabriel potakuje. Wie, o kim ona mówi.

- Ale nie pamiętasz, kiedy ją poznałeś, tak?

- Nie da się zapamiętać wszystkiego - cichym głosem mówi Gabriel. - To się działo tak szybko. Jestem zdezorientowany.

- Tak, oczywiście, że jesteś zdezorientowany. Kto by nie był? Ale jutro znajdziesz się w bardzo trudnej sytuacji, jeśli nie przypominasz sobie tych rzeczy. Pamiętaj, w tym kraju nie przysługują ci żadne prawa i po prostu mogą cię stąd wydalić.

W najgorszym wypadku możesz na bardzo długo trafić do więzienia, oskarżony w związku z dziewczyną. Jedno i drugie nie jest dla ciebie dobre. Na pewno to rozumiesz.

- Rozumiem. - Po krótkiej przerwie Gabriel mówi dalej: - Czy byłabyś tak dobra i zechciała wysłać list do rodziny człowieka, który siedział ze mną w celi? Prosił mnie o pomoc, zanim odszedł z tej ziemi do nieba.

- Umarł? Jak umarł?

- Umarł w celi i zostawili go leżącego na podłodze jak psa.

Kobieta podnosi oczy na dozorcę.

- Czy to prawda? Zostawiliście tego człowieka w celi ze zmarłym? - Spojrzenie Katherine jest gniewne. - Więc to prawda?

- Będzie pani musiała porozmawiać z szefem. To nie mój interes. Zresztą pani czas się skończył. Musi pani wyjść.

Kobieta znów zwraca się do Gabriela. Wstając, wygładza spodnie.

- Zajmę się tym i poinformuję cię, jeśli będzie można w jakiś sposób skontaktować się z jego rodziną.

Gabriel podnosi się z krzesła.

- Prosił mnie o powiadomienie jego brata. Obiecałem Saidowi, że to dla niego zrobię.

Kobieta wyciąga rękę i kładzie ją na ramieniu Gabriela.

- Wyśpij się w nocy porządnie, a ja zobaczę się z tobą rano. I spróbuj przypomnieć sobie coś o dziewczynie. Im więcej sobie przypomnisz, tym lepiej dla ciebie. Stuart może zachowuje się zbyt bezceremonialnie, ale jest twoją największą nadzieją. - Gabriel potakuje. - Pomyśl o tym, Gabrieli. Musisz przypomnieć sobie coś o dziewczynie. Wszystko się przyda.

Dozorca robi krok do przodu.

- Przepraszam panią, ale czas dawno się skończył.

Katherine zarzuca torebkę na ramię.

- Do jutra, Gabrielu.

Dozorca wskazuje na Gabriela.

- Ty usiądź i czekaj. Zaraz wracam.

Gabriel słyszy przekręcanie klucza, kiedy drzwi się otwierają i znów zamykają. Siedzi w pokoju sam, wpatrzony w pusty stół. Wie, że kiedyś będzie zapewne musiał przypomnieć sobie dziewczynę, ale nie jest gotowy. Jeszcze nie.

Choć za dnia cienka smużka światła pokazuje się wzdłuż brzegu plastikowej zasłony w oknie, teraz panują ciemności. Wszyscy w przedziale śpią, tylko Amma korzysta z okazji, by nakarmić niemowlę, nie narażając się na badawcze spojrzenia mężczyzn. Gabriel szeptem błaga ją o to samo, o co prosi na różne sposoby już prawie godzinę.

- Ależ koniecznie próbuj się dostać do Anglii. Ludzie są tam życzliwi, będziesz miała jedzenie i dach nad głową. Nie jesteśmy mile widziani we Francji. Ja ci pomogę.

Amma słucha i spogląda na dziecko. Po czym mówi, nie podnosząc oczu:

- Dla nikogo nie chcę być ciężarem. Mój mąż powiedział, że jak go zabiją, muszę się nauczyć samodzielności. Mam nikomu nie ufać.

Gabriel sięga do kieszeni kurtki i podaje jej kromkę chleba, którą tam schował. Amma bierze chleb, dziękuje, a Gabriel przygląda się jej, kiedy starannie drobi ułamany kawałek i wkłada okruszki dziecku do buzi.

W otwartych nagle drzwiach ukazuje się zmęczona twarz Jozuego. Gabriel rozumie jego spojrzenie, więc powoli się dźwiga. Ostrożnie, żeby nie obudzić nikogo w przedziale, wymyka się na korytarz i zasuwa za sobą drzwi. Umundurowani mężczyźni nadal pełnią straż w obu końcach wagonu, lecz nie zwracają uwagi na Gabriela i jego wuja.

- Wszystko w porządku? - pyta Gabriel.

- Za godzinę będziemy w Paryżu. Pociąg zatrzyma się przed stacją i wtedy wszyscy muszą wysiąść. Tych, którzy zechcą jechać do Anglii, autobus dowiezie do tunelu.

- I co dalej?

- Wciąż mi powtarzają, że można się przedostać do Anglii. Tyle wiem. - Jozue milknie i spuszcza oczy. - Nie jadę z wami. Jeszcze jedna podróż, tym razem bez tych ludzi. - Kręcąc głową, patrzy wzdłuż korytarza. - Mam dość.

Gabriel wbija w niego wzrok, lecz wie, że okazałby brak szacunku, gdyby się sprzeczał ze starszym człowiekiem.

- Nic nie mów, mój siostrzeńcze. Wracaj do przedziału i bądź gotów. Wszystko dobrze się skończy.

Ale Gabriel już wie, że dla wielu z nich nic nie będzie dobrze. Przez parę ostatnich dni jego wujowi przybyło sporo lat, a i Gabriel czuje, że ma znacznie więcej niż trzydziestkę. Wie, że wbrew zapewnieniom wuja ich podróż w pewnym sensie dopiero się zaczyna. A przetrwają tylko najsilniejsi.

Pociąg staje i Gabriel otwiera oczy. Słyszy, jak ludzie z tupotem pędzą po korytarzu, potem ktoś stuka i znowu w drzwiach ukazuje się zmęczona twarz wuja. Gabriel zrywa się na równe nogi, wszyscy inni też wstają i zaczynają zbierać swoje manatki. Gabriel zajmuje stanowisko tuż przy drzwiach, lecz Jozue tarasuje wyjście na korytarz, którym przepływa nieprzerwany strumień mężczyzn. Wtem zjawia się jeden z umundurowanych strażników i ryczy do Jozuego:

- Teraz!

Jozue odstępkuje na bok, więc Gabriel rusza za umundurowanym mężczyzną w drugi koniec korytarza, wychodzi przez otwarte drzwi i z metalowego stopnia zeskakuje na ziemię. Otrzeprawszy się, staje z boku, gotów łapać następnych, którzy będą skakali. Skaczą jeden po drugim, aż wreszcie ma to zrobić Amma. Gabriel bierze od

niej dziecko, a ona skacze i leci do przodu, lecz chwyta ją dwóch mężczyzn. Po niej wychodzi już tylko Jozue. Rozgląda się dookoła, zanim ostrożnie postawi nogę na stopniu, przez cały czas trzymając się poręczy. Patrzy na siostrzeńca i skacze. Gabriel rusza do przodu, żeby go złapać, lecz Jozue niepewnie się dźwiga i otrzepuje z kurzu. Wskazuje na mężczyznę z karabinem przewieszonym przez ramię.

- Jeśli chcesz jechać do Anglii, musisz iść za nim.

Bez pożegnania z siostrzeńcem zaczyna, utykając, podbiegać do nasypu, wreszcie ześlizguje się z niego i znika. W oddali Gabriel widzi rozlany ocean światła i domyśla się, że to musi być Paryż. Amma cierpliwie czeka, aż on podejdzie do mężczyzny z karabinem albo coś powie, lecz Gabriel milczy. Gdzieś w głębi duszy czuje, że gdyby nie zdołał dotrzeć do Anglii, może jeszcze podjąć próbę zagubienia się wśród tych światła.

Trzy godziny później autobus zatrzymuje się po raz pierwszy. Gabriel przeciera oczy, choć nie mogąc zasnąć, tylko na jakiś czas tracił świadomość. Inni pasażerowie pozasypiali i prawie wszyscy śpią nadal. Gabriel patrzy na Ammę, wyciągniętą na tylnym siedzeniu, z dzieckiem tak szczelnie omotanym fałdami sukni, że jest niewidoczne. Chciałby jej dać trochę wody, lecz w tej chwili kierowca wstaje, otwiera drzwi i obróciwszy się, patrzy na dwudziestu paru pasażerów. Klaskaniem w dłonie i krzykiem osiąga zamierzony cel, bo wszystkich budzi. Potem znów klaszcze i krzyczy jeszcze głośniejszym głosem. Tym razem pokazuje coś, co Gabrielowi wydaje się zapowiedzią świtu. „Idźcie! Idźcie!”. Najwyraźniej zna tylko to jedno angielskie słowo i energicznie się nim posługuje. Ludzie siedzący z przodu zaczynają wstawać i wysiadać. Gabriel upewnia się, że Amma nie śpi, po czym chwiejnie rusza przejściem. Autobus odjeżdża, ledwie zdążyli wysiąść i zobaczyć, że zostali z niego wyrzuceni

gdzieś na francuskiej wsi. Gabriel rozgląda się, na prawo i lewo widzi pola pszenicy, a na wprost wąską polną drogę, niknącą za niedalekim ostrym zakrętem. Towarzysze podróży spoglądają po sobie bezradnie, ale w miarę, jak się przejaśnia, na drugim polu po lewej stronie oczom Gabriela ukazuje się skupisko namiotów z kręto wzbijającymi się w powietrze pióropuszcami dymu.

Gabriel lustruje wzrokiem grupę znużonych ludzi, widzi wiele obcych twarzy, słyszy języki, których nie zna, i orientuje się, że chyba został obrany na przywódcę. Choć pragnie osłaniać Ammę, nie chce nadawać temu układowi formalnego charakteru, więc postanawia bez słowa odejść w kierunku namiotów. Przełazi przez dziurę w żywopłocie, przytrzymując palcami gałęzie, żeby nie podrapały go ciernie, i wychodzi na najbliższe pole. Teraz, kiedy zrobiło się jaśniej, widzi, że jest brązowe i że wszystkie pola dookoła mają kolor skrzepniętej krwi. Grunt pod stopami jest wilgotny, jakby po niedawnym deszczu. Dopiero gdzieś na środku pola Gabriel decyduje się odwrócić i zobaczyć, czy ludzie za nim idą. Jeden po drugim wyleźli przez dziurę w żywopłocie na błotniste pole i ciągną za nim gęsiego jak grupa pielgrzymów.

Na skraju pola Gabriel przełazi przez kolejną dziurę, przez którą łatwiej się przecisnąć, bo dostępu do niej nie bronią kolce ani jeżyny. Widzi mężczyznę w białym płaszczu i czarnych butach, idącego mu naprzeciw przez szmat błotnistej ziemi. Mężczyzna nie wygląda na zagniewanego czy nieprzyjaznego i Gabriel natychmiast wyczuwa w nim osobę urzędową. Zbliżywszy się, mężczyzna zaczyna powoli mówić po angielsku, a dla Gabriela staje się jasne, że nie jest rodowitym Anglikiem.

- Ilu was jest?

Gabriel ogląda się za siebie.

- Nie mam pewności.

- A ci, co was wyrzucili na drodze, oczywiście odjechali?  
Gabriel potakuje.

- Jest was więcej?

Gabriel nie rozumie, więc się waha.

- Jest was więcej we Francji?

- Tak, w Paryżu.

- Ilu? Stu? Dwustu?

- Nie, nie - zaprzecza kategorycznie Gabriel. - Może stu, ale oni tu nie przyjadą.

- Cóż, to dobrze - odpowiada mężczyzna z głośnym westchnieniem. - Prawda jest taka, że więcej nie możemy przyjąć. Trudno będzie już z waszą gromadą.

Gabriel milczy i razem z nim czeka, aż zbierze się cała grupa. Potem mężczyzna prowadzi ich do dużego namiotu, który na lekkim wietrze wydaje się jakiś chwiejny. Klapy u wejścia hałasują, na co mężczyzna nie zwraca uwagi. Wprowadza ich do środka i pokazuje puste łóżka polowe w odległym kącie.

- Trochę ludzi odeszło wczoraj wieczorem i chyba nie wróci. Proszę, odpocznijcie, a później dostaniecie jedzenie.

Gabriel rozgląda się po namiocie, dookoła widzi apatię i nędzę, ludzi albo leżących na łóżkach, albo ze skrzyżowanymi nogami siedzących na podłodze. Posępnie patrzą na nowych imigrantów, jak gdyby zaciekawieni, skąd się tu wzięli. Gabriel, nie zważając na ich wścibskie spojrzenia, przygląda się świeżo zwolnionym miejscom. Te liche płócienne łóżka o cienkich metalowych ramach wydają się zbyt delikatne, żeby mogły udźwignąć ciężar dorosłej osoby. Gabriel podchodzi do Ammy i prowadzi ją do pierwszego łóżka, które okazuje się zaskakująco mocne. Większość pozostałych mężczyzn porusza się wolno, paru jednak o coś się kłóci i pędzi, żeby zdobyć dla siebie miejsce. Gabriel milczy, tylko wzrokiem wyraża niezadowolenie. Potem znów spogląda na Ammę,

która już znalazła szorstki koc i leży zwinięta dookoła swojego dziecka. Gabriel kładzie się na sąsiednim łóżku, zamyka oczy i szykuje się do snu, gdy wtem słyszy hałas. Szybko otwiera oczy i widzi stojącego nad nim mężczyznę w grubych okularach, z gęstą czupryną na głowie.

- Proszę posłuchać. - Mężczyzna strzela oczami na wszystkie strony. - Zabiorę was do Anglii, ale musicie szybko się zdecydować. Mogę zabrać tylko troje.

Gabriel siada i patrzy na niego z niedowierzaniem. Zakłada, że to Francuz, bo ma taki sam akcent jak człowiek, który wprowadził ich do obozu, a jego sposób mówienia i gesty świadczą o dzikiej energii.

- Przyjdę po was wieczorem, kiedy zrobi się ciemno. W tym miejscu zaczekamy na noc.

Gabriel wciąż mu się przygląda, ciekawy, dlaczego to on został wybrany.

- Oczywiście potrzebuję pieniędzy.

- Nie mam pieniędzy.

- Ja mam - odzywa się Amma cichym, lecz stanowczym głosem.

Mężczyzna odwraca się do niej i mówi szybko:

- Potrzebuję po dwieście dolarów amerykańskich od osoby.

Gabriel patrzy na dziecko.

- Ale nie od dziecka.

- Za was dwoje i dziecko czterysta dolarów.

Gabriel spogląda na Ammę, po czym zwraca się do mężczyzny:

- Proszę nam dać parę minut na rozmowę.

- To dobra cena - zapewnia mężczyzna. - Zaczniecie nowe życie, nawiążecie nowe przyjaźnie i zapomnicie o swoim śmierdzącym kraju. W Anglii dostaniecie wszystko. Żywność, odzież, mieszkanie. Będziecie żyć po królewsku.



- Poproszę o parę minut - powtarza Gabriel.

Mężczyzna wzrusza ramionami i niechętnie odchodzi w stronę wejścia do namiotu. Amma odzywa się pierwsza:

- Jesteś zły na tego człowieka, prawda?

Gabriel kręci głową.

- Nie, ale nie mogę przyjąć pieniędzy od ciebie. Musisz je zatrzymać dla siebie i dziecka. Przedostanę się jakoś do Anglii i tam się spotkamy.

- Na pewno?

- Pójdę z tobą dziś wieczór i upewnię się, że ten człowiek cię nie oszukał.

Zniecierpliwiony mężczyzna wraca jak na zawołanie.

- No?

- Tylko kobieta i dziecko.

Mężczyzna chyba się nie przejął, a teraz patrzy na Ammę spod przymrużonych powiek, jakby trudno mu było skupić na niej wzrok.

- Przyjdę po ciebie po zmroku. Jeśli masz dowody tożsamości, to je wyrzuć, żeby nie mogli odesłać cię z powrotem. I grubo się ubierz, bo bywa zimno.

Po tych słowach odwraca się i szybko wychodzi z namiotu.

Kiedy światło zaczyna szybko gasnąć na niebie, Gabriel i Amma podążają za przewodnikiem w stronę wejścia do obozu. W prowizorycznej drewnianej bramie Gabriel zauważa dwóch mężczyzn o krótko przystrzyżonych włosach i zarośniętych policzkach, a kiedy docierają do bramy, przewodnik przystaje. W wieczornym mroku szybko zamienia kilka słów z mężczyznami, po czym wskazuje na Ammę, Gabriel zaś rozumie, że w ten sposób informuje ich, z kim odbędą podróż. Na tę wiadomość mężczyźni zaczynają gestykulować i obrzucać Gabriela i Ammę spojrzeniami

pełnymi źle skrywanego wstrętu. Przewodnik wraca do Gabriela i Ammy.

- Obrzydliwi cyganie. Teraz idziemy do pociągu, ale muszę mieć pieniądze.

Amma wyciąga z zawojów i podaje mu garść wymiętych dwudziestodolarówek, które on starannie przelicza i chowa do kieszeni. Gabriel gniewnie spogląda na przewodnika o bujnej czuprynie, który nie wydaje się wdzięczny i chyba nie rozumie, jakim zapewne kosztem taka kobieta doszła do dużych pieniędzy. Amma, wyczuwając coraz większą złość Gabriela, po prostu kładzie mu dłoń na ramieniu.

Razem z trzema mężczyznami wychodzą z obozu, po czym idą pustą dróżką, osłoniętą przez żywopłoty, przypominającą Gabrielowi długi tunel bez dachu. Powoli zapada noc i Gabriel stara się zapamiętać drogę, bo wie, że później będzie musiał wrócić do obozu.

W milczeniu maszerują chyba całe wieki, aż wreszcie przewodnik idzie na pole za potrzebą. Załatwiwszy się, wyciąga z tylnej kieszeni telefon komórkowy i szeptem przeprowadza krótką rozmowę, po czym składa telefon na pół i z powrotem chowa do kieszeni. Gabriel i dwaj pozostali mężczyźni bacznie go obserwują w obawie, że mógłby spróbować ucieczki z ich pieniędzmi. Po zakończeniu rozmowy przewodnik wraca na wąską drogę. Rękawem kurtki przeciera grube okulary, po czym znów je wkłada. Wskazuje na niedaleką poświatę na niebie.

- To jest miejsce pociągu.

Kiedy ruszają w tę stronę, Gabriel bierze chłopca od Ammy, która po raz pierwszy, odkąd skakała z pociągu, pozwala mu poczuć ciężar swojego dziecka. Idzie dalej, uwolniona od brzemienia, a Gabriel syci wzrok wdzięcznymi liniami jej ciała.

Kilkaset kroków od miejsca, gdzie się załatwiał, przewodnik przystaje i zbiera ich wokół siebie. Choć nie ma potrzeby szeptać, mówi cicho:

- Nie możemy do końca iść tą drogą, bo między tym miejscem a pociągiem stoją strażnicy i policjanci. Ale tu za zakrętem jest most. Pociąg przejeżdża pod mostem, a wy zeskoczyć na dach pociągu.

Gabriel uszom nie wierzy.

- Na dach pociągu?

Dwaj pozostali mężczyźni równie gorąco wyrażają niedowierzanie, lecz przewodnik jest dotknięty. Podnosi głos i zaczyna gestykulować.

- Czego się spodziewaliście? Że pojedziecie pociągiem?  
Gabriel mówi dobitnie:

- Tak, pociągiem. Właśnie pociągiem.

Mężczyzna tylko się śmieje.

- Ależ wy, ludzie, jesteście głupi.

Gabriel zwraca się do Ammy, na której chyba ta wiadomość nie zrobiła wrażenia.

- Musimy zażądać zwrotu twoich pieniędzy. To wygląda zbyt niebezpiecznie.

Amma wzrusza ramionami.

- Najpierw zobaczmy most. To może być wykonalne.  
Gabriel jednak stanowczo się sprzeciwia.

- Masz dziecko. Nie możesz skakać z mostu z dzieckiem!

- Zaszliśmy tak daleko. Przynajmniej popatrzymy na ten most.

Choć Gabriel uporczywie się w nią wpatruje, Amma nie daje za wygraną. Przewodnik zawraca w kierunku łuny na niebie, a jego podopieczni, nie mając dużego wyboru, muszą iść za nim.

- Teraz tym polem dojdziemy do mostu.

Sprowadza ich z drogi, po czym zaczynają się przedzierać przez pobrużdżone pole, gęsto porośnięte ostami i jeżynami. Amma wyciąga rękę po dziecko, żeby odciążyć Gabriela, lecz on daje do zrozumienia, że dźwiga chłopca bez większego wysiłku.

Po drugiej stronie pola widzą most, wygięty lekkim łukiem, tak że środkowa część znajduje się wyżej od reszty.

To wąski most, po którym nie przejedzie samochód, natomiast przejdą obok siebie dwie osoby. Żeby do niego dotrzeć, przewodnik odciąga kawałek ogrodzenia, najwyraźniej już kiedyś przeciętego. Obok dziury w płocie leży pusta puszcza po coca - coli i kilka papierków po czekoladkach. Zabłocone buty pozostawiły lśniące odciski na trawie, lecz jeden ślad po drugim niknie za płotem i dalej na moście. Gabriel spogląda nad krawędzią, żeby się przekonać, jak duży jest spadek, po czym z ulgą stwierdza, że mniejszy, niż przypuszczał. Dwaj pozostali mężczyźni też patrzą i wybuchają nerwowym śmiechem. Przewodnik obserwuje ich wzburzony, jak gdyby gotów odejść. Patrzy najpierw w jedną, potem w drugą stronę, a Gabriel uważnie przygląda się człowiekowi, chyba po raz pierwszy niezbyt pewnemu siebie.

- Pociąg nadjedzie stąd. - Przewodnik wyciąga rękę w kierunku światła. - Skoczycie z tego miejsca, jak się pokaże po drugiej stronie. - Stoi teraz pośrodku mostu i patrzy na zegarek. - Pociąg będzie tu za minutę.

Gabriel spogląda na Ammę, pozornie spokojną. Przewodnik mówi dalej:

- Lepiej spaść na pociąg niż skoczyć. I trzeba wylądować na tylnych wagonach, bo te są towarowe. Nikt nie usłyszy, jeśli spadniecie na ich dachy. A teraz przygotujcie się.

Amma jest pochłonięta przywiązywaniem dziecka do piersi, owijaniem go jeszcze jedną warstwą materiału.

Niespokojny przewodnik przeciera palcami soczewki grubych szkieł.

- Musicie płasko i nieruchomo leżeć na dachu. Będziecie jechać długim tunelem, ale się nie bójcie. Potem, już w Anglii, nie wstawajcie ani się nie pokazujcie aż do Londynu. Poznacie, że to Londyn, bo wjedziecie na dużą stację z dachem. Pociąg się zatrzyma, drzwi się otworzą, usłyszycie głosy ludzkie i zapowiedzi. Gdyby pociąg zatrzymał się wcześniej, wam nie wolno wstawać, rozumiecie?

Mężczyźni kiwają głowami. Amma kończy przywiązywać dziecko do piersi i wtedy rozlega się łoskot nadjeżdżającego pociągu. Przewodnik wciska okulary na nos.

- Pamiętajcie, trzeba leżeć płasko.

Gabriel patrzy na pociąg, który ukazuje się w polu widzenia, i od razu widzi, że przy tej prędkości Amma nie zdoła skoczyć. Mężczyźni są już przewieszeni przez balustradę, a przewodnik zwraca się do Ammy, lecz Gabriel staje przed nią. Przewodnik jest poirytowany.

- Prędko, musisz się pośpieszyć.

Gabriel podnosi głos, żeby nie zagłuszył go łoskot kół pociągu.

- Jedzie za szybko. Ona nie da rady. - Choć widzi, że Amma chce coś powiedzieć, jest stanowczy. Robi krok w stronę przewodnika i wyciąga rękę. - Pieniądze.

Przewodnik ze śmiechem odwraca się w drugą stronę. Pociąg przejeżdża teraz pod mostem. Gabriel czuje, jak Amma szarpie go za rękaw, lecz nie patrząc na nią, krzyczy: - Nie! - Obserwuje mężczyzn, którzy puszczają poręcze i opadają na dach wagonu. Turlają się, a potem jeden wyciąga rękę i łapie drugiego, żeby nie spadł. Raptem znikają z oczu wraz z pędzącym w dal pociągiem. Przewodnik odrywa od niego wzrok i spogląda na Gabriela.

- No i o co ci chodzi? - Rozkłada ręce. - Dziewczyna mogła już być na dachu.

- Pociąg jechał za szybko - mówi Gabriel. Przewodnik ze śmiechem zaczyna się oddalać, Gabriel

jednak krzyczy:

- Pieniądze.

Przewodnik staje i zwraca się do niego twarzą.

- Muszę płacić strażnikom. Jeśli są trzy osoby, płacę za trzy. Jeśli tylko dwie skaczą, to nie moja sprawa.

Amma ujmuje ramię Gabriela.

- Proszę cię, pieniądze nie są ważne. Ale Gabriel jest zdecydowany.

- Ukradłeś nasze pieniądze. Przewodnik podchodzi do niego.

- Proszę, nie nazywaj mnie złodziejem. Gabriel nie daje za wygraną.

- Wziąłeś pieniądze Ammy. Mężczyzna wskazuje teraz na Ammę.

- Nie zdecydowała się skakać. To nie moja wina. Jak mnie złapią, pójdę do więzienia. Ale ryzykuję. - Głośno wali się ręką w pierś. - Ryzykuję. Rozumiesz?

Amma odwraca się i schodzi z mostu. Znow przełazi przez dziurę w ogrodzeniu i rusza przez pole. Gabriel chce temu człowiekowi powiedzieć coś jeszcze, ale nie może oderwać oczu od Ammy. Puszczą się za nią biegiem, kiedy ją jednak dogania, ona traktuje go jak powietrze.

- Jesteś zła na mnie? Amma dalej idzie przed siebie.

- Próbuję ci pomóc, a ty odnosisz się do mnie tak, jakbym cię czymś obraził. - Amma staje na środku ciernistego pola i po raz pierwszy Gabriel widzi łzy w jej oczach.

- Dlaczego - pyta Amma - koniecznie chcesz się kłócić z tym człowiekiem? Nie odda ci pieniędzy, a może być niebezpieczny. Narazasz nas oboje. Narazasz moje dziecko.

Gabriel słucha, zaskoczony jej widocznym wzburzeniem.

- Przepraszam. - Mówi cicho, a równocześnie próbuje wziąć ją za ramię, ona się jednak wyrywa. - Nie wiedziałem, że się boisz.

Oczy Ammy wciąż płoną.

- Oczywiście, że się boję. Mężczyzna może zatrzymać pieniądze. Ja muszę ochraniać dziecko.

- Przepraszam.

- Za co? - Z pogardą patrzy na Gabriela. - To tacy jak on mnie zgwałcili i zarazili.

- Tacy jak on?

- Źli mężczyźni. Zabili mojego męża, a ponieważ zostałam zgwałcona, jego rodzina już mnie nie chciała. Dlatego jestem tutaj, sama z dzieckiem. Nie mamy nikogo i nie chcemy złościć mężczyzn.

- Masz przecież mnie, Ammo.

- Nie mogę już mieć mężczyzny, nie rozumiesz? To niemożliwe. Na nic ci się nie przydam, absolutnie na nic.

Gabriel wpatruje się w nią, lecz Amma kręci głową i rusza w stronę obozu. Gabriel obserwuje ją przez parę minut, po czym idzie w ślad za nią.

Po wejściu do namiotu widzi, że przybyli jacyś nowi, którzy bacznie ich obserwują. W odległym kącie dostrzega jednak znajome twarze. Ci ludzie na pewno rozumieją, że to nie pora na wypytywanie dwójki zrozpaczonych towarzyszy podróży. Amma siada i zaczyna uwalniać dziecko z oplątujących je zwojów materiału. Gabriel pada na sąsiednie łóżko i wpatrzony w nią, szeptem zadaje pytanie:

- Więc co z nami będzie?

Amma nie odpowiada i nie chce spojrzeć mu w oczy. Leży na boku, z dłońmi wciśniętymi między kolana, jakby się modliła, całą uwagę skupiając na dziecku. Świadomy, że poniósł klęskę i wbrew jej woli nie potrafi skłonić Ammy do

mówienia, Gabriel wyciąga się na łóżku i zamyka oczy. Jest zmęczony, czuje, jak zapada w sen.

I wtedy widzi matkę, która niczym pies pełza na czworakach. Zawodzi bezgłośnie. Głowę ma odrzuconą do tyłu, otwiera usta i pokazuje bezzębne dziąsła. Wybałusza oczy, ale nie od razu staje się jasne, dlaczego tak cierpi. Potem otacza ją grupka mężczyzn w mundurach koloru khaki, z czerwonymi chustami zawiązanymi na głowach. Tworzą krąg i kopią pełzającą w nim matkę Gabriela. Gabriel przygląda się z pewnej odległości, gdy wtem dostrzega go jeden z mężczyzn. Ma ciemne okulary, kiedy zaś pozostali mężczyźni też się odwracają i na niego patrzą, Gabriel widzi, że wszyscy są w ciemnych okularach. Jego matka zwała się na ziemię, niezdolna pełzać dłużej. Mężczyźni jednak już z nią skończyli i teraz obserwują Gabriela. Właśnie w tym momencie ukazują się jego dwie siostry. Mają jeszcze na sobie granatowe z białym szkolne mundurki, a na ramionach torby. Mężczyźni zwracają uwagę na dziewczyny i wtedy starsza z nich przystaje, łapie za rękę młodszą, która wrzeszczy, po czym obie odwracają się na pięcie i rzucają do ucieczki. Z ramienia zsuwa się torba, nie wiadomo czyja. Mężczyźni ruszają w pościg za dziewczętami i zostawiają Gabriela samego z matką. On czeka parę minut, ale matka nie podnosi się z ziemi. Niepewny, czy powinien się zbliżyć, w końcu postanawia jednak przyjść jej z pomocą. Matka leży zwinięta w kłębek, zwrócona do niego plecami.

- Mamo? - mówi Gabriel cicho, jakby nie chciał jej budzić z popołudniowej drzemki. - Mamo, nic ci nie jest?

Ponieważ matka nie odpowiada, on się nachyla, żeby jej dotknąć.

- Mamo?

- Nie krwawiłam od wielu miesięcy.



Chociaż ma twarz odwróconą, Gabriel słyszy jej głos. Pociąga ją za ramię, bo chce spojrzeć jej w oczy, lecz matka nie ma twarzy. Zupełnie jakby ktoś szmatą zmasał jej rysy. Gabriel odskakuje do tyłu przestraszony i wtedy widzi jednego z towarzyszy podróży, patrzącego na niego z góry.

- Dobrze się czujesz, Gabrielu?

Gabriel nie odpowiada, po prostu wbija wzrok w Brighta.

- Krzyczałeś, Gabrielu. Mój bracie, jesteś zlany potem.

Gabriel uświadamia sobie, gdzie się znajduje. Za tym mężczyzną i za ludźmi, którzy leżą beczynnym na łóżkach, widzi światło dzienne, wpadające przez podniesione klapy namiotu. Jest ranek. Gabriel siada wyprostowany i rękawem kurtki ociera wilgotne czoło, po czym wskazuje puste łóżko.

- Gdzie się wszyscy podziali?

- Wrócili do Paryża, żeby odszukać Jozuego. Gabriel spogląda na łóżko, zajmowane w nocy przez

Ammę. Bright czyta w jego myślach i odpowiada, zanim Gabriel zdążył sformułować pytanie.

- Tak, ona też. Chyba było jej smutno, że się z tobą rozstaje. Według mnie chciała cię obudzić i pożegnać, ale spałaś kamiennym snem.

Gabriel zawiódł się na Ammie, lecz pokazywanie tego Brightowi nie miałoby sensu. Siada, rozgląda się dookoła, a Bright wybuchając głośnym, niemal histerycznym śmiechem i wali go po plecach.

- Chodź, weźmy sobie coś do jedzenia, zanim ci ludzie wszystko sprzątną.

Gabriel wychodzi za nim z namiotu. Jego przyjaciel jest solidnie zbudowany, chociaż nie tłusty, na oko można mu dać ze dwadzieścia pięć lat. W czasie podróży prawie się do Gabriela nie odzywał, ale nawet w najtrudniejszych momentach okazywał spokój i zdecydowanie. Teraz obaj stają w kolejce po metalowe talerze ryżu z jarzynami i po pajdę

chleba, po czym kucają w słońcu i jedzą. Nie mogą usiąść, bo jest błoto, namiot jednak działałby na nich zbyt przygnębiająco. Bright je szybko, jest mu chyba obojętne, co wpycha do ust, a po skończonym posiłku rzuca talerz na ziemię i zwraca się do Gabriela.

- Według mnie powinniśmy dzisiaj spróbować przeprawy do Anglii. Rozmawiałem z jednym z tych ludzi.

- Wskazuje na niezwykle wysokiego Chińczyka w czerwonej wełnianej czapce, który sądząc po tym, jak się otula cienką kurteczką, musi być mocno przeziębiony, a teraz nagle zgina się nieomal w pół i zanosi głośnym kaszlem, zasłaniając usta spierzchniętymi dłońmi.

- Mówi, że możemy się przemycić na łódź. To lepsze od pociągów, którymi wszyscy próbują jechać. Łodzie nie są na ogół strzeżone.

- Jesteś tego pewny, Bright?

- Chińczyk mi powiedział, że ci, co nie mają pieniędzy, mogą się przedostać do Anglii tylko tymi łodziami. Jeśli nie spróbujemy, jesteśmy przegrani. - Bright robi pauzę.

- Mówi, że płynie z nami. - Robi kolejną przerwę i patrzy Gabrielowi prosto w oczy. - Albo to, albo Paryż. Ale ja jestem Anglikiem. Tylko biały nas szanuje, bo sami siebie nie szanujemy. Jeśli nożem otworzysz mi serce, znajdziesz odcisnięte w nim słowo „Anglia”. Znam język i dlatego jadę do Anglii upomnieć się o dom i środki do życia. - Bright milknie, po chwili zaś podejmuje: - Trudno o tym mówić, mój bracie, więc powiem tylko raz, a potem możemy o wszystkim zapomnieć. W naszym kraju wsadzili mnie do więzienia i robili ze mną straszne rzeczy, żebym sypał. Gdyby nie kuzyn, który mi przynosił pieniądze na opłacenie strażników i jedzenie, nie byłoby mnie tutaj. Dostałem dyzenterii, bo na pięćdziesięciu mieliśmy do użytku jeden nocnik. Na wilgotnym materacu na podłodze oblażył mnie wszy.

Niedogotowany ryż z olejem palmowym, choć łagodził bóle, bardzo mi zaszkodził. Wiem, że cierpieliśmy wszyscy, ale ja, który tu przed sobą stoję, nie mogę tam wrócić. Nie cierpię tego. Chcę zapomnieć o Afryce i tych ludziach. Jestem teraz Anglikiem. Jestem Anglikiem i nikt mi nie przeszkodzi wrócić do domu. Ani ty, ani ci ludzie, nikt.

Gabriel czuje zapach morza, nic jednak nie mówi. We trzech posuwają się ciemną drogą, aż wreszcie wita ich rząd reflektorów, które rozjaśniają tętniącą życiem scenę, z ciężarówkami i ludźmi, skąpanymi w jaskrawym świetle jarzeniówek. Chińczyk pokazuje kadłub wielkiego statku, po czym, wciąż w niego wpatrzony, szeptem mówi coś do Brighta. Wysłuchawszy go, Bright zwraca się do Gabriela.

- Mówi, że mamy szybko przebiec między ciężarówkami, aż znajdziemy się prawie przy statku. Wtedy pobiegniemy do lin, którymi jest przycumowany do nabrzeża, złapiemy je i dostaniemy się na burtę. Tam jest występ, staniemy na nim i będziemy się trzymać statku.

Chyba nie przekonuje Gabriela, który pyta:

- Kiedy to zrobimy?

- Teraz.

Chińczyk nie słucha. Rozgląda się uważnie i nagle jego czerwona czapka szybko miga między ciężarówkami. Widząc, że zostali porzuceni, Bright natychmiast rusza w pościg. Gabriel pędzi za młodszym przyjacielem, a obaj gnają, żeby nie stracić Chińczyka z oczu. Chowają się za ciężarówką, najmniej oddaloną od statku, i wszyscy trzej łapią oddech. Potem Chińczyk wskazuje najpierw na siebie, potem na Brighta, wreszcie na Gabriela, więc niewątpliwie mają ruszać w tej kolejności. Nie jest ciekaw, czy zrozumieli jego instrukcje, nie zwlekając biegnie, odbija się od nabrzeża i przelatuje nad wąskim pasem wody, który oddziela je od statku. Gabriel i Bright w milczeniu patrzą po sobie.

Rozejrzawszy się na wszystkie strony, Bright mknie, na oczach Gabriela chwytając linę i znikając za nabrzeżem. Teraz z łomotaniem serca rusza Gabriel, też chwytając linę i lecąc, aż wreszcie wyczuwa występ pod stopami. Puszcza linę, łapie metalowy łańcuch i w ślad za Brightem i Chińczykiem idzie w stronę dziobu. Tam przechodzą na drugą burtę, gdzie nikt ich nie może zobaczyć. Zatrzymują się i czekają. Gabriel widzi, że między tym wąskim występem a morzem w dole nie ma niczego, więc kurczowo czepia się metalowego łańcucha. Od czasu do czasu spogląda na Brighta, ten jednak zacisnął powieki i unika wzroku przyjaciela.

W końcu kilkakrotnie rozlega się przenikliwy ryk syreny i statek prawie niezauważalnie zaczyna się poruszać, wypływać na otwarte wody. Gabriel czuje, jak tłusta fala leniwie unosi frachtowiec w górę, po czym opuszcza w dół, jakby zmieniła zdanie. Widzi, że przerażony Bright otworzył oczy, ale chyba wyczuł niebezpieczeństwo, bo szybko znów je zamyka. Im dalej statek wypływa na pełne morze, tym bardziej energicznie się porusza, a woda zaczyna przyskać w górę, ochlapując Gabriela. Ubranie natychmiast mu przemaka i teraz on z kolei zamyka oczy. Czuje, jak statek uderza w wysoki grzbiet fali, zjeżdża z niego po drugiej stronie i wpada w koryto, przy czym on na moment całkowicie się zanurza. Wkrótce traci czucie w rękach, lecz z żołnierską determinacją stara się zachować przytomność umysłu.

Słyszy, jak cichnie warkot silników, zauważa, że statek kołysze się mniej gwałtownie. Dobiegają go okrzyki, coraz bardziej zniecierpliwione. Przez chwilę się zastanawia, czy jest już na tamym świecie, po czym zdaje sobie sprawę, że to jego ktoś woła. Otwiera oczy. Statek przybliżył się do linii brzegowej, podobnej do długiego, cienkiego, czarnego cienia, upstrzonego punkcikami białych świateł, a Gabriel nie przestaje mrugać, bo oczy go pieką od morskiej wody. Bright

jak szalony daje mu znaki, nie widać natomiast drugiego mężczyzny. Teraz Bright już tylko jedną ręką trzyma się metalowego łańcucha, drugą wskazuje na ciemną wodę. - Skacz!

Gabriel nie zdąża odpowiedzieć, bo Bright skacze, więc on robi to samo. W chwili zetknięcia z wodą coś trzaska mu w nodze, jakby uderzył nią o twardy przedmiot, i ból przeszywa go niczym kula. Otwiera usta, żeby krzyknąć, ale wlewa się do nich woda. Bright już płynie do brzegu i Gabriel, młócąc ramionami, posuwa się za nim, choć cierpi okropnie. Postanawia obrócić się na bok, po czym wlecze za sobą nogę jak niepotrzebną część garderoby. Zmierza w kierunku światła, a tymczasem ekran w jego głowie czernieje i nagle pojawiają się na nim niepokojące, choć znajome obrazy.

Byliśmy mniejszym plemieniem. Pracowaliśmy ciężko, nie krzywdząc nikogo. Próbowaliśmy robić to, co najlepsze dla nas samych, i to, co dobre dla naszego młodego kraju. Choć chcieliśmy tylko żyć w pokoju z naszymi braćmi, stało się jasne, że to niemożliwe. Ojciec mówił mi, że nam zazdroszczą, bo nasi robili interesy: nie tylko w mieście stołecznym, lecz także na naszych terenach plemiennych na południu. Tworzyliśmy podstawy gospodarki i dlatego mieliśmy duże wpływy. Dopiero po wyborze jednego z naszych na prezydenta zaczęły się prawdziwe kłopoty: zabijanie. Wojsko się zbuntowało, a oddziały rządowe wyszły z koszar i krążyły po ulicach w swoich pojazdach, z karabinami maszynowymi ustawionymi w oknach. Żołnierze zaczęli pić i zabijać, pić i zabijać, i wkrótce mój przerażony ojciec nie miał innego wyboru, jak postawić mnie po jednej ze stron.

- Jesteś moim najstarszym dzieckiem. Moim jedynym synem - mówił, patrząc mi prosto w oczy, a jego oddech zalatywał winem. Niezdolny sobie radzić w tej nowej sytuacji,

zapomniał o ogoleniu niektórych części policzków. - Mój synu, ci ludzie bez celu włóczą się po ulicach stadami jak wściekłe psy. Dziś rano na własne oczy widziałem, jak złapali kobietę, owinęli kocem, oblali benzyną i patrzyli, jak pali się żywcem. Na plaży, przy zwałach gnijących śmieci, widziałem to na własne oczy.

Wpatrywałem się w ojca, który zaczął trząść głową.

- Władza nie uderzyła żołnierzom do głów, tylko do brzuchów. Są tłuści i nalani. Nie umieją walczyć, potrafią jedynie zabijać. Musisz wyruszyć na południe i tam przyłączyć się do swoich. Wkrótce zabiją naszego prezydenta i ich wojsko przejmie władzę. Czuję to przez skórę. Naszą jedyną nadzieją będziecie wy na południu. - Urwał. - Musisz iść teraz. Jesteś moim jedynym synem i mam obowiązek posłać cię do armii wyzwolenczej. Wyszkołą cię na żołnierza i niebawem nadejdzie dzień, kiedy triumfalnie wkroczysz do stolicy z wysoko podniesioną głową. Tego dnia będę ci pod nogi rzucać kwiaty, a obcy ludzie będą do ciebie podbiegać, ściskać cię ze łzami wdzięczności w oczach. Twoja matka i twoje dwie siostry będą płakać z radości, bo o tym dniu marzymy wszyscy. Na ten dzień wszyscy czekamy.

Miałem dwadzieścia dziewięć lat, kiedy mój biedny ojciec wypowiedział do mnie te słowa. Nazajutrz rano, przed świtem, wlałem pod budę ciężarówki z czterema innymi „rekrutami”. Dotychczas pracowałem jako goniec, a jeszcze wcześniej przez wiele lat w sklepie żelaznym. Nie miałem przygotowania do życia w wojsku. Moja praca polegała na tym, że byłem na posyłki pracowników służby cywilnej i ministrów, takich ludzi, którzy jeździli dużymi zagranicznymi samochodami i swobodnie podróżowali po Europie, a nawet Stanach Zjednoczonych. Zanosilem im kopertę, miskę zupy, nowy telefon komórkowy czy to, co mi zlecono, i czekałem, w razie gdyby mieli coś do odesłania. W ten sposób

spodziewałem się zdobyć wpływy i pewnego dnia awansować na stanowisko młodszego pracownika służby cywilnej. Tak działał w moim kraju system. Należało czekać cierpliwie, co czasami przychodziło mi z wielkim trudem, bo już nie byłem młody.

Codziennie wchodziłem do dziesięciopiętrowego budynku rządowego po obsikanych schodach na górę, ponieważ nam nie pozwalano korzystać z windy. Wspinałem się wśród miazmatów moczu po nieszczęsnych schodach, ze szczurami hasającymi w kątach, po czym wkraczałem do oświetlonych neonami biur, pełnych sekretarek i maszynistek, dziewczyn, które wydawały pieniądze na żelazka do prostowania upartych włosów i spędzały całe godziny na smarowaniu się kremami wybielającymi w nadziei, że bardziej się spodobają mężczyznom. A mężczyzna obiecywał takiej złanej perfumami kobiecie własny sklep z kosmetykami albo kilka maszyn do szycia w zamian za to, że się rozłoży niezdarnie, jak przewrócony autobus. Znałem imiona kilku z tych kobiet, lecz nikt mnie nigdy z żadną z nich nie widział. Były jak towar w sklepie, ja zaś nie miałem pieniędzy. Ci spasieni mężczyźni o tłustej cerze, pocący się w opiętych zachodnich garniturach, już wpłacili zaliczki Madonnie o rubinowych ustach, pulchnej Baby czy Rozkoszy w blond peruce. Te kobiety nie uważały mnie za mężczyznę. Goniec nie jest mężczyzną: byłem czymś, co się toleruje, istotą w bawełnianej koszulce i podartych spodniach, niewiele lepszą od karaluchów, hałaśliwie przemykających po podłodze. Cóż wiedziałem o whisky Johnnie Walker z czarną nalepką? Jeśli minister czy urzędnik nie miał nic, co powinienem odnieść, jedna z tych kobiet odprawiała mnie z błyskiem czerwonych paznokci i znów dołączałem do innych gońców, przykucniętych na ulicy, rzucających kości albo grających w karty. Siadałem i czytałem, dopóki nie trzeba było doręczyć

kolejnej przesyłki. Aż pewnej nocy ojciec porozmawiał ze mną, a rano zaprowadził mnie do ciężarówki bez bocznych lusterek, kierunkowskazów i wycieraczek. Wszystko, co się dało od niej oderwać czy odłupać, już skradziono. Ojciec uścisnął mi rękę, przypominając, że jadę na południe, aby zostać żołnierzem i toczyć wojnę w obronie swoich. Zmusił mnie do przyjęcia pogniecionej paczki papierosów. Wiedział, że nie palę, ale twierdził, że papierosy mogą mi posłużyć jako środki płatnicze do przekupienia kogoś lub usunięcia przeszkód na drodze do celu. Niektórzy mężczyźni, przypomniawszy, wyżej cenią tytoń od chleba.

Nigdy przedtem nie opuszczałem stolicy. Kiedy przejeżdżaliśmy przez dzielnice nędzy na obrzeżach naszego największego miasta, z niedowierzaniem patrzyłem na budy z blachy falistej, wyrastające jakby z wysypisk śmieci. Chociaż nie widziałem ich na własne oczy, takie slumsy z blaszanymi dachami, gdzie żebracy patrolowali ulice, uchodziły na ogół za odpowiednie miejsca dla osób niepełnosprawnych i okaleczonych, miejsca, gdzie wielkie szczury łatwo się rozmnażają i dniem i nocą wylazą na ulice. Nadal patrzyłem z niedowierzaniem. Czy to nasze miasto? Po krótkim czasie wyjechaliśmy na wieś i gnaliśmy na południe wąskim pasem asfaltu, byle jak położonego wprost na ziemi. Jego wystrzępione brzegi już wchłonęła czerwona gleba, więc nie ulegało wątpliwości, że niebawem i ta „droga” zniknie. Rozglądałem się na prawo i lewo, lecz nie było tam nic prócz ciemnej zasłony buszu.

Ciężarówka kiwała się i zataczała jak pijak. Dalej na południu zaczęliśmy mijać setki uchodźców, którzy szli w naszą stronę z materacami, garnkami i tobołkami na głowach. Niebawem przywykliśmy do barykad z palących się opon, od czasu do czasu tarasujących drogę, aż w końcu jeden z członków naszej eskorty ciężko stanął na nogach. Dla



zachowania równowagi trzymał się budy od wewnątrz, my zaś patrzyliśmy na niego, imponującego w brudnej koszulce z nazwą nowojorskich Jetsów, opasanego wstęgami ładnych naboii, podobnych do długich czekoladowych paluszków. Sok przeżuwanego orzecha ciekł mu po brodzie, ale on się tym nie przejmował czy tego nie zauważał, bo nie próbował zatamować czarnej strużki, wypływającej z kącika ust. Kolejno przyjrzał się nam pięciu przez okulary w złotej oprawie, po czym przemówił bez entuzjazmu, jakby jego słowa nie miały znaczenia.

- My walczymy o coś. Naszym celem jest uwolnienie kraju od tych ludzi, pozbawionych skrupułów i pełnych nienawiści. Jest ich dwa, trzy razy więcej niż nas, ale to komary. Wysysają naszą krew, wy jednak zostaniecie wyszkoleni tak, że będziecie mogli je rozgniatać, rozumiano?

Patrzyliśmy na niego, kiwając głowami, a on wbijał wzrok w każdego z nas po kolei, po czym, jakby nagle padł ze zmęczenia, ostrożnie osunął się na podłogę ciężarówki, położył na boku jak poprzednio i zamknął oczy. Obserwowałem go, pewny, że to jakaś sztuczka, że w ten sposób poddaje nas próbie, wkrótce jednak stwierdziłem, że naprawdę zasnął, i reszta podróży upłynęła w milczeniu.

Na południu trzymano nas w buszu, z dala od najbliższej wioski. Szkolili nas chłopcy, dostojnie jak starcy przechadzający się w swoich plastikowych japonkach. Zrazu wprawiały mnie w pomieszanie ich malowane paznokcie i misie, z którymi wielu się nie rozstawało, wkrótce jednak dowiedziałem się, że środkiem płatniczym w obozie jest trawka i że dzięki niej żołnierze czują się niezwyccięzeni, więc nawet trzymanie pluszowej zabawki, noszenie maski Kaczora Donalda czy malowanie się jaskraworóżową szminką nie przynosi ujmy ich męskości. Ja sam miałem tylko ciemne okulary, upragnione przez wszystkich i potrzebne,

postanowiłem natomiast zrezygnować z wszelkich ozdób i może z uwagi na mój tradycyjny strój oraz na fakt, że byłem z dziesięć lat starszy od większości żołnierzy, zostałem obrany na dowódcę brygady. Różniłem się od nich lepszym wykształceniem i większą ambicją dokonania czegoś na świecie, toteż mnie słuchali, ilekroć chciałem coś powiedzieć. Ponieważ jednak nie lubiłem rzucać słów na wiatr i najczęściej zachowywałem milczenie, nazwali mnie Jastrzębiem.

Nasze pierwsze ataki były uwieńczone wielkimi sukcesami. Prowadziłem mężczyzn do wsi, skąd przepędzaliśmy wojska rządowe. Znajdowaliśmy wielu mieszkańców z opuchniętymi kikutami w miejscach, gdzie dawniej mieli ręce i nogi, ze skórą naciągniętą i połączoną prowizorycznymi szwami. Torturowały ich wojska rządowe i teraz wielu naszych zaczęło obierać tę samą taktykę celem zdobycia informacji, lecz ja zabraniałem swoim podkomendnym odrąbywać kończyny. Kiedy już pozabijaliśmy naszych wrogów albo wzięliśmy ich do niewoli, wdzięczni wieśniacy wychodzili z ukrycia i wznosili okrzyki na cześć Jastrzębia i jego żołnierzy. Zachowywaliśmy powściągliwość i zamiast po prostu brać, zawsze czekaliśmy, aż wyzwoleni wieśniacy nas wynagrodzą. Czasami gotowali nam ryż z pikantnym sosem, robili naleśniki z tapioki, piekli bataty czy podawali zupę; choć mieli niewiele, dzielili się z nami i nawet ci, którzy nie należeli do naszego plemienia, wiedzieli, że potraktujemy ich lepiej niż żołnierze rządowi. Wiedzieli, że jesteśmy uczciwi, więc kiedy odchodziliśmy, moi ludzie zawsze nieśli nowe podarki: czepek kąpielowy, weselny stroik na głowę, parę damskich pantofli. Patryk, mój zastępca, lubił smarować sobie twarz błotem i zaczął nosić perukę z jednym długim warkoczykiem. Zawsze miał skręta w

ustach, więc szybko przezwał się Kapitanem JuJu i wkrótce w tym nowym wcieleniu przestał reagować na inne tytuły.

- Patryk - pytałem - jakiego juju używasz? - A on się śmiał, jakby moje pytanie było pierwszym ruchem w grze. Z rechem podsuwał mi skręta.

- Śmieszny jesteś, Jastrząb. - I wtedy Kapitan JuJu, który dawno już zapomniał, że na imię mam Gabriel, zaczął machać rękami, biegać i pisać: - Tylko Jastrząb potrafi fruwać - podczas gdy pozostali mężczyźni pękali ze śmiechu. - Tylko Jastrząb potrafi fruwać. - Ja brałem trawkę i ze spokojnym uśmiechem obserwowałem szalonego Patryka. - Tylko Jastrząb potrafi fruwać.

Ponad rok żyliśmy w ten sposób, przekradając się z jednej wsi do drugiej, przeganiając wojska rządowe i czekając na wiadomości z innych części kraju albo na rozkaz naszego przywódcy z obozu szkoleniowego. Kwaterę główną miał w małej, krytej blachą chacie, otoczonej przez obstawę. Siadywał tam, za jedynego towarzysza mając telefon satelitarny i plan kampanii wyzwoleniczej. Mniej więcej raz na miesiąc zwoływał swoich dowódców, a w takich wypadkach przyjeżdżał po mnie dżip, wracałem na południe, oddział zaś zostawiałem pod komendą Patryka.

Pułkownik Krwawy nigdy nie zdejmował okularów marki Ray - Ban ani butów sportowych Nike. W chacie miał poprzyklepane do ściany fotografie amerykańskich aktorek filmowych, zrobione na papierze z połyskiem, więc w oczekiwaniu na chwilę, kiedy na mnie spojrzy albo skończy rozmowę telefoniczną, wpatrywałem się w blaknące zdjęcia i zastanawiałem, dlaczego właśnie te dziewczyny? Cud elektryczności kojarzył się z rykiem prywatnego agregatu naszego przywódcy, ale poprzez odgłosy silnika docierały do mnie od czasu do czasu wrzaski żołnierzy rządowych, którym wciskano piasek do uszu, lub błagania świeżo schwytanych

jeńców, których wieszano za nogi nad szambem. Pułkownik Krwawy z rzadka ich zabijał, tyle wiedziałem. Wrogowie zaczęli mówić z samego strachu, ja jednak nie lubiłem słuchać hałasów. Przywódca, przemawiając do mnie spoza swoich okularów, chętnie nazywał mnie Jastrzębiem, bo lubił mówić zagadkami, stwierdzać, że nie ma już diabłów na dole w piekle, gdyż wszystkie są tu na ziemi, odwiedzają nasz kraj. Wciąż mi przypominał, że karabinami należy wyzwałać, nie rządzić.

- Majorze Jastrzębiu - powiadał - jesteś jednym z moich dziesięciu wodzów. Pamiętaj, że wojna pociąga za sobą ofiary, a wszyscy robimy rzeczy, których wolelibyśmy nie robić. - I po przerwie dodawał: - Ale pamiętaj, karabiny nigdy nie powinny rządzić, mówię to jako żołnierz. - Po chwili milczenia znów podnosił wzrok, jakby próbował na mnie spojrzeć znad okularów. - Jastrzębiu - szeptał. - Nie zostać pogrzebanym we własnej ziemi, to jest największa zniewaga. Rozumiesz, prawda?

Kiwałem głową, lecz pułkownik Krwawy nigdy mnie nie słuchał, tak jak chyba nigdy nie słuchał żadnego ze swoich „wodzów”.

- Jestem przystojnym mężczyzną, nie uważasz, Jastrzębiu? Showmanem, tak? - Nasz przywódca wstał i zaczął rytmicznie, z namysłem przemierzać podłogę. - Widzisz, jak się ubieram, prawda? Zgodnie z najnowszą modą i zawsze w najlepsze rzeczy. Swego czasu byłem zawodowym tancerzem w nocnym klubie, wiedziałeś o tym? Więc mnie podziwiał, nie wstydz się. - Wyrzucił ręce w górę, zrobił obrót wokół własnej osi, a potem, kiedy znowu stanął do mnie twarzą, wybuchnął głośnym śmiechem. - Kiedyś marzyłem, że wyjadę do Europy. Że stanę się tym, który „tam był”. Ale wiedziałem, że na taką podróż musiałbym pięć lat oszczędzać i potem przez pięć lat spłacać długi. Więc w stolicy obsługiwałem żony dyplomatów

i turystów w nadziei, że któraś z nich zabierze mnie do Europy. Tam byłbym bożyszczem całego miasta. Brązowym bożyszczem. Nigdy nie należałbym do tych, co „tam byli”, a wracają jak swoje własne widma, złamani na duchu przez tamtych. Moje ciało i dusza powróciłyby do Afryki w triumfie. Brązowe bożyszcze. Popatrz na te stopy. - Wskazał na sportowe buty Nike. - Te stopy nie zostały stworzone do chodzenia po ziemi. Kiedy pojedę do Europy, będę wszędzie chodzić po miękkim materiale, a oni będą oddawać cześć mojej czarnej urodzie. Będą mi padać do nóg, głosić, jaki jestem potężny i urodziwy. Ja będę deptać ich skrzypce i szczać na ich płyty kompaktowe z muzyką klasyczną. Przyniosę im czarną Afrykę.

Nauczyłem się, że w takich chwilach najlepiej jest nic nie mówić, tylko słuchać.

- Jak tam psy? - Wiedziałem, że pułkownik Krwawy ma na myśli moich żołnierzy.

- Dobrze, sir.

- Psom jest ciężko. Jeśli się boją, powinieneś im pozwolić na palenie konopi indyjskich i mieszanie ich z prochem strzelniczym. Wtedy nie będą się bali, że przelana krew powróci ich straszyć. Nie będą widzieli ludzi, tylko kurczaki na rzeź. Musisz ich zachęcić do żniwa. Nadszedł czas, żeby mężczyźni w naszym kraju zebrali plon i zjedli kurczaki.

W pewnym momencie, kiedy już cierpliwie i posłusznie go wysłuchałem, pułkownik Krwawy, znużony moją obecnością, bezceremonialnie zasypiał, a ja znajdowałem wolnego dzipa albo ciężarówkę i wyruszałem w długą drogę powrotną na północ, do moich ludzi.

Czasami, wyciągnąwszy brulion ze zwiniętą okładką i poplamionymi stronicami, próbowałem ponownie czytać stare notatki, bo miałem zwyczaj przepisywać z książek fragmenty, które wydały mi się godne zapamiętania. Tej nocy jednak,

odkąd światło zaczęło przygasać, po prostu wpatrywałem się w ciemne zarośla. W drodze przez wieś, wyzwoloną przez nas zaledwie parę tygodni wcześniej, patrzyłem na długi sznur kobiet, czekających na wodę przy jedynej studni, i na gołe dzieciaki, ganiające się w kółko i okładające witkami, ułamanymi z drzew. Miałem ochotę zapłakać nad oboma plemionami w moim kraju. Własny ojciec posłał mnie na tę rzeź, a ja w żaden sposób nie potrafiłem zrozumieć, co spodziewał się osiągnąć. Działał w dobrej wierze, to było dla mnie jasne, ale cóż on wiedział o wojnie?

Po powrocie do obozu odkryłem, że pod moją nieobecność Patryk poprowadził grupę mężczyzn z powrotem do niedawno zdobytej wsi. Dowiedzieli się jakoby, że tamtejsze prostytutki są gotowe robić to „na żywo” z mężczyzną bez prezerwatywy. Lubiły seks na sucho, brutalny, szybki i bez smarowania, a Patryk i żołnierze byli gotowi dać świecidełka w zamian za ich ciała. Siedziałem przy ognisku z garstką ludzi, którzy pozostali na miejscu, i nakłaniałem ich do czyszczenia broni, rdzewiejącej pod wpływem wilgoci. Przypomniałem, że jak broń się zatnie, mogą to przypłacić życiem. Patrzyli na mnie w milczeniu. Wyczyściłem własny karabin, już bez słowa.

Ponieważ Patryk ze swymi żołnierzami nie wrócił do rana, wysłałem dwóch ludzi na poszukiwania. Wreszcie się zjawili, Patryk w czarnych rajstopach i wciąż pijany, inni najarani i nadal palący trawkę. Chwiejnym krokiem podeszli do mnie, kiedy smugi światła zaczęły barwić wierzchołki drzew. Patryk błysnął w uśmiechu rzadkimi zębami i położył mi na powitanie rękę na ramieniu.

- Jastrzębiu - szepnął. - Jastrzębiu, ty nigdy nie próbowałaś takich kobiet. Przykro mi, mój bracie, ale nie ma jak te kobiety. Nigdzie się takich nie znajdzie.

Popatrzyłem na niego, po czym się odwróciłem, bo i tak dość cierpieli na tej piekielnej wojnie i nie musieli znosić

chłostania ostrymi słowami. Właściwie zabrakło mi słów do takiego chłostania. To byli młodzi mężczyźni, którzy się bili, bo ktoś dał ich rodzinie torbę ryżu albo obiecał im samochód. Przez ponad rok jedli po prostu to, co im dano, i wszyscy potracili przyjaciół. Odszedłem, usiadłem w cieniu drzewa i zamknąłem oczy. Otworzyłem je dopiero pod wieczór.

Nazajutrz rano ruszyliśmy na północ i zaatakowaliśmy następną wioskę, nastrój uległ jednak zmianie. Kiedy przedzieraliśmy się przez busz, Patryk nie chciał mi spojrzeć w oczy, a inni żołnierze mnie unikali. Choć miałem uczucie, że maszeruję samotnie, milczałem. Po dotarciu do wioski przystanęliśmy, szykując się do ataku. Czekaliśmy na jakieś znaki ze strony wojsk rządowych, ale nikogo nie było widać. Wbiłem wzrok w Patryka, który na swoją perukę włożył nowy czepek kąpielowy, on natomiast tylko spojrzał na majora Jastrzębia i wybuchnął śmiechem. Po jego oczach poznałem, że już coś wziął.

- Jastrzębiu, jesteście gotowi. A ty? Jastrzębiu, jesteś gotów pofrunąć?

Przyłożyłem palec do ust, żeby go uciszyć, na co zachichotał. Potem zaczęli się śmiać inni. Nadal wpatrywałem się w wioskę, nie dostrzegając tam żadnego ruchu.

Po paru minutach wstałem i zarządziłem zbiórkę. Powiedziałem, że wieś jest czysta, a oddziały rządowe widocznie się wycofały. Zaproponowałem przejście przez nią i przyjęcie żywności, jeśli mieszkańcy zechcą nam ją dać, a potem dalszy marsz. Patryk wystąpił do przodu i podniósł rękę.

- Nie. Wczoraj w nocy kobiety mówiły nam, że ta wieś sprzyja wojskom rządowym. Wieśniacy to zdrajcy. - Słyszałem o tym i wiedziałem, że to może być prawda, ale zanim zdążyłem się odezwać, Patryk powiedział: - Kapitan JuJu mówi, żebyśmy przejęli kontrolę nad tą wsią.

Żołnierze zaczęli potakiwać i przestępować z jednej bosej nogi na drugą. Już zmęczyło ich dźwiganie na wąskich plecach pocisków i ciężkich części oporządzenia, dodawały im jednak ducha amfetamina i trawka.

- Zostawimy tę wieś w spokoju - rzekłem cicho. Patryk podszedł na tyle blisko, że zaleciało od niego trawką.

- Ja jestem Kapitan JuJu. Oni pójda za mną. Musiałbyś mnie zabić, żeby ich powstrzymać. - Z oczami nabiegłymi krwią śmiał się ze mnie. - Tchórz z ciebie, Jastrzębiu. Ktoś ci podciął skrzydła i nie możesz fruwać. To wojna, a na wojnie trzeba zabijać. Musisz zabijać i zjadać serca swoich ofiar, żeby być silniejszym. Chodźcie! - Odwiódł kurek karabinu i dał znak żołnierzom, żeby szli za nim. Zdjęli z ramion karabiny i szykowali się do wojny. Patryk wycelował we mnie. - Jeśli cię znajdziemy, Jastrzębiu, zginiesz, bo nie jesteś mężczyzną, jesteś kobietą i nie ma dla ciebie miejsca wśród psów. - Roześmiał się, po czym nagle spowaźniał i splunął. - Braliśmy twoje milczenie za siłę. - Ruszył do przodu i pocałował mnie w czoło, pozostawiając na nim ślad szminki. - Nosisz znamię kobiety. - Zarechotał, ubawiony własnym dowcipem.

Tkwiałem w miejscu i patrzyłem, jak Patryk prowadzi żołnierzy do wsi. Po jakimś czasie usłyszałem szybkie strzały z ich broni i chóralne wrzaski wieśniaków. Kapitan JuJu mówił prawdę. Nie miałem serca do takich okrucieństw. Ojciec wysłał mnie na wojnę, a ja w razie konieczności mogłem walczyć i zabijać. Ale tylko w razie konieczności. Teraz nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić do stolicy i ostrzec rodzinę. Wszyscy wiedzieli, że to moi żołnierze, i oczywiście wojska rządowe mnie obwinia o masakrę, wezmą krwawy odwet na mojej matce, ojcu i dwóch siostrach. To był haniebny sposób prowadzenia przez nas wojny. Przez dłuższą



chwilę stałem w buszu, z bronią u boku, słuchając, jak Patryk z kolegami morduje niewinne kobiety i dzieci. Przypomniały mi się słowa naszego przywódcy. Wojna pociąga za sobą ofiary, a wszyscy robimy rzeczy, których wolelibyśmy nie robić. Nie przestały jeszcze świstać ostatnie kule, a ja już rozpocząłem długi marsz na północ, do stolicy. Moją jedyną ambicją było teraz dotarcie do matki, ojca i dwóch sióstr.

Gabriel otwiera oczy i czuje, jak Bright ugniata mu pierś.

- Zrób wydech, Gabrielu. Wydech.

Gabrielowi woda cieknie z ust i jest świadomy, że w obecnym położeniu nie pozostała mu ani odrobina godności.

- Słyszysz mnie, Gabrielu?

Gabriel próbuje potaknąć, głowa odmawia mu jednak posłuszeństwa. Nie odrywając wzroku od Brighta, który znów ugniata mu pierś, Gabriel głośno odkasłuje, lecz nie wypluwa wody. Bright obmacuje mu nogę i Gabriel krzywi się z bólu. Spogląda w dół, na rozdartą prawą nogawkę spodni i obnażoną skórę, ale nie dostrzega krwi ani sińców.

Siada z pomocą Brighta i orientuje się, że jest na kamienistej plaży. Z lewej strony, w odległości zaledwie paru kroków, morze z ogłuszającym łoskotem rozbija się o brzeg. Rozejrzawszy się dookoła, Gabriel wbija oczy w Brighta.

- Anglia?

Bright wybucha głośnym śmiechem.

- Jeśli nie Anglia, to ja i tak zostaję tu, gdzie jestem. -  
Podaje przyjacielowi rękę i pomaga mu wstać.

Gabriel krzywi się z bólu. Natychmiast zdaje sobie sprawę, że nie może mocno się oprzeć na prawej nodze, więc trzyma Brighta za ramię, ale kamienie pod stopami są śliskie, wskutek czego porusza się bardzo powoli.

Razem wchodzą po niewielkiej pochyłości, Gabriel ciężko wsparty na tęgim przyjacielu, i przystają na pustej drodze, wpatrzeni w światła odległego miasta. Tam, w porcie, Gabriel

dobrze widzi statek, na którym odbyli ostatni odcinek podróży, bo przy jego oświetlonym kadłubie wszystko inne wydaje się jakiegoś małe. Bright wskazuje kierunek.

- Powinniśmy iść do miasta.

Gabriel milczy, zdecydowany oszczędzać energię. Tej pierwszej nocy na angielskim wybrzeżu dolega mu silny ból, wie też, że nie zdołałby mówić, liczy jednak na zrozumienie ze strony Brighta. Wtem, na pustej drodze, pewna myśl go olśniewa i wywołuje poczucie winy.

- Bright, a gdzie się podział tamten? Bright idzie dalej, podtrzymując przyjaciela.

- Wpadł do morza na długo przed dopłynięciem do Anglii. Pochłonęła go woda. - Gabriel stara się opanować, lecz Bright jeszcze nie skończył. - Cóż mogłem zrobić? Skoczyć za nim w paszczę morza? Umarł i teraz ma już spokój.

Gabrielowi robi się ciężko na duszy, wie jednak, że dalsze rozmyślanie byłoby głupotą, toteż postanawia zapomnieć o wysokim Chińczyku w czerwonej czapce.

Dwaj mężczyźni wciąż idą powoli, jeden wsparty na drugim, obaj milczący, bo nie chcą zostać zauważeni. Dla Gabriela niebawem staje się jasne, że wiele dłużej iść nie zdoła. Obwinia się o zatrzymywanie przyjaciela, ale właśnie w tej chwili, kiedy sobie uprzytamnia, że pewnie będzie musiał poprosić Brighta o pozostawienie go na pustej drodze, obaj dostrzegają przy niej domek. Bright odzywa się pierwszy.

- Może tu powinniśmy poprosić o pomoc.

Gabriel widzi, że jedno z okien na piętrze jest stłuczone, a ogród bardzo zarośnięty chwastami, więc w domu chyba nikt nie mieszka.

Bright stuka do drzwi, po chwili oczekiwania obraca gałkę, lecz drzwi są zamknięte na klucz i nie chcą ustąpić. Gabriel stoi wsparty o słupek furtki, Bright zaś wyraźnie

nabiera pewności siebie, odkąd się przekonał, że w domu nie ma nikogo. Podchodzi do ściany i zagląda za węgiel.

- Musisz poczekać, aż się rozejrzę.

Znika z oczu Gabrielowi, który patrzy tam, skąd niedawno przybyli. Po morzu sunie statek, przystrojony jak tort weselny, lecz Gabriel widzi tylko tyle. Potem drzwi zaczynają się uchylać, powoli, z głośnym zgrzytem zawiasów, zardzewiałych, bo od dawna nikt tu nie wchodził. Gabriel sam pokonuje niewielką odległość, a podniecony Bright podaje mu rękę, żeby mógł przekroczyć próg.

- Nikt tu nie mieszka. Jest trochę starych mebli i łóżko, nic więcej. - Bright zamyka za nimi drzwi, tymczasem zaś wzrok Gabriela zaczyna przywykać do ciemności. - Wszedłem przez okno, ale tam od tyłu jest strasznie brudno.

Gabriel pada na krzesło, wznecając chmurę kurzu. Obserwuje Brighta, który stoi przy oknie, wpatrzony w mrok na dworze. Chociaż Gabriel widzi, że przyjaciel myśli intensywnie, postanawia o nic nie pytać, bo zapewne Bright podzieli się z nim myślami, jak będzie gotów. Ten jednak odwraca się bez słowa, przecina pokój i ciężko siada na krześle z wyłażącą ze starych ram wyściółką.

Kiedy Gabriel się budzi, słońce świeci mu prosto w oczy, a Brighta nie ma już na krześle. Próbuje wstać, zaraz jednak znów pada, gdyż ból przeszywa mu prawą nogę. Rozgląda się po pokoju i stwierdza, że dom jest od dłuższego czasu niezamieszkały. Sprzęty pokrywa cienka warstwa kurzu, ciężkie powietrze zalatuje stęchlizną. Gabriel znów próbuje się dźwignąć i tym razem mu się udaje. Idzie do okna, jak najmniej obciążając obolałą nogę. Osłania dłońmi oczy przed słońcem i na ścieżce dostrzega Brighta z małą torbą w ręku. Bright z szerokim uśmiechem macha do Gabriela, po czym energicznie otwiera drzwi.

- Jak twoja noga?

Gabriel kuśtyka na spotkanie młodszego przyjaciela, który wręcza mu plastikową butelkę z wodą. I mówi dalej, nie czekając na odpowiedź:

- Miasto jest małe, ale chyba przyjazne, a ze stacji pociągi odchodzą prosto do Londynu. Myślę, że łatwo będzie wsiąść i pojechać na gapę.

Gabriel pociąga łyk z butelki i podaje ją Brightowi. Ten siada, lecz nie chce jej przyjąć.

- Proszę, wypij sam. Ja się napiłem w mieście. Gabriel natychmiast podnosi do ust butelkę i osusza jej zawartość. Potem ją odstawia i patrzy na Brighta, nagle jakby zmęczonego. Choć Gabrielowi doskwiera głód, boi się o tym napomknąć, żeby nie wyjść na niewdzięcznika. Bright wyczuwa zapewne jego niepokój, gdyż wstaje, podchodzi do okna i ustawia się tak, że popołudniowe światło pada mu na twarz.

- Mój Boże, widzę kogoś. - Przestraszony Bright nie odwraca się do Gabriela. - Ona idzie w tym kierunku.

Gabriel się dźwiga, a ból nagle przestaje mu dolegać, kiedy dołącza do przyjaciela. Ścieżką idzie w stronę domu dziewczynka. Popycha drzwi i z cichym okrzykiem zatrzymuje się na progu.

- Mój przyjaciel coś sobie zrobił w nogę - mówi Bright. - Przepraszamy, jeśli to twój dom, ale musieliśmy się gdzieś zatrzymać na noc.

Dziewczynka, niska, lecz tęga, jest ubrana w czerwony żakiet, pasującą do niego spódniczkę i czarne rajstopy. Gabriel zakłada, że to szkolny mundurek. Mimo młodego wieku dziewczynka, choć zrazu zaskoczona, nie wpada w panikę.

- Kim jesteście? - pyta. Bright gestykuluje nerwowo.

- To Gabriel, który coś sobie zrobił w nogę, a ja jestem Bright. Przepraszam, już się wynosimy.

Dziewczynka wchodzi do środka, nie zamykając za sobą drzwi.

- Nigdzie nie musicie iść. To nie mój dom. Nikt tu już nie mieszka. No, w każdym razie od wypadku.

Teraz Bright wygląda na zaskoczonego.

- Wypadku?

- Zdarzył się chyba parę lat temu. Ktoś tu umarł, ale to nie było morderstwo ani nic takiego. Przypuszczalnie ten ktoś spadł z dachu.

Gabriel uważnie przygląda się dziewczynce, która mówi szybko i pewnie.

- Mówię serio, nigdzie nie musicie iść. - Zwraca się wprost do Brighta, który gestem wskazuje jej krzesło naprzeciwko Gabriela.

- Proszę cię, usiądź. Nie ma powodu, żebyś stała. Dziewczynka siada, podejrzliwie patrzy na Gabriela, po czym znów zwraca się do Brighta:

- No, więc powtórz, jak się nazywacie. Zapomniałam. - Ręką przeczesuje krótkie jasne włosy. - Ja jestem Denise.

- Denise, ja jestem Bright, a to jest Gabriel.

- Podobają mi się wasze imiona. Są takie zwyczajne. Czy wszyscy w waszym kraju mają zwyczajne imiona?

Bright się śmieje.

- Ludzie mają różne imiona.

Milkną na chwilę, a Denise nagle robi wrażenie zdenerwowanej.

- Jesteście z Afryki? Bright kiwa głową.

- Nielegalnie, prawda?

Bright spogląda na milczącego Gabriela. Denise zauważa to spojrzenie i szybko zapewnia:

- Nie powiem nikomu, obiecuję. Chodzi o to, że widziałam was w mieście. Może nie Afrykanów, ale ludzi z

innych krajów. Hindusów. Chińczyków. Różnych takich. Chcecie jechać do Londynu, prawda? Tam się wybieracie?

Bright kiwa głową.

- Pociągiem?

Bright znów kiwa głową, po czym mówi:

- Przybyliśmy dopiero wczoraj, więc właściwie nie wiemy, co robić.

- Jesteście głodni? - Denise wstaje.

Gabriel patrzy na dziewczynkę, niepewny, czy powinni jej zaufać, ale Bright już chyba podjął decyzję. Dziewczynka wiesza sobie torbę na ramieniu.

- Mogę wam przynieść coś do zjedzenia, ale nie dziś wieczorem. Muszę wracać do domu, bo tata będzie się zastanawiać, co się ze mną dzieje. Ale jutro przyniosę jakieś jedzenie.

Bright patrzy dziewczynce w twarz.

- Czy mogłabyś przynieść coś na chorą nogę mojego przyjaciela? Może bandaż?

- Tylko bandaż jest wam potrzebny? Bright potakuje, następnie zaś pyta:

- Na pewno nie skusi cię, żeby komuś o nas powiedzieć? Teraz Denise wybucha śmiechem.

- Myślałam, że tacy jak wy sami oddają się w ręce policji. Czy nie to robicie, żeby dostać azyl?

- Tak. Ale najpierw chcemy pojechać do Londynu. - Bright wzrusza ramionami. - Jeśli zrobimy to tutaj, mogą z powrotem wsadzić nas na łódź.

- Więc przyплыnęliście promem?

- Przyплыnęliśmy łodzią, co nie było łatwe.

Denise wpatruje się w Brighta, nagle jakaś zdenerwowana.

- Teraz muszę iść, ale obiecuję przyjść jutro z jedzeniem. I spróbuję przynieść coś na jego nogę.

Idzie do drzwi, a Bright za nią. Gabriel odprowadza ich wzrokiem, po czym wstaje i kuśtyka do okna. Widzi, że słońce schowało się za chmurę. Obserwuje Denise, która schodzi w dół ścieżką, beztrąsko machając torbą, przerzuconą przez ramię. Kiedy dziewczynka znika z oczu, ogarnia go niepokój, bo nawet się nie odwróciła. Bright wesoło klepie przyjaciela po plecach.

- Widzę, że jej nie ufasz.

Gabriel wciąż wpatruje się w ścieżkę.

- Bright, dziewczynka powie swoim. Może powinniśmy odejść stąd teraz i spróbować dotrzeć do Londynu, zanim tu wróci.

Bright jest chyba zaskoczony, że Gabriel mówi z takim przekonaniem.

- Możesz ruszyć teraz?

- Nie wiem, mogę jednak spróbować.

Gabriel zostawia Brighta przy oknie i siada. Po dłuższym namyśle spogląda na młodszego przyjaciela.

- Powinniśmy odejść razem, ale z rana. Nie przypuszczam, że dzisiaj coś powie, a ty?

Bright wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Nie umiem czytać w myślach głupich dziewczynek.

Gabriel patrzy na niego zdziwiony.

Gabrielowi śni się matka. Choć uporczywie się w nią wpatruje, ona nie chce się do niego odezwać. Wierzchem dłoni ociera jej twarz, gorącą, zaczerwienioną ze złości. Matka jest nie tylko fizycznie okaleczona i poturbowana, lecz także upośledzona umysłowo. Można to poznać po jej oczach. Niestety mięśnie twarzy ma już za słabe, aby udźwignąć brzemię uśmiechu. Choć Gabriel błaga, żeby z nim uciekła, żeby pozwoliła się ratować, ona patrzy na niego z pogardą. Nie ucieknie. Gabriel podejmuje kolejną próbę.

- Musisz pójść ze mną. Mogę cię zabrać w takie miejsce, gdzie będziesz bezpieczna. Jestem majorem.

Matka, prawie niedostrzegalnie poruszając oczami, obrzuca go spojrzeniem od stóp do głów i wybucha śmiechem.

- Major? Major syn.

Teraz Gabriela ogarnia złość. Jest majorem, ma pod komendą wielu żołnierzy. Toczą wojnę o swój kraj, a jej syn przewodzi ludziom. Ona nie ma prawa się z niego śmiać. Znów próbuje przemówić jej do rozsądku.

- Mogę cię uratować, ale musisz pójść ze mną teraz. - Gabriel słyszy przez ścianę głosy swoich ludzi. Zaczynają się burzyć. Większość z nich już potraciła na tej wojnie rodziny, więc zazdroszczą Gabrielowi, że jeszcze ma matkę. Gabriel widzi żarzące się jasno niedopałki papierosów. Kolejny raz spogląda na matkę i próbuje ją nakłonić do porzucenia domu i dóbr doczesnych, do których najwyraźniej jest przywiązana.

- Te rzeczy nic nie znaczą. Mówię o twoim życiu, ono jest ważne. Musisz dbać o swoje życie. Wiesz, że mówię prawdę, moja matko, więc dlaczego nie chcesz słuchać? Dlaczego jesteś taka uparta?

Gabriel wciąż śni o matce. Słucha coraz bardziej zniecierpliwionych żołnierzy pod domem. Wie, że jeśli nie zdoła jej namówić do odejścia, może już nigdy jej nie zobaczy. Ale co ma robić? Nieść ją przez całą drogę? Jeżeli matka nie chce z nim pójść, on nie ma innego wyboru, jak zaakceptować jej decyzję. Nadal patrzy na nią, a ona odwzajemnia spojrzenie swojego „majora syna” z pogardą, której chyba nie potrafi ukryć.

Potem, nieco później, Gabriel wyobraża sobie, że widzi Ammę i Jozuego, idących razem wzdłuż brzegu szerokiej rzeki. Dziecko Ammy, obecnie mały chłopiec, kręci się pod nogami dorosłych. Gabriel obserwuje ich, niezauważony, i uświadamia sobie, że go zdradzili. Rozumie teraz, dlaczego



Amma wolała Paryż od ich wspólnej przyszłości. Rozumie, dlaczego Jozue nie chciał przyjechać do Anglii. Odtrącili go, to zaś boli. Obserwuje ich bacznie, w nadziei że po sposobie poruszania się pozna, co im chodzi po głowach. Nie ulega jednak wątpliwości, że Amma darzy Jozuego uczuciem i zainteresowaniem, które chciał w niej wzbudzić Gabriel.

Gabriel przygląda się dziecku, podskakującemu radośnie, ale dopiero kiedy ono się odwraca i patrzy w jego stronę, widzi, co go w tym rozbrykanym chłopczyku irytuje. Dzieciak ma twarz Feliksa. To nie jakieś zwykłe podobieństwo, on jest Feliksem, teraz zaś wskazuje na Gabriela i wybucha śmiechem. Jozue i Amma odwracają się, nie dostrzegłszy jednak niczego, nie rozumieją, dlaczego dziecko się śmieje. Śmiech chłopca staje się jeszcze głośniejszy i teraz Gabriel wpada w panikę. Odwraca się i ucieka, a chłopiec za nim goni. Niezależnie od tego, jak prędko biegnie Gabriel, on jest szybszy, aż wreszcie Gabriel zdaje sobie sprawę, że ma jedno tylko wyjście: zatrzymać się i stawić czoło temu młodemu Feliksowi. Jak może przeprosić chłopca za to, co mu zrobił? Zranił go, potem pozwolił mu umrzeć i poczuwa się do winy. Zwraca się twarzą do chłopca, który natychmiast przystaje. Są sami i młody Feliks wybucha płaczem, Gabriel zaś jest świadomy, jak głęboko w sercu chłopiec przechowuje urazę. Robi krok w jego stronę, ale chłopiec się cofa.

- Nic ci się nie stało? - cicho pyta Gabriel przestraszonego chłopca. Robi następny krok w stronę łkającego Feliksa, który obraca się na pięcie i ratuje ucieczką. Porusza się szybko, wkrótce niknie z oczu i Gabriel wie, że pościg za nim będzie daremny, bo chłopiec zaraz schroni się w ramionach Ammy. Niewątpliwie Jozue też go pocieszy i we trójkę ruszą dalej na spacer nad wielką rzeką, a każdy, kto na nich spojrzy, uzna ich za idealną rodzinę.

Gabriel rozgląda się i nie ma pojęcia, gdzie jest. Jego sen zamienia się w koszmar. Słyszy głos, wołający go po imieniu, ale nie umie znaleźć osoby. Nagle ulica pogrąża się w absolutnych ciemnościach, więc nie widzi niczego. Potem znowu czyjś głos woła „Gabrielu!”, a on rozumie, że ten mężczyzna go wabi. Robi się jaśniej i Gabriel idzie za głosem w skłębionym tłumie. Francuzów. Nadal jest w Paryżu. Pojawiają się sklepy i samochody, on zaś ma takie uczucie, jakby przeszedł ze śmierci do życia. Odpręża się i kroczy swobodnie. Już nie słyszy wołania, ale chyba dokładnie wie, dokąd zmierza. Po przecięciu ruchliwej jezdni skręca w boczną uliczkę, gdzie przystaje pod kawiarnianym parasolem i patrzy na mężczyznę, skupiającego na sobie powszechną uwagę. Otacza go grupa takich jak on Afrykanów, zasłuchanych w każde jego słowo, kiedy snuje swe opowieści i pobudza ich do zbiorowego śmiechu. Potem Gabriel rozpoznaje głos, który go wyprowadził z ciemności i przywiódł tutaj. Jest to głos Brighta. Młody przyjaciel nie patrzy na Gabriela, po prostu mówi dalej, a Gabriel słucha i rozumie, że żaden z tych mężczyzn nie może go widzieć. Nawet gdyby podszedł i usiadł wśród nich, nie mogliby go zobaczyć. Choć Bright najwyraźniej coś w życiu osiągnął, Gabriela dziwi jego obecność w Paryżu. Przecież tak się starał dostać do Anglii, że zgodnie z wyobrażeniem Gabriela powinien przynajmniej podjąć próbę dotarcia do Londynu. „Bright”, mówi Gabriel. Czeką na odpowiedź, lecz Bright nadal nie zwraca na niego uwagi. Gabriel podejmuje kolejną próbę, widzi jednak, że podobnie jak pozostali mężczyźni Bright nie może go usłyszeć. Po raz ostatni krzyczy „Bright!”.

Otwiera oczy i orientuje się, że wstał już świt. Na dworze śpiewają ptaki, światło jest słabe. Teraz czuje się wypoczęty, nie tylko po strasznej przeprawie na burcie statku, lecz także po całej podróży. Lekko porusza nogą, a choć wciąż mu

doskwiera, ból nie przeszywa jej tak jak poprzednio. Dopiero w tej chwili, wstając, zauważa, że Brighta nie ma w pokoju. Podchodzi do drzwi, a mimo iż nadal nie może całym ciężarem oprzeć się na nodze, jest zdolny przynajmniej poruszać się z pewną swobodą. Otwiera drzwi, wychodzi i patrzy na dom. W porannym blasku jego zaniedbanie jest wyraźnie widoczne. Początkowo Gabriel zauważył tylko jedno wybite okno, teraz widzi, że większość szyb jest popękanych albo podziurawionych, jakby rzucano w nie kamieniami. Niepomalowane drewno się łuszczy, rynny odpadają. Spomiędzy cegieł wyrastają kępki trawy, cegły są gdzieś obruszone albo w ogóle ich brak. Gabriel obchodzi dom i stwierdza, że ze wszystkich stron jest tak samo zrujnowany. Od tyłu jednak stan dewastacji wydaje się jeszcze większy, bo nie ma tam żadnej całej szyby, a ptaki chyba zaczęły gniazdować w tym, co niegdyś było kuchnią. Na ścianie kuchni róże pną się dziko po chwiejnej kracie, ale ich czerwona wspaniałość tylko podkreśla żałosny wygląd reszty.

Gabriel wędruje przed dom, zastanawiając się, co takiego mogło się tu wydarzyć. Anglia nie doświadczyła wojny, więc dlaczego ktoś miałby uciec z tego wspaniałego domu? Po dojściu krótką ścieżką do drogi, Gabriel rozgląda się na lewo i prawo, nikogo jednak nie widzi. Kiedy się odwraca, żeby wrócić, słyszy za plecami hałas. Na chwilę nieruchomieje, bojąc się obejrzeć.

- To tylko ja.

Słyszy głos, potem śmiech Denise i zwraca się do niej twarzą. Widzi, że jest w tym samym co poprzedniego dnia czerwonym mundurku i czarnych rajstopach, a w ręku trzyma plastikową torbę, w której Gabriel spodziewa się jedzenia. Krępa dziewczynka przepycha się obok niego jak czołg, po czym gna ścieżką do domu. Gabriel idzie za nią.

- Nastraszyłam cię, co? - Nie czeka na odpowiedź. - Przyniosłam ci coś do jedzenia i picia. Gdzie twój przyjaciel?

- Bright?

- Tak, Bright. Myślałam, że tu będzie. - Gabriel nie może oderwać wzroku od torby z jedzeniem, którą dziewczynka teraz mu podaje. - Weź, co chcesz, to dla ciebie.

Gabriel wyjmuje bochenek chleba i odrywa duży kawałek. Choć chciałby jeść powoli i z odrobiną godności, nie może się powstrzymać od wpychania chleba do ust, bo żołądek pali go z głodu. Denise siada i wpatruje się w niego.

- Głodny jesteś, co? - Zaczyna się śmiać, a Gabriel wie, że śmieje się z niego. Rzuca jej gniewne spojrzenie, lecz nieporuszona tym Denise śmieje się dalej. Żując, Gabriel przygląda się jej badawczo i widzi, że chyba jest młodsza od jego sióstr, a szkolnego mundurka nie nosi z dumą ani godnością. Spod za krótkiej spódniczki, zadartej na nodze, wygląda pół uda. Gabriel patrzy na dziewczynkę, na jej odsłonięte udo i próbuje otworzyć butelkę z wodą, w której ukazują się bąbelki, kiedy wreszcie odkręca metalowy kapsel.

- Myślę, że Bright nie wróci, prawda? - Gabriel zaczyna pić, lecz nie odpowiada. Postanawia poczekać na dalszy ciąg. - Widziałam go dziś rano koło dworca. - Gabriel przestaje pić. - Nic ci nie mówił, prawda? - Gabriel milczy. - Cóż, nic się nie martw, będziesz pod moją opieką, dopóki nie dasz rady odejść. Nie mogłam znaleźć bandaży, ale nikomu nie mówiłam, że tu jesteś, słowo daję.

Gabriel odwraca wzrok od Denise. Potrzebny mu jest czas do namysłu, lecz czuje na sobie jej oczy. Ona wpatruje się w niego i czeka na jakieś słowo, Gabriel nie ma jednak nic do powiedzenia tej niegrzecznej dziewczynce. Nie chce nawet na nią patrzeć. Spodziewając się następnego pytania, zamyka oczy, żeby nie widzieć jej i słonecznego blasku, żeby zapanować nad gniewem.

Dzienny dozorca otwiera ostatnie drzwi i usuwa się na bok, żeby Gabriel mógł wejść do pokoju, gdzie kobieta i mężczyzna już na niego czekają przy stole. Na jego powitanie Katherine wstaje z uśmiechem. Dzisiaj ubrana jest w oficjalną czerń, Gabriel widzi jednak, że nie zrezygnowała z miłości do męskich spodni. Stuart Lewis nadal siedzi, z maską skupienia na twarzy, i studiuje rozłożone przed sobą papiery. Gabriel słyszy trzaśnięcie drzwiami i wie, że dozorca stoi za nim.

- Siadaj, Gabrielu. - Katherine wskazuje mu krzesło po przeciwnej stronie stołu.

Gabriel siada, ale Stuart Lewis nie podnosi na niego wzroku. Nadal przerzuca papiery.

- Chcieliśmy tylko wiedzieć, Gabrielu, czy przed pójściem do sądu nie masz nam nic do powiedzenia. - Katherine milknie, a mężczyzna wreszcie podnosi wzrok. Poprawia okulary.

- Gabrielu, po naszym ostatnim spotkaniu poświęciłem trochę czasu na przejrzenie akt. Zważywszy na okoliczności, nie ma wielkiego sensu, żeby w sądzie występował adwokat. - Katherine wzdycha, ale się nie odzywa. - Moim zdaniem tak naprawdę będziesz mógł sam sobie pomóc, mówiąc, że „według ciebie” to się nie zdarzyło, czy coś w tym rodzaju. Rozumiesz?

Gabriel milczy. Mężczyzna zaczyna stukać piórem i szybko pokręciwszy głową, odsuwa krzesło. Katherine pochyla się nad stołem.

- Jesteś pewny, Gabrielu? Czy rzeczywiście jesteś pewny, że nic nie pamiętasz?

Gabriel spuszcza oczy. Stuart Lewis stoi i chowa papiery do teczki. Teraz wstaje też Katherine.

- Zobaczymy się w sądzie, Gabrielu. I nic się nie martw, jesteśmy po twojej stronie. - Próbuje robić wesołą minę, lecz zawiedziony Stuart Lewis nie patrzy już w stronę Gabriela.

Kiedy furgonetka policyjna przejeżdża krętymi, wąskimi ulicami, Gabriel patrzy przez zaciemnione szyby na Anglików, zaabsorbowanych codziennymi sprawami. Kierowca i siedzący obok niego policjant, zajęci rozmową, od czasu do czasu rzucają jakąś uwagę pod adresem Gabriela, oddzielonego od nich metalową siatką.

- Podobno mają cię posadzić z miłymi chłopakami od futbolu.

Gabriel nie wszystko rozumie.

- Z kibicami Chelsea, wolisz ich, prawda? - Mężczyźni wybuchają głośnym śmiechem, lecz Gabriel nie zwraca na nich uwagi i dalej wygląda przez okno. Anglicy robią na nim wrażenie nieszczęśliwych, zauważa też, że chodzą ze spuszczonej głowami, jakby zdecydowani unikać się nawzajem. Dziwna rzecz, nikt na nikogo nie patrzy i wydawałoby się, że ci ludzie nie tylko są dla siebie obcy, lecz także zdecydowani nie dopuścić do zmiany tej sytuacji.

Po chwili nic już nie widać. Wjechali na ciemny podziemny parking i obaj mężczyźni spowaznieli. Równocześnie wysiadają z furgonetki, a drzwiczki trzaskają po obu stronach jak hałaśliwe metalowe skrzydła. Gabriel słyszy otwieranie tylnych drzwiczek, po czym kierowca łapie go za kołnierz koszuli.

- Chodź, słonko, wstawaj.

Gabrielowi trudno jest utrzymać równowagę, bo ma na rękach kajdanki, a kiedy tamci go wyciągają, uderza głową w sufit furgonetki. Dostrzega innych, wśród nich kilku policjantów i paru mężczyzn z aparatami fotograficznymi, którzy zaczynają pstrykać zdjęcia przy akompaniamencie wystrzału migawek i błysku fleszy, oświetlających jego twarz. Czuje, jak policjant przyciska mu głowę, wskutek czego musi patrzeć na własne buty, szybko wleczony w stronę otwartych drzwi. Wewnątrz budynku panuje nieco mniejsze zamieszanie.

Policjant zdejmuje rękę z głowy Gabriela, więc ten podnosi wzrok. Są w jasno oświetlonym korytarzu. Na końcu korytarza czekają Katherine i Stuart Lewis. Katherine klepie go po ramieniu, a on spostrzega, że po ich ostatnim widzeniu rozpuściła włosy i teraz wpadają jej do oczu.

- Mamy parę minut do rozprawy. Dobrze się czujesz? Gabriel kiwa głową i rozgląda się dookoła. W korytarzu pełno jest policjantów, którzy się w niego wpatrują, ale przynajmniej nikt nie robi zdjęć.

- Chodź, możemy wejść tutaj - mówi Katherine.

Stuart Lewis zostaje na korytarzu, a Katherine prowadzi Gabriela do pokoiku, gdzie jego uwagę natychmiast zwraca migotanie jarzeniówki. Jest tam stół z czterema krzesłami, na ścianach nie wiszą żadne obrazki ani plakaty, nie ma też okien. Gabriel siada naprzeciwko Katherine, później wchodzi Stuart Lewis z policjantem i zajmuje miejsce obok Gabriela. Obecnie wydaje się odprężony i nawet z uśmiechem spogląda na Gabriela, który widzi na żółtym krawacie prawnika jakby niewyraźną plamę po kawie.

- Jak się dzisiaj miewamy?

Ta niespodziewana zmiana tonu wprawia Gabriela w pomieszenie. Patrzy na Katherine, która też wydaje się lekko zaskoczona.

- Wszystko w porządku, Stuart?

- Och, tak. Wszystko w porządku. - Prawnik zerka na zegarek, po czym zaczyna bębnić palcami po blacie stołu.

Katherine odzywa się po dłuższej chwili:

- Co się dzieje, Stuart?

Policjant kolejno obrzuca ich wzrokiem i raptem wstaje, otwiera drzwi, wychodzi na korytarz. Stuart Lewis, spojrzawszy na zegarek, też wstaje.

- Stuart, co się, u diabła, dzieje? Chyba Gabriel ma prawo wiedzieć, nie sądzisz?

Prawnik raz jeszcze rzuca okiem na zegarek, a potem, zadowolony z siebie, patrzy na Katherine.

- Cóż, oskarżyciel publiczny się nie stawił, a dziewczynka nie chce zeznawać, i na tym koniec. Poinformowałem policję, że zajmujesz się jego podaniem o azyl, więc jeśli złożyłaś wniosek, jest do twojej dyspozycji.

- A zatem wycofano oskarżenie?

- Ponieważ główny świadek oskarżenia nie chce zeznawać, na to wychodzi. Sprawa zakończona, ale pan Gabriel nie jest tutaj postacią popularną. Złożyłaś jego podanie o azyl? - Katherine twierdząco kiwa głową. - Cóż, radziłbym, żeby do zakończenia procedury pan Gabriel przebywał możliwie daleko stąd.

Katherine wpatruje się w Stuarta Lewisa, który prostuje krawat i poprawia na nosie okulary.

- Idziesz?

Stuart Lewis wydaje się zdziwiony pytaniem.

- Oczywiście, że idę. Bez dziewczynki sprawa się nie odbędzie, a ja mam inne zajęcia. Coś jeszcze?

Gabriel spogląda teraz na Katherine, która robi wrażenie zdezorientowanej. Bezradnie rozkłada ramiona.

- Chyba nie. Ale to wszystko stało się tak nagle. Prawnik rusza do drzwi.

- Powodzenia. - Przystaje i patrzy na Gabriela. - Życzę go wam obojgu. - Zamyka za sobą drzwi, po czym Gabriel i Katherine zostają sami.

- Zrozumiałeś coś z tego? - Gabriel nie odpowiada, więc Katherine okrążyła stół i siada obok niego. - Skończyło się, Gabrielu. Dziewczynka odmówiła współpracy, więc oskarżyciel musiał wycofać pozew. Możesz iść, ale Stuart radzi, żebyś pojechał gdzieś daleko. Chyba ma rację. Nie będzie ci łatwo, jeśli tu zostaniesz, ale nie chcesz zostać, prawda? - Gabriel kręci głową. - Słuchaj, będę z tobą szczerą,



mój drogi. Złożyłam twoje podanie i powinieneś zostać tutaj, gdzie jako uchodźca będziesz miał zapewniony dach nad głową i wyżywienie, dopóki nie zapadnie decyzja w sprawie azylu. Moi koledzy z tutejszego biura zajmą się tobą. - Katherine milknie. - Ale prawda jest taka, mój drogi, że ponieważ to wisi nad twoją głową, miejscowi ludzie cię nie zapomną. Nie będą bezstronni.

Gabriel nie wie, co powiedzieć, więc czeka, aż Katherine doda coś jeszcze. Ona wyjmuje z torebki notesik i coś w nim pisze.

- Dam ci mój londyński adres, Gabrielu. - Katherine wydiera z notesu kartkę i podaje ją Gabrielowi. - Napisz do mnie, jak będziesz czegoś potrzebował, ale mówiąc między nami, najlepiej będzie, jak dasz nogę. Nie powinnam ci tego mówić, taka jest jednak prawda. Zresztą nawet w Londynie będziesz narażony na pewne ryzyko, bo narobili wokół ciebie tyle szumu. Jedź na północ. Nie masz właściwie żadnych papierów, więc wybierz sobie jakieś inne imię. Spróbuj tam, gdzie nie będą wiedzieli, kim jesteś.

- Ale ja nie zrobiłem nic złego. Katherine dotyka jego ramienia.

- Ja tego nie kwestionuję, Gabrielu. Ludzie jednak zawsze wychodzą z założenia, że nie ma dymu bez ognia. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale tak już jest.

Gabriel uważnie przygląda się kartce, którą dostał od Katherine.

- Możesz przeczytać?

Gabriel potakuje, a Katherine się uśmiecha.

- No, więc to wszystko.

- Czy wrócę do więzienia?

- Nie sądzę. Rzeczywiście nic nie masz, prawda? -

Gabriel wyciąga swoją pogniecioną książkę z kieszeni. - Cóż, jeśli tak, to jesteś gotowy do drogi. Podrzuciłabym cię do

Londynu, ale muszę jechać do Dover na inną sprawę. - Katherine milknie. - Nie masz pieniędzy, prawda?

On patrzy, jak sięga do torebki i wyjmuję parę banknotów. Najpierw daje mu swój prywatny adres, a teraz pieniądze, ale Gabriel ich nie weźmie, tego już za wiele. Odwraca oczy, Katherine jednak nalega.

- Zostawiam je tu na stole, Gabrielu, i chcę, żebyś je wziął. Nigdy nic nie wiadomo.

- Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

- Przepraszam? - Głos Katherine nagle rozbrzmiewa oburzeniem.

Gabriel jest zaszokowany własnymi słowami, więc mówi:

- Przepraszam. Dziękuję.

- Dobrze. - Katherine wstaje. - Znam nieźle jednego z policjantów. Poproszę, żeby cię podwiózł na dworzec w sąsiednim mieście, to umkniesz dziennikarzom. Powiem mu, że później mam się tam z tobą spotkać czy coś w tym rodzaju. Zaczekaj, aż odjedzie, i radź sobie sam.

- Katherine wpatruje się w niego przez chwilę. - Ale do tego chyba przywykłeś, prawda?

Gabriel odwzajemnia spojrzenie.

- Powodzenia, Gabrielu. - Katherine zamyka za sobą drzwi.

Gabriel siedzi wpatrzony w pieniądze. Potem bierze dwa banknoty i wsadza je do kieszeni spodni.

Czuje ciężar ręki na ramieniu, a na twarzy kwaśny oddech.

- Nie pokazuj się, kolego. Sprowadzisz nam na głowy cały Scotland Yard, jak nie będziesz uważać.

Gabriel patrzy na zaniedbanego, niechlujnego mężczyznę, którego niesforna broda na moment budzi w nim strach. Ten człowiek o bladej, nieomal woskowej cerze, upewniwszy się, że Gabriel słucha uważnie, robi krok do tyłu. Gabriel się rozgląda i powoli odzyskuje pamięć. Policjant wepchnął go na

tylne siedzenie samochodu, nie założył mu jednak kajdanków ani nie czekał na kierowcę. Zatrzasnął drzwiczki i wyjechał z miasta. Po drodze nie przestawał zadręczać Gabriela pytaniami o dziewczynkę i o to, jak było, jak czułby się Gabriel, gdyby on to samo zrobił jego siostrze czy matce. Gabriel nie miał wyboru, musiał słuchać, a im dłużej tamten mówił, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że policjant zamierza go pobić czy wywieźć gdzieś, gdzie będzie czekać grupa jego przyjaciół i zabije Gabriela.

Właśnie w chwili, kiedy Gabriel zaczął się zastanawiać, czy dla ratowania życia nie powinien otworzyć drzwiczek, wyskoczyć i pobiec w pole, znaleźli się w pobliżu innego miasta. Policjant zwolnił i zamilkł. W końcu wyłączył silnik, bez pośpiechu podszedł do tylnych drzwiczek, otworzył je i powiedział tylko:

- Wsiadaj.

Gabriel szybko stanął na chodniku, a mężczyzna zatrzasnął drzwiczki. Gabriel zrazu obserwował pędzący w dal samochód, po czym pomacał w kieszeni, żeby się upewnić, czy nadal ma pieniądze, otrzymane od kobiety, i zawrócił w stronę dworca i miejsca, gdzie ludzie kupowali bilety.

Kilka godzin później, zziębnięty i głodny, wędrował ulicami Londynu, miasta skąpanego w słabym żółtym świetle zapalonych po południu latarni. Zachmurzone niebo jak szara, wiotka zasłona zwisało mu nad głową, a wszędzie dookoła ruch uliczny był tak głośny, że nigdzie nie dało się uciec od straszego hałasu. Gabriel odkrył majestat szerokiej rzeki, nad którą ludzie już się tak nie tłoczyli, i podziwiał wielkie budynki na obu jej brzegach. Nie mógł się cieszyć tymi niewiarygodnymi widokami, gdyż w jego życiu nadal panował nieład. Czuł się zagubiony. Stanął pośrodku jednego z licznych mostów i wpatrując się w czarną otchłań w dole, myślał przez chwilę, jak by to było, gdyby spadł w chłodną

wodę, najpierw spiralnie przebiwszy własne odbicie. Może potrafiłby odnaleźć spokój w ciszy i bezruchu pod srebrzystą żyłą Londynu. Opamiętał się, kiedy przez most przewaliła się fala pojazdów, i postanowił odejść znad rzeki, raz jeszcze wytknąć sobie cel, szukać Brighta na nieskończenie długich ulicach miasta. Ale w miarę jak dzienny niepokój ustępował miejsca nocnej konsternacji, to zadanie zaczynało przerastać jego siły i wkrótce zapragnął zrezygnować z poszukiwań.

Noc zapadła szybko i Gabriela ogarnął strach, że może go zatrzymać policjant, który zacznie zadawać trudne pytania. Po przemierzeniu wielu mil rozboleła go prawa noga, toteż nie tylko pragnął poczuć się bezpiecznie, lecz także znaleźć miejsce, gdzie mógłby wypocząć. Już myślał, że nie zdoła iść dalej, kiedy trafił do nieoświetlonego parku i mimo ciemności zauważył wielu mężczyzn, którzy chyba spali na ławkach. Pierwsza ławka, na jakiej usiadł, wzbudziła w nim obrzydzenie, bo kiedy się odchylił i wyciągnął nogi, zobaczył obok zużytą prezerwatywę, podobną do rozciętej, filetowanej ryby. Znalazł inną ławkę i położył się na niej, lecz nie zamykał oczu. Był zmęczony, nie czuł się jednak bezpiecznie, toteż wpatrywał się w drzewo nad głową, z dużymi gałęziami rozpostartymi nad nim jak wielki czarny baldachim. I wtedy dostrzegł ich więcej, wiszących na gałęziach niczym wyrzucone gumowe owoce, ale nie miał siły ruszyć się z miejsca. Odtwarzał w pamięci wydarzenia minionego dnia, który się zaczął w angielskim więzieniu, a kończył w parku na ławce, w Londynie. Wtem pojawił się nad nim mężczyzna o woskowej twarzy, bezchmurne niebo pojaśniało, Gabriel zaś zrozumiał, że widocznie spał.

- Tu trzeba być cicho. - Mężczyzna podchodzi do Gabriela i siada na brzegu ławki. - Jesteś nowy, prawda? Zawsze poznam nowego. Masz zaburzenia. - Puka się palcem w głowę. - Tutaj. Mam rację, co? - Nie czeka na odpowiedź.

- Martwisz się o swoją rodzinę. Nie możesz zrozumieć, w jaki sposób doprowadziłeś się do takiej sytuacji, o to chodzi, prawda? Mam rację, co? - Wybuchła krótkim śmiechem i klepie Gabriela po udzie. - No, już, przyznaj mi rację. - Dalej chichocze pod nosem.

- Dla mnie ta sytuacja jest niedobra.

Mężczyzna wydaje się nieco zdziwiony odpowiedzią Gabriela, lecz ten nie mówi nic więcej.

- Co rozumiesz przez niedobrą sytuację? - Gabriel wie, że głupio jest zaufać pierwszemu napotkanemu człowiekowi, więc postanawia milczeć. - Jesteś jednym z uchodźców, co? - Teraz mężczyzna wyraźnie się odpręża, przeświadczony, że rozwikłał zagadkę tożsamości Gabriela.

- Jesteś jednym z tych facetów, co? Przyjeżdżacie do tego kraju, żeby pasożytować na państwie opiekuńczym. Tak o was mówią. - Gabriel patrzy na nieznajomego i odpowiada powoli:

- Nie przyjechałem do tego kraju, żeby coś brać od kogokolwiek.

Ta wiadomość natychmiast poprawia humor jego nowemu przyjacielowi.

- No, to dobrze. Ja mam na imię Jimmy. - Wyciąga brudną rękę, którą Gabriel potrząsa ostrożnie. - Mowę ci odebrało czy co? Jak masz na imię?

- Gabriel. - Po wymówieniu tego jednego słowa Gabriel czeka, aż mężczyzna znów się odezwie.

- Ładne imię, Gabriel. - Mężczyzna milknie i wskazuje na książkę, wypadającą Gabrielowi z kieszeni. - A tam co masz?

- Książkę. - Gabriel wpycha ją na dawne miejsce.

- Och, mól książkowy z ciebie, co?

- Czasami coś zapisuję.

- Cóż, to się przydaje. Pomaga zapamiętać, prawda? - Gabriel w milczeniu patrzy na mężczyznę, który ciągnie dalej:

- Wiesz, jak jesteś takim zapalonym czytelnikiem, możemy

pójść, wziąć trochę pisemek i mieć zajęcie. - Gabriel robi zdziwioną minę, lecz tamten nie przerywa. - Kupić je za pół ceny i sprzedać. Zatrzymać resztę. - Gabriel nie ma pojęcia, o czym brudas mówi, ale nie chce zrobić na nim złego wrażenia.

- Jestem biedny. Nie mam pieniędzy.

- Żadnych? - Gabriel kręci głową. - Cóż, czasami mogą ci zaufać, jeśli masz przyjazną twarz. - Mężczyzna uważnie mu się przygląda. - Wiesz, masz szczęśliwą twarz. Ktoś już ci to kiedyś mówił? - Gabriel kręci głową. - Ja myślałem, że mam szczęście, dopóki nie zaczęli dwa razy na tydzień ciągać mnie do sądu za jazdę po pijanemu. Wtedy moje szczęście się skończyło. - Wybuchają śmiechem. - Skończyło się, draństwo, i nigdy nie wróciło.

Gabriel wychodzi za mężczyznę z parku, przecinają szeroką jezdnię, co zajmuje im całe wieki, po czym wędrują kolejnymi ulicami, które wyglądają na ślepe zaułki, aż wreszcie docierają do wysokiego biurowca, najwyraźniej miejsca ich przeznaczenia. Ludzie tacy jak Jimmy wchodzą do budynku albo z niego wychodzą, a Gabriela ogarnia strach, że ten człowiek zaraz wycygnie od niego pieniądze. Głębiej wsadza ręce w kieszenie spodni, ścisną jeden banknot i kilka monet, mówiąc sobie, że w razie potrzeby będzie się bił z tym mężczyzną i z każdym innym, kto spróbuje go źle potraktować. Za drzwiami się odpręża, bo mężczyzna chyba wie, co robić, zresztą nie są sami. Jego nowy przyjaciel podchodzi do siedzącej za biurkiem kobiety i wręcza jej garść drobnych. Kobieta liczy pieniądze, po czym bierze dziesięć egzemplarzy ze stosu czasopism, spiętrzonych przed nią.

- Jak się dzisiaj miewasz, kochany?

Jimmy odpowiada uśmiechem. Ona spogląda na Gabriela i znów na Jimmy'ego. Głową wskazuje Gabriela.

- Twój przyjaciel, tak?

Mężczyzna bez słowa wtyka czasopisma pod pachę, lecz Gabriel zauważa pogardliwy grymas kobiety. Po powrocie na ulicę Jimmy mówi z ogniem w oku:

- Cholerna dziwka.

Gabriel milczy, choć zaskakuje go ten wybuch. Mężczyzna wręcza mu pięć magazynów.

- Najlepiej będzie, jak znajdziemy dwa różne miejsca. Możemy się spotkać wieczorem, ty mi oddasz połowę pieniędzy, resztę zatrzymasz dla siebie. - Wskazuje pustą bramę po drugiej stronie ulicy. - Ty stań tam. Trzymaj pisma i mów „Tylko funciaka” albo coś w tym rodzaju. Znasz się na pieniądzach, prawda?

Gabriel nie zna się na pieniądzach, uważa jednak, że najlepiej będzie nie sprawiać przyjacielowi dalszych kłopotów, więc kiwa głową i mówi „Tak”. Jimmy wskazuje drugi koniec ulicy.

- Ja będę gdzieś tam, gdybyś mnie potrzebował. Mogę być za rogiem, ale niedaleko.

Z tymi słowami odchodzi, a Gabriel patrzy za nim, dopóki nie wchłonie go tłum przechodniów i nie zniknie z pola widzenia.

Gabriel, zdany na siebie, przechodzi na drugą stronę ulicy i zgodnie z instrukcją staje w bramie. Unosi czasopisma wysoko, mimo to żaden z przechodniów nie zdradza najmniejszego zainteresowania i żaden nie chce spojrzeć mu w oczy. Prawie godzinę Gabriel znosi to, że ludzie traktują go jak powietrze, po czym decyduje się odnaleźć nowego przyjaciela i z żalem zwrócić mu magazyny. Podziękuje za życzliwą propozycję pomocy, lecz wyjaśni, że szuka przyjaciela, Brighta, i musi się skupić na tym jednym zadaniu. Zwija magazyny i starannie umieszcza pod kurtką, ale kiedy szykuje się do odejścia, spostrzega mężczyznę, który przystanął przed nim i przygląda mu się tak, jakby nagle

rozpoznał dawno zaginionego krewniaka. Zapewne nie jest zdolny wydać głosu, więc Gabriel odzywa się pierwszy:

- Czy ja ciebie znam?

Mężczyzna wyciągniętą ręką mierzy w Gabriela jak z karabinu.

- Nie jestem pewny. Może. Chyba jesteś moim krajanem. Gabriel czeka, aż powie coś więcej, wygląda jednak na to, że mężczyźnie odebrało mowę. Gabriel wymienia nazwę swojego kraju, nieznajomy zaś, ogarnięty nagłym wzruszeniem, robi minę człowieka bliskiego płaczu. Szeroko otwiera ramiona.

- Nie mogę w to uwierzyć, mój bracie. Od tak dawna jestem tu w Anglii i dopiero teraz spotykam rodaka. - Roześmiany podaje Gabrielowi rękę. - Emanuel. Nazywają mnie Emanuel.

Gabriel ściska mu dłoń, lecz podniecony Emanuel go nie puszcza.

- Chodź, pójdziemy się czegoś napić i porozmawiać o tym, co się dzieje.

- W tej chwili?

- Masz coś innego do roboty? Proszę, chodź ze mną. Będiesz miał dość czasu na sprzedawanie gazet. A poza tym pora nie jest najlepsza, kiedy wszyscy są w pracy. Proszę cię, chodź. To wprost nie do wiary.

Emanuel prowadzi, szybko skręca raz w lewo, raz w prawo. Gabriel śpieszy za nim, wstydząc się tłumaczyć temu pobudliwemu mężczyźnie, że wskutek odniesionych obrażeń nie może tak pędzić.

O tak rannej porze pub świeci pustkami, a zafascynowany Gabriel przygląda się pluszowym obiciom drewnianych krzeseł, słabo świecącym żyrandolom i podartym zasłonom. W ciemnym zadymionym wnętrzu paru mężczyzn czyta



gazety, większość jednak po prostu albo pije, albo wpatruje się w próżnię. Emanuel nagle sprawia wrażenie zakłopotanego.

- Masz jakieś pieniądze, mój bracie?

Gabriel sięga do kieszeni i wyjmuję resztki tego, co dostał od Katherine. Emanuel bierze banknot i parę monet, po czym wskazuje mu krzesło.

- Zaczekaj tu. Przyniosę piwo.

Gabriel stosuje się do polecenia, lecz nie spuszcza oczu z Emanuela, który podchodzi do bufetu i mówi coś do barmana. Barman nalewa piwo, podaje szklanki Emanuelowi, ten zaś wręcza mu pieniądze i czeka na resztę. Gabriel widzi, jak Emanuel najpierw chowa pieniądze do kieszeni, a dopiero później rusza z dużymi szklankami w stronę niskiego stolika, przy którym on siedzi niewygodnie, z kolanami wciśniętymi w wąską szparę między krzesłem a blatem.

- Życiodajny nektar - mówi Emanuel, siadając. Unosi szklankę. - Na zdrowie.

Gabriel wyciąga rękę.

- Masz dla mnie pieniądze?

- Oczywiście - odpowiada Emanuel ze śmiechem. - Ale jeszcze się napijemy. Nie masz do mnie zaufania?

Gabriel stara się, żeby to nie zabrzmiało zbyt groźnie, mówi jednak zdecydowanym tonem:

- Wolę mieć swoje pieniądze we własnej kieszeni. Emanuel się śmieje, ale wsadza rękę do kieszeni i wyciąga garść monet.

- Możesz przeliczyć, są wszystkie.

Choć Gabriel nie potrafi powiedzieć, czy są wszystkie, natychmiast chowa je do kieszeni. Emanuel pociąga drugi łyk piwa, po czym wyjmuję zgniecioną paczkę papierosów i stuka nią o blat stolika jak aktor filmowy. Podsuwa ją Gabrielowi, który grzecznie odmawia gestem ręki, niezdolny powstrzymać gradu pytań rodaka. Obserwuje niebieski błysk zapalki, kiedy

Emanuel zapala papierosa, a potem puszcza duże kółko dymu. Emanuel wciąż zasypuje nowego przyjaciela pytaniami, chce wiedzieć, od jak dawna jest w Anglii, dlaczego i jak przyjechał, czy przyjechał sam, Gabriel zaś ostrożnie na nie odpowiada, a im więcej tamten ich zadaje, tym bardziej jest zdecydowany nie mówić nic na swój temat. Emanuel osusza swoją szklanę i głośno odstawia ją na stolik.

- Jeszcze jedno, mój bracie?

Gabriel wsadza rękę do kieszeni i podaje mu trochę drobnych.

- Idę tylko do toalety i zaraz wracam.

Gabriel ściąga brwi, więc Emanuel widzi, że go podejrzewa.

- A może ty wolałbyś pójść do baru po piwo? - Wyciąga rękę z pieniędzmi do Gabriela, ten jednak kręci głową. Emanuel wstaje ze śmiechem. - W końcu uczysz się być na luzie, człowieku. Jesteś teraz w Anglii. Jak sobie damy radę, jeśli jeden nie będzie ufał drugiemu? Anglicy uważają się za coś lepszego, więc się o nas nie troszczą. Mamy tylko siebie nawzajem. Każdego dnia ludzie obrzucają mnie wyzwiskami, a ja nic na to nie mogę poradzić. Nie mam wyboru, muszę być tutaj. Żeby przetrwać wśród tych ludzi, muszę być zamknięty w sobie i spokojny. Kiedy jednak spotkam kogoś z mojego kraju, chcę być sobą, chcę się otworzyć.

Gabriel obserwuje Emanuela, cicho stąpającego po brudnej wykładzinie w stronę drzwi z napisem „Panowie”. Zostało mu jeszcze trochę piwa i kiedy podnosi do ust szklanę, rozgląda się dookoła. To nie jest Anglia, do której w swoim wyobrażeniu podróżował, a ci rozbitkowie to nie ludzie, których spodziewał się tu znaleźć. Pod tym smutnym dachem życie jest odarte z ambicji, złamane. Gabriel pociąga kolejny łyk, ale ciepłe piwo mu nie smakuje. Postanawia poprosić Emanuela o zamówienie innego gatunku, po

Emanuelu jednak wszelki ślad zaginał. Gabriel czeka dalej, aż raptem olśniewa go myśl, że się nie doczeka. Zostawia piwo, powoli wstaje i kieruje się do drzwi z napisem „Panowie”. Po wejściu do brudnej toalety widzi, że Emanuel wylazł przez otwarte okno. To takie proste. Gabriel przez salę wychodzi na ulicę. Rozgląda się na lewo i prawo, ale nie jest pewny, w którą stronę ma się udać na poszukiwanie Jimmy'ego. Jimmy uważa chyba, że sprzedał czasopisma i zwiął z pieniędzmi. Gabriel wkłada rękę do kieszeni i wyciąga parę monet, jakie mu zostały. A razem z nimi kartkę z adresem Katherine.

Londyńskie niebo pociemniało jak siniak, Gabriel zaś nadal nie poznaje żadnego mijanego budynku, skrzyżowania ani ulicy, w którą skręca. Godzinami szukał najpierw Jimmy'ego, potem Emanuela, wreszcie Brighta, aż zrozumiał, że tych prowadzących donikąd ulic nie wytyczono na powitanie nowo przybyłych. Właśnie zaczyna padać, parasole otwierają się wokół niego, podobne do niecierpliwych kwiatów, a ludzie bez parasoli poruszają się szybko, jak gdyby próbowali omijać krople deszczu. Przemoczony Gabriel po prostu trzyma przed sobą kartkę papieru niczym swego rodzaju paszport. Pyta Anglika w garniturze i krawacie o drogę do Katherine, ale ten patrzy na niego jak na wariata, ledwie spojrzawszy na wilgotną kartkę z adresem. Gabriel pyta innego mężczyznę, który odpędza go gestem, a potem jeszcze jednego. Ten przez chwilę wpatruje się w kartkę. Jest młodszy, jego sportowe ubranie wskazuje, że gdzieś wychodzi, przeciwnie niż ci, co po pracy wracają do domu. Wreszcie oddaje kartkę Gabrielowi i wskazuje kierunek.

- Wsiądź tam do autobusu. Numer trzydzieści osiem. Poproś konduktora, żeby ci powiedział, kiedy będzie Upper Street. Wsiądź, a potem zapytaj o drogę.

- Dziękuję. Bardzo jestem wdzięczny. - Gabriel uśmiecha się do mężczyzny.

- Masz pieniądze? Gabriel kiwa głową.
- Mam trochę.
- No, gdybyś się nieco ogarnął, mógłbym cię nauczyć łatwego zarabiania pieniędzy.

Gabriel patrzy na mężczyznę, który wskazuje na magazyny, wystające z jego kieszeni.

- Są łatwiejsze niż ten sposób zarobkowania. A może nikt cię nie uświadomił?

Gabriel nadal jest skonsternowany.

- Nie kapujesz, co?

Gabriel zaczyna się oddalać od mężczyzny, który teraz woła za nim ze śmiechem.

- Daj mi znać, jak będziesz potrzebował sponsora.

Gabriel się nie odwraca. We własnym kraju zabiłby tego człowieka i nikt by go za taki czyn nie pociągnął do odpowiedzialności. Idzie z uczuciem obrzydzenia i ledwie powściąganym gniewem, a kiedy znajduje przystanek autobusowy, ustawia się w krótkiej kolejce za nędzarką z małym dzieckiem na rękach. Z bliska widzi u dziecka po dwa kolczyki w każdym uchu, co go dziwi, ale to nosek, jak ulepiony z wilgotnej gliny, naprawdę go szokuje, ponieważ tkwi w nim duży złoty kolczyk.

Do autobusu Gabriel wchodzi za kobietą, lecz zajmuje pojedyncze miejsce na dole. Podaje bilon konduktorowi i z ulgą rozpoznaje w nim mieszkańca Indii Zachodnich.

- Chciałbym dojechać do Upper Street. Mężczyzna bierze jedną monetę.

- Powiem ci, kolego. - Mówiąc to, mruga do Gabriela. Gabriel jest zbyt przestraszony, żeby odpowiedzieć, więc w zamyśleniu wygląda przez okno. Przychodzi mu do głowy, że może odnaleźć dom Katherine, a jej tam nie zastać. Może wciąż jeszcze pracuje albo gdzieś wyszła. Gabriel rozważa te możliwości, tymczasem zaś powieki zaczynają mu się kleić.

- Upper Street, kolego.

Kiedy Gabriel wstaje, konduktor wskazuje na jego zwinięte w rulon czasopisma.

- Sprzedajesz je czy nosisz? - Śmieje się.

- Chcesz jedno? - Gabriel wyciąga je z kieszeni, a konduktor ze śmiechem daje mu w zamian monetę.

- Będziesz musiał być trochę bardziej bezwzględny, jeśli chcesz się ich pozbyć.

Gabriel wysiada i po odjeździe autobusu rozgląda się dookoła. Z adresem Katherine w ręce podchodzi do mężczyzny, który o tak późnej porze jeszcze sprzedaje gazety. Gabriel mówi tylko „Proszę” i pokazuje mu kartkę.

Mężczyzna przesuwając okulary na czubek głowy, opiera je na włosach i czyta, mrużąc oczy w słabym świetle.

- Tam, kolego. - Wskazuje przeciwną stronę ulicy. - Idź dalej w tym kierunku. Dom jest po lewej stronie.

Gabriel dziękuje, przechodzi przez jezdnię, a tymczasem z londyńskiego nieba znów zaczyna siąpić kapuśniaczek. Gabriel przytrzymuje połę rozpiętej kurtki i ostrożnie zbliża się boczną ulicą do numeru dwudziestego siódmego. Widzi, że dzielnica jest zamożna, bo przed domami są schludne, wypielęgnowane ogródki. Również wszystkie zaparkowane tu samochody to drogie modele, takie, jakimi w jego kraju lubili jeździć ministrowie albo biznesmeni. Jeden wszakże samochód, z metalowym wieszakiem na ubrania, wygiętym na kształt zgniecionej kuli i wetkniętym w dziurę w masce, budzi niepokój Gabriela. Na widok tego wozu z prowizoryczną anteną Gabriel nagle przypomina sobie ojczyznę i swoje marzenia o samochodzie, ale się odwraca i widzi, że wreszcie znalazł poszukiwany dom.

Pałają w nim światła, więc na pewno zastanie Katherine, nie wie natomiast, co ma jej powiedzieć. Otwiera furtkę i ostrożnie idzie ścieżką. Staje pod drzwiami, naciska dzwonek,

a ponieważ nic się nie dzieje, puka i czeka, równocześnie zaś słyszy cienki, przenikliwy gwizd, jakby przejeżdżającego pociągu. Po chwili ukazuje się Katherine z książką w ręku i postarzających ją okularach w czarnej oprawce.

- Gabriel? Co tutaj robisz?

Gabriel nie znajduje odpowiedzi. Katherine nie jest specjalnie życzliwa, co wprawia go w jeszcze większe zakłopotanie.

- Przepraszam - zająkuje się Gabriel. - Nie powinienem ci przeszkadzać, ale nie mam pieniędzy. Zostałem obrabowany.

Katherine wygląda na zaniepokojoną. Potem drzwi otwierają się szerzej i dużo starszy, siwowłosy mężczyzna pojawia się za plecami Katherine, która zwraca twarz w jego stronę.

- Leonardzie, to Gabriel. Ten z wybrzeża. Opowiadałam ci o nim. Jego sprawa została oddalona.

Leonard mówi do Katherine, nie spuszczać wzroku z Gabriela:

- Tak, oczywiście pamiętam. Co on tutaj robi?

Katherine jest wyraźnie zagniewana.

- Leonardzie! - warczy, ale mężczyzna odwraca się tyłem do Gabriela i znika w głębi domu. Katherine z głębokim westchnieniem spogląda po raz drugi na obcego, który stoi na jej progu.

- Chwileczkę, Gabrielu. - Zamyka drzwi i zostawia Gabriela samego.

Gabriel słyszy podniesione głosy i rozumie, że obydwójce są źli, im głośniej jednak krzyczy mężczyzna, tym donośniej i z większym przejęciem odpowiada mu kobieta. Gabriel zastanawia się, czy nie powinien po prostu odejść, bo najwyraźniej to on jest przyczyną konfliktu. Kiedy o tym rozmyśla, Katherine wraca, ubrana w płaszcz.

- Chodź, Gabrielu. - Zatrząskuje za sobą drzwi i maszeruje ogrodową ścieżką, nie oglądając się na Gabriela. - Zaufaj mi, Gabrielu, i nie zostawaj w tym mieście. - Otwiera drzwiczki małego niebieskiego samochodu i wsiada. Pochyla się, a otwierając Gabrielowi drzwiczki po stronie pasażera, mówi: - Wsiadaj, wsiadaj.

Gabriel siada obok niej.

- Pas. - Gabriel patrzy na nią tępo. - Zapnij pas. - Katherine przechyla się i dość zniecierpliwiona zapina mu pas. Gabriel odczuwa zakłopotanie, bo choć wie, do czego służą pasy, nie przywykł do widoku ludzi, którzy ich używają. Katherine zapala papierosa, po czym uruchamia silnik. Częstuje Gabriela, on jednak kręci głową. Katherine wpycha paczkę papierosów do torebki, włącza bieg, wyprowadza samochód na ulicę i odjeżdża z piskiem opon. Odzywa się dopiero po paru minutach.

- Przykro mi z powodu takiego przyjęcia, Gabrielu. Leonard wie o sprawie i tak jak wszyscy inni uważa, że przypuszczalnie coś w tym jest.

Gabriel nie odpowiada, więc ona rzuca mu szybkie spojrzenie.

- Mówię o dziewczynce, Gabrielu. Powiedziała mi, czytał też o tym w gazetach.

Gabriel kiwa głową na znak, że rozumie. Katherine prowadzi, a on przez okno patrzy na coraz bardziej rzęsy deszcz.

- Gabrielu, wywożę cię na autostradę, żebyś mógł złapać okazję. Poproś o wysadzenie gdzieś na północy. Kierowcy ciężarówek bardzo lubią mieć kogoś, z kim mogą porozmawiać, zwłaszcza nocą. - Kiedy zatrzymują się pod światłami, Katherine sięga do torebki i wyciąga banknot. - Ten, kto cię obrabował, nie zrobił ci krzywdy, prawda?

Gabriel kręci głową.

- Nie, to był rodak. Oszukał mnie.

- Witaj w Anglii. - Katherine się śmieje. - Schowaj to na wszelki wypadek. - Wpycha Gabrielowi banknot do ręki, potem zmienia bieg i odjeżdża spod świateł. - Może się przydać na jedzenie czy coś takiego. Na pewno znajdziesz na północy jakąś pracę i naprawdę powinieneś zostać kimś innym, Gabrielu. Wiem, że tego nie chcesz, ale to rzeczywiście pomoże. Niestety, mnóstwo jest Leonardów na świecie - dodaje po przerwie.

Gabriel nie umie na to odpowiedzieć, więc po prostu wygląda przez okno, kiedy w milczeniu jadą ulicami Londynu, które zdają się nie mieć końca. Katherine nastawia radio, lecz muzyka pop wprawia Gabriela w jeszcze większe zakłopotanie. To wstyd zdawać się na łaskę tej kobiety i robić jej tyle kłopotu. Mimo usilnych starań nie przychodzi mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć, żeby naprawić ich wzajemne stosunki. Raz jeszcze odwraca się do okna, a wtedy Katherine zaczyna zwalniać i chwilę później zatrzymuje się po lewej stronie drogi.

- Wysadzę cię tutaj, Gabrielu. - Milknie. - Niestety na deszcz nie mam rady. - Pokazuje rozwidlenie szosy. - Ja skręcam w prawo, ty powinieneś stanąć za zakrętem z lewej strony i szybko złapać okazję, jak tylko zaczniesz dawać znaki. Wiesz, wystawiaj kciuk w ten sposób. - Pokazuje mu, jak należy to robić. - Tylko pamiętaj, że chcesz jechać na północ. - Gabriel kiwa głową. - Przykro mi, Gabrielu, że nie mogę więcej dla ciebie zrobić, ale jak wiesz, w domu czeka mnie przeprawa.

Gabriel przygotowuje się do otwarcia drzwiczek. Nie jest zły, chociaż wie, że Katherine odprawia go z kwitkiem.

- Dziękuję, Katherine. Ona się uśmiecha.



- Przykro mi, kochany. - Wskazuje na egzemplarze magazynu Jimmy'ego. - Możesz je zostawić. Tam gdzie jedziesz, nie będą ci potrzebne.

Gabriel wyjmuje pisma z kieszeni, podaje Katherine, po czym wysiada i staje na deszczu.

- Powodzenia. - Katherine ciska magazyny na puste już miejsce pasażera, pochyla się i przesyła Gabrielowi całusa. - Przykro mi, że cię wysadzam w taką pogodę, ale nic się nie martw, zaraz ktoś się nad tobą zlituje. - Zatrząskuje drzwiczki. Gabriel widzi, jak wrzuca kierunkowskaz, rusza i włącza się w sznur pojazdów. Obserwuje mały niebieski samochód, dopóki nie zniknie za zakrętem.

Gabriel wraca do rozwidlenia drogi. W zasięgu wzroku nie ma innych ludzi, tylko samochody i ciężarówki mijają go z rykiem i dużą prędkością. W smaganym przez wiatr, wilgotnym mroku dostrzega postać z kciukiem podniesionym tak, jak mu pokazała Katherine. To poprawia mu samopoczucie, bo nie chce być sam na tym pustkowiu. Zbliży się i widzi, że autostopowiczem jest młoda kobieta, której oczy zdradzają wyraźny niepokój, kiedy do niej podchodzi. Kobieta niezbyt szeroko otwiera usta, jakby okrzyk uwiązł jej w gardle, Gabriel nie ma jednak wyboru, musi spuścić wzrok i dalej iść w jej stronę.

Dziewczynka znów wskazuje plastikową torbę, którą Gabriel trzyma na kolanach.

- No, jedz. Weź jeszcze trochę. Co się z tobą dzieje?

Gabriel, kręcąc głową, osłania oczy od światła, które wpada przez popękane szyby.

- Nie, dziękuję. Wszystko w porządku.

Zły, że dziewczynka tak do niego mówi, ze wszystkich sił stara się zapanować nad gniewem i docenić jej wielkoduszność, bo zgodnie z obietnicą przyniosła jedzenie. Drażni go jednak swym zachowaniem, nie sposób też

zaakceptować jej wyglądu, z tymi brudnymi, nieumytymi blond włosami i spódniczką zadartą wysoko na udzie.

- Nie jesteś już głodny, co? - Teraz Denise sprawia wrażenie trochę urażonego dziecka.

Gabriel odstawia torbę i patrzy na nią.

- Czy masz rodziców? I powiedz mi, proszę, czy oni wiedzą, że nie jesteś w szkole?

Ona ze śmiechem odrzuca głowę do tyłu, jakby dla podkreślenia, że to głupie pytanie.

- Już ci mówiłam, że tata jest bezrobotny, a mama odeszła całe wieki temu. Nie wiem, gdzie jest. Nie mam pojęcia.

- Ale czy twój ojciec nie chce, żebyś chodziła do szkoły?

- Jemu na tym nie zależy. Czasami pracuję w McDonalddie, z czego jest zadowolony, bo jak mu przyjdzie ochota na big maca z frytkami, nie musi za niego płacić. Prawie cały zasiłek wydaje na picie. Dlaczego miałyby go obchodzić, czy chodzę do szkoły, czy nie?

Gabriel przypuszcza, że irytuje ją takimi pytaniami, więc nie mówi nic więcej. Zapada milczenie, które w końcu przerywa dziewczynka, wskazując na jego nogę.

- Jest lepiej?

Gabriel poklepuje nogę, jakby chciał się upewnić.

- Tak, dużo lepiej, dziękuję. Chyba będzie dobrze.

- Przyplłynąłeś tu statkiem, co? Promem przez kanał.

- Stłukłem się, skacząc do wody. Teraz Denise kręci głową.

- To cud, że żyjesz. Tam jest piekielnie zimno. Nie weszłabym do tej wody, choćbyś mi płacił. Barry był ratownikiem. Mówiłam mu, że taka robota to szaleństwo, ale nie chciał słuchać. To mój były chłopak. Ale mnie rzucił, bo chyba się bał, że jestem za młoda. Mógłby pójść do więzienia, ale ja się nie przejmowałam. Tak czy owak, tylko to chciał robić, zacząć natychmiast, a potem pójść do pubu. - Gabriel

słucha dalej, ale jej słowa przestają mieć sens. - Jaka jest Afryka? To nie tylko dżungla i zwierzęta, prawda? Tyle wiem. Tata pewnie tak myśli, ale on nigdy w życiu nigdzie nie był. Twierdzi, że raz pojechał do Southampton, i to wszystko. Mówi, że jak się mieszka nad wodą, nigdzie nie trzeba jeździć, bo cały świat przychodzi do ciebie, ale plecie bzdury. W ten sposób, skurczybyk, usprawiedliwia swoje lenistwo.

Gabriel nie ma pojęcia, jak włączyć się do rozmowy, nie chce jednak milczeniem wprawiać dziewczynki w zakłopotanie. Ona, jak gdyby wyczuwając jego konsternację, wstaje i oznajmia, że musi się zbierać.

- Mogę przyjść później, jeśli chcesz. Jadłeś kiedyś rybę z frytkami? Mogę ci przynieść.

Gabriel patrzy na dziewczynkę, która stoi przed nim w swoim mundurku, i wyobraża sobie, że jest dojrzałą kobietą. Pamięta, że w jego kraju wiele jej rówieśnic ma już dzieci i obowiązki, że żadna nie klnie i nie wyzywa swoich rodziców, że nie siedziałyby tak sam na sam z mężczyzną. Trudno mu powiedzieć, czy jest typową angielską dziewczynką, ale chociaż jest wdzięczny za przyniesione jedzenie, nadal jej nie ufa. Denise szybko podchodzi do drzwi.

- Więc do zobaczenia później.

Gabriel patrzy, jak idzie ścieżką do drogi, a potem, niska i gruba, puszcza się biegiem, jakby spóźniona na umówione spotkanie.

Gabriel zamyka drzwi. Bierze plastikową torbę, zagląda do środka i znajduje tam jeszcze więcej chleba i ser. Najpierw pije wodę, potem je szybko, nie zważając na maniery. Po zjedzeniu wszystkiego odchyła się na oparcie krzesła i postanawia ruszyć za Brightem do Londynu, wyjechać jak najszybciej. A potem czuje, jak ktoś go ciągnie za ramię, i niemal natychmiast rozchodzi się dokoła dziwny tłusty zapach. Denise mówi głośno:

- No już, obudź się. Przyniosłam ci rybę i frytki. Gabriel otwiera oczy i widzi wpatrzoną w niego Denise.

Dziewczynka wciska mu do rąk coś ciepłego, owiniętego papierem, po czym siada i zaczyna otwierać swoją paczuszkę.

- Wiesz, musisz uważać z tym zasypianiem. Nigdy nie wiadomo, kto tu może wejść. - Teraz śmieje się na całe gardło, najwyraźniej ubawiona własnym dowcipem.

Chociaż zapach przyprawia go o mdłości, Gabriel zaczyna jeść.

- No i jak ci smakuje?

Gabriel kiwa głową, nie przerywając jedzenia. I zaraz przypomina sobie o dobrym wychowaniu.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo - odpowiada Denise z pełnymi ustami. Gabriel wpatruje się w nią, próbując pohamować złość.

- Nie jadasz posiłków ze swoim ojcem? Denise aż się zachłystuje ze śmiechu.

- Nic ci nie jest? - Gabriel odstawia swoją porcję i podaje dziewczynce wodę, którą ona hałaśliwie wypija.

- Trochę poszło nie tam, gdzie trzeba.

Gabriel nie ma już ochoty na rybę i frytki, więc z powrotem zawija je w papier. Denise znów zabiera się do jedzenia, nie przestając mówić z pełnymi ustami.

- Nie opowiedziałeś mi o sobie. Masz żonę? Umiesz śpiewać, tańczyć czy robić coś podobnego? Wiesz, widziałam, jak tańczycie, zupełnie jakbyście wypacali z siebie kłopoty. Jesteście jak w transie czy czymś takim, trzęsiecie głowami i w ogóle.

- Nie umiem śpiewać ani tańczyć. - Ma na końcu języka, że był żołnierzem, a żołnierze nie śpiewają ani nie tańczą, ale się w niego gryzie, bo taką informacją nie może dzielić się z dzieckiem.

- No, a masz żonę?

Nie powinna zadawać takich pytań, ale nie rozumie, że on jest dorosłym mężczyzną, a ona jeszcze dzieckiem. Nie czeka na odpowiedź.

- Ja tam nie lubię rodziny. Zwłaszcza mojego taty. Gabriela niepokoi nowy, melancholijny ton jej głosu.

Denise spuszcza oczy i odsuwa na bok resztki ryby i frytek. W przeciwieństwie do Gabriela nie zadaje sobie trudu, żeby je zawiązać. Nagle robi smutną minę, toteż Gabriel chce jej przyjść z pomocą.

- Nie mam rodziny - mówi. - Wszyscy zginęli podczas wojny w moim kraju. Ale jestem tu w twoim kraju, bo chcę otoczyć opieką swoje dzieci, które się jeszcze nie narodziły.

- Nie rozumiem.

- Myślę o przyszłości. Ale Bóg mógłby nam wszystkim ułatwić sprawę, gdyby umożliwił moim rodakom wymaszerowanie w pokoju. Tam, w mojej ojczyźnie, wielu z nas cierpi nadal.

Dziewczynka podnosi wzrok.

- Chciałabym, żeby zabili mojego tatę.

- Nie wolno ci tak mówić. Takie myśli są złe.

- Nie jestem zła. To on jest zły. - Denise podchodzi do Gabriela i podwija rękawy swojego swetra. - Widzisz te siniaki? - Pokazuje sińce na grubych ramionach. - Muszę się osłaniać od ciosów, kiedy przychodzi do domu zalanym i rzuca się na mnie. Ale czasami trafia, a ja mam wtedy podbite oko albo tracę kolejny ząb. Miły facet, co? Dlatego odeszła moja mama. Ona miała jeszcze gorzej niż ja. - Gabriel patrzy na sińce, później na młodą twarz, która wyraża oburzenie. - Potem Barry zaczął skakać z pięściami, kiedy nie robiłam tego, co chciał. Obydwaj są identyczni. Zrobią wszystko, żeby postawić na swoim. Oni są chorzy, co do jednego. Po prostu chorzy. - Teraz dziewczynka zaczyna w milczeniu ronić łzy, co niepokoi Gabriela.

- Nie przejmuj się tak, proszę. Gabriel dotyka jej gołego ramienia.

- Proszę. Tutaj jesteś bezpieczna. To twoje bezpieczne schronienie. Nie trzeba tak płakać.

Denise kładzie głowę na ramieniu Gabriela, który czuje, jak wstrząsa nią szloch. Słyszy ciche cmoknięcia rozchylających się warg i jest gotów jej słuchać. Dziewczynka postanawia jednak zachować dla siebie to, co zamierzała powiedzieć. Gabriel rozumie, że dom, do którego on i Bright trafili przez przypadek, jest dla niej kryjówką. Przestaje go złościć jej zachowanie i sposób, w jaki się do niego zwraca, bo zdaje sobie sprawę z jej bezbronności. Obejmuje ją i przytula. Jest coś kojącego w ciężarze młodego ciała, więc postanawia trzymać tak Denise, dopóki się nie uspokoi.

Mężczyzna z dolnej pryczy niewątpliwie jest chory. Odchrząkuje i spluwa krwią, za każdym razem mówiąc coś, co dla Gabriela brzmi jak pacierz. Później przeprosza. Po godzinie spędzonej w celi Gabriel zaczyna się godzić z faktem, że prawdopodobnie odeślą go do Afryki. Może wszystkie pieniądze i poświęcenia, jakich wymagała podróż, zdały się tylko na to, żeby siedzieć w więziennej celi z chorym, który tak jak on jest w Anglii uchodźcą. Z człowiekiem, który też osiadł na mieliźnie. Gabriel próbuje się jednak trzymać. Nie zrobił nic złego. Po prostu zasnęli, to wszystko. Spali. Rankiem ojciec dziewczynki przyprowadził do domu policję i najpierw zaatakował córkę, potem zaczął okładać metalową rurą Gabriela, dopóki nie odciągnęli go policjanci.

Na komisariacie załatwiono sprawę szybko i niegrzecznie. Gabrielowi zrobiono zdjęcia i odciski palców, następnie postawiono mu zarzut i udzielono informacji, że może odbyć jedną rozmowę telefoniczną przed przewiezieniem do miejscowego więzienia. Kiedy się tam znalazł, dozorca

powiedział mu, że ma szczęście, bo w pokoju widzeń rozmawia z kimś innym prawniczka, zajmująca się imigrantami, a jak skończy, przyjdzie się z nim zobaczyć.

Tymczasem dozorca zaprowadził Gabriela do celi, w której był już chory mężczyzna. Czekając na prawniczkę, Gabriel znów pomyślał o dziewczynce i poczuł, że maści mu się w głowie. Denise przewieziono na komisariat innym samochodem i Gabriel wyobrażał sobie, że na pewno ma stracha. Martwił się, że coś mówi albo już powiedziała, lecz niezależnie od tego, co ktoś mógłby powiedzieć, wiedział, że się jej nie narzucał. Nie zrobił nic złego. Nic takiego, co przyniosłoby wstyd jego nazwisku. Kiedy podniósł oczy, zobaczył kobietę, w milczeniu stojącą przy drzwiach. Dozorca pokazał go palcem.

- To on. Chce pani z nim porozmawiać?

Gabriel napotkał wzrok drobnej kobiety o męskim wyglądzie, ona zaś odgarnęła za ucho kosmyk włosów, który jej opadał na twarz. Skinęła głową.

- Hej, ty! - krzyknął dozorca. - Złaź.

Gabriel zszedł z górnej pryczy, a dozorca zwrócił się do kobiety:

- Daję pani pięć minut na zapoznanie go ze wszystkim, potem wracam. W razie kłopotów proszę zawołać.

Odszedł, zostawiając Gabriela z kobietą. Nad ramieniem Gabriela popatrzyła na drugiego więźnia, lecz nic nie powiedziała na jego temat. Potem znów spojrzała na Gabriela.

- Cześć, jestem Katherine. Pracuję w firmie prawniczej, zajmującej się imigrantami, więc powinniśmy porozmawiać. - Urwała, a ponieważ jej przyszyły klient milczał, podjęła: - Twoja sytuacja jeszcze bardziej się komplikuje z uwagi na ten drugi zarzut. Rozumiesz to, prawda?

Gabriel wiedział, że kobieta próbuje mu pomóc, lecz chciał się wytłumaczyć.

- Nie zrobiłem nic złego, proszę pani. Dziewczynka nie była nieszczęśliwa.

Katherine zmarszczyła brwi.

- Dziewczynka ma piętnaście lat, Gabrielu. Jej ojciec twierdzi, że miałeś z nią intymne stosunki. Znajdę ci adwokata, później prokurator postawi oficjalny zarzut, a ty będziesz miał szansę się bronić.

Gabriel kurczowo zacisnął dłonie na kratkach celi.

- Ale ja nie zrobiłem nic złego. Musi mi pani uwierzyć.

Kobieta kiwnęła głową i wyciągnęła rękę.

- Czy ten człowiek potrzebuje opieki lekarskiej?

Gabriel odwrócił się, żeby spojrzeć na swojego współtowarzysza.

- Chyba cierpi. - Znów skierował wzrok na kobietę. - Nie zrobiłem nic złego, proszę pani. A nie mogę wrócić do mojego kraju, bo mnie zabijają.

- Słuchaj, daj mi jeden albo dwa dni na znalezienie najlepszego adwokata. Tymczasem, wykorzystując informacje, których już udzieliłeś policji, rozpocznę procedurę ubiegania się o azyl. - Urwała. - Teraz już pójdę. Dozorca wyświadczył mi uprzejmość. - Jeszcze raz spojrzała na drugiego więźnia. - I miej na niego oko. W takich miejscach ludzie na ogół nie wzywają lekarza. To znaczy, robią to, jak już jest za późno.

Gabriel popatrzył na swojego współtowarzysza, który chyba próbował zasnąć, a potem znów na Katherine, która z uśmiechem kiwała do niego głową.

- Więc do zobaczenia.

Gabriel obserwował odchodzącą kobietę i długo po tym, jak znikła z pola widzenia, podążał za nią wzrokiem, wyobrażając sobie, że to ona może mu w końcu przynieść nadzieję.



Gabriel podnosi wzrok, a ponieważ na twarzy dziewczyny widzi już nie zaniepokojenie, lecz nieskrywany strach, idzie dalej w potokach deszczu. Chętnie powiedziałaby „cześć”, nie jest jednak pewny, jak mogłaby zareagować, więc znów spuszcza oczy. Postanawia zatrzymać się jakieś pięćdziesiąt jardów dalej, odwraca się i spogląda na drogę. Dziewczyna chyba zapanowała nad sobą, bo znów wyciąga rękę z podniesionym kciukiem, licząc, że zwróci uwagę któregoś z kierowców. Ale w tej chwili na autostradzie nie ma żadnego ruchu, pada tylko deszcz.

Gabriel czeka. Pokazuje kciuk niezręcznie, jakby skrępowany, że prosi w ten sposób. I wtedy samochód z pluskiem zatrzymuje się tuż za dziewczyną, Gabriel zaś patrzy, jak ona podbiega parę kroków i wskakuje do środka. Samochód odjeżdża prędko, a Gabriel zostaje sam. Nie ma się gdzie schronić, więc wciąż podnosi kciuk w nadziei, że ktoś się nad nim ulituje, lecz samochód za samochodem, ciężarówka za ciężarówką przelatują ze świstem, przecinając reflektorami strugi deszczu i nie przystając. Gabriel myśli o Denise i zastanawia się, czy ona czasem myśli o nim. Przecież zdecydowała się go nie oskarżać. Na pewno myśli o nim i jest ciekawa, co się stało z jej przyjacielem. Choć może postąpiłby honorowo, gdyby wrócił i wybawił ją z sytuacji, w jakiej się znalazła, Gabriel rozumie, że byłoby to nierozsądne. Wciąż rozmyśla o Denise, a tymczasem zwalnia i staje za nim ciężarówka, z rozjarzonymi w ciemnościach czerwonymi światłami tylnymi. Gabriela pieką oczy od zacinającego deszczu, kiedy niepewnie podchodzi do niej od strony pasażera. Drzwiczki się otwierają i z góry spogląda na niego tęgi mężczyzna w opiętej trykotowej koszulce.

- Wsiadasz czy masz pietra?

Gabriel nie rozumie, lecz kierowca wydaje się dość życzliwy, więc wspina się po stopniu i nagle odczuwa

skrępowanie, bo leje się z niego woda. Mężczyzna wyciąga zza swojego siedzenia ręcznik, zalatujący stęchlizną, i rzuca go Gabrielowi.

- Nie martw się, że jesteś mokry. - Powoli włącza się w ruch i wybucha śmiechem. - Spójrz na szyby. Parujesz.

- Bierze od Gabriela ręcznik, przeciera szyby i znów mu go rzuca. - Co tam robiłeś, kolego, budowałeś arkę? - Śmieje się z własnego dowcipu, po czym wskazuje na radio.

- Chcesz słuchać muzyki czy rozmawiać? Wy, faceci, macie swoje zwyczaje.

- Dziękuję.

Kierowca patrzy na Gabriela zdziwiony i zdejmuje rękę z klawiszy radia. Znów spogląda na pasażera.

- Rozumiem, że podążasz na północ? Gabriel twierdząco kiwa głową.

- Tak, poproszę na północ.

Mężczyzna przyjmuje to do wiadomości i przez parę minut prowadzi w milczeniu.

- Nie jesteś pochodzenia afrokaraibskiego, co?

Gabriel kręci głową i odpowiada cicho:

- Nie, jestem z Afryki.

- Z Afryki! - wykrzykuje mężczyzna, jakby teraz wszystko nabrało sensu. - Chcesz zapalić?

Gabriel jeszcze raz kręci głową.

- Więc jak masz na imię?

Po chwili zastanowienia Gabriel przypomina sobie, co mu radziła Katherine.

- Salomon - odpowiada. - Mam na imię Salomon.

- Jak w Biblii. Gabriel potakuje.

- Tak, oczywiście. Coś takiego.

## Część trzecia

Jak na swój wiek, dość dobrze się trzyma. Nigdy nie była piękną, lecz swego czasu potrafiła zwrócić na siebie uwagę. Paru mężczyzn nawet gwizdnęło za nią na ulicy. Zauważali ją, choć tak naprawdę się nią nie interesowali, potem przestali zauważać, a odkąd ona i Brian przekroczyli trzydziestkę, na ulicach towarzyszyło jej milczenie. Brian rzadko gdzieś chodził, bo wolał jeździć firmowym samochodem: do pracy, klubu golfowego, na obiady z klientami; rzadko się fatygował odstawianiem auta do garażu. Swoje lenistwo usprawiedliwiał tym, że ulice są dzisiaj niebezpieczne i wystarczy przejechać milę czy dwie w dowolnym kierunku, żeby się znaleźć w jakimś brytyjskim Bejrucie. Nie lubił, kiedy mu przypominała Chadwicków, którzy jechali aleją na końcu szosy, zajęci własnymi sprawami, gdy wtem drogę zajęły im dwie furgonetki. Wskoczyło z nich czterech mężczyzn, stłukło Chadwickom szybę kluczami nastawnymi i zabrało im całą biżuterię i pieniądze, więc jej zdaniem nie miało wielkiego znaczenia, gdzie się człowiek w obecnych czasach znajduje, bo ludzie uważają, że mogą mu zrobić właściwie wszystko, co zechcą. Miejscowa gazeta opisała nawet przypadek kobiety ciężko pobitej przez bandę dzieciaków w parku po drugiej stronie ulicy za to, że próbowała powstrzymać młodych chuliganów od wyrwania roweru swojej sześciolatniej córce. Brian jednak nigdy nie słuchał, kiedy mówiła, że powinien chodzić, zachowując ostrożność, i swoje lenistwo usprawiedliwiał wzrostem przestępczości w mieście, toteż zaczął się zaokrągląć. Dla niej ich rzadkie zbliżenia fizyczne ściśle wiązały się z kwestią przesuwania ciężaru. Ponieważ Brian nie cierpiał wzmianek na temat swojego brzuszka, nic nie mówiła. I tak żyli ze sobą przez lata po trzydziestce i po czterdziestce. W milczeniu.

Po jego odejściu milczenie się nasiliło i byłoby ją przytłoczyło, gdyby nie zwróciła uwagi na Mahmuda. W ogólnym rozrachunku nie najgorzej zaplanowała atak. Dobre perfumy, bezbarwny lakier do paznokci, rozpuszczone siwe włosy, a dekolt wystarczająco śmiały, aby sugerować, że to, co leży poniżej linii horyzontu, nadal może być warte zbadania. I ku jej zaskoczeniu zabiegi odniosły skutek. Teraz zjawia się u niej w każdy czwartek punktualnie o siódmej wieczorem. Przed jego przyjściem zapala dwanaście pachnących świec i gasi światło. Poprawia poduszki, stawia na szklanym blacie stolika do kawy białą porcelanową miskę z mieszanką orzechów. Raz spróbowała pikantnych przystawek, ale nie bardzo mu smakowały. Kiedy indziej nastawiła muzykę, ale po chwili kazał ją wyłączyć. Nie poprosił, tylko nakazał, jedną ręką wciąż skubiąc płatek małżowiny usznej, jakby to orientalne ucho drażnił wybrany przez nią Chopin. Dziś ona nie zwraca sobie głowy przystawkami ani muzyką. O siódmej on puka dwa razy, a potem grzechocze skrzynką na listy, głośno stukając jej klapką. Mimo iż niezliczoną ilość razy zwracała mu uwagę, że wystarczy zapukać, on wydaje się absolutnym entuzjastą skrzynki pocztowej. Ona zaś, kiedy szybko zaciągnąwszy zasłony, cicho idzie w stronę drzwi, przypomina sobie, że to irytujące przyzwyczajenie składa się po prostu na rytuał ich spotkań.

Mahmud jest wysoki i zabójczy. Początkowo miał zwyczaj po przekroczeniu progu schylać się i całować ją w czoło, zanim się zgiął, żeby rozwiązać sznurowadła. Ustawiał buty w korytarzu jeden przy drugim jak żołnierzy, po czym wchodził za nią do oświetlonego świecami saloniku. Wtedy bywał lekko zaniepokojony, a jej się podobał sposób, w jaki nerwowo wodzi wzrokiem po pokoju, nie zatrzymując go na żadnym przedmiocie. Przepadała za jego zapachem, dziwnie przyjemnym i przesłodzonym, który niczego przykrego nie

musiał maskować, bo Mahmud odznaczał się nienaganną czystością, ona zaś rozumiała, że olejki i płyny, jakie wciera w skórę, są prawdopodobnie związane z jego kulturą, więc jej nie przeszkadzały. Wtedy właściwie nic jej nie przeszkadzało. Po odejściu Briana tylko raz zaprosiła do siebie mężczyznę, świeżo owdowiałego współnika Briana z banku. Ale on przyszedł z wizytą w kurtce z kapturem, brudnych spodniach i sportowych butach, nie w garniturze, krawacie i wyczyszczonych półbutach, jak się spodziewała. Było niedzielne popołudnie, co jednak nie usprawiedliwiało takich złych manier. Zażądał plasterka cytryny do herbaty i wyglądał na rozczarowanego, że może mu zaproponować tylko mleko i łyżeczkę miodu, z trudem wyskrobanego z dna starego słoika. Następnie zaczął wychwalać talenty zmarłej żony do robienia na drutach pokrowców na dzbanek z herbatą i skarpetek do łóżka, a ją pouczać, ile zbędnych kalorii jest w cięście z daktylami i orzechami włoskimi. Zamiast ciastem poczęstowała go herbatnikiem pełnoziarnistym, lecz podziękował, a potem, kiedy zbierał się do odejścia, musiała ścierpieć w ustach jego szorstki jak drewno język.

To po tej wizycie zaplanowała podbój Mahmuda, który, przynajmniej początkowo, umiał okazywać zarówno nieśmiałość, jak zainteresowanie. Teraz Mahmud już nie zadaje sobie tego trudu. Napotyka jej wzrok, zanim stanie na pięcie jednej, a potem drugiej nogi i ściągnie buty. Nadal ustawia jeden obok drugiego, lecz po tak obrzydliwym podejściu do ich zdejmowania ten gest jest niemal obraźliwy w swej sztucznej ceremonialności. Mahmud sprawia jej ulgę tym, że nadal godzi się jeść najpierw, bo odrzucenie etykiety wspólnego posiłku oznaczałoby utratę godności. „Godność” jednak staje się chyba słowem coraz bardziej dla niego obcym. Jada szybko, często jedną ręką (zawsze prawą), i wydaje niepokojące odgłosy. Dzień dzisiejszy nie stanowi wyjątku.

On kończy i przygląda się, jak ona niezdarnie podnosi i nabiera na widelec kawałek piersi kurczęcia. Bacznie ją obserwuje, kiedy przed podniesieniem do ust zanurza widelec w ryżu i całą konstrukcję macza w płytkiej kałuży sosu z curry. To dla niej bolesne, gdyż rozumie, że on tłumi śmiech.

W łóżku wie, że go zadowala. On zawsze dygocze, ale teraz robi to szybko i tylko raz. Ich ciała rozdzielają się obojętnie i Mahmud natychmiast odwraca się do niej plecami. Smutne to, ale kochanek chyba się zsunął po krótkim stoku, dzielącym zainteresowanie od zdawkowości, bez żadnych pośrednich etapów nieodłącznego znudzenia. Jednego tygodnia poświęcił czas na rozmowę z nią przed, w czasie, a co najważniejsze, po stosunku. Następnego już nie zachowywał pozorów, jakby się śpieszył na umówione spotkanie. Nie było już odkrywczych zdanków w rodzaju: „Nazywają nas Azjatami, ale to nie ma żadnego znaczenia, prawda?”. Ani osobistych wynurzeń, które mogła brać za oznaki zażyłości. „Patrząc na siebie w lustrze, wiem, że nie mogę wrócić do kraju”. Miał zwyczaj słuchać, kiedy wyjaśniała, czym jest koc elektryczny, albo tłumaczyła, na czym polega różnica między biskupem a księdzem. Kiedy zaproponowała, żeby czytał książki „doksztalcające”, pofatygował się spytać, co przez to rozumie, a użyte przez nią określenie „strój urodzinowy” pobudziło go do głośnego śmiechu. Oczywiście byli wtedy w swoich „strojach urodzinowych”. Nie przestawał się śmiać i powtarzać usłyszanego zwrotu, jak gdyby zaskoczony absurdalną precyzją tej metafory, ona zaś śmiała się razem z nim. Dziś wytrzymywała jego ciężar i kokieteryjnie zarzucała na niego jedną nogę, udając, że chce go wciągnąć głębiej. Ale nie chciała; robiła to na pokaz. Taki gest, żeby się nie czuć jedynie ugodzonym przedmiotem.

Nie obwinia Mahmuda o swoje obecne poniżenie, bo wie, że prawdziwym winowajcą jest Brian. Zbyt długo znosiła w milczeniu jego rozmowy w formie monologów, poświęcone zaletom artystycznie zaprojektowanych tarasów i barów śniadaniowych czy wyższości południowoafrykańskich białych win nad francuskim chardonnay, rozmowy, w których nigdy nie pytał jej o zdanie. Kiedy indziej po prostu poruszał jakiś pozornie przypadkowy temat i zaczynał narzekać. Czy ona zdaje sobie sprawę, że dawniej można było pójść do tego lekarza, nie innego, a teraz wszędzie praktyka jest zbiorowa i nigdy nie wiadomo, do kogo, u diabła, się trafi? Czy wie, że przez te cholerne związki pracownikom jego banku wolno teraz „porozumiewać się” z klientami tylko przez szybę „gniewoodporną”? Szybko się przekonała, że Briana w ogóle nie interesują jej opinie, skoro jednak nie udzielała odpowiedzi, pozwalając na siebie patrzeć tak, jakby była przezroczysta, aż wreszcie doszedł do wniosku, że w ogóle nie istnieje. Po jego odejściu ona też doszła do wniosku, że odszedł od niczego, to zaś bolało. Mahmud, przynajmniej na początku, nie traktował jej jak istoty niewidzialnej.

Wpatruje się w jego plecy. Budzić pożądanie jest rzeczą przyjemną, a sam akt dowodzi pożądania. Początkowo rozważała, czy nie poprosić go, żeby został na noc. Chciała, żeby powiedział Ferozie, że musi odwiedzić brata w Leicester, ale jakoś nigdy nie zdobyła się na odwagę i złożenie mu takiej propozycji, on sam zaś nigdy jej tego nie zasugerował. Pewnego wieczoru spytała go, czy nazajutrz nie mogliby się wybrać do miejskiego muzeum na objazdową wystawę bezcennych wschodnich miniatur, lecz popatrzył na nią z niedowierzaniem, wyraźnie wypisanym na brunatnej twarzy. Przy odrobinie wysiłku potrafiła sobie wyobrazić, że ta skwaszona twarz świadczy o odrzuceniu sztuki, nie jej towarzystwa. Uśmiechnęła się. W głębi duszy postanowiła



jednak nigdy więcej nie proponować nic, co wykraczałoby poza granice wyznaczone ich układem. Nie była kobietą, która dobrze znosi odmowę. Ale, prawdę powiedziawszy, Mahmud jej nie odtrącił. Po prostu w punkcie, w jakim się znalazł, nie uważał już za konieczne ani zabiegać o względy, ani czarować pięćdziesięcioletniej kochanki.

Rzecz dziwna, ona wciąż ufa temu gibkiemu mężczyźnie, na krótko zasiadającemu przy jej stole w drodze do łóżka. Kiedy po raz pierwszy odezwał się do niej w sklepie z gazetami, zrobił to głosem tak szczerym, jakiego Feroza na pewno nigdy nie miała przywileju usłyszeć. Siedział w jej saloniku, głośno chlepcząc mocną herbatę i nerwowo pocierając jedną stopą w niebieskiej skarpetce o drugą. Powiedziała mu, że w ubiegłym tygodniu wściekła się na źle wychowaną kobietę, która w sklepie stała przed nią w kolejce. Kobieta narzekała, że jej egzemplarz magazynu „Hello!” zalatuje curry, gdy zaś biedny Mahmud zaproponował jej zwrot pieniędzy, niegrzeczne babsko po prostu wypadło na ulicę. Oboje wiedzieli jednak, że ten incydent sam w sobie nie tłumaczy zaproszenia na herbatę. Choć sformułowała je tak, że miało się stać okazją do nawiązania stosunków towarzyskich i do wymiany kulturalnej w angielskim domu, on wciąż głośno popijał herbatę i rozmowa zaczynała kuleć. Ona usłyszała własną uwagę na temat nie najlepszej ostatnio pogody, po czym umilkła i czekała, aż on się odezwie. We właściwym czasie zrobił to na pozór chętnie. Opowiedział jej o swoim pierwszym małżeństwie, zawartym w wiosce w Pendżabie, kiedy miał lat dwanaście. Wszystko załatwiła rodzina, nie licząc się z jego uczuciami. Mahmud mówił, że przehandlowano go jak muła i używano jako karty przetargowej w kłótniach między dwiema rodzinami. Mówił o swoich dzieciennych próbach współżycia z czternastoletnią żoną, o jej rozbudzonym wkrótce apetycie, którego

dwunastoletni chłopiec nie mógł zaspokoić. Przyznawał, że próbując ujarzmić swoją „kobietę”, zbił ją, i przypominał sobie, ile razy od niego uciekała i jak jej własny ojciec musiał raz przywlec ją z powrotem za długie czarne włosy, wrzeszczącą i wierzgającą. Ojciec dał jej w twarz, po czym nagle się opamiętał i poprosił jej dwunastoletniego męża o przebaczenie. Mahmud się wyprostował i podziękował teściowi za odprowadzenie żony. W głębi duszy nie odczuwał złości, tylko zakłopotanie, bo żona upokorzyła go na oczach całej wsi. Wyraźnie pokazała, że nie potrafi zapanować nad nią, a co za tym idzie, nad żadną kobietą. Wieśniacy nie tylko współczuli Mahmudowi, lecz także gardzili jego żoną za to, że nie chce grać roli, jaką jej wyznaczono.

W końcu, kiedy miał lat szesnaście, odwiedziła go delegacja mężczyzn, a choć starali się odnosić do niego z szacunkiem, należnym człowiekowi na jego stanowisku, radzili wytrzepać żonę jak dywan, jeśli zaś nie jest na to przygotowany, zwrócić ją i zawstydzić. Mimo doznawanych zniewag Mahmud nie mógł się zdobyć na stałe podnoszenie ręki na żonę, wiedział zaś, że bez uszczerbku na honorze nie zdoła wyrzucić jej z domu. Dlatego po wyjściu delegacji podjął decyzję. Widywał liczne fotografie, jakie mężczyźni przysyłali z Anglii na wieś, fotografie, na których pozują z radiem w ręce albo stojąc przy telewizorze, niekiedy ściskając w garści banknoty pięciofuntowe. Mahmud postanowił wyjechać do Anglii, do starszego brata, który miał w Leicester trzy restauracje. Wyobrażał sobie, że bez trudu znajdzie dobrze płatną pracę w kraju pani Thatcher, odłoży jakąś sumę i ambitnie zapisze się na uniwersytet, najlepiej na prawo czy medycynę. Marzył o przyszłym triumfalnym powrocie na wieś, gdzie jako najważniejszy człowiek w całym regionie zamierzał splunąć w twarz kobiecie, która go publicznie upokorzyła.

Ona wie jednak, że Mahmud ma skromny sklep z gazetami w północnej Anglii, w miasteczku, które nie może się poszczycić ani katedrą, ani uniwersytetem. Ktoś, kto w niedzielne popołudnie włączy telewizor, kiedy podają wyniki rozgrywek piłkarskich, usłyszy częste wzmianki o miastach niewątpliwie pozbawionych znaczenia, ale nigdy o angielskim miasteczku Mahmuda. Po dziesięciu latach pracy w kuchniach wszystkich trzech restauracji swojego brata i po awansie na stanowisko kierownika Przełęczu Chajber, Mahmud zdołał zaoszczędzić tyle, że mógł pomyśleć o prowadzeniu własnego interesu z nową żoną, Ferozą. Feroza zdawała sobie sprawę, że jej mąż nie trawi już przykrości i poniżeń, jakich doznaje w restauracji. Widok brzuchatych Anglików, po zamknięciu pubów wtaczających się ze swoimi flądrami do Przełęczu Chajber, przezywanie go Randżitem, Babu albo Chłopcem z Bagien, rzucanie podpłomykami jak talerzami latający mi, żądanie pełnego jasnego piwa, wymiotowanie do jego zlewów i grożenie mu jego własnymi nożami, ich oddech, zalatujący piwem, hałaśliwe wydzwanianie po taksówki i żądanie potraw, których po pijanemu nie widzieli przed sobą na stole, wszystko to sprawiło, że Mahmud przedwcześnie posiwiął. Feroza przekonała go więc, że handel gazetami będzie dla nich obojga lepszy, a ponieważ urodziła się i wychowała w Leicester, znała cały skomplikowany mechanizm sprzedawania codziennych wiadomości Anglikom albo w postaci brukowca, albo gazety dużego formatu. Namówiła męża na wyjazd ze środkowej Anglii i wychowywanie dzieci w miasteczku, gdzie są przyzwoite szkoły i ludzie mają jeszcze jakie takie maniery. Pod jej wpływem Mahmud uciekł z Leicester, narażając się na gniew brata, i zaledwie przed rokiem przybył z pulchną Ferozą tutaj, powitany z gościnnością i zachwytem.

O swoim życiu Dorothy mówi bardzo niewiele, ponieważ chce, żeby głównym narratorem był mężczyzna. Zresztą na jego historię składają się namiętność, zdrada, migracja, poświęcenie i w końcu triumf. Mamhud odniósł sukces. Jej historia sprowadza się do jednego słowa: porzucenie. Rzecz dość dziwna, uświadamia sobie, że w obu historiach chyba nie występuje słowo „miłość”, lecz to spostrzeżenie zachowuje dla siebie. A potem pewnego wieczoru, w drugim miesiącu ich porozumienia, Mahmud zapytał o jej życie, zwłaszcza o męża. Zarumieniła się, co, zważywszy na fakt, że leżała wtedy w łóżku z Mahmudem, wskazywało, iż pozostał w niej jeszcze bolesny osad po związku, o którym przez ostatnich pięć lat usiłowała zapomnieć.

- Rzucił mnie i uciekł z młodszą kobietą. - Zamilkła na chwilę. - A potem wyjechałam z Birmingham i wróciłam tutaj. - Powoli oderwała od niego głowę, zastanawiając się, czy pójście do łazienki albo do kuchni po filiżankę herbaty może zostać uznane za niegrzeczność. Nic nie powiedział. Wyobraziła sobie Briana, parkującego samochód w kolejnych zatoczkach przy wiejskich drogach i zastanawiającego się późną popołudniową porą, co takiego stało się z jego życiem. Dlaczego miałby o tym nie myśleć, skoro ona, zapewne siedząc w ich domu ze szklaneczką sherry, zadawała sobie to samo pytanie? Kariera nauczycielska przestała ją interesować, a chociaż muzyka nadal sprawiała jej przyjemność, już nie napełniała radością. Radość była uczuciem unoszącym się na skrzydłach, co sugerowało transcendencję, natomiast jej życie z Brianem było czymś mocno zakotwiczonym na ziemi. Żadnej radości. No i kobiety Briana, w jej wyobrażeniu z taką samą jak on nadwagą. Złośliwie uśmiechnęła się na myśl o strasznych kolizjach, jakie według niej muszą uchodzić za seks, z korpulentnym Brianem bez wątpienia obsadzonym przez samego siebie w roli głównej. Doprawdy żałosne, bo

zawsze poznawała, kiedy zbiera mu się na miłość, jako że przestał nosić podkoszulki. Mahmud nie skomentował ucieczki Briana z młodszą kobietą. Zwróciła się twarzą do Mahmuda, wsparta na łokciu.

- Czy naprawdę interesuje cię moje życie? Chodzi mi o to, że nie jest bardzo ciekawe, wiesz?

Mahmud nadal wpatrywał się w nią ciemnymi oczami.

Zacząła tłumaczyć, że zgodnie z oczekiwaniami miała jako starsza siostra dawać przykład. I dawała, co bardzo irytowało młodszą. Pracowała ciężko, lecz dostanie się na uniwersytet uważała za rzecz nierealną. Kiedy przyjęto ją na studia muzyczne w Manchesterze, zaskoczeni rodzice pierwszy raz zabrali obie córki do restauracji. Ojciec niezręcznie manipulował kartą, co zauważyły dziewczęta, matka jednak tylko śmiała się nerwowo i wciąż rozglądała po sali w nadziei, że może zobaczy kogoś znajomego. Po przyniesieniu rachunku ojciec trzy razy sprawdzał sumę, wciąż mamrocząc pod nosem, że buli się za coś, co jego żona mogłaby upichcić z jedną ręką uwiązaną za plecami. Przez całe życie pracował jako kreślarz, niechętnie utrzymując się na obrzeżach klasy średniej, ale ta bliskość czegoś, co uważał za „urzędnicze zadowolenie z siebie”, jedynie wzmagając zapal, z jakim pouczał o „wartości forsy”. Niestety wieczorna feta w restauracji tylko przypomniła dziewczętom o ograniczeniach, które zatrwały ich młode życie, a nawet pchnęła Sheilę o krok dalej na drodze, która w końcu miała ją zaprowadzić daleko od domu.

Dorothy poznała Briana na pierwszym roku studiów. Był absolwentem szkoły prywatnej, miał akcent wyższych sfer i pewność siebie, dwie rzeczy, jak wiedziała, dla niej nieosiągalne, choćby długo starała się ich nauczyć. Opiekował się nią przez trzy lata, kiedy z trudem zdobywała dyplom z muzyki, sam zaś chyba nie wysiłał się na studiach

matematycznych, które uważał za niepożądane odwracanie uwagi od ukochanego piwa i rugby. W miarę jak zbliżał się czas, kiedy mieli wypłynąć na szerokie wody, dla wąskiego grona ich przyjaciół stawało się jasne, że Brian poprosi o jej rękę i wezmą ślub, co też zrobili w parę tygodni po otrzymaniu dyplomów. Rodzice Briana starali się ukryć rozczarowanie, jej matka natomiast się cieszyła, bo nigdy nie miała wygórowanych ambicji i nie wyobrażała sobie córki na uniwersytecie, a cóż dopiero zięcia, którego rodzice mieszkają w wolno stojącym domu. Ojciec, przeciwnie, wziął podkładkę pod kolana i poszedł pracować na działkę. Jego młodsza córka uciekła i zerwała wszelkie kontakty z domem, a starsza przez to małżeństwo wchodziła w świat, którego wartościami gardził. Nie rozumiał, dlaczego miałyby udawać, ona nie rozumiała, dlaczego miałyby prosić, więc unikali się nawzajem. W wigilię ślubu zadzwoniła siostra, życzyła jej szczęścia, ale powiedziała, że sądząc po głosie, Brianowi trochę brakuje ikry. Między siostrami doszło do niezbyt gwałtownej sprzeczki. Ona przypomniała Sheili, że bez niej wesele nie będzie udane, siostra przypomniała Dorothy fakty, o których poinformowała ją podczas swojej niedawnej wizyty na uniwersytecie. Obie zamilkły. Postanowiła na zakończenie rozmowy powiadomić Sheilę, że po ślubie przeprowadzą się do Birmingham, gdzie wychował się Brian. Sheila parsknęła śmiechem.

Na długo przed zamieszkaniem w Birmingham wyobrażała sobie, że sercem tego miasta jest zimny splot autostrad, a okna na przedmieściach są pełne sztucznych kwiatów. Brian był szczęśliwy, bo dostał pracę w śródmiejskim banku kupieckim, wkrótce po ślubie okazało się jednak, że nie mogą mieć dzieci. Chociaż poddali się wszelkim możliwym próbom, lekarze twierdzili, że nie znają przyczyny bezpłodności, co oczywiście oznaczało, że pewnie

ją znają. Po latach klucia i obmacywania wreszcie odkryli jej powód, a lekarzowi pierwszego kontaktu przypadł smutny obowiązek przekonania Briana, że to z nim jest coś nie w porządku. Jej współczucie szybko przemieniło się w gniew, kiedy zaczęły do niej docierać wiadomości o jego romansikach z dziewczętami z bankowego zaplecza. Świeżo po szkole, pozbawione wdzięku, tęgawe dziewczęta były jeszcze zbyt niedoświadczone, żeby obsługiwać klientów, lecz kolana dosłownie się pod nimi uginały na myśl, że przeleci je mężczyzna, który do pracy przychodzi w garniturze i krawacie. Ona rzuciła się w wir zajęć w miejscowej szkole średniej, a ponieważ dowiodła, że potrafi wydobywać melodyjne dźwięki z pozbawionych harmonii dusz swoich uczniów, wkrótce przeniesiono ją do szkoły dla starszej młodzieży. Tu oczekiwania mieli rodzice i dyrektor, natomiast ona wkrótce się przekonała, że uczniowie są równie roztargnieni jak w rzekomo gorszej szkole. Potem romanse Briana chyba się skończyły, a do niej dotarło, że w jego życiu musi być ktoś specjalny. Ona też czasami wpadała komuś w oko. Zdarzały się flirty w pokoju nauczycielskim; fizyk niepotrzebnie brał ją pod ramię i patrzył na nią w szczególny sposób; nauczyciel krykieta wciąż proponował, że ją zawiezie na koncert, do supermarketu czy dokądkolwiek będzie chciała. Ze dwa razy na miesiąc przysiadał się do niej w autobusie mężczyzna i próbował ją zagadywać, ona jednak wiedziała, że dni, kiedy stanowiła przedmiot pożądania, dawno już minęły. Wyobrażała sobie, że mężczyźni robią te rzeczy z litości lub ciekawości, i nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby naprawdę związać się z kimś innym niż Brian, którego jakoś zносиła.

Zostawił kartkę na kuchennym stole. Napisał po prostu „Przepraszam”. Zrazu nie wiedziała, jak to rozumieć. Usiłowała sobie przypomnieć, o co im ostatnio poszło. Kłótnia

zawsze wisiała w powietrzu, jak intryga w telenoweli, których powtórki lubił oglądać podczas weekendów, siedząc w skarpetkach i sandałach. Ale nie pamiętała żadnej sprzeczki. Postawiła torebkę i poszła na górę, żeby się przebrać po szkole. Później miała prywatną lekcję, a po wyjściu beznadziejnego chłopca zaczęła szykować obiad. Dopiero po zapadnięciu zmroku, o ósmej trzydzieści wieczorem, dotarło do niej, że niemożność określenia, o co się posprzeczali, jest o wiele bardziej znacząca, niż sądziła. Rzeczywiście miała problem. Zadzwoiła do jego biura, lecz zamiast odpowiedzi usłyszała tylko oschły głos, nagrany na automatyczną sekretarkę. Wszystko się wyjaśniło po bezsennej nocy w ich olbrzymim jak tratwa łóżku. List przyszedł z poranną pocztą. Poznała jego pismo, więc rozdarła kopertę. Pojechał do Hiszpanii z Barbarą, kimkolwiek jest Barbara. Przeprasza, ale nie mógł już żyć tak dalej, a udawanie go zabija. Musiał wyjechać, wie jednak, że jej będzie lepiej bez niego. Ciekawe, skąd wie? Samolubny świntuch przekreśla prawie trzydzieści lat małżeństwa i pisze do niej tak, jakby zawinił tylko tym, że zamienił okropną niepewność angielskiej pogody na kojącą łatwość przewidywania błękitnego nieba i jasnego słońca. Nie ubrała się, nie wyszła z domu. Zadzwoiła do szkoły i powiedziała, że musi wziąć tydzień urlopu z uwagi na kryzys rodzinny, a w głosie sekretarki dyrektora zabrzmiało chyba szyderstwo, jakby wiedziała o jej nieudanym małżeństwie. Potem, trochę później tego samego dnia, po wypiciu kilkunastu filiżanek kawy, postanowiła sprzedać wszystko i po pięćdziesiątce zacząć od nowa życie w jakimś miasteczku, w którym dorastała. Opuści Birmingham Briana, wróci do domu i zajmie stanowisko wśród swoich.

Mahmud słuchał uważnie i niekiedy unosił brew, lecz wiedziała, że jej historia jest niezbyt interesująca. Przez ostatnich pięć lat mieszkała w schludnym bliźniaku i zarabiała



na życie jako nauczycielka muzyki w szkole średniej, której poziom wkrótce po jej przyjeździe do miasta zdecydowanie się obniżył. Wieczorami nałogowo ogląda w telewizji programy pozbawione innych wartości prócz tej, że służą zabiciu nudy. Jej specjalnością są reality show i dramaty sądowe, choć niekiedy lubi zobaczyć film dokumentalny, zwłaszcza o zwierzętach. Tymczasem na hiszpańskim Costa del Sol były dyrektor banku i jej mąż wynajmuje prywatne kwatery (uporczywie nazywając to „pensjonatem”) bogatym angielskim turystom. Nie zachęca się tam do noszenia futbolowych koszulek, a na śniadania podaje jajka na bekonie, nie tylko kontynentalne zimne półmiski. Właściwie, jak wynika z materiałów promocyjnych, tak szczerze przysłanych jej przez Briana, specjalnością domu Barbary są smażone jajka. Chyba nie serwują ich nawet w niektórych większych hotelach, natomiast w Casa BeeBee u Briana i Barbary zawsze można je dostać. Przeczytała i niezwłocznie spaliła broszurki. Przez pięć lat żyła sama, z każdym rokiem widząc, jak się starzeje, obserwując proces niszczenia na potajemnym barometrze pomarszczonej skóry między piersiami. Kiedy w zeszłym tygodniu konduktor w autobusie zażądał okazania biletu, walnęła monetą dwufuntową tak mocno, że zabolęła ją ręka. Nieodwracanie za nią głowy to jedno, lekceważenie natomiast to coś zupełnie innego. Pewnego rana, gdy wreszcie zaczęła się godzić z bezsensiem lat spędzonych na opłakiwaniu mężczyzny, którego nigdy naprawdę nie kochała, weszła do narożnego sklepu po gazetę, a nowy właściciel, Hindus o oczach łani, podał jej egzemplarz „Daily Mail” i wziął od niej pieniądze.

Nadal uczy, bo nic innego nie ma do roboty. Na zmianę kariery jest za późno, nie wyobraża sobie też pracy w innym zawodzie. W rzeczywistości traciła zapał do nauczania muzyki mniej więcej tak szybko, jak angielskie dzieci traciły

zapał do nauki. A fortepian nie jest popularnym instrumentem. Czy był nim kiedykolwiek? Żywiąc złudną nadzieję, że może odkryje wyjątkowy talent, udziela prywatnych lekcji, choć rozumie, że w najlepszym razie jest niemiłą odmianą dla dzieci z klasy średniej, w których rodzice zdecydowanie chcą wyrobić jakieś umiejętności, mile widziane w towarzystwie. Większość uczniów traktuje ją na równi z nauczycielką tańca czy tenisa. Szczęściem jednak nie straciła zamiłowania do samej muzyki. Po odejściu Briana myślała, że może spróbuje komponować. Za kilka uniwersyteckich kompozycji zdobyła pochwały, a starszy wykładowca napisał jej kartkę, żeby próbowała się ubiegać o stypendium w Królewskim Kolegium Muzyki w Londynie. Nie wiedział jednak, że ona już bierze kurs na Birmingham. Obecnie znów ćwiczy i próbuje nadawać nutom melodyjne kształty. Czasami zapisuje sobie frazy, lecz o tym nie mówi Mahmudowi. Niekiedy widuje go w jego sklepie z odtwarzaczem, z którego źle wyściełanych słuchawek wydobywa się fałszywie brzmiące zawodzenie. Przywykła składać sobie na ołtarzu jego nudy, a po katastrofalnej próbie zainteresowania go Chopinem nie chce już odkrywać swojej ukochanej muzyki przed człowiekiem o tak przytępionym słuchu.

W łazience kładzie ręczniki, płaszcz kąpielowy, świeże mydło i szczoteczkę do zębów. Początkowo Mahmud człapał tam i używał jej „darów”. Nie dopuszczała nieżyczliwych myśli do głowy, lecz wiedziała, że Feroza nie potrafi tak się o niego troszczyć. A w swoim ojczystym kraju mógł co najwyżej marzyć o podobnych luksusach. Teraz już się nie kąpie. Idzie do łazienki, niekiedy zapomina zamknąć porządnie drzwi, ona zaś słyszy nieprzyzwoity plusk moczu, kaskadą spływającego prosto do wody, nie po boku muszli. Potem Mahmud spuszcza wodę i równocześnie wydmuchuje nos, co brzmi tak, jakby w jej domu rozpętała się burza. Po

powrocie znów się do niej zabiera, co wygląda na próbę wbicia jej w łóżko. Na początku lubiła trochę go rozpieszczać, obecnie jednak Mahmud nie ma na to czasu. Prezentów od niej, srebrnego wisiora, skózanego portfela czy adresownika nawet nie tknie palcem, nie waży w ręce. Po prostu kiwa głową, czasem nawet zapomina je zabrać ze sobą. Więc nie ma już prezentów. Kiedy skończy, stacza się z łóżka i szybko ubiera. Z niewiadomego powodu ugniata z białych bawełnianych kalesonów kulę i wpycha ją do kieszeni spodni. Ona obserwuje jego nieskazitelnie gładkie plecy, kiedy pochylony wciąga skarpetki.

- Napijesz się czegoś przed wyjściem? Herbaty czy czegoś mocniejszego?

Spogląda na nią z uśmiechem w czarnych oczach, lecz milczy. Jest już ubrany, wstaje i zwraca się do niej twarzą. Ona leży wpatrzona w niego, zaplątana w prześcieradła niczym ryba w sieci.

- Nie, dziękuję - mówi Mahmud. - Muszę iść.

Ona zauważa, że lekko wzrusza ramionami, zanim cicho wyjdzie z sypialni. W przedpokoju wkłada buty, po czym hałaśliwie otwiera i zatrzaskuje drzwi, grzechocząc skrzynką na listy, bo zawsze zużywa na to zbyt wiele siły. Po krótkiej chwili namysłu ona wydobywa się z pościeli i narzuca bawełniany płaszcz kąpielowy. Następnie idzie do saloniku, lekko rozchyła zasłony, żeby wpuścić trochę księżycowej poświaty, zanim podniesie wieko pianina.

Nazajutrz rano wstępuje do sklepu. Tak jak każdego dnia. W drodze do pracy kupuje egzemplarz „Daily Mail”. On zwykł sprzedawać jej gazetę z pewną szorstkością, wyuczoną, o czym Dorothy wie, żeby ukryć ich romans. Ostatnio jednak zachowuje się w sposób obojętny. Ona stara się nie brać wszystkiego tak bardzo do serca, ale wyobraża sobie, że takie niepokoje stanowią integralną część oszustwa. Dzisiaj Feroza

siedzi na ladzie z niemowlęciem w ramionach. Z noworodkiem o lśniącej czarnej czuprynie, już zwijającej się w kędziorki, rosnącej kępkami. Mahmud bawi się z dzieckiem i nie widzi, jak ona wchodzi do sklepu. Rozpływa się nad nim z miłości i czułości. Ona napotyka wzrok Ferozy, zimny, uporczywy. Zauważa szyderczy uśmieszek na wargach Ferozy, a wtedy Mahmud odwraca się i ją dostrzega. W jego twarzy nie ma ciepła, w oczach błysku porozumienia, nic. Po prostu patrzy na nią i znów kieruje spojrzenie na dziecko.

- Daj jej gazetę - mówi, nie podnosząc głowy. Feroza bierze „Daily Mail”. Ona wyciąga rękę, ale Feroza upuszcza gazetę na kontuar, żeby musiała ją podnieść. Feroza już się nie uśmiecha, a uwagę ojca pochłania dziecko.

Na drugiej godzinie lekcyjnej uczniowie szóstej klasy wpatrują się w nią, kiedy z trudem wymawia słowa. Robi długie przerwy. Wygląda przez okno. Potem zwraca się do nich twarzą i wybucha śmiechem. Zdaje sobie sprawę, że w ich obecności robi z siebie głupią. Usiłuje przekonać klasę o wyższości Mozarta nad jego rówieśnikami. Właściwie nad wszystkimi artystami tego okresu. Poświęcenie. I arogancja. Tu urywa. Szybko potyka się na tym słowie. Czuje osłabienie i zastanawia się, czy nie powinna zamilknąć i zagrać paru taktów na fortepianie. Czegoś im pokazać. Nie chodzi o poświęcenie. Życie z Brianem wymagało wyrzeczenia się godności. Poświęcenie. Przez całe życie wiedziała, czym jest. Przygotowywanie kurczaka z curry to poświęcenie. Pytanie go, czy był kiedyś w angielskim domu, to poświęcenie. Słuchanie, jak opowiada o latach niedoli w zawodzie restauratora w Leicester. Kupowanie niedzielnej gazety i paplanie o pogodzie, kiedy inni wchodzi i wychodzą, spoglądając na nią złowrogo, to dopiero jest poświęcenie. Mogą się gapić, jeśli to im sprawia przyjemność, ona wie jednak, co to jest poświęcenie. Lecz arogancja to coś nowego.

Mozart. Mahmud. Aroganckie spojrzenia. Nikt nic nie mówi. Po prostu się w nią wpatrują. A ona milczy. I wtedy słyszy dzwonek, wie, że dziś nie będzie już musiała mówić o Mozarcie ani o poświęceniu. Widzi, jak uczniowie odsuwają krzesła i wstają. Zbierają swoje książki i papiery, patrzą na nią, wychodząc. Patrzą na nią, a ona z uśmiechem odwzajemnia spojrzenia. Nie przestają patrzeć.

Czeka, ale nie słyszy stukania do drzwi ani grzechotu skrzynki na listy. Światła są przygaszone, świece zapalone, lekka woń rhogan josh unosi się w powietrzu. Postarała się i kupiła wyjątkowo drogą butelkę wina, choć wie, że Mahmud za winem nie przepada. Nie doceni jego subtelności, mimo wszystko jednak je kupiła. Ale nie słychać stukania do drzwi. Grzechotu skrzynki na listy. Przez parę ostatnich dni wchodziła do sklepu po gazetę, on zaś spoglądał w jej kierunku, niczym nie zachęcając do rozmowy. Bo dlaczego miałyby to robić? W sklepie zazwyczaj jest tłok, a oni nie zwykli zwracać na siebie uwagi. Tego rana siedziała na piętrecie autobusu numer czterdzieści dwa i zaglądała do ogródków na tyłach domów. Jakaś kobieta wieszła ociekający wodą dywan na cienkim sznurze, rozciągniętym między dwoma jaworami. Za nią drewniana szopa wspierała się o równie chwiejny garaż, a cały ten żaloszny obrazek tonął w bladym świetle, co sprawiało wrażenie, że łada moment może się rozpętać burza. Kiedy autobus mijał park, zobaczyła kamienny pomnik ku czci poległych na wojnie, a pod plaketką na cokole wypisane sprayem słowo „gówno”. Znowu karci się za swoje zachowanie. Zrobiła z siebie widowisko na oczach szóstoklasistów. To wstyd do tego stopnia stracić panowanie nad sobą, lecz wiadomo, że oni wkrótce zapomną o jej potknięciu. Chodzi tylko o jedną klasę, a w przyszłym tygodniu ona wszystko naprowadzi na właściwe tory. I wtedy czuje zapach spalenizny. Śpieszy do kuchni, gasi ogień pod

garnkiem z rhogan josh, po czym decyduje się wyciągnąć korek z butelki.

Tego popołudnia poszła do nowego centrum handlowego w pobliżu szkoły. Za ladą stała nieznana osoba. Młoda dziewczyna o zapadniętych policzkach i cygańskim wyglądzie Rumunki. Trudno było powiedzieć coś poza tym, że nie jest Angielką. To nie ulegało wątpliwości. Ona zastanawiała się, gdzie są rodzice dziewczyny i czy zamierzają przyjść jej z pomocą. W nosie dziewczyna miała błyszczący srebrny ćwiek niczym godło w kształcie kuleczki, a w czarnych włosach fioletowe pasemka. Użyła wyrażenia, które wymagało interpretacji. Ona wybrała drogą butelkę wina, po czym wskazała lalkę na górnej półce. Dziewczyna zdjęła lalkę i podała jej do obejrzenia. - Podoba?

Ona, nie zwracając uwagi na dziewczynę, obracała lalkę w rękach. Choć wiedziała, że ją weźmie, stwarzała pozory. Wyjęta z portmonetki i podała dziewczynie banknot dwudziestofuntowy, ta zaś otworzyła kasę i z niezwykłą łatwością odliczyła resztę. Potem, nie zwracając uwagi na wyciągniętą dłoń klientki, położyła pieniądze na ladzie, a lalkę i butelkę wina zaczęła pakować do jednej papierowej torby. Ona zgarnęła resztę, wzięła torbę od imigrantki i nawet na nią nie spojrzała ani nie podziękowała. W domu wyjęła butelkę drogiego wina i wstawiła do lodówki, żeby się schłodziło. Lalkę zostawiła w torbie obok swojej teczki. Przygasiła światła, zapaliła świece. Przyrządziła rhogan josh. Potem się przygotowała. I czekała. Ale nie rozległo się stukanie do drzwi. Ani grzechot skrzynki na listy.

Rano wstępuje do sklepu po gazetę. Zamyka za sobą drzwi - Feroza obsługuje mężczyznę, który chyba płaci rachunek, bo podsunął okulary na pomarszczone czoło i spod przymrużonych powiek patrzy na wydruk. Ona wie, że klient kwestionuje dodawanie Mahmuda. Albo, co gorsza, jego

uczciwość. Feroza spogląda na mężczyznę z pogardą, po czym przenosi wzrok na nową klientkę. Dziewczynka śpi w koszyku na ladzie, wskutek czego wygląda jak prezent, dostarczony i rozpakowany. Feroza ciska „Daily Mail” na ladę. Stuka w nią knykciami i pyta:

- Coś jeszcze?

Mężczyzna wciąż z niedowierzaniem mruży oczy, więc ona omija go i podchodzi do lady, gdzie „Daily Mail” leży między nimi dwiema niczym niepodpisany kontrakt.

- Przyniosłam to. - Zanurza rękę w papierowej torbie i wyciąga jasnowłosą lalkę. - Dla twojego dziecka.

Wręcza prezent żonie Mahmuda, która patrzy najpierw na lalkę, potem na nią. Oczy Ferozy płoną oburzeniem. Mężczyzna podnosi wzrok znad rachunków, a wtedy żona pluje Angielce prosto w twarz. Zamierza splunąć po raz drugi, lecz resztki śliny, jakie jej zostały, czepiają się dolnej wargi i zwisają niczym włóknisty dowód braku opanowania. Ona zostawia lalkę i egzemplarz „Daily Mail” na ladzie. Odwraca się, wychodzi ze sklepu, w jej plecy zaś wwiercają się wściekłe spojrzenia żony i zdziwione klienta. Dzwonek towarzyszy otwieraniu drzwi, brzęk szkła ich zamykaniu. Ona, bezpieczna dopiero na ulicy, rękawem płaszcza ściera z twarzy ślinę.

Należało mieć więcej rozumu. Siedzi po ciemku, obejmując kubek kakao obiema rękami, jakby musiała je ogrzać. Prawie nie pamięta dnia spędzonego w szkole, na pewno jednak udawała, że wszystko jest w porządku. Czuje, że stopy ma trochę spocone, jak zawsze, kiedy nią targa niepokój. W tym wieku powinna być mądrzejsza i nie traktować protekcjonalnie trzydziestoletniej kobiety i jej dziecka. W swej arogancji zakładała, że potrafi oszukać tę kobietę, która mało mówiła, bardzo wiele natomiast wyrażała przymrużonymi oczami. Może przeprosiny załatwiłyby

sprawę i pozwoliły zamknąć ten rozdział z jakąś godnością. Teraz pragnie tylko tego. Zakończenia z godnością. Niczego więcej. Telefonuje do niego, kiedy w jej przekonaniu Feroza pewnie już śpi.

- Mahmud - szepcze - to ja. Przepraszam, że dzwonię, ale chyba muszę się z tobą zobaczyć. - Cisza. - Muszę wyjaśnić, co zaszło z rana, nic więcej. - Cisza, najwyraźniej naładowana jego irytacją. Potem te słowa:

- Musisz gdzie indziej kupować gazetę. Nie chcę cię znać. - Odkłada słuchawkę. Nie chce. On nie chce. Ona starannie umieszcza słuchawkę na widełkach, ale nie wypuszcza jej z rąk, jak gdyby się szykowała do następnego telefonu. Nie będzie go jednak. Zrobi sobie gorącą kąpiel, potem wypije kolejny kubek gorącego kakao, a później położy się do łóżka, które niestety zaczęło sprawiać wrażenie lekkiego, nieprzygniecione podwójnym ciężarem. Z rana naprawi sytuację. Oczyszczy dom z wszelkich śladów po Mahmudzie, znajdzie też nową drogę do szkoły. Taką, która nie wzbudzi wspomnień ani wyrzutów sumienia.

Jest poniedziałkowe przedpołudnie. Siedzi w pokoju nauczycielskim, bo ma dwugodzinne okienko. Będzie czas na wystawienie ocen i zrobienie sobie kawy, jeśli zdoła znaleźć czystą filiżankę. Nauczyciele dawno temu zrezygnowali z posiadania własnych filiżanek, bo nieodmiennie ktoś używał cudzej, co prowadziło do kłótni i wywoływało złe nastroje. Tego ranka znajduje filiżankę, która po pobieżnym wypłukaniu jest znośna, i herbatniki, na szczęście niecierstwe. A potem, kiedy dolewa mleka do kawy, podnosi wzrok i widzi go, beczynnie stojącego przy drzwiach.

- Proszę wejść dalej. Nikt pana nie ugryzie.

Jest ubrany jak nauczyciel na zastępstwie. Garnitur ma elegancki, buty wyglansowane, krawat schludnie zawiązany, a koszulę wyraźnie zagniecioną, wyjętą prosto z opakowania.



Najwięcej mówi o nim teczka, zniszczona i zakłębiona, jak gdyby potrzebowała odżywki w postaci źle napisanych prac. Mężczyzna rozgląda się dookoła, sprawdza, czy to rzeczywiście do niego zwraca się ta kobieta. Wchodzi do pokoju nauczycielskiego i ostrożnie zamyka za sobą drzwi.

- Kawy? - pyta ona. - Nie polecam herbaty.

Kiwa głową, następnie zaś, pomny na dobre maniery, zaczyna mówić:

- Tak, poproszę. Czarną. Bez cukru.

- Czarną, bez cukru - powtarza kobieta. On siada, teczkę stawia na podłodze. Ona podaje mu filiżankę, bierze swoją i siada naprzeciwko niego. - To moja ulubiona część tygodnia. Poniedziałkowe rano, dwie wolne godziny lekcyjne. Mogę nadrobić zaległości, odetchnąć w ciszy i spokoju.

On, chyba zaniepokojony tym wyznaniem, odstawia kawę.

- Tak mi przykro. Nie chciałem przeszkadzać.

Ona patrzy na niego, na tego nieśmiałego mężczyznę z siwizną na skroniach i dość niezdarnie splecionymi dłońmi.

- Może powinienem się przedstawić. Geoff. Geoff Waverley. - Wyciąga do niej rękę.

- Nazywam się Dorothy Jones.

- Miło mi cię poznać, Dorothy.

Sądząc po głosie, jest nie najgorzej wychowany, ale ona nie pamięta, żeby pozwoliła mówić do siebie po imieniu.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz pytanie, ale czy nie zechciałbyś pójść po szkole na drinka?

On robi pauzę, chyba niepewny, jak się ustosunkować do tej propozycji, po czym wybuchą nerwowym śmiechem.

- Cóż, czemu nie?

- W porządku, jestem całkiem nieszkodliwa. Znam miły pub, do którego nikt nie zagląda, ani uczniowie szóstych klas, ani nauczyciele. Dlatego jest przyjemny. Ze mną nic nie zagraża twojej reputacji.

On znowu się śmieje, daje upust napięciu, zanosząc się piskliwie. Ona spogląda na niego uśmiechnięta. Po czym, ku jego wyraźnemu zakłopotaniu, pociąga łyk kawy, przechodzi na drugą stronę pokoju nauczycielskiego i znów zabiera się do wystawiania ocen.

Czemu nie? - myśli. Upłynęły już dwa tygodnie od chwili, kiedy Mahmud nie zgodził się porozmawiać z nią przez telefon. Poza tym, że dwa razy na tydzień grywa w tenisa z nudziarą, odpowiedzialną za pracownię języka angielskiego, jej życie powróciło do normy: spędza czas przy klawiaturze, na połykaniu książek, oglądaniu mało absorbujących programów telewizyjnych i zapadaniu w niespokojny sen. Brak wyobrażenia o Mahmudzie jest dla niej prawie tak samo dotkliwy, jak brak tego mężczyzny. Nawet wówczas, kiedy rzucał się na nią bez żadnych poufałości, czuła związek z czymś, co istnieje poza wąsko zakreślonymi granicami jej przewidywalnego świata. W jej życiu panował pobudzający chaos, dopóki wraz z rzuceniem słuchawki ono znów nie przestało jej zadowalać, tak jak nie zadowala zamknięta walizka na pojedynczym łóżku. Teraz kończy posiłki, często ledwie coś skubnąwszy, po czym ustawia obok siebie na baczność nóż i widelec i wpatruje się w kwiecisty wzór tapety. Czasami przez okno obserwuje ludzi, którzy spacerują po ulicy z psami, przystają pod żywoplotem czy latarnią, żeby ich ulubieńcy mogli się załatwić, a następnie szybko szarpią za smycze i uciekają od pakuneczków, pozostawionych przez zwierzęta. Jedynym jasnym punktem w jej życiu jest odkryta na nowo przyjemność, jaką sprawia chodzenie, choć zawsze uważa na psie kupki. Trzy mile do szkoły i trzy z powrotem, a przez cały czas dosłowne zachłystywanie się tą wielką ilością świeżego powietrza. Jeśli, co niekiedy się zdarza, z powodu zmęczenia nie wraca pieszo ze szkoły, bez poczucia winy wskakuje do autobusu i płaci za bilet. Obecnie zwraca uwagę

na częste przystanki i nudne czekanie na tych, gdzie wsiada i wysiada wielu pasażerów, ale stara się nie irytować. Na swojej ulicy nie zapomina wysiąść o jeden przystanek dalej, za narożnym sklepem, i pieszo wrócić do domu.

Obserwuje go, kiedy zamawia drinki przy barze. Stara się zostać dostrzeżony przez barmana, bo nie wie, że ten już go widział i podejrze, jak tylko obsłuży panią na wózku inwalidzkim. Jej nowy przyjaciel zbyt usilnie chce dowieść, jaki jest władczy. Ona wstaje, idzie popatrzeć na szafę grającą, pełną nieznannej muzyki. Drink w pubie. Szafa grająca. Pamięta ten rytuał z początków znajomości z Brianem w Manchesterze. Rozgląda się po ciemnym, wyłożonym dębowa boazerią pubie i zauważa, że wszystkie lustra są brudne, pokryte grubą warstwą kurzu. Dywan jest miejscami wytarty i paskudnie poplamiony, a drzwi do męskiej toalety z niewiadomego powodu uchylone, więc choć nie widać samych pisuarów, widać, jak kolejni mężczyźni odwracają się powoli, zaciągają suwaki, wycierają ręce o spodnie, po czym wolno wracają do mrocznej sali. Siedzą tu pary, spotykające się po pracy: mężczyźni mają lekko poluzowane krawaty, kobiety nerwowo zaciągają się papierosami i rozprawiają z ożywieniem, jakiego niewątpliwie nie zdradzały w biurze. No i są stali bywalcy; starzy mężczyźni w burych marynarkach, samotnie piastujący swoje małe piwa, kobiety w średnim wieku, o ściągniętych twarzach i uszkodzonych przez cukier zębach, oklapnięte, bez większej nadziei jeszcze raz czekające na coś, co może się okazać zbliżone do miłości. Odchodzi od szafy grającej, a po powrocie do stolika uznaje, że nie ma powodu mówić mu, iż pierwszy raz jest w tym pubie, podobnym do miejsca wyprzedaży rzeczy używanych. Na tym etapie wyznanie nie ułatwi spędzenia wieczoru.

On starannie umieszcza oba drinki na kartonowych podstawkach, tymczasem ona zwraca się do niego z

rozpromienioną twarzą. On przekłada swoją wciąż chudą teczkę z ławy na krzesło i ciężko siada. Pociąga długi łyk czegoś, co podejrzenie przypomina jasne pełne piwo z limoną, ona podnosi swojego małego guinnessa i wznosi toast. „Na zdrowie”. Patrzy na niego, ciekawa, czy rzeczywiście jest taki nerwowy, czy też tylko się zgrywa. On rozgląda się wkoło.

- Miły lokal, prawda?

Nie przywykła prowadzić tego rodzaju rozmów.

- Więc uczysz geografii? - pyta.

- Skoro nie mogę widzieć świata, równie dobrze mogę o nim opowiadać.

- Och, dlaczego nie możesz go widzieć?

Teraz on się śmieje i ona po raz pierwszy zauważa idealnie równe odstępy między jego białymi zębami. Mimo kurzych łapek w kąciakach oczu jest przystojnym mężczyzną.

- Ze względu na zobowiązania. Mam żonę i dziecko. A nie płacą nam tyle, ile powinni. Jeszcze gorzej na zastępstwie. To wszystko jednak już wiesz.

Ona lekko kiwa głową.

- Nigdy nie byłam na zastępstwie, ale potrafię sobie wyobrazić.

- Cóż, choć tego nie polecam, czemuś jednak służy.

Ona zwraca się do niego twarzą, świadoma, że równocześnie spódnica podjeżdża jej w górę, odsłaniając prawe kolano. Dorothy nadal ma ładne nogi. Właściwie są jej najmocniejszą stroną. Brian zawsze robił sceny zazdrości o to, że mężczyźni tak patrzą na jej nogi, i prawił jej komplementy, kiedy wkładała spodnium. Po jego wyjeździe do Hiszpanii wsadziła dwa spodniumy, granatowy i szary, do plastikowego worka i wyrzuciła do pojemnika na śmiecie.

Po kolejnych dwóch dużych piwach i małym guinnessie to on proponuje, żeby poszli coś zjeść. Wymienia nazwę La Spiaggia w przekonaniu, że ona zna tę restaurację.

Ona wyjaśnia, że na ogół nie jada poza domem, ale chętnie wybierze się z nim na obiad. Jej zostało jeszcze pół szklanki guinnessa, ale on prawie skończył swoje duże piwo i chyba nie jest zdecydowany, co robić dalej. Dorothy rozwiązuje problem za niego, sugerując, że powinien wziąć sobie małe piwo. Patrzy, jak idzie w stronę baru, tym razem pewniej, i sprawia wrażenie zadowolonego, kiedy barman bez pytania nalewa mu piwo. Odwraca się do niej uśmiechnięty.

Choć La Spiaggia jest interesem rodzinnym, podejrzenie przypomina restaurację, należącą do sieci, ona jednak ma wrażenie, że to odpowiada właścicielom. W tym mieście nie popłaca zbyt indywidualizm. On wybiera stolik pod oknem i zagłębiają się w czterostronicowym menu, ale ona czyta i niewiele rozumie.

On mówi:

- Cielęcina jest dobra. To znaczy, jeśli się jada mięso.
- Wezmę tylko makaron. Powinien mi wystarczyć.
- Schudniesz - mówi ze śmiechem.

Zamawiają, on wybiera czerwone wino, które nazywa „specjalnym”, choć dla niej jest całkiem zwyczajne. Przez okno obserwują grupę chłopaków w markowej odzieży, którzy wykrzykują i wyzywają się nawzajem, żeby zwrócić na siebie uwagę dwóch dziewczyn, idących przodem i na pozór nieświadomych tego, co się dzieje za ich plecami. Przypuszczalnie zaniepokojony tym widowiskiem, pociąga kolejny łyk wina i śmieje się nerwowo.

- Wygląda na to, że w mieście jest wiele gangów. No, właściwie grup chuliganów, ale moim zdaniem chodzi raczej o ich język ciała niż o to, co mówią. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy nie noszą noży albo czegoś gorszego.

- Cóż - zaczyna ona - w pokoju nauczycielskim mówi się, że wszyscy piją mocny jabłecznik i biorą jeszcze silniejsze prochy. Powinniśmy wierzyć, że po prostu z nudów rozrabiają

czy kradną. - Teraz się śmieje. - No i proszę. Chyba nie możemy oczekiwać, że dzisiejszą młodzież zadowolą akrobacje rowerowe. - Zwraca się twarzą do okna, ciekawa, czy nie nudzi nowego przyjaciela.

Kiedy przynoszą jedzenie, on zamawia drugą butelkę wina. Ona wypła dopiero pierwszy kieliszek, ale on nie pyta ani o jej zdanie, ani o zgodę. Zaczyna jeść i mówi z pełnymi ustami, chociaż przynajmniej stara się coś przeżuć, zanim rozpocznie zdanie.

- Budzi niepokój, prawda? Mam na myśli to, że dziś każdy jest ofiarą, a nikt nie ponosi odpowiedzialności. Sądzisz, że przyczyna tkwi w braku dyscypliny i porządku w szkołach? Czy my mamy się czuć winni?

Ona znów wybucha śmiechem.

- Mówisz zupełnie jak mój ojciec. Umarł parę lat temu. On przerywa jedzenie.

- Współczuję.

- Niepotrzebnie. Chyba życie mu się przejadło. Bo zaczął się martwić o młodych. Martwił się, że już nie wzbudza w nich strachu. Nie chodziło mu o to, jak mówią, ale o to, co zrobią. Powiedziałyby zapewne, że ma to większy związek z dyscypliną w domu niż w szkołach. I z imigracją.

- Imigracją?

- No, wiesz, dla niektórych ludzi wszystko ma związek z imigracją.

- Ale te dzieciaki nie były czarne. - Gestem wskazuje za okno. - Nie zamierzały na nikogo napadać.

- Wiem. - Ona spuszcza wzrok i skupia uwagę na resztkach na talerzu. - Wiem. Zgadza się z tobą. - Ujmuje nóżkę pełnego jeszcze kieliszka i obraca ją w palcach. - Więc twoja żona i dziecko tu nie przyjadą?

- Może pod koniec roku. Kiedy wygaśnie romans z graczem w squasha. - Śmieje się teraz głośno, odrzuca do tyłu

głowę. Kelner spogląda na niego i szybko odwraca oczy. - To istotnie dość banalne, co? Ale prawdziwe. Po prostu daję im czas.

- To ładnie z twojej strony. - Ona upija łyk z kieliszka.

- Jeżdżę do Nottingham na weekendy. Żeby widywać się z moją córką Claire. Uznałem jednak, że najlepiej będzie wynieść się na jakiś czas z miasta, a ponieważ lokalne władze miały pracę, jestem tutaj. - Nalewa sobie wina i szybko je wypija. Ona patrzy, jak pociąga łyk, który zaznacza granicę między mową spójną a bełkotem. - Wynajmuję pokój. Jakbym znów był pieprzonym studentem. - Śmieje się i jedną ręką rozluźnia krawat. - Kto by pomyślał?

- Co pomyślał?

- Że na to mi przyjdzie. - Ona patrzy mu w oczy i dostrzega za tymi słowami wrażliwość. - Ale i tak dziękuję.

- Za co?

- Za zaproszenie na drinka. Bałem się wieczorów. Wychodzenia z tymczasowej pracy i powrotu do tymczasowego mieszkania. Siedzenia w pokoju dziennym i oglądania głupich programów telewizyjnych z panią Johnson, a potem zakłopotania, w jakie mnie wprawia, częstując filiżanką horlicks i herbatnikami. Mogę albo ją znosić, albo chodzić do miejscowego pubu, znajdować partnera do gry w strzałki i zanudzać go na śmierć historią mojego życia. Więc dzięki.

Ona wypija trochę wina i obdarza go promiennym uśmiechem.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - A po przerwie dorzuca: - Może powinniśmy już iść.

On patrzy na nią zaskoczony. Potem odstawia kieliszek, wyciąga obie ręce i ujmuje jej dłonie.

- Mówię poważnie. Jestem naprawdę wdzięczny. Dziękuję. - Ona spuszcza wzrok i delikatnie uwalnia ręce z uścisku. On odchrząkuje. - Czy nadal jesteś ze swoim mężem?

- Nie, wzięliśmy rozwód.

- Na szczęście?

Ona nie mówi: nie, miał mnie dość.

- Wszystko dobiega końca.

- Czujesz się samotna?

Nie mówi: byłam kochanicą Azjaty z narożnego sklepu, ale mnie rzucił.

- Dobrze się czuję we własnym towarzystwie. - Wybuchają śmiechem. - Na ogół.

Na przystanku autobusowym on troskliwie otacza ją ramieniem, ona jednak wyczuwa, że najprawdopodobniej usiłuje po prostu zachować równowagę. Bezdomny mężczyzna, wlokący za sobą brudny śpiwór, przechodzi na drugą stronę ulicy, jakby zmierzał w ich kierunku. Ona wyczuwa napięcie swojego opiekuna, a potem, kiedy wólczyga idzie dalej, nie zwróciwszy na nich uwagi, słyszy westchnienie ulgi.

Oboje spoglądają w kierunku, z którego ma nadjechać autobus. Na parkingu przed pubem paru wytatuowanych chuliganów, z zębami wyszczerzonymi w uśmiechu, popycha się i poszturkuje, a ich głośne rzenie świadczy o dobrej zabawie. Ona zauważa, że dwóch bezwstydnie się popisuje, opróżniając pęcherze i zakreślając w powietrzu triumfalne wodniste łuki, po czym ku swemu przerażeniu zdaje sobie sprawę, że oni ze sobą współzawodniczą. Zastanawia się, czy któryś z młodych wagabundów nie jest jej uczniem, aż w końcu przyłapuje się na tym, że zapomina o swoim towarzysz.

- Wiesz, naprawdę nie musisz ze mną czekać. Autobus zaraz nadjedzie.



On ośmiela się dotknąć palcem jej policzka. Ona ma nadzieję, że będzie milczał, bo jego słowa od dawna już się ze sobą zlewają. I wtedy słysząc warkot jadącego pod górę autobusu. On szybko opuszcza rękę.

- Ach, nadjeżdża twój rydwan.

- To był uroczy wieczór. - Autobus zatrzymuje się przed nią, po czym drzwi otwierają się z sykiem.

- Oszczędziłaś mi wieczoru w piekle. - Śmieje się. - Albo komuś oszczędziłaś wieczoru w piekle.

Ona wsiada szybko, zanim on zdąży powiedzieć coś więcej. Grzebie w portmonetce, odlicza drobne i kupuje bilet. Nie jedzie daleko, więc zajmuje miejsce przy drzwiach. Kiedy autobus rusza z szarpnięciem, odwraca się i widzi go, nadal stojącego na przystanku i machającego jej ręką.

Nazajutrz rano czeka w pokoju nauczycielskim. Wszyscy wpadają w wielkim pośpiechu. Sally Lomax, młoda kierowniczka pracowni języka angielskiego, odzywa się z promiennym, lecz najwyraźniej sztucznym uśmiechem:

- Będę musiała przyprowadzić wieczorem George'a i Samanthę. Ale mają książeczki do kolorowania i kredki, więc nie powinni się nudzić.

Kiwa głową Sally, zbyt zaabsorbowanej, żeby zauważyć, czy jej stwierdzenie wywołało reakcję. Sally się odwraca, ona zaś po raz kolejny widzi, jak bardzo biedaczka przytyła, jak grubą warstwę tłuszczu ma w pasie i na biodrach, co niewątpliwie tłumaczy jej zapał do ćwiczeń fizycznych. Sally wypija ostatni łyk kawy; reszta wędruje do zlewu, podobnie jak filiżanka. Sally należy do osób, które nie zawracają sobie głowy jej płukaniem i ustawianiem dnem do góry na ociekaczu. Porozlepiano kartki z uwagami na ten temat, ale prawie nikt nie traci czasu na ich czytanie. Ona czeka w pokoju nauczycielskim, dopóki wszyscy z niego nie wyjdą, Geoff Waverley jednak się nie zjawia. Jest za późno, żeby iść

na apel. Dyrektor nie znosi spóźnialskich uczniów. Spóźnialski nauczyciel prowokuje pana Jowetta do nagryzmolenia w pośpiechu kartki z upomnieniem. Toteż ona nie idzie do auli, tylko do klasy, gdzie siada przy fortepianie. Dźwięk C ustanawia tonację. Początek. Ale jest zbyt niecierpliwa, żeby rozwinąć myśl. Przez okno widzi, jak spóźnieni chłopcy pomykają przez boisko z rozwianymi na wietrze połami koszul, przedstawiając pantomimę niepunktualności. Z tupotem wpadną przez drzwi, prosto w szpony ucznia odpowiedzialnego za dyscyplinę, lecz o tym nie pamiętają. Uderza C jeszcze raz i wsłuchuje się w jego brzmienie, w to, jak narasta i ulatuje.

Po dzwonku szybko idzie do pokoju komputerowego. Otwiera internetową stronę szkoły, wystukuje hasło i pod „nowi pracownicy” klika na jego nazwisko. Przez chwilę monitor migocze, jakby miał zgasnąć, po czym ożywa i wszystkie szczegóły rozbłyskują przed jej oczami. Jego stopień naukowy, poprzednie miejsce zatrudnienia, imię żony, pełne imię i nazwisko Claire, jej wiek, ich adres w Nottingham. Nie podano numeru telefonu, ale to żaden kłopot. Wdusza przycisk „drukuj”, po czym szybko przechodzi obok uczniów, zajętych grami komputerowymi i pisaniem miłosnych e - maili. Ona pierwsza odbiera wydruk z głównej drukarki, pośpiesznie składa ciepłą kartkę papieru we czworo i wsadza do torebki. Jej uczennica z piątej klasy, utalentowana wiolonczelistka, gapi się na nią.

- Dzień dobry pani.

- Dzień dobry, Amando. - Wie, że tylko biedna Amanda z nogami grubymi w kostkach dalej będzie grać na wiolonczeli, podczas gdy wszyscy inni uczniowie wkrótce zrezygnują z muzyki na rzecz bardziej przyziemnych rozrywek.

Niedaleko od kortu tenisowego siedzą przy stoliku George i Samantha. Kłócili się podczas prawie całego seta, wydzierali

sobie jedyną książeczkę do kolorowania. Teraz George rzuca kredką w starszą siostrę, która w odwecie robi mu pomarańczową krechę na policzku. Sally podchodzi do siatki.

- Przepraszam, ale muszę się nimi zająć.

Stanowczo przemawia do dzieci. Tenisa z nią okazał się swoistym błogosławieństwem, bo choć Dorothy nadal ma problemy z biodrami, lubi rywalizację. Po odejściu Briana próbowała grać w golfa, ale to jedynie potęgowało samotność. A na błędy musiała patrzeć wyłącznie pod kątem własnej nieudolności. W tenisie może przynajmniej zdobyć czasami jakiś punkt, jeżeli błędy popełnia przeciwniczka. Jak w życiu. Sally wraca do siatki zrozpaczona.

- Przykro mi, ale chyba musimy już skończyć. Możemy równie dobrze przejść do baru samoobsługowego.

Postanawia milczeć, chociaż w głębi duszy zadaje sobie pytanie, dlaczego Sally zakładała, że czterolatek i sześciolatek będą siedzieli cierpliwie, podczas gdy ich matka przebija tam i z powrotem piłkę nad siatką.

Dzieci wyglądają na bardziej zadowolone w bufecie, gdzie wesoło siorbią przez słomki i opryskują sobie coca - colą buzie i ubrania. Ona wypija sok pomarańczowy, a Sally, siedząc nad filiżanką herbaty, analizuje grę.

- Jesteś coraz lepsza. Według mnie masz wrodzone zdolności.

Uprzejmie wysłuchuje komplementów młodszej kobiety. A jednak, gdyby nie Sally, nie byłoby jej tutaj. W ośrodku sportowym nie zna nikogo innego i nie ma ochoty się do niego zapisać. Kobieta przy ladzie dwukrotnie jej mówiła, że w ten sposób traci pieniądze i że o wiele taniej byłoby zostać członkinią, ale ona woli takie czasowe rozwiązanie. Sally spogląda na dwójkę dzieci, wciąż zadowolonych, że mogą teraz zgodnie się brudzić. Potem przenosi wzrok na starszą koleżankę.

- W pokoju nauczycielskim miałą ozorami. Odpowiada tępym spojrzeniem, przez co zmusza Sally do mówienia.

- Ja wiem, że nigdy nie byłaś zbyt towarzyska, ostatnio jednak zamykasz się w sobie. Zupełnie jakbyś zadzierała nosa, choć wiem, że tak nie jest. Ale niektórzy są tego zdania.

Przez szybę widzi w dole dwóch mężczyzn, walących na korcie w piłkę zaciekle, bez żadnej finezji. Ich gra polega na brutalnej sile i wytrzymałości. Odwraca się do Sally. Mimo iż młodsza koleżanka ma twarz spokojną i zatroskaną, wypowiada słowa, które ją oburzają. Ostrzega? Upomina? Mniejsza z tym. Słowa są niewłaściwe i ona nie będzie już z nią grać w tenisa.

Geoff wydaje się nieco mniej ożywiony niż w restauracji. Wina, myśli ona. Więcej wina. Nalewa mu drugi kieliszek, celowo zostawiając odkorkowaną butelkę.

Tego rana do przegródki na korespondencję Sally wsunęła kartkę z zawiadomieniem, że w przyszłym tygodniu nie zagra w tenisa. Nie podała powodu. Później znalazła pośpiesznie nagryzoloną kartkę od Geoffa. „Obiad? Dziś wieczór?”. Przycisnęła ją do ściany i pod jego podwójnym pytaniem nabazgrała: „U mnie. O ósmej”. Dopisała swój adres, złożyła kartkę we czworo i wetknęła do jego przegródki. Liczyła, że się odezwie z rana po wspólnym obiedzie, lepiej jednak późno niż wcale, pomyślała. Teraz, przy drugim kieliszku wina, wreszcie tłumaczy, dlaczego nie napisał.

- Claire skaleczyła się w szkole, a moja żona narobiła tyle szumu, jakby dziecku mieli amputować nogę. Kiedy tam pojechałem, oczywiście wybuchła kłótnia. Opuściłem cały wczorajszy dzień i wróciłem dopiero dziś o pierwszej w nocy.

- Współczuję.

On jednym haustem opróżnia kieliszek i nalewa sobie kolejny. Znów chwali jedzenie, choć ona wie, że duszony tuńczyk nie zasługuje na pochwałę. To miłe z jego strony, lecz

zbyteczne. Przechodzą do saloniku i on zasiada na kanapie. Ona bierze fotel, siada naprzeciwko, a wtedy on wskazuje fotografię w złotej ramce, stojącą na pianinie.

- Twój rodzice? Ona kiwa głową.

- Urodzili się w tym mieście, tu żyli i umarli. Oboje leżą na tutejszym cmentarzu, jedno obok drugiego.

Teraz on wychyla się do przodu.

- Jaki masz do tego stosunek?

Do czego? - zastanawia się ona. Do rodziców, którzy nie mieli sposobu, a ojciec nawet chęci, wyrwania się z robotniczego środowiska? Którzy nigdy nie otrząsnęli się po wyjeździe starszej córki na uniwersytet do innego miasta? Którzy mieli za złe młodszej córce, że ośmieliła się ich porzucić i szukać szczęścia w Londynie? Jaki ma stosunek? We własnym odczuciu nie jest im nic winna, nie może jednak zaprzeczyć, że czym prędzej wróciła do domu, kiedy jej życie legło w gruzach. W zasadzie powróciła do ich świata, chociaż w nim wyprzedaje się teraz domy komunalne, Hindusi kontrolują miejscową gospodarkę, buduje się nowe domy jednorodzinne za setki tysięcy dla pracowników sektora technologicznego. Gdyby rodzice mieli wstać z grobów i powrócić na ten świat, nie poznaliby swojego miasta. Spogląda na gościa i znowu kieruje wzrok na ich fotografię. Nie może powiedzieć temu mężczyźnie, do jakiego stopnia gardzi tym, co odziedziczyła. Wrodzoną skazą. Tchórzostwem.

Jest późno. Pocałunek wisi w powietrzu, lecz on chyba nie jest zdolny nachylić się i dotknąć ustami jej ust.

- Powinienem już iść, zanim pani Johnson zatrzaśnie i zarygluje mi drzwi przed nosem. - Wstaje. Rozmawiali o muzyce. Rozmawiali o podróżach i o tym, jak bardzo lubił jeździć pociągami za granicę w czasie studiów i później. Robił to każdego lata, przenościł się z Niemiec do Francji, z Francji

do Holandii i tak dalej, zależnie od nastroju. Geoff Waverley przeżywał na szlaku liczne przygody z wyjątkiem, o ile mogła się zorientować, miłosnych. Ona słyszy słowa, których sensu nie od razu pojmuje.

- Nie musisz iść. Jesteś tu więcej niż mile widziany.

- Jej oczy padają na zegar na gzymsie kominka. Znów się odzywa. - Jest jeszcze dość wcześnie.

On stoi sam, jak rozbitek na brzegu. Ona czuje się z tego powodu niezręcznie, więc też wstaje. Zwraca się do niego twarzą, ale to on ujmuje jej rękę.

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy tego robić.

- Czego? - pyta ona.

Leżą obok siebie. Ona wpatrzona w sufit, on z zamkniętymi oczami. Nie powiedziała, ile naprawdę ma lat, kiedy prawil jej komplementy.

- Pięćdziesiąt - skłamała. - Czy jestem za stara?

Zaśmiał się, dając do zrozumienia, że to absurdalne pytanie. Po czym zamilkł i zamknął oczy, ona zaś wpatruje się w sufit. Wyczuwa, jak on cały sztywnieje w poczuciu winy. Zastanawia się, czy nie puścić muzyki albo nie otworzyć kolejnej butelki wina, żeby oboje mogli się napić. Ale wie, że z chwilą gdy wstanie, czar pryśnie. On może dzielić z nią łóżko, najwyraźniej jednak nie potrafi dzielić się swymi myślami. Przewraca się na bok i patrzy jej w twarz.

- Muszę iść. - Ona napotyka jego wzrok i potakuje.

- Moja głowa - mówi on. - Mam zawroty głowy i nie dam ci spać przez całą noc.

- Rozumiem. - Głaszcząc go po twarzy. - Dobrze się bawiłam. Dziękuję.

On się uśmiecha, jednym ruchem przesuwa się na brzeg łóżka i siada. Ona odwraca się do niego plecami, żeby uszanować jego prywatność, i wpatruje się w pustą ścianę.

Następnego dnia zostawia mu kartkę w przegródce. Zwykłą kartkę z podziękowaniem za to, że przyszedł na obiad, i z zapytaniem, czy ma wolny weekend. Przed włożeniem jej do koperty kilkakrotnie odczytuje tekst. Zaklejoną kopertę umieszcza między notatkami służbowymi i resztą korespondencji, na oko niezbyt ważnej. W pokoju nauczycielskim bardzo się stara być dla wszystkich miła. Mimo to informuje zawiedzioną Sally, że nie tylko będzie musiała zrezygnować z gry w przyszłym tygodniu, lecz także odłożyć tenisa na czas nieokreślony z uwagi na prywatne lekcje muzyki. Choć Sally się tego spodziewała, usiłuje robić minę zdziwionej i rozczarowanej. Widocznie zależy jej na przyjacielskich stosunkach.

- Dasz mi znać, kiedy coś się zmieni, prawda?

- Oczywiście. - I tak zaczyna się dzień. Dla niej ciężki. Żadnych okienek i trzy lekcje z początkującymi. Przed redukcjami zatrudniano w niepełnym wymiarze godzin nauczyciela muzyki, który prowadził w młodszych klasach lekcje gry na flecie prostym i lekcje umuzykalnienia, teraz jednak to ona musi znosić rzępolenie i fałszowanie ludowych melodii i tolerować tępe miny uczniów, kiedy im tłumaczy, na czym polega różnica między koncertem a symfonią. Znają się na młodzieżowych zespołach męskich. Znają się na młodzieżowych zespołach żeńskich. Na rapie. Hip - hople. Ale to pokolenie wreszcie zmusiło ją do pogodzenia się z możliwością wyginięcia rozkoszy świata klasycznego. Po ostatniej lekcji zbiera swoje książki i wynajduje sobie dodatkowe zajęcia w klasie. Dopiero wtedy, kiedy nie znajduje już żadnych zadań do wykonania, przez częściowo opustoszałe korytarze zmierza w stronę pokoju nauczycielskiego. Zagląda najpierw do swojej, zresztą pustej, przegródki, potem do jego. Jej list zniknął wraz z całą korespondencją. Stoi osłupiała. Czuje w gardle gorz

odtrącenia, nie chce jednak, żeby ją tu przyłapano, więc się odwraca i szybko odchodzi.

Nazajutrz znów zagląda do swojej przegródki. Miał cały wczorajszy wieczór na pisemne wyjaśnienie, że z nią zrywa, lecz jest tylko list w sprawie składek związkowych, zachęta do starania się o tanie polisy ubezpieczeniowe na czas podróży i kartka, w której jedno z rodziców usprawiedliwia nieobecność Jenny Sommerville w szkole przez następne trzy tygodnie. Natomiast nic od pana Waverleya. Choć ją kusi, żeby pogrzebać w jego przegródce i poszukać wytłumaczenia, dlaczego milczy, po chwili namysłu postanawia szybko skreślić i zostawić mu kolejny liścik. W pokoju nie ma nikogo prócz dwójki nowych nauczycieli wychowania fizycznego. Siada przy stole i pisze szybko, usilnie prosząc przyjaciela o kontakt. Czuje się niezręcznie, ale nie chce między nimi żadnego skrępowania. Potrafi tolerować prawie wszystko, tylko nie skrępowanie. Myśli, czy nie powołać się na wspólne miejsce pracy, z tego jednak rezygnuje. Przecież on ma zastępstwo i wkrótce wyjedzie. Kończy zatem na skrępowaniu. W chwili gdy wstaje, do pokoju nauczycielskiego wpada Sally. Przeprasza nauczycieli wychowania fizycznego za to, że kazała im czekać. Widocznie ma im pomóc, zapewne w treningu hokejowym. I wtedy zauważa dawną partnerkę do gry w tenisa.

- Cześć, zasiedziałaś się tutaj. Czekasz na kogoś? - Jeszcze nie zdążyła przecząco pokręcić głową, a Sally już mówi dalej ze śmiechem: - Pan Waverley jest na wycieczce, jeśli to jego szukasz. I mnie się dość podoba. Poszła z nim połowa mojej klasy szekspirowskiej. - Znów wybucha śmiechem. - Nie zrozum mnie źle. Nie narzekam. - Nauczyciele wychowania fizycznego zaczynają niecierpliwie kręcić się przy drzwiach. - Słuchaj, muszę lecieć. Na razie.



Sally wychodzi na korytarz i zostawia otwarte drzwi. Ona czeka, dopóki Sally nie zniknie z oczu, po czym wkłada kartkę do przegródki Geoffa Waverleya. Nie fatyguje się nawet zamknąć drzwi pokoju nauczycielskiego.

Tego wieczoru o dziesiątej dźwięczy dzwonek u drzwi. Podchodzi do nich i widzi go na progu, rozmamłanego, potarganego, wyglądającego tak, jakby nie spał od paru dni. Zastanawia się, czy nie jest zły za drugi liścik, i bacznie patrzy mu w twarz, na której maluje się raczej zmęczenie niż gniew.

- Mogę wejść?

Ona odstepuje na bok.

- Oczywiście. Co się stało? - Nalewa czerwonego wina i stawia przed nim na stole kieliszek. On pociąga łyk i podnosi oczy.

- Masz coś do jedzenia?

Ona gotuje makaron, a on nalewa sobie drugi, potem trzeci kieliszek. Zjada szybko, po czym odsuwa talerz.

- Dziękuję.

Ona nalewa sobie pół kieliszka.

- Chcesz porozmawiać? On patrzy na nią.

- Moja żona. Nie jestem pewny, czy coś z tego wyjdzie.

- Czy się pogodzicie?

- Pojechałem tam wczoraj. I dzisiaj po wycieczce. - Wyciąga rękę, żeby dotknąć jej dłoni. - Mogę tu zostać? To znaczy, tylko na noc. - Ona kiwa głową. - Na kanapie. Chyba nie możemy znów tego robić, jeśli nadal myślę o powrocie. - Ona przytakuje raz jeszcze.

- Pościelę ci.

Wkładając poduszkę do czystej poszewki, spogląda w jego stronę. Jest wyczerpany, trzyma lewy łokieć na blacie stołu, twarz ma ukrytą w lewej dłoni, zmęczone oczy zamknięte. Choć tak bardzo chce podejść i otoczyć go ramieniem, wie, że

jej nie wolno. To on jest nieszczęśliwy. Ona liczy, że jeśli uszanuje jego cierpienie, oczywiście stanie się niezbędną.

Następnego dnia po szkole nalewa sobie filiżankę herbaty i dzwoni do jego żony, Vivian. Słyszy młody i cienki głos; głos blondynki, rozbawiony, a zarazem speszony.

- Z kim mówię?

- Jestem koleżanką pani męża i trochę się martwię jego zachowaniem. - Po drugiej stronie zapada cisza i przez chwilę trudno jest odgadnąć, co oznacza. - Pani Waverley?

- Panna Ford. - Głos aż syczy z oburzenia. - Czego właściwie pani chce? - mówi dalej żona.

Ona głęboko wciąga powietrze.

- Chcę tylko powiedzieć, że zachowanie pani męża budzi nasze obawy. Sprawia wrażenie wciąż podenerwowanego.

- Czego właściwie pani ode mnie chce?

- Nie jestem pewna. Pomyślałam, że może chciałaby pani wiedzieć.

- Więc mi pani powiedziała. - Zapada dłuższe milczenie, po czym rozlega się szcęk i drażniący terkot. Panna Vivian Ford się rozłączyła. Ona wciąż trzyma w ręku słuchawkę, przybiera teatralną pozę, po czym starannie przeczesuje siwe włosy palcami i delikatnie odkłada słuchawkę na widełki. Odzyskała poczucie godności.

On czeka, aż pokój nauczycielski prawie opustoszeje, i dopiero wtedy się do niej odzywa. Parę pozostałych osób widzi towarzyszące ich rozmowie napięcie.

- Nie musisz się z czegoś wytłumaczyć?

Udaje zdziwioną, jakby niepewną, o czym on mówi. Z rozmysłem ścisza głos bardziej niż on. Taką obiera taktykę. Cokolwiek on powie, ona udzieli odpowiedzi szeptem.

- Myślałam, że pomagam. Wczoraj wieczór wydawałaś się taki bezradny, a ja się martwiłam. - Widzi rozbłysk gniewu na jego twarzy i teraz się gryzie, bo nie chce, żeby do scysji

doszło przy świadkach. On nie spuszcza z niej oczu. Jest świadoma, że są obserwowani, więc odczuwa ulgę, kiedy on wypowiada jedno słowo: „Wyjdź”, jakby był uczniem i chciał z nią stoczyć bójkę na boisku. Idą do pustej klasy. Odbywają się tam lekcje religii, sądząc po tym, co jest wypisane na tablicy. Imiona proroków są ułożone dość dziwnie, w porządku alfabetycznym.

- Słuchasz mnie? - pyta on.

Ona zwraca się twarzą w jego stronę.

- Wiesz - zaczyna - doprawdy niepotrzebna mi twoja złość czy wrogość. Przychodzisz do mnie, kiedy masz kłopoty i szukasz pomocy, ja nie śpię przez całą noc, martwię się o ciebie, próbuję jakoś ci pomóc. Przykro mi, jeśli popełniłam błąd. Ale chcę pomóc. To wszystko.

- Więc dzwonisz do mojej żony? A skąd wzięłaś jej numer?

Teraz ona się śmieje.

- Na litość boską, Geoff. W dzisiejszych czasach nie trzeba być detektywem, żeby się czegoś dowiedzieć. - On wpatruje się w nią z wrogością, którą sama wzbudziła, czego jest świadoma. Ale nie powinien iść z nią do łóżka, jeśli nie był gotów ponieść konsekwencji. Może jego dawne eskapady polegały na tym, że szybko przeleciał taką, co mu wpadła w oko, ale jeśli na to liczy, to bardzo się przeliczył.

- Nie masz prawa dzwonić do mojej żony i nie masz prawa w ten sposób ingerować w moje życie. Wiesz, ile szkód narobiłaś?

Jest świadoma, że teraz nie ugłaska go nic, co mogłaby zrobić albo powiedzieć. Nadal będzie tam jednak dla niego. On będzie musiał przychodzić i widywać się z nią, a ona pomoże mu zrozumieć, że chociaż nawiązał ten romans pod wpływem ślepej żądzy, bynajmniej nie wpadł w pułapkę. Ona nie jest taką kobietą, a zresztą będzie musiał zabierać kogoś do

La Spiaggia. Będzie potrzebował kogoś, kto go poprowadzi. Pewną ręką. Ona odegra tę rolę. Choć ma ochotę się uśmiechnąć, rozumie, iż to zostanie błędnie zinterpretowane, toteż obejdzie się bez uśmiechu. Nagle zdaje sobie sprawę ze swojego tępego wyrazu twarzy, więc znów odwraca się do tablicy, ciekawa, dlaczego prorocy są wypisani w porządku alfabetycznym.

- Słuchasz? - Ona kiwa głową, ale jej nie odwraca. - Między nami wszystko skończone. Nie ma dla ciebie miejsca w moim życiu. - Czekaj, dopóki on z rozmyślną gwałtownością nie wypadnie z klasy, i odwraca się dopiero wtedy. Prawdę powiedziawszy, w słowach, że między nimi wszystko skończone, jest coś pocieszającego, bo oznaczają, że coś się jednak zaczęło.

Jej list jest krótki i na temat. Przypomina, że porzucenie jest stanem nieobcym człowiekowi. Że przez wieki ludzie dobrowolnie albo mimo woli pozostawiali za sobą innych i przechodzili do rzeczy wyższych i lepszych. Nie ma w tym nic niezwykłego. Ledwie się powstrzymuje od powtórzenia swojej historii z Brianem, której jednak można się domyślić. Prosi go, żeby się widział w szerszym kontekście i szedł dalej. Nie mówi, do kogo powinien iść, ale znów można się tego domyślić. Czyta cały list, od czasu do czasu poprawia niewyraźne litery, żeby były absolutnie czytelne. Później sprawdza, czy w liście nie ma błędów gramatycznych, a stwierdziwszy, że nie, składa go porządnie i wsadza do koperty. Podchodzi do drzwi, zdejmując z wieszaka płaszcz i wkładając buty turystyczne. Łatwo jest znaleźć jego mieszkanie, bo na ich pierwszej „randce” opisał duży narożny dom z widokiem na park. Na tej ulicy stoi tylko jeden taki dom, w którym są pokoje do wynajęcia, na co wskazuje frontowy ogródek, przekopany i wysypany żwirem. Goście mogą tutaj parkować za żywopłotem, nie na ulicy. Staje przy bramie,

świadoma, że będzie musiała się skradać, bo okna jarzą się od światła.

Wraca inną drogą, a robi to po prostu dla zabicia czasu. O tej porze ulice są pustawe i nawet przyjemnie jest nimi spacerować, dopiero o wpół do jedenastej ludzie nagle wyjdą z dwóch sal kinowych i niektórzy skierują się do domów, pozostali zaś pognają do barów w centrum miasta na ostatniego drinka. Oczywiście te nowe puby z ochroną, trocinami na podłodze i głośnym dudnieniem muzyki w niczym jej nie przypominają tego, co uważa za pub, ale na szczęście nie musi wchodzić do takich spelunek. O jedenastej, kiedy wreszcie je zamkną, niedomyta hałastrą rozlezie się po ulicach, podchmielona i gotowa rozrabiać, ale ona będzie już bezpieczna w łóżku. Na razie jednak panuje spokój; cisza przed burzą. I wtedy go widzi. Przez okno La Spiaggia, z kobietą. Staje po drugiej stronie ulicy i patrzy na nich, kiedy tak siedzą przy stoliku, nieopodal tamtego, przy którym ona z nim siedziała. Powinna tutaj przynieść list. Doręczyć go osobiście, przy tej kobiecie. Chowa się w cieniu, żeby zebrać myśli, po czym w głowie jej się przejaśnia i już wie, co robi. Wychodzi z cienia, przecina jezdnię. Kiedy jest w połowie drogi, on podnosi oczy i patrzy na nią. Podążając za jego wzrokiem, kobieta odwraca się do okna. Widzi ją, obrzuca szybkim spojrzeniem swojego towarzysza i znowu ją. On ma zagniewaną minę i robi taki ruch, jakby zamierzał wstać, ale siedzi dalej, ona zaś przechodzi z wysoko podniesioną głową. Wraca do domu. Restaurację mijała przypadkiem. Nie zaplanowała tego ani nie zrobiła z premedytacją. Po prostu znalazła się tam przez czysty przypadek. Idzie dalej, ciekawa, jak Geoff Waverley wytłumaczy to swojej przyjaciółce. Właściwie im dłużej rozmyśla, tym bardziej utwierdza się w przekonaniu, że to się dla niej doskonale złożyło.

Przed wyjściem do szkoły odbiera telefon.

- Mam do pani dość pilny interes. - Czekaj, co jeszcze powie pan Jowett. - Porozmawiamy dziś po apelu, w moim gabinecie. - Urywa i odchrząkuje. - Przepraszam, że niepokoję o tak wczesnej porze, ale na pewno pani rozumie, że nie robiłbym tego, gdyby sprawa nie była nagląca.

Ona dopija herbatę i ubiera się powoli, jak na pogrzeb. Dlaczego miałyby coś takiego robić? Sprawa dotyczy ich dwojga, nikogo innego. To niczyj interes. Odsłania okno i widzi, że ranek jest szary, pochmurny, więc dzień będzie taki sam. Na widok gazeciarza, jadącego po drugiej stronie ulicy na rowerze z podniesionym przednim kołem, myśli, że mógłby zawsze doręczać jej „Daily Mail”. Odczuwa brak porannej gazety i nie rozumie, dlaczego miałyby się bez niej obywać. Zwłaszcza jeśli chłopak przestanie się wygłupiać i zajmie się wsadzaniem gazet do skrzynek na listy.

W szkole panna Arthurton, wysoka koścista sekretarka pana Jowetta, po wprowadzeniu jej do gabinetu zamyka za nią drzwi. Znalazła się w pułapce. Panna Mitchell, zastępczyni pana Jowetta, siedzi z boku dyrektorskiego biurka. To niewygodne miejsce, bo nie ma gdzie położyć papierów, więc trzyma je na kolanach. Ona jednak wie, że panna Mitchell jest zadowolona, bo należy do tego rodzaju czynnych zawodowo kobiet, które lubią zakładać nogę na nogę w nadziei, że uda im się niechcący mignąć rąbkiem pończochy.

- Proszę. - Pan Jowett gestem wskazuje krzesło naprzeciwko siebie. Ona siada i patrzy na niego, ubranego w gładki sweter i sztruksową marynarkę, które wcale się na nim nie opinają. - Od razu przejdę do rzeczy, choć zapewne pani i tak wie, o co chodzi. - Czekaj na odpowiedź, ona jednak milczy. - Doskonale. Przyszedłem rano do szkoły i pod drzwiami mojego gabinetu zastałem pana Waverleya. Niestety wysunął pod pani adresem bardzo poważne zarzuty, które trzeba będzie dokładnie rozpatrzyć. Na szczęście mamy

kodeks postępowania, opracowany przez władze lokalne, a panna Mitchell przyniosła kopię wytycznych. - Panna Mitchell wyławia odbitkę dokumentu z pliku papierów na swoich kolanach i wręcza ją koleżance. - No więc, szczerze mówiąc, mnie nie interesuje, co dwie dorosłe osoby za obopólną zgodą robią poza terenem szkoły. Pan Waverley poinformował mnie, że odbyliście ze sobą stosunek, ale nie w tym rzecz. Chodzi o molestowanie seksualne, które nie pozwala drugiemu nauczycielowi wykonywać jego pracy.

Panna Mitchell odkaśluje i mówi:

- Jest pani oskarżona o ciągłe zostawianie liścików w jego przegródce. O to, że w imieniu wszystkich nauczycieli tej szkoły dzwoniła pani do jego żony i wyrażała zaniepokojenie stanem jego zdrowia psychicznego i fizycznego. Że odwiedziła pani dom, gdzie mieszka, i zostawiła mu obelżywy list. Że nie dalej jak wczoraj wieczór, kiedy jadł obiad ze swoją siostrą, wpatrywała się w nich pani przez okno restauracji. Wszystkie te wykroczenia tworzą klimat, który w odczuciu pana Waverleya uniemożliwia mu dalszą pracę tutaj, więc pan Waverley poprosił pana Jowetta o zwolnienie go z obowiązków. - Panna Mitchell kończy, odchyła się na oparcie krzesła, ale jeszcze sobie o czymś przypomina. - Jeśli ma pani coś do powiedzenia, chyba teraz byłaby na to pora.

Patrzy na tę kobietę, później na życzliwego, dobrodusznego Raymonda Jowetta. Czy naprawdę uważają, że pięćdziesięcioletnia rozwódka mogłaby sterroryzować dorosłego, czterdziestoletniego mężczyznę? Zaczyna się śmiać. Pan Jowett wzdycha.

- Niestety, to nic śmiesznego. Obecnie są przepisy i wytyczne, dotyczące ochrony prawa jednostki do pokojowego współistnienia z kolegami w miejscu pracy. Jeśli pani kategorycznie nie stwierdzi, że nie zostawiała niestosownych liścików bądź w jego domu, bądź w przegródce na

korespondencję; że nie dzwoniła do żony pana Waverleya; że nie śledziła go wczoraj wieczorem, to z przykrością będę musiał zawiesić panią w obowiązkach na dwa tygodnie, do czasu, kiedy złożą oświadczenia wszystkie zainteresowane strony, włącznie z kolegami, z którymi blisko pani współpracuje. Przykro mi, ale takie jest prawo.

Ona z niedowierzaniem kręci głową.

- Mówi pan serio? To musi być żart.

Ale nikt się nie śmieje. Panna Mitchell wstaje. Zwraca się do swojego przełożonego:

- Pozwoli pan. - Pan Jowett ukradkiem kiwa głową, wyraźnie zasmucony. Panna Mitchell zwraca się do niej: - Ma pani kopię kodeksu. Albo ja sama, albo ktoś z rejonu skontaktuje się z panią w sprawie rozmowy. Powinna się odbyć mniej więcej za dziesięć dni. A teraz, jak mówi dyrektor, niech się pani uważa za urlopowaną na okres dwóch tygodni, z zachowaniem pełnych poborów. Oczywiście zapewniamy absolutną dyskrecję.

Przenosi wzrok ze stojącej panny Mitchell na pana Jowetta, który tylko bezradnie potakuje. Też się podnosi.

Wieczorem dzwoni do siostry do Londynu. Sheila, zdziwiona jej telefonem, natychmiast odgaduje, że coś się stało.

- Nic - odpowiada ona. - Pomyślałam tylko, że przyjadę cię zobaczyć, jeśli pozwolisz.

Zapada krótkie milczenie. Wie, że Sheila próbuje rozstrzygnąć, czy lepiej będzie wdać się w dyskusję teraz, czy dopiero po ich spotkaniu, bo jest niecierpliwa i nie lubi, jak się ją okłamuje.

- Kiedy przyjeżdżasz?

- Jeszcze nie znam rozkładu jazdy autobusów, ale zadzwonię jutro z dworca. - Następuje kolejna krótka przerwa, po czym Sheila przypomina sobie o dobrych manierach.



- Dobrze. To trwało już za długo.

- Rzeczywiście.

Po rozmowie z Sheilą nalewa sobie kieliszek białego wina. Później siada do pianina, kładzie palce na klawiszach, lecz nie znajduje w sobie dość energii, żeby przerwać ciszę. Wpatruje się tylko w nuty i widzi anegdotki i opatrzone wykrzyknikami wskazówki, które przez całe lata zapisywała na marginesach. Wtedy na pozór niczego się nie bała, bo sposób, w jaki zakreślała trudne fragmenty, świadczył o tym, że trzeba sobie zdawać sprawę z ich trudności, i mimo to stawiać im czoło. Tego wieczoru nie może się jednak zdobyć na nic więcej, jak delikatne muskanie klawiatury czubkami palców.

Nazajutrz rano budzi się wcześniej. Choć niebo jest jeszcze ciemne, wie, że wkrótce nadejdzie dzień. Siada na łóżku i leniwie szczotkuje włosy, związuje siwe loki w długi ogon. Na widok pierwszych promieni świtu wstaje, idzie pod prysznic i ubiera się z uczuciem lekkiego niepokoju. Nie poczyniła żadnych przygotowań. Nie kupiła biletu, torba nie stoi przy drzwiach. Nie posprzątała domu, nie odwołała mleka. Nic. To niepodobne do niej i przypomina sobie, jak bardzo jest niepewna, czy postępuje słusznie. Zamyka drzwi i wychodzi na ulicę w chwili, gdy niebo zaczyna się rozjaśniać od dziennego światła. W drodze na przystanek autobusowy wciąż widzi wyraźną, kolistą tarczę księżyca, więc się zastanawia, czy to noc trwała za długo, czy też poranek wstał zbyt wcześnie. Na głównym dworcu autobusowym kupuje bilet powrotny na pierwszy autobus do Londynu i dzwoni do Sheili, żeby jej powiedzieć, o której przyjedzie. Sheila jeszcze spała, co można poznać po głosie, choć się do tego nie przyznaje. Ona kupuje „Daily Mail” i parę pism kobiecych, po czym wsiada do autobusu i zajmuje miejsce z przodu za kierowcą. Do planowanego odjazdu pozostało jeszcze dwadzieścia minut, lecz nie może się usadowić, bo kierowca dyskutuje z

młodym człowiekiem, który stoi przy drzwiach autobusu, trzymając rower. Chce go umieścić w bagażniku pod podłogą, co kierowca uważa za niemożliwe, jeśli roweru nie da się złożyć na płasko. Już po chwili młody człowiek krzyczy na kierowcę i obrzuca go ordynarnymi wyzwiskami. Kierowca, wyraźnie smutny i speszony, patrzy na grubiańskiego młokosa, który mógłby być jego synem. Ten zaś nadal wskazuje kierowcę palcem i ryczy na całe gardło. Ona ze wstydem i zdziwieniem odwraca wzrok. Frustrujące przepisy to jedno, a tak ordynarne okazywanie, że się je lekceważy, to drugie. Czasy dla nikogo nie są przyjemne.

Mniej więcej w połowie drogi do Londynu zatrzymują się na stacji obsługi przy autostradzie. Ona spała, teraz zaś przed jej oczami roztacza się przygnębiający widok: nieapetyczne miejsca, gdzie szybko można coś zjeść, stoisko Królewskiego Klubu Automobilowego, rzędy nieużywanych telefonów i oświetlonych neonowymi lampami dystrybutorów paliwa. Większość pasażerów woli wysiąść, ona jednak postanawia zostać w autobusie. Postój trwa zaledwie kwadrans, a jeśli będzie musiała skorzystać z toalety, ma ją w autobusie. Mężczyzna po drugiej stronie przejścia robi z siebie widowisko, głośno chrupie jabłko, potem soli jajko na twardo i odgryza kawałek, a następnie znów przerzuca się na jabłko. Odwraca się skonsternowana i zaczyna myśleć o Sheili, która nie zdawała egzaminów tak dobrze jak jej starsza siostra. Właściwie osiągała dużo gorsze wyniki i z czasem wyjechała do Londynu, gdzie podjęła pracę jako sekretarka w firmie prawniczej. Przed upływem pół roku poznała Rogera, stawiającego pierwsze kroki w świecie filmu dokumentalnego po odbyciu stażu muzycznego i artystycznego w BBC. Ilekroć ona i Brian przyjeżdżali z Birmingham do Londynu, do teatru, na koncert czy dlatego, że Brian miał tam coś do załatwienia, na ogół zapraszali Sheilę i Rogera do restauracji. Potem, kiedy

Roger zaczął robić karierę, młoda para przeniosła się do własnego mieszkania w Maida Vale, w samym środku dzielnicy pozbawionej wyrazu, straszliwie przyzwoitej, której nudne ulice ani nie nabierały, ani nie zmieniały charakteru. Wszystko to całkiem nie pasowało do Sheili, ona jednak wolała nic siostrze nie mówić. Parę razy Sheila i Roger zaprosili ich do siebie i koniecznie chcieli poczęstować czymś, co sami ugotują, ale Brian zazwyczaj sprzeciwiał się pod pozorem, że potrawy wegetariańskie przyprawiają go o mdłości. Przez cały ten czas Sheila ani razu nie wspomniała o małżeństwie, a co dziwniejsze, o dzieciach. Kiedy listownie zawiadomiła siostrę o rozstaniu z Rogerem (już zdobywającym nagrody za swoje filmy dokumentalne) i zamieszkaniu „za rzeką” z niejaką Marią Kingston, Dorothy przeżyła szok. Po dwudziestu pięciu latach spędzonych z mężczyzną Sheila dopiero teraz odkrywa, że chce być z kobietą?

Brian uśmiechnął się złośliwie, po czym wybuchnął śmiechem. Stwierdził, że zawsze coś podejrzewał.

To posunięcie wiązało się ze zmianą w życiu zawodowym Sheili, która wreszcie zerwała z prawem i stała się etatową urzędniczką miejscowej Partii Pracy. W dwa lata po otrzymaniu listu, na pogrzebie matki, zobaczyła Marię, przyjaciółkę siostry, po raz pierwszy i ostatni. Ojciec, zbyt chory i pogrążony w głębokim żalu, nie zauważył, że Sheila przywiozła na pogrzeb „przyjaciółkę”, ale gdyby nie surowe słowa Briana, ona z pewnością powiedziała coś młodszej siostrze. Ponieważ się powstrzymała, wszyscy zdołali być grzeczni dla siebie nawzajem, a potem, przed upływem roku, kiedy umarł ojciec, Sheila i Maria nie pofatygowały się na pogrzeb. Roger przysłał kwiaty, z których Brian wyjął wizytówkę i podarł na strzępy, twierdząc, że nigdy nie podobała mu się świętoszkowatość Rogera. Później Brian ją

rzucił, wyjechała z Birmingham i wróciła do rodzinnego miasta. W autobusie, z łoskotem pędzącym do Londynu, obliczała, że ostatni raz widziała Sheilę z górą sześć lat temu, na pogrzebie matki. Sporadyczne kartki świąteczne podtrzymywały złudzenie jakiejś bliskości, ale tak naprawdę decydowały o niej więzy krwi i coraz odleglejsze wspomnienia wspólnej przeszłości. Teraz jednak, w autobusie jadącym do Londynu, to wystarczało.

Nigdzie nie dostrzegła Marii Kingston, Sheila natomiast była dobrze widoczna za barierkami. Chuda, wyniszczona, lecz z dawnym krzywym uśmiechem. Podczas gdy autobus z nadmiarem fantazji zataczał półkole, patrzyła na siostrę, jak dotąd chyba nieświadomą, że spośród wielu autobusów, przyjeżdżających i odjeżdżających z dworca Victoria, właśnie na ten czeka. Bacznie przyjrzała się Sheili, która nie tylko wyglądała starzej; sprawiała też wrażenie spokojniejszej i bardziej skoncentrowanej. Chuda pani w średnim wieku, ubrana w długi płaszcz, bardzo się różniła od czupurnej młodej kobiety, tak chętnie droczącej się z Brianem przy obiedzie, ale reagującej natychmiastowym błyskiem oczu, kiedy ktoś poruszył temat, który jej leżał na sercu. Sheila zawsze wpadała w krańcowość. Tak, zrobię to. Nie, nie zrobię. Żadnej elastyczności. Ale po prawie sześciu latach, jeszcze zanim porozmawiała z siostrą, widzi, że Sheila promieniuje nowym spokojem. I, prawdę powiedziawszy, po to przyjechała do Londynu. Odbyła podróż na południe w poszukiwaniu spokoju.

W domu Sheili artystyczny nieład nasuwa myśl o zaniedbaniu. Rozgląda się dookoła. Siostra zmieniła się zarówno zewnątrz, jak pod względem upodobań estetycznych. Za czasów Rogera lubiła prostą sosnę, meble o ostrych kantach i czystych liniach. Nowa Sheila zdradza chyba upodobanie do samodziłów, grafik, szklanych słoików z

makaronami i do kotów. Ona się zastanawia, co siostra sądziłaby o jej uporządkowanym życiu, jest jednak świadoma, że ono bez wątpienia przypomniałoby jej rodziców i dlatego wzbudziło najwyżej pogardę. Sheila zalewa wrzątkiem dwie torebki z herbatą i odstawia czajnik na kuchnię. Odsuwa na bok stertę gazet, z brzękiem stawia dwa kubki na stole.

- Tylko herbata ziołowa. Chyba ostatnio trochę z tym przesadzam. - Ona uśmiecha się do młodszej siostry, ale Sheila ma zdecydowanie smutne oczy. Bierze kubek z herbatą i ogrzewa nim dłonie. - Dzika róża - mówi. - W tej chwili mam tylko to. Przepraszam, jeśli ci nie smakuje.

- Jest dobra - mówi ona. - Doskonała.

- Jak wypijesz herbatę, możemy się przejść po ogrodzie. Możemy też wziąć herbatę ze sobą. Kupiłyśmy z Marią ten dom bardzo tanio.

Ona odstawia kubek i patrzy na Sheilę.

- Czy Brixton nie jest złą dzielnicą? W telewizji tyle się mówi o lokalnych problemach.

Sheila się śmieje.

- W telewizji? Gdybyś wierzyła we wszystko, co się tam mówi, nie chodziłabyś po Londynie. W tym mieście wszędzie są miejsca, gdzie przedstawiciele klasy średniej wzywają przez telefon taksówkę, żeby w pięć minut dojechać do stacji metra, bo głupie gnojki się boją, że ktoś ich napadnie. Ale chyba zawsze można się schować, jak człowiek ma pieniądze. Żadna różnica, tu czy gdzie indziej. A poza tym na nic więcej nie było nas stać. - Sheila milknie i pociąga łyk herbaty. - W każdym razie mam nadzieję, że zobaczysz się z Marią. Za dzień, dwa powinna wrócić.

Ona udaje zadowoloną, choć wie, że nie będzie mogła prowadzić tej czy jakiegokolwiek innej rozmowy, dopóki czegoś siostrze nie powie.

- Sheila - mówi. - Peruka. Sheila się śmieje.

- Rak płuca. Dostaje go się po latach palenia skrętów, prawda?

Ona odsuwa kubek i ujmuje chude dłonie młodszej siostry.

- Sheila. Co się dzieje?

Siostra spuszcza oczy, jej ramiona zaczynają dygotać, najpierw w powolnym, potem w gwałtownym rytmie, aż drzenie ogarnia całe ciało.

- Nie teraz, Dorothy. Może później, ale nie teraz.

Leży w łóżku, wpatrzona w jasnoniebieską tapetę, ostro kontrastującą z resztą domu, i nasłuchuje wiatru, który łomocze po dachu, dzwoni szybami. Uparta Sheila, naraziwszy się na cichy gniew siostry tym, że na pogrzeb matki przywiozła swoją przyjaciółkę, po prostu odmówiła udziału w pogrzebie ojca. W rezultacie Dorothy stała nad grobem z jego zrozpaczonymi kompanami od kieliszka i z dużą grupą sąsiadów, a myślami cały czas wybiegała do Sheili, bezpiecznej w Londynie, z dala od bólu i zamętu związanego z ceremonią. I wtedy lunął deszcz, zaczął padać olbrzymimi kroplami, z których każda była jak prysznic. Sheila zaszyła się w Londynie, podczas gdy jej starsza siostra musiała sama opłakiwać zmarłego na błotnistym cmentarzu w północnej Anglii. A teraz siostra znowu ją porzuciła, zostawiła między dwoma szeleszczącymi, mocno naciągniętymi prześcieradłami. Zostawiła ją, żeby sama poznała fakty, które powinny znać obie. Zamiast się złościć na Sheilę, wpatruje się w tapetę i usiłuje zrozumieć. Zastanawia się, czy w zachowaniu siostry nie przebija mściwość. Sheila miała już piętnaście lat, kiedy Dorothy wyjechała na uniwersytet, ale może powinna więcej pisywać z Manchesteru albo częściej bywać w domu, a nie tak natychmiast rezygnować ze swoich aspiracji na rzecz aspiracji Briana. Przez otwarte okno widzi ciemny firmament i dziwi się, że w Londynie gwiazdy potrafią

świecić tak jasno. Niewątpliwie musi złożyć siostrze ofiarę ze swego towarzystwa, a chociaż nie powiedziała Sheili o własnej sytuacji „w domu”, na pewno powinna być tutaj. Dobrze robi, zostając w Londynie z młodszą siostrą i jej przekrzywioną peruką, Maria zaś po powrocie będzie musiała kluczyć między dwiema siostrami. Tak zapowiada się przyszłość.

Niemłody lekarz wygląda poczciwie, ale się denerwuje. Żenująco wierci się na krześle, wbija oczy w jakiś punkt o parę cali nad jej głową. Kiedy dowiedział się od pielęgniarki, że Sheila jest z siostrą, zapytał, czy mógłby tylko z nią porozmawiać. Sheili nie zrobiło to żadnej różnicy i po prostu poszła na badania.

- Myślę - podejmuje lekarz - że powinienem być z panią szczerzy jako najbliższą, można powiedzieć, krewną. - Patrzy na mężczyznę, chyba wciąż zafascynowanego tym, co się unosi nad jej głową. - Raka pani siostry nie można operować. Prosiłem, żeby przerwała pracę. Dalsza praca tylko przyspieszy rozwój choroby. - Spuszcza wzrok, jak gdyby interesowała go jej reakcja. Ona patrzy mu prosto w oczy, więc on znów przenosi spojrzenie na sufit. - Zostanie z nią pani dłużej?

- Nie jestem pewna. Ma przyjaciółkę, Marię, która wkrótce powinna wrócić. Może do tego czasu. - Nie zamierza mówić lekarzowi o swoich postanowieniach.

- Rozumiem. - Ona dopiero po chwili kieruje wzrok na nią. - Pacjentowi zawsze trudno jest pogodzić się z taką sytuacją, ale pani siostrę cechuje spokój, pod wieloma względami całkiem wyjątkowy. - Teraz lekarz wygląda na zakłopotanego, jakby niepewnego, czy powinien jej wytłumaczyć, o co mu właściwie chodzi. Ona jednak nie oczekuje żadnych wyjaśnień. Sama widziała. Zastanawia się tylko, czy ten spokój poprzedzał chorobę, czy też jest jej

następstwem. - Potrzebuje pani o coś zapytać? - Choć słowo „potrzebuje” brzmi dziwnie, ona po prostu kręci głową. - Są - mówi lekarz - różne agencje, specjalizujące się w takim czy innym poradnictwie. Pielęgniarka może podać numery telefonów, jeśli to panią interesuje.

Po krótkim zastanowieniu, czy lekarz miał na myśli porady dla niej, czy dla Sheili, postanawia nie sprawiać mu dalszego kłopotu.

- Dziękuję - mówi. On wstaje.

- Pani siostra powinna tu być niedługo. - Bierze z tacki na biurku i wręcza jej wizytówkę. - Proszę dzwonić, gdyby coś panią zaniepokoiło. Nie będzie to łatwy okres dla niej, a widzę, że pani przeżyła wstrząs.

Wieczorem siedzi w głębi sali na zebraniu miejscowej komórki Partii Pracy. Na sąsiednim krześle położyła plastikową reklamówkę z teczkami i papierami, które na prośbę siostry ma oddać jej pracodawcom wraz z pisemną rezygnacją. Po porannych badaniach obeszły dookoła ogród. Sheila pokazywała rośliny, posadzone przez nią i Marię, od czasu do czasu zaś przystawała, żeby zerwać uschnięty liść, ułamać chwast czy niepotrzebną gałązkę. Potem siadły przy drewnianym ogrodowym stoliku, z dwiema porządnie ustawionymi ławkami, i Sheila zwierzyła się siostrze z ogromnego zmęczenia. Przyznała, że praca sekretarki w miejscowej komórcie Partii Pracy jest ponad jej siły, po czym, przewracając oczami, oświadczyła, że rewolucja Tony'ego Blaira będzie musiała obywać się bez niej. Przynajmniej na razie. Ona śmiała się z tego komentarza i zgodziła się odnieść wieczorem teczkę.

Derek dokładnie odpowiada opisowi Sheili. Wysoki mężczyzna o niezdarnych ruchach i twarzy dosłownie emanującej nerwowym niepokojem. Zamyka zebranie, odpowiada na kilka delikatnie zadanych mu pytań, po czym



wolno idzie do niej na koniec sali. Ona wstaje na jego powitanie, on wyciąga rękę.

- Miło mi panią poznać - mówi i wita ją uśmiechem, który w jej wyobrażeniu gdzieś kupił. - Ale przykro mi słyszeć, że Sheila składa rezygnację. Będzie nam jej bardzo brakowało. - Ona bierze reklamówkę.

- Sheila prosiła o przyniesienie panu papierów. Chciała dostarczyć je jak najszybciej.

- Cóż, to typowe dla niej, że pomyślała.

Ona wpatruje się w mężczyznę, chyba mocno wytraconego z równowagi tym spotkaniem.

- Ma pan już kogoś upatrzonego na jej miejsce? On śmieje się nerwowo.

- Cóż, jestem tylko lokalnym przewodniczącym. Działaczem społecznym. O posadzie Sheili będzie musiał zdecydować cały komitet, włącznie z naszym posłem, ale ponieważ to jedyny pełny etat, konkurencja będzie duża. - Urywa, jakby nagle do niego dotarło, co powiedział przed chwilą. - Czy panią interesowałaby ta praca?

- Jest wyraźnie zakłopotany, że wcześniej na to nie wpadł. Ona się uśmiecha.

- Dziękuję, ale mam już pracę. - Biedny nerwus.

- Oczywiście. - Śmieje się, speszony. - Cóż - mówi

- zwykle idziemy do pubu, napić się czegoś i omówić różne sprawy. Wie pani, zaprowadzić ład na świecie. - Spogląda na garstkę osób, czekających przy drzwiach. - Zechce się pani do nas przyłączyć?

- Bardzo dziękuję, ale nie. Muszę wracać.

- Oczywiście. Rozumiem. - Patrzą na siebie, po czym on jeszcze raz wyciąga rękę, a ona ją ściska. - Proszę przekazać od nas Sheili najlepsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

- Przekażę. - Patrzy, jak on zawraca do wyjścia. - Niech pan nie zapomni o papierach.

On przystaje ze śmiechem. Ona wręcza mu torbę, którą on tuli w ramionach jak dziecko.

- Ależ ze mnie głupiec.

Następnego wieczoru siostry idą do miejscowego kina, zobaczyć film, który zrobił przyjaciel Rogera. Sheila twierdzi stanowczo, że ona i Brian poznali kiedyś reżysera na obiedzie. Zdaniem Sheili Roger zawsze zazdrościł przyjacielowi, który zdołał się przerzucić na filmy fabularne, podczas gdy on sam utknął na stałe w telewizyjnym filmie dokumentalnym, choć zajmował tam wysoką pozycję. Ona nie pamięta ani tego mężczyzny, ani zazdrości Rogera. Ogląda film, błędząc myślami. Po raz ostatni siedziała z siostrą w ciemnościach ze czterdzieści lat temu.

Bez wątpienia rodzice zmusili ją, żeby zabrała Sheilę na jakąś kreskówkę, lecz ponowne odkrycie czegoś tak zwyczajnego, jak wyprawa z Sheilą do kina, przepełnia ją hamowaną radością. Przecież o tylu rzeczach jeszcze nie mówią. Sheila, pomimo całego nowego spokoju, nadal nie umie chyba pozwolić sobie na zażyłość, więc godziny między posiłkami upływają im w milczeniu. Nie było pokazywania fotografii ani przyjaznego wędrowania ścieżkami dawnych wspomnień. Choć siostra sprawia wrażenie wdzięcznej za jej obecność, pozostaje szczelnie zamknięta.

Ona patrzy na Sheilę. Chce opowiedzieć, jak po jej odejściu z Marią zadzwonił Roger i zaprosił ją na drinka, kiedy znów przyjedzie do Londynu. Jak okłamała Briana, mówiąc, że idzie na koncert do Wigmore Hall, i spotkała się z Rogerem w Soho, w klubie za pojedynczymi, nieoznakowanymi drzwiami. Wpuszczona do środka, wspięła się po schodach, które zdawały się nie mieć końca, i weszła do zadymionego pomieszczenia, pełnego nazbyt pewnych siebie

mężczyzn. Roger pomachał jej od baru, natychmiast wmusił w nią drinka, powiedział, że rzucając go, Sheila złamała mu serce, z czasem jednak stało się jasne, że ona posłuży za audytorium, przed którym będzie się wyplakiwał. Na porządku dziennym była tego wieczoru destrukcja: Roger wkrótce zaczął nazywać Marię „lesbijską suką”; Partia Pracy przekształciła się w „pieprzonych czerwonych”; Sheila została poddana surowej krytyce jako osoba „pewna swojej nieomyślności i zazdrosna o mój sukces”. Ona słuchała do godziny odejścia ostatniego pociągu. Niestety czeka ją poprawianie prac szkolnych w drodze powrotnej, a już się martwi, że może trochę przesadziła z winem. Kiedy zbierała się do wyjścia, Roger zaproponował, że sprowadzi ją po schodach. W drugim końcu baru wypatrzył jakichś przyjaciół ze świata filmu komercyjnego, więc postanowił zostać. Podziękowała, zapewniwszy, że sama wyjdzie, co też zrobiła, a w pociągu do Birmingham nie wiedziała, czy litować się nad Rogerem, czy nad sobą. I teraz, siedząc tu w ciemnościach, oglądając okropny film jego przyjaciela, chce tylko ująć rękę siostry i opowiedzieć jej o tamtym wieczorze, wyjawić, co czuje w związku z tą zdradą, wydaje się jednak, że Sheila znalazła spokojną przystań. Ona siedzi z siostrą, bliska łez, i czeka. Wreszcie ukazują się napisy, więc szybko wyciera oczy, a kiedy w kinie rozbłyskują światła, siostra obdarza ją tym swoim krzywym uśmiechem.

Słuchawkę podnosi po drugim dzwonku telefonu. Słyszy w niej męski głos, miły, choć dziwnie obojętny i stanowczy. Potwierdza, że istotnie tak się nazywa, ale jest ciekawa, skąd on wie, z kim mówi. Nikomu nie dawała numeru telefonu Sheili.

- Dzwonię ze Szpitala Świętego Tomasza. - Natychmiast odgaduje, że stało się coś złego, ponieważ nie jest to szpital Sheili. - Jestem funkcjonariuszem policji. Pani siostra padła

ofiara napaści, ale czuje się dobrze. Odwieziemy ją do domu samochodem, chcemy jednak być pewni, że pani tam będzie.

- Czy mogę z nią mówić?

Policjant odpowiada ze śmieszkiem, jak gdyby kpił z jej zaniepokojenia.

- Proszę mi wierzyć, że świetnie się czuje. Jest już w samochodzie. Będziemy niedługo.

Odkłada słuchawkę, gotowa krzyczeć ze złości. Tego rana Sheila ze swoim zwykłym opanowaniem twierdziła, że sama pójdzie do szpitala, więc ona dla uniknięcia kłótni po prostu pozwoliła siostrze postawić na swoim. Oddycha głęboko i postanawia nie robić nic więcej, tylko nastawić czajnik i czekać, aż policja przywiezie Sheilę do domu.

Ta ma na czole duży kawał białej gazy, przyklejony dwoma szerokimi plastrami.

- Tu się uderzyłam, kiedy upadłam. - Sheila popija gorącą wodę z filiżanki. - A cholerna peruka zleciała, tyle z niej pożytku. Założyli mi parę szwów.

- Parę szwów?

- Mówili, że kilkanaście. Nie pamiętam. Ale nic mi nie jest.

- Co zabrał?

Sheila wzrusza ramionami.

- Torebkę. Było w niej niewiele, karta kredytowa, jakiś dowód tożsamości, drobiazgi.

- Nie powinnyśmy zablokować karty?

- Zrobiła to za mnie pielęgniarka w szpitalu. Wstaje, nalewa sobie drugą filiżankę herbaty i znów siada, tym razem obok Sheili.

- Czy to się już zdarzało?

- Chryste, to przecież Londyn, nie Afganistan. Najzwyczajniej chciał mnie obrabować. Nie stawiałam oporu i uszło mi na sucho, prawda?

- Ale go widziałaś? Teraz Sheila się śmieje.  
- Och, pewnie, że widziałam. Kawał chłopca, i to pewnego siebie.

- Poznałabyś go?  
- Chyba nie. Wszyscy są do siebie podobni. - Sheila urywa. - Oczywiście, że bym go poznała.

- Nie o to mi chodziło.

Sheila dalej popija gorącą wodę.

- Trochę to mną wstrząsnęło, przyznaję. I nie przepadam za widokiem krwi, zwłaszcza własnej. Ale nic mi się nie stało.  
- Unosi brwi. - I cieszę się, że tu jesteś. Dziękuję.

Po południu w saloniku zasiada funkcjonariusz ubrany po cywilnemu. Jest starszy od tego, który przywiózł Sheilę ze szpitala, i wydaje się bardziej rzeczowy. Albo wstąpił do policji późno, po nieudanej próbie zrobienia kariery w innym zawodzie, albo nie najlepiej wywiązuje się z obowiązków, więc nie awansował. Otwiera notatnik, przyciska długopis do nogi, żeby wyskoczyła końcówka, po czym spogląda na siostry, siedzące na wprost niego na kanapie.

- Dobrze, mamy już opis od tamtego policjanta, ale czy jest coś, co chciałaby pani dodać? - Sheila kręci głową. - Ubranie? Znaki szczególne na twarzy? Głos? Jaki miał akcent? Londyński? Jamajski? Przyda się każdy szczegół. - Sheila znów kręci głową. Funkcjonariusz wzdycha.

- Mówił coś, prawda? Musiała pani coś zapamiętać. Sheila patrzy na niego.

- Nie chcę wnosić oskarżenia. To nieważne. Policjant robi zdziwioną minę, ale odpowiada tak, jakby ten tekst już słyszał.

- Więc, proszę mi wybaczyć słownictwo, chce pani, żeby sukinsyn pozostał na ulicy i zrobił to komuś innemu? Następna osoba może jednak nie mieć tyle szczęścia co pani.

Sheila jest stanowcza.

- Nie chcę wnosić oskarżenia i koniec. Zgoda?

Dorothy patrzy na nią zdziwiona. Policjant wyczuwa, że sytuacja jest beznadziejna.

- Czy pani nie chce wnieść oskarżenia przeciw temu mężczyźnie z jakiegoś powodu? Rzucił panią na ziemię, zabrał pani torebkę i pozostawił panią zakrwawioną. Uważa pani, że jest mu coś winna? Albo może go pani zna?

- Nie znam. Nigdy przedtem go nie widziałam, ale co się z nim stanie, kiedy wy go dopadniecie? Przypadkiem się przewróci i rozwali sobie w celi głowę? Albo w jakiś tajemniczy sposób własny pasek znajdzie się na jego szyi? Wiem, co się dzieje z młodymi czarnoskórymi w celach aresztów policyjnych. Po prostu nie możecie się doczekać, co?

Policjant zatrzaskuje notatnik i wstaje.

- Wie pani, z takimi zapatrywaniami chyba zasługuje pani na to, żeby ci ludzie przebywali na wolności.

- Ci ludzie? - W głosie Sheili rozbrzmiewa nuta triumfu, co na policjancie nie robi wrażenia.

- Kryminaliści. - Dosłownie wypluwa to słowo. - Kokainiści, którzy wrzucają człowieka do zsypu albo naleją mu przez drzwi benzyny, jeśli krzywo na nich spojrzysz. Chodzi mi o nich. Agresywnych drani, którzy nie przestrzegają prawa i których jedyną życiową ambicją jest zdobywanie haszu i dźganie nożem.

Sheila się śmieje.

- Ale przecież pan umie ich nauczyć poszanowania prawa?

Policjant i Sheila wciąż na siebie patrzą. Potem on sięga do kieszeni i wyjmuję wizytówkę. Upuściwszy ją na stolik do kawy, zwraca się do Dorothy. Ona stoi.

- Jeżeli pani siostra się opamięta, możecie mnie tam znaleźć. Życzę paniom miłego dnia. Nie trzeba mnie wyprowadzać.

Słyszy trzaśnięcie drzwiami i znów siada, tym razem w fotelu naprzeciwko Sheili. Spogląda na siostrę, tępo wpatrzoną w ścianę. Widzi, że Sheila jest zmęczona, że chce się położyć, więc nie ma ochoty na kłótnię.

Siostra śpi do późnego rana. Ona siedzi przy kuchennym stole, a słysząc telefon, chwyta słuchawkę, żeby dzwonek nie obudził Sheili. Poznaje głos pana Jowetta.

- Ach, nie spodziewałem się, że pani odbierze telefon.

- Pan Jowett.

- Cóż, panno Jones, dobrze, że zostawiła pani numer telefonu siostry, bo jak się okazuje, sprawy dość szybko ruszyły z miejsca. Na razie zaplanowaliśmy wstępne przesłuchanie pani na jutro.

- Przesłuchanie?

- To tylko formalność, ale lepiej będzie, jeśli stawi się pani osobiście celem złożenia wyjaśnień.

Ona nie odpowiada od razu.

- Myśli pan, że będę się bronić?

- Ja tylko informuję panią o procedurze. - Teraz on z kolei robi przerwę. Wzdycha głęboko, po czym mówi dalej: - Proszę, Dorothy, nie sądzi pani, że naprawdę lepiej uniknąć konfliktu?

Ona ma dość tej dyskusji.

- Jutro o której?

- O czternastej.

- Będę. - Odkłada słuchawkę, zanim pan Jowett ma szansę coś dodać. Podnosi wzrok i w drzwiach kuchni widzi Sheilę w koszuli nocnej. - Muszę wracać. Dzwonił dyrektor.

Sheila podchodzi i siada przy stole.

- Więc skończyły się wakacje?

- Wrócę. Muszę tylko coś załatwić. - Wstaje, nalewa wody do czajnika i stawia go na kuchni. Sheila z ziewnięciem odchyła się na oparcie krzesła. Wolno podnosi ręce.

- Dam sobie radę. Może zgłoszę się jako wolontariuszka do ogrodów samorządowych.

- Czy to dobry pomysł?

- Oczywiście, że dobry. Nie mogę się tutaj wylegiwać przez cały dzień.

- Herbaty czy wody?

- Poproszę o wodę.

- Nie wiesz, kiedy Maria wraca z Brighton?

- Jaki związek ma jedno z drugim? - Sheila rzuca jej gniewne spojrzenie. Potem wzdycha. - Słuchaj, nie wiem, co się z nią dzieje. Nasze stosunki nie układały się najlepiej.

- W samą porę.

- Nie oczekuję, że przestanie żyć z powodu mojego raka.

- Czy nie powinna z własnej woli być tutaj z tobą?

- Powinna robić, co chce.

- Wody czy herbaty?

- Mówiłam wody, nie herbaty. Co się z tobą dzieje?

Patrzy na Sheilę, która spuszcza wzrok.

- Przepraszam, źle spałam. Wciąż widziałam jego cholerną twarz.

- Czyją?

- Myślisz, że Tony'ego Blaira? Oczywiście bandyty. Po prostu nie mogę jej zapomnieć.

- Na pewno nie chcesz wnieść oskarżenia?

- Daj spokój, o co ci, u diabła, chodzi?

Po nalaniu gorącej wody bierze torebkę z ziołową herbatą. Wtedy sobie przypomina. Podaje Sheili wodę, a torebkę z herbatą odkłada na bok. Sheila może sama podjąć decyzję. Dając siostrze czas na zastanowienie, idzie na górę spakować torbę podróżną.

Siedzi w gabinecie pana Jowetta trochę zdziwiona, że tylko on jest obecny. Panna Arthurton ostrożnie zamyka drzwi, bo nie chce robić hałasu. Zostawia ich samych. Teraz



odzywa się pan Jowett. Obie ręce kładzie przed sobą na biurku, a ona się zastanawia, czy jest świadomy, że przybiera niewygodną, może nawet dość śmieszoną pozę.

- Po pierwsze, chcę podziękować za to, że przyjechała pani aż z Londynu. Jak się okazało, nie mamy właściwie odpowiedniej procedury, pozwalającej ustosunkować się do zarzutów pana Waverleya. Poruszyłem tę sprawę z miejscowymi władzami oświatowymi, ale niestety znaleźliśmy się teraz w małym impasie. Ona wpatruje się w niego.

- W impasie? Nie rozumiem pana.

- Nie, oczywiście, że nie. - Splata dłonie, po czym obie podnosi do brody. - Cóż, mamy problem. Rozumie pani, wygląda na to, że proponujemy panu Waverleyowi pełny etat. Jego sytuacja rodzinna chyba się wyjaśniła, a bardzo potrzebujemy nauczyciela geografii. - Przerywa, żeby mogła coś powiedzieć, ona jednak milczy. - Moim zdaniem byłoby najlepiej, gdyby pani odeszła, prawda? Pan Waverley jest gotów puścić wszystko w niepamięć, a ja chyba mogę zaproponować pani przyzwoitą wcześniejszą emeryturę. Naturalnie w grę nie wchodzi nagana. Po prostu zrobi pani to, co dzisiaj robi tylu pani kolegów, i skorzysta z nowej życiowej szansy. Chyba nazywają to trzecim wiekiem.

Patrzy na pana Jowetta, który na pewno nigdy sobie nie wyobrażał, że kiedyś się wzniesie na takie zawodowe wyżyny. Jak przypuszcza, szczytem jego ambicji było nauczanie historii, lecz szczęśliwy los umożliwił mu sprawowanie niewyobrażalnej władzy.

- Dziękuję panu - mówi i wstaje. Pan Jowett wygląda na lekko spanikowanego.

- No więc, czy przyjmie pani naszą propozycję?

- Powiadomię pana. - Odwraca się i rusza do wyjścia, zanim panu Jowettowi udaje się oderwać od biurka. Nie ma

sensu zamykać drzwi. Zrobi to za nią panna Arthurton o myszatyh włosach, która podnosi wzrok znad swojego biurka. Ale dopiero po przyniesieniu panu Jowettowi filiżanki dobrej herbaty.

Spogląda z okna autobusu na przechodniów w dole. Po Londynie własne miasto sprawia na niej wrażenie małego. Pomyślała tak, jadąc taksówką z dworca autobusowego do domu. Dosłownie rzuciła torby w korytarzu, butem odepchnęła na bok korespondencję, po czym wypadła na dwór i wskoczyła do taksówki, której licznik wciąż cykał. Poprosiła kierowcę, żeby zaczekał, bo nie chciała się spóźnić na spotkanie z czymś, co sobie wyobrażała jako zespół śledczych o surowych obliczach. Uśmiechem kwituje własną głupotę i patrzy z góry na nielicznych o tak wczesnej popołudniowej porze ludzi, idących na zakupy.

Właśnie wtedy dostrzega napisy, świeżo namazane na pochyłych łupkowych dachach, napisy przeznaczone dla pasażerów górnego piętra autobusu. Duże białe litery głoszą: BÓG JEST DOBRY, a na sąsiednim dachu: CHRYSZTUS UMARŁ ZA NASZE GRZECHY. Gdyby jej matka miała coś do powiedzenia, w takich zdaniach dostrzegałaby pewien sens, lecz z odrobiną żalu musi przyznać, że w tych sprawach całkowicie dominują opinie ojca. A skoro tak, patrzy na zeszpecone dachy i dziwi się, dlaczego rada miejska nie ma żadnych przepisów, które zabraniałyby tego rodzaju graffiti.

Na swoim przystanku wstaje, szybko schodzi na dolne piętro i wysiada z autobusu. Zupełnie jakby straciła kontrolę nad własnymi decyzjami. Idzie prosto do sklepu, otwiera drzwi, słyszy znajomy dźwięk dzwonka. Mahmud jest sam. Nie wydaje się zaskoczony ani zły. Właściwie wygląda na dziwnie onieśmiałego.

- Pomyślałam, że wpadnę się przywitać. Ale pójdę sobie, jeśli zechcesz. Może jednak wyjadę na jakiś czas i, no cóż, to się wydaje głupie.

Mahmud odkłada plik trzymany w ręku magazynów.

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną. Czy spałaś?

- Wyjeżdżam, Mahmud. Moja siostra kiepsko się czuje i muszę jej pomóc.

Mahmud sprawia wrażenie zaskoczonego.

- Sądziłem, że się ze sobą nie zgadzacie.

- Bo tak było. Ale w życiu zachodzą zmiany, no i proszę. A jak tobie się powodzi?

Teraz on markotnieje.

- Och, tak sobie. - Mówiąc to, przechyla z boku na bok głowę, która się kiwa, jak gdyby lada chwila miała odpaść.

- Posłuchaj, przykro mi, że tak wyszło z Ferozą. Nie wrócę tutaj, ale po prostu chciałam cię zawiadomić. To znaczy, o mojej siostrze.

- Możesz wrócić, kiedy zechcesz. Potrafię zapanować nad żoną. Ja rządę w tym domu. Ale ona oszalała po urodzeniu dziecka. Nie mogę pozwolić, żeby moja żona paliła i piła. Zepsuli ją Anglicy i jest podobna do nich, szczęśliwa, kiedy siedzi, bawi się z dzieckiem i czeka na pensję czy zasiłek. - Ona patrzy na Mahmuda, którego, jak daleko sięga pamięcią, nigdy nie widziała tak poruszonego. Często jednak myślała, że o wiele za wcześnie przestał być dzieckiem. - Zastanawiałem się, czy nie skorzystać z okazji i nie zostać taksówkarzem zamiast samemu prowadzić ten interes z gazetami. Dzisiejsza Anglia naprawdę zwariowała. Wychodzę na ulicę, a po tylu latach przeżytych w tym kraju ludzie mówią do mnie: „Twoja matka pieprzy się z psami”. Dlaczego moja matka pieprzy się z psami? Oni nie znają mojej matki. W moim domu są problemy. Na ulicy są problemy. - Mahmud urywa i patrzy na

nią. - Przepraszam, ale dzisiaj nie jest dobry dzień. Jest bardzo zły.

- Przykro mi, Mahmud. - Robi krok w jego stronę. - Wszystko będzie szło ku lepszemu.

- Akurat tobie nie powinno być przykro. Ty rozumiesz Mahmuda.

Patrzy na swojego przyjaciela i zaczyna żałować, że przysłała do jego sklepu. W taki zły dzień.

- Muszę już iść, Mahmud. - Chce go niewinnie popieścić. Chce poczuć ciepło jego skóry. Wie jednak, że to byłoby nierozsądne. Z bladym uśmiechem szybko odwraca się do wyjścia.

W domu wkłada wszystkie listy do metalowego kubła. Podchodzi do tylnych drzwi i otwiera je szarpnięciem. Drzwi się zacinają. Zawsze się zacinały, lecz nie mając do pomocy mężczyzny, z konieczności nauczyła się to znosić. Przez chwilę się zastanawia, czy nie powinna pogrzebać w listach, bo może jest wśród nich coś od Geoffa Waverleya. Stała praca? Czy ten człowiek wie, co robi? Chyba nie. Pociera zapalną o bok dużego pudełka, po czym upuszcza płonący patyk do kubła. Patrzy, jak zaczynają pląsać płomienie. Dym zwróci czyjąś uwagę, ale większość sąsiadów będzie w pracy. To szybko się spali. Oczywiście nie trzeba się rozpakowywać. I nie trzeba nawet dzwonić do Sheili. Rano położy kwiaty na grobach rodziców i pojedzie autobusem do Londynu. Stamtąd zatelefonuje do pana Jowetta i przyjmie jego propozycję. Wcześniejsza emerytura. A prócz Sheili niczego, co wypełniłoby jej życie. Ale to nowe błogosławieństwo. Cel, szansa naprawienia przeszłości. Uważa się za szczęśliwą. Jakby życie teraz wreszcie się zaczynało. I chyba prawie wszyscy są z niej zadowoleni.

Po dotarciu do Brixton stwierdza, że dom tonie w ciemnościach. Stawia torbę na kuchennym stole i woła Sheilę,

lecz nie słyszy odpowiedzi. Wchodzi na górę, zapala światła, idzie korytarzem do sypialni siostry i delikatnie popycha drzwi. Sheila leży w łóżku, w mrokach rozjaśnionych blaskiem jednej świecy, palącej się na komodzie. Peruka, ciśnięta na pokrywę kosza z brudną bielizną, przypomina niekochane zwierzątko. Ona stara się nie hałasować, kiedy tak obserwuje Sheilę, na pozór spokojną i wyczerpaną, choć nie ulega wątpliwości, że powoli uchodzi z niej życie. Zastanawia się wprawdzie, czy takie palenie świecy jest rozsądne, ale nie chce jej zdmuchnąć, bo może siostra celowo ją zapaliła. Zamyka drzwi i pozwala Sheili wypoczywać. Na dole nastawia czajnik i robi sobie filiżankę herbaty. Po chwili słyszy ciche stukanie do drzwi i prędko idzie je otworzyć, zanim gość zapuka po raz drugi. Poznaje Dereka z zebrania Partii Pracy, on natomiast patrzy na nią dziwnie, oczami wilgotnymi jak od łez.

- Sheila mówiła, że pani dziś wraca. Dzwoniłem wcześniej. Zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy pójść na drinka.

Patrzy na niego zdziwiona.

- Na drinka?

- Chcę porozmawiać w cztery oczy.

Po chwili namysłu ona szerzej otwiera drzwi.

- Sheila śpi. Jeśli chce pan porozmawiać w cztery oczy, możemy to zrobić tutaj.

Po chwili wahania on widzi, że musi podjąć decyzję.

- A więc dobrze. Jeśli na pewno to pani odpowiada.

Wpuszcza go do środka i zamyka za nim drzwi. On zajmuje miejsce przy kuchennym stole, a ona idzie wziąć filiżankę z szafki nad zlewem.

- Herbaty? Kiwa głową.

- Tak, poproszę. Bez niczego.

Szybko robi herbatę, stawia przed nim i siada po przeciwnej stronie stołu, z którego zdejmuje torbę.

- No, więc o co chodzi?

Derek łyka herbatę i patrzy jej prosto w oczy.

- Nie jest łatwo to powiedzieć, ale wiąże się z Marią.

- Ona nie wraca, prawda?

- Cóż, to nie takie proste. Maria siedzi przed domem w samochodzie. - Ona otwiera usta, lecz nie zdąża zadać pytania, bo Derek już mówi dalej: - Maria i ja jesteśmy, no, pewnie najłatwiej nazwać nas parą.

Ona wpatruje się w niego.

- Chce pan powiedzieć, że Maria rzuciła Sheilę dla pana?

- On potakuje. - A Sheila wie o tym?

- Nie, skądże znowu, ale nie chciałem tego ukrywać przed panią.

- Rozumiem, co nie przeszkadza panu ukrywać tego przed Sheilą, prawda?

- Właśnie w tym rzecz. Oboje się martwimy, że jeśli Sheila się dowie, źle to wpłynie na stan jej zdrowia.

- A zatem to ma być nasz mały sekrecik?

Derek milczy. Obejmuje kubek, jakby chciał się napić herbaty, po czym delikatnie go odsuwa.

- Przepraszam. Lepiej będzie, jak pójdę.

- Tak, lepiej. Zwłaszcza jeśli ona siedzi w samochodzie. Nie chcielibyśmy, żeby się czuła osamotniona, co?

Derek wstaje.

- Widzę, że jest pani zdenerwowana, i nie mam o to żalu. Ale takie rzeczy się zdarzają.

- To nie zasługuje na odpowiedź - mówi ona ze śmiechem.

Patrzą na siebie, ona jednak postanawia nie mówić nic więcej, bo nie chce, żeby stracił resztki poczucia własnej wartości. Derek ze wstydliwie spuszczonej oczami rusza do

drzwi, a ona go odprowadza. On na moment się zatrzymuje i zwraca do niej twarzą.

- O ile to ma jakieś znaczenie, Maria jest zdruzgotana tą sytuacją.

- Ta Maria, która teraz siedzi w samochodzie?

Derek otwiera drzwi, ona zamyka je za nim, nawet nie wyjrzaawszy na ulicę. Zaczyna zmywać filiżanki i czajniczek, potem ustawia wszystko w szafce i zasiada w nieskazitelnie czystej kuchni. Przez okno świeci księżyc, a jej znowu przypomina się pogrzeb ojca i rozmyślna nieobecność Sheili. Z biegiem lat coraz trudniej było jej obwiniać siostrę o tę nieobecność. Przecież ból siostry jest związany z jej winą, żadna z nich nie może zerwać tych więzów, więc teraz liczy jedynie na spóźnioną okazję do naprawienia tego, co się między nimi popsuło. Może Sheila mogłaby z powrotem przenieść się na północ, może kupić dom nad morzem. Mogłyby razem spacerować po plaży i od czasu do czasu pomyśleć o wspólnej wycieczce. Mogłyby nawet wybrać się za granicę. Te przyjemne myśli pomogą jej przeżyć jeszcze jedną noc w Londynie, w opustoszałym domu siostry. Gasi światło w kuchni i powoli wspina się po schodach. Przed pójściem do swojego pokoju zagląda do Sheili, ale siostra nadal śpi spokojnie. Tym razem postanawia zdmuchnąć świecę.

Pierwszy policjant, ten w mundurze, z coraz większą irytacją obraca w palcach ołówki. Wpatruje się w nią i chociaż jej współczuje, bardzo niewiele może zrobić. Powtarzał to już kilka razy i wyraźnie potwierdzał językiem ciała. W tym momencie zjawia się starszy funkcjonariusz, ten bez munduru. Siada przy niej, nie przedstawivszy się ponownie, lecz nie ulega wątpliwości, że orientuje się w sytuacji.

- Przykro mi, ale jeśli pani siostra nie chce wnieść oskarżenia, nic nie możemy zrobić. To znaczy, prawie na pewno wiemy, kim on jest.

Podsuwa jej kartkę papieru. Ona widzi skwaszoną twarz, a poniżej wszystkie dane. Datę urodzenia, wzrost, wagę, kolor oczu, wszystko. Jego adres, numer telefonu, wszystko na pozór takie zwyczajne.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale bez współpracy pani siostry nie będziemy mieli podstaw do wszczęcia sprawy.

Wpatruje się w policjanta, ale właściwie nie ma już nic do powiedzenia. Oboje wiedzą, że Sheila nie zmieni decyzji. Leżała jeszcze w łóżku, kiedy rano Dorothy wychodziła z domu. Poprosiła o filiżankę gorącej wody, a zanim Dorothy po nią poszła, znów zapaliła u siostry świecę. Wszystkie myśli o napadzie jakby uleciały Sheili z głowy. Właściwie trudno było odgadnąć, czy w ogóle myśli, a jeśli tak, to o czym. Funkcjonariusz szura odsuwającym krzesłem i wstaje.

- Przykro mi, moja droga, ale jeśli nie może jej pani przemówić do rozsądku, musimy już iść. Nie brak nam tu pracy.

Siedzi w autobusie z lewej strony, żeby z góry wypatrywać Smażonych Kurczaków Imrana. Umundurowany policjant powiedział jej, że to będzie następny przystanek, i zalecał ostrożność. Śmiał się. „Niech pani nie wkłada swojego roleksa”, ale pominęła tę radę milczeniem, pragnąc być przynajmniej częściowo lojalna w stosunku do Sheili. Autobus jest pełen dzieciaków, które, jak wie, powinny być w szkole, a umyślnie podnoszą możliwie największy harmider. W naturalnym odruchu nauczycielki chce krzyknąć i zażądać, żeby się uspokoiły, ale przypomina sobie, że wkrótce przestanie być nauczycielką. Ta część jej życia niebawem się zakończy. A nawet gdyby nadal była nauczycielką, to są dzieciaki londyńskie i najprawdopodobniej nie zwrócą uwagi



na drobną starszą panią, która i tak powinna być na dole. Właśnie wtedy widzi Smażone Kurczaki Imrana i wyciąga rękę do dzwonka. Kiedy wysiada z autobusu, jak cień rozpościera się przed nią osiedle, rozległy teren z mieszkaniami komunalnymi, szczekającymi psami i zdeptaną trawą. Wszędzie walają się śmiecie, gromadka dzieci rozgrywa coś, co wygląda na zorganizowany mecz futbolowy, kopiając puszkę zamiast piłki. Ona mija Bojangles, w którym rozpoznaje dawny kościół katolicki, teraz zamieniony na osiedlową dyskotekę, a później popękany, łuszczący się basen kąpielowy na świeżym powietrzu, którego chyba nigdy nie napęlnia się wodą.

Za Pretoria Drive dociera do Pretoria Mansions i po kręconych, śmierdzących, zasikanych schodach wspina się na balkon na trzecim piętrze. Odnajduje drzwi i stuka. On staje w nich z uczepioną jego nogi dziewczynką półkrwi, mniej więcej trzyletnią.

- Taak, czego pani chce? - Nie wygląda na zaskoczonego ani zaniepokojonego tym, że zapukała do jego drzwi. Niewątpliwie bierze ją za pracownicę opieki społecznej albo kuratorkę.

- Przyszłam w sprawie mojej siostry - mówi.

- Co to za sprawa? Nie wiem, kim jest pani siostra.

- Pan ją napadł i obrabował.

On opuszcza rękę i wpycha dziecko z powrotem do mieszkania. Potem wychodzi na balkon trzeciego piętra, zmuszając Dorothy, żeby się cofnęła. Zamyka za sobą drzwi i wolno, z wielkim namysłem, mierzy ją wzrokiem od stóp do głów.

- Ma pani spadochron? - Ona nie odpowiada. - Bo będzie cholernie potrzebny, jak pani nie przestanie gadać w ten sposób.

- Może pan zatrzymać pieniądze, ja tylko chcę odzyskać jej rzeczy.

Znów mierzy ją wzrokiem.

- No, ma pani czelność, ale radzę się odpiardolić. Jeszcze raz panią zobaczę, to zrobię krzywdę. Wyrażam się dość jasno?

Wpatrzona w niego, zastanawia się, co szlachetnego może widzieć w takich dzikusach Sheila. Wyrażał się zupełnie jasno, kiedy tam stał, wypacając z siebie brud i bluzgając tymi słowami. O dwa kroki oddalony od dżungli.

Sheila zmarła w tydzień po powrocie Dorothy z Pretoria Mansions. Ostatniego dnia niemłody lekarz przychodził do domu dwa razy, ale prawie się nie odzywał. Co mógł powiedzieć? Sheila nie zgodziła się skorzystać z usług pielęgniarki i wyraźnie oświadczyła, że nawet nie zbliży się do szpitala. W jej pokoju zawsze już paliła się świeca, w dzień i w nocy. Ulubiony przez Sheilę ostry zapach czerwonych porzeczek przenikał dom. Świadoma prawie do ostatniej chwili, leżała na wznak, z łysą głową podpartą dwiema poduszkami, i wpatrywała się w siostrę. Wychudzone ciało nie mogło wykrzesać z siebie energii, niezbędnej do podtrzymywania rozmowy, zresztą nic więcej nie pozostawało do powiedzenia. W pewnym momencie zadzwonił Derek. Zeszła do telefonu na parterze, ale po tym, jak wyraził żal i zapytał, czy mogliby z Marią odwiedzić chorą, odłożyła słuchawkę. Wróciła na górę, Sheila jednak nie spytała, kto dzwonił. Sheila nigdy o nic nie pytała. Sheila jej ufała. Godzinę później umarła. Ona siedziała przy siostrze parę minut, potem zdmuchnęła świecę i zostawiła Sheilę w ciemnościach. Na dole zaskoczyło ją zrazu ciche bulgotanie lodówki, lecz prędko się pozbierała. Pomyślała o mamie, która zawsze powtarzała swojej starszej córce, żeby w chwilach cierpienia nie szukała Boga, bo właśnie wtedy jest

niewidoczny i roztacza nad nią opiekę. „Najpierw wytrzymaj oczy, kochanie, dopiero potem idź go szukać. Będzie miał więcej czasu”. Starsza córka jednak nigdy nie szukała Boga, a teraz jest już za późno.

Zrobiła sobie filiżankę herbaty i zasiadła przy stole. Powrót na górę był wykluczony, więc nie miała innego wyboru, jak czekać cierpliwie, w nadziei że ta noc niebawem się skończy. Gdybyż miała pod ręką pianino, bo wszystkie te frazy, z których od tak dawna usiłowała złożyć w głowie całość, teraz nabierały sensu. I nie sama muzyka, również chóralny akompaniament głosów. Siedząc przy stole swojej siostry, czuła potężną falę muzyki, która przelewała się przez jej ciało. Przeżyła krótki moment paniki, bo nie miała pewności, czy potrafi zapisać te frazy, lecz natychmiast się uspokoiła. Nie zapomni. Muzyka zwlekała z nadejściem, teraz zaś jej odmienne części spoił smutek. Nigdy więcej się nie rozłączą.

Dorothy siedzi przed panem Jowettem. W minionym miesiącu udręką było dla niej załatwianie spraw siostry. Maria i Derek przyszli na krótką ceremonię kremacji razem z innymi, których ona nie знаła, lecz uważała za jakoś związanych z Partią Pracy. Choć Roger się nie pojawił, przysłał kwiaty. Nazajutrz po kremacji wystawiła dom Sheili na sprzedaż i znalazła dwoje młodych ludzi na wysokich stanowiskach, którzy żyli w wolnym związku. Nie przeszkadzało im chyba, że zamierza zostawić zasłony i żaluzje w kuchni, najęła jednak firmę do opróżnienia domu. Serce o mało jej nie pękło na widok wielkich plam, nagle rażących w oczy po usunięciu ze ścian mebli i obrazów. A potem Dorothy uciekła z Londynu i wróciła do domu, gdzie stwierdziła, że żaden rachunek nie został zapłacony, że małe wąskie uliczki przyprawiają o klaustrofobię i na północy wszystko wygląda o wiele bardziej ponuro. I przekonała się,

że jest naprawdę sama. Warunki pakietu emerytalnego przysły pocztą. Potrzebowała podpisu pana Jowetta, więc umówiła się z nim na spotkanie za pośrednictwem panny Arthurton. A teraz siedzi naprzeciwko pana Jowetta i słucha, jak on zdawkowo pyta o jej ewentualne plany, bo przecież będzie miała tyle wolnego czasu. Mówiąc, szybko podpisuje papiery w trzech egzemplarzach. Może Dorothy wybierze się w podróż zagraniczną? Kiedy zadaje to pytanie, odchyła się do tyłu, ona zaś słucha denerwującego skrzypienia jego krzesła. W milczeniu czeka na papiery. Obraża ją dobry humor pana Jowetta, ale nie będzie już musiała go widywać, więc przygotowuje się na ostatnią ciężką próbę. Spotkanie trwa krótko. On wręcza jej dokumenty, nadal jednak chciałby nawiązać rozmowę. Ona je bierze i wstaje. On wyciąga rękę, którą ona ściska bez entuzjazmu, po czym odwraca się i wychodzi z gabinetu, nie zamykając za sobą drzwi.

Zamiast wyjść ze szkoły, zbacza w kierunku pokoju nauczycielskiego. Staje pod drzwiami, nie decyduje się jednak wejść do środka. Jest przecież godzina lekcyjna i prawdopodobnie nikogo tam nie zastanie. Więc chodzi od jednej klasy do drugiej, zagląda przez okna i oddala się szybko, zanim ją ktoś zobaczy. W końcu zatrzymuje się pod jego klasą i widzi go przy katedrze, plecami zwróconego do drzwi. Niektórzy uczniowie zauważają, że na nich patrzy. On powoli zwraca się do niej twarzą. Udaje mu się zapanować na sobą. Lekko unosi brew na znak, że ją poznaje, ale to wszystko. Ona się nie rusza i teraz wszyscy uczniowie gapią się na nią. On jest zakłopotany. Czy znalazł kogoś innego, przed kim może się wypłakiwać? Czy też jego żonie znudził się gracz w squasha i postanowiła zamieszkać w tym mieście? Jest ciekawa, jak ułożyło mu się życie. Współczuje mu. Bezradny człowiek. Kiedy on wreszcie przestaje udawać skupienie i rusza do drzwi, ona odwraca się i oddala. Słyszy,

jak otwierają się za nią drzwi, ale nikt nie woła jej po imieniu, nie rozlega się tupot nóg w korytarzu za jej plecami. Wychodzi ze szkoły, odprowadzana w milczeniu wzrokiem Geoffa Waverleya.

Siedzi w swoim parterowym domu na szczycie wzgórza w tej wiosce, o pięć mil oddalonej od rodzinnego miasta. Liczy tygodnie. Osiem. Upłynęły dwa miesiące. To nowy początek w miejscu, gdzie nikt jej nie zna. Widziała rysunek Stoneleigh w miejscowej gazecie i kupiła ten bungalow przez telefon. Określenie „nowe osiedle” jakoś podnosiło ją na duchu. Sprzedaż domu okazała się zadziwiająco łatwa, przede wszystkim dlatego, że postanowiła przyjąć pierwszą ofertę. W końcu zaproponowana suma okazała się przyzwoita, a nabywca, młody azjatycki lekarz, gotów był się wprowadzić natychmiast. Kiedy wreszcie pojechała autobusem do Stoneleigh, nie doznała rozczarowania. Dom porządny, z wszelkimi wygodami, dokładnie odpowiadał jej wyobrażeniom. Właśnie wykończono domy w drugim ślepym zaułku, lecz teren nadal pozostaje do pewnego stopnia błotnistym polem. Mimo to jest szczęśliwa. Wygląda przez okno i widzi sąsiada, zajętego myciem samochodu. Trzyma go przed domem jak coś cennego. Tego przygnębiającego popołudnia jest tu tylko ten mężczyzna, samotny mężczyzna, który myje samochód ze skupieniem, wskazującym, iż u podłoża kolistego ruchu jego prawej ręki leży trudne życie. Każdy ruch wygląda na próbę wymazania przeszłości, jakby mężczyzna nie chciał, żeby mu o niej przypominano. Ona patrzy na niego i rozumie.

## Część czwarta

Państwo Anderson stoją ze mną na deszczu. Nas troje razem i ksiądz. Pod drzewami kryją się dwaj mężczyźni, którzy z czasem przysypią trumnę. Dwie łopaty sterczą, wystawione na deszcz, ostrzami głęboko wbite w ziemię. Trzymam się dzielnie i oczy mam suche. Tego życzyłby sobie mój przyjaciel. Ksiądz zamyka Biblię, mama wyjmuje z torebki chusteczkę i wyciera nos. Niezapomniany rozdział dobiegł końca. Pan Anderson wręcza mi kluczyki do samochodu Mike'a, nic jednak nie mówi. Mama dotyka mojej twarzy koniuszkami palców. Ta rodzina bardzo mnie rozpieszczała, a moje przywiązanie do niej i wdzięczność są ogromne. Mama jest drobną, szczupłą kobietą, lecz ten gest jest silny. Pozostaję pod jej urokiem. I wtedy kładzie mi na policzkach zimne dłonie, przyciąga moją głowę. Całuje mnie w miejsce, gdzie wilgotne włosy stykają się z wilgotną skórą. Potem mnie puszcza.

- Chodź, Muriel. - Pan Anderson bardzo chce uciec przed deszczem i opiekuńczo obejmuje ramiona Muriel. Z powrotem nakrywa głowę bezkształtną czapką i bacznie mi się przygląda. Widzę, że usiłuje zapanować nad rozlicznymi emocjami. To człowiek bardzo żywy i aktywny, teraz jednak słaby.

- Trzymaj się, chłopcze. Uważaj na siebie.

Razem z księdzem obserwujemy państwa Anderson, idących po zabłoconej trawie w stronę wybetonowanej ścieżki. Na ścieżce pan Anderson przestaje obejmować mamę i bierze ją pod ramię. Wsadza ręce do kieszeni granatowego płaszcza nieprzemakalnego i oboje podchodzą do jego furgonetki. Ksiądz mnie ściska, chowa Biblię do plastikowego pokrowca, po czym szybko rusza w kierunku kościoła. Na ten sygnał dwaj mężczyźni pod drzewami rzucają na ziemię pety, biorą szpadle i ociężale zbliżają się do grobu. Ocierają deszcz z oczu. Ja cofam się o krok, lecz nie jestem jeszcze gotowy

porzucić Mike'a. W oddali widzę blask reflektorów. Zaczyna migać kierunkowskaz, po czym furgonetka pana Andersona znika z oczu. Wkrótce państwo Anderson znajdują się w Szkocji, gdzie będą mogli korzystać z tego, co mama wciąż nazywa „resztą życia”. Cieszę się ze względu na moich dobroczyńców i mam nadzieję, że spokój, szczęście i dostatek będą im towarzyszyć do końca ich dni.

Rano oficjalnie rozpocząłem pracę na osiedlu i tak jak za większość dobrych rzeczy, które mnie spotkały, za tę posadę muszę być wdzięczny państwu Anderson. Ale teraz oni odjechali i zostałem sam, stoję nad grobem Mike'a z kluczami do jego samochodu w ręce. Dobrze, że pada deszcz, a ja nie mam parasola. Te przykre okoliczności przypominają mi o dniu, kiedy poznałem Mike'a, stojąc na deszczu i zastanawiając się, czy ktoś przyjdzie temu obcemu - mnie - z pomocą. Powiedziałem mojemu wybawcy, że mam na imię Salomon i że nie jestem z wysp Morza Karaibskiego, a on kiwnął głową i trochę się pośmiał. Mike nie przypominał innych Anglików, których napotkałem, ale przemilczałem ten szczęśliwy dla mnie fakt. Po prostu pozwoliłem mu gadać i słuchałem.

Ilekcroć zadawał pytanie, zawsze grzecznie i ostrożnie udzielałem odpowiedzi. Powiedziałem mu, że pochodzę z Afryki. Że przyjechałem do Anglii sam. Że przebywam tu od paru tygodni. Mówiłem, że nie mam zawodu ani pracy, a on słuchał. Nie powiedziałem, że byłem żołnierzem. Że w walce zabiłem wielu ludzi. Że miałem przydomek Jastrząb. Mike poinformował mnie, że jego ojczyzną jest Irlandia i że kiedy po raz pierwszy przybył do Anglii, też nie miał zawodu, a teraz jeździ ciężarówkami i pokonuje wielkie odległości. Ale tylko w Anglii. Mike pragnął się przekonać, czym jest pokonywanie bardzo długich tras na terenie całej Europy, i żywił nadzieję, że kiedyś jego sen się ziszczy. Wyglądałem przez



okno, żeby mógł się skupić na prowadzeniu. Deszcz lał się z czarnego angielskiego nieba. Więc Mike też przybył z innego kraju? Trudno mi to było zrozumieć. U nas stosunkowo łatwo dawało się poznać kogoś z innego plemienia czy regionu, lecz wśród tych ludzi czułem się zagubiony. Mike podjął rozmowę, ja zaś słuchałem dalej, lecz nieznanostwo angielskich zwyczajów napełniała mnie strachem. Martwiłem się o moją książkę, bo kiedy ostatni raz do niej zajrzałem, niektóre strony miała pokryte czarną pleśnią. Rozumiałem, że pewnie znów zawilgła, i wyobrażałem sobie, że pleśń mogła ją znowu zaatakować, tym razem z większą siłą. Zamknąłem oczy, przełamując strach. Pora nie była odpowiednia do przeglądania rzeczy osobistych.

Po wielu minutach, spędzonych w ciemności, Mike zaczął zwalniać. Otworzyłem oczy i patrzyłem, jak wjeżdża z wilgotnej szosy na jasno oświetlony teren, podobny do małego miasteczka. Gapiłem się na światła i mnóstwo zaparkowanych w tym mieście samochodów i ciężarówek. Po wyłączeniu silnika Mike popatrzył na mnie.

- Chciałbyś szybko coś przegryźć? - Nie czekając na odpowiedź, natychmiast otworzył drzwiczki i pomknął przez deszcz, a mnie nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo. Pobiegnęłam za nim do budynku, gdzie znaleźliśmy schronienie. Powiedziałem mu, że nie mam pieniędzy na jedzenie czy picie, ale poklepał mnie po plecach i zapewnił, że zajmie się wszystkim, a ja mam pójść i usiąść wśród Anglików. Przez chwilę nie ruszałem się z miejsca, tylko patrzyłem na niego, wciąż przestraszony. Co ten człowiek zamierza ze mną zrobić? Czego chce? Mike ze zdziwioną miną wskazał mi miejsce.

- W porządku, Salomonie. Możesz pójść i usiąść. Ja przyniosę jedzenie.

Usiadłem przy brudnym plastikowym stoliku i obserwowałem Mike'a, kiedy brał tacę i ustawiał się w długiej kolejce znużonych mężczyzn. Ci, co siedzieli przy sąsiednich stolikach, wpatrywali się we mnie zafascynowani, a chociaż odwracałem oczy, czułem na sobie ich wzrok. Przygotowałem się. W razie kłopotów będę się bił, może zresztą Mike stanie po mojej stronie. Jest rosły, choć trochę za gruby, więc byłby dobrym sprzymierzeńcem.

Zemdliło mnie od jedzenia i byłem pewny, że znajdę się w kłopotliwej sytuacji. Mike mógł je chyba pochłaniać w ogromnych ilościach, więc żeby nie czuł się skrępowany, zdobyłem się na wielki wysiłek. Odgryzłem jeszcze jeden kęs hamburgera, lecz to nie było na mój żołądek.

- Czy jadasz mięso? Powinienem cię spytać. - Teraz Mike wyglądał na zmartwionego, że z jego winy jest mi niedobrze, więc zapewniłem, że jadam mięso, i połknąłem jeszcze kawałek hamburgera. Przez okno widziałem samochody, wciąż przyjeżdżające i odjeżdżające z tego małego miasta, a jednocześnie słuchałem, jak Mike pije z kubka herbatę. Głośno siorbał i dmuchał, żeby wystygła. Mnie rozboleła głowa i wiedziałem, że nie mogę ani dokończyć hamburgera, ani wypić herbaty. Może Mike też to wyczuł, bo zamilkł. Postanowiłem przeprosić i pójść do toalety. Pozwoli mu to odjechać beze mnie, jeśli zechce.

W toalecie zwymiotowałem, a opróżnienie żołądka przyniosło mi wielką ulgę. Odkryłem, że do umywalki płynie woda ciepła i zimna, jedna i druga bez ograniczeń. Wypłukałem usta, po czym przejrzałem się w lustrze. Zobaczyłem w nim twarz zmęczonego człowieka. Nie trzydziestoletniego mężczyzny. Anglia mnie zmieniła, czyż nie po to jednak tu przyjechałem? Pragnąłem zmiany. Po powrocie do plastikowego stolika spostrzegłem, że Mike wziął moją herbatę.

- Chyba się nie gniewasz, ale wyglądało na to, że nie masz ochoty jej wypić.

Wcale się nie gniewałem, zresztą rozumiałem, że Mike, biorąc ją, chciał mi oszczędzić upokorzenia, jakim byłoby zmarnowanie herbaty. Zrobił strapioną minę, lecz zapewniłem go, że sprawił mi przyjemność tym, że się napił.

Ruszyliśmy w dalszą podróż i natychmiast zmorzył mnie sen, co wyznaję ze wstydem. Kiedy się ocknąłem, deszcz już nie padał i pierwsze promienie świtu ukazywały się na wschód od ruchliwej drogi. Grzbietem dłoni przetarłem oczy i szybko rozejrzałem się dokoła.

- Dobrze się spało? - Teraz Mike zaczął się śmiać. - Wyglądasz jak półtora nieszczęścia. Zgasłeś jak światło.

Przeprosiłem za niegrzeczne zachowanie, co znów pobudziło go do śmiechu. Później spytał, czy wiem, gdzie chcę wysiąść, ale ja jeszcze o tym nie pomyślałem.

- Masz się gdzie zatrzymać? Jest ktoś, z kim masz się spotkać?

Skrepowany pokręciłem głową.

- Cóż, niedługo znajdziemy się w pobliżu mojej kwatery. Pewnie znajdzie się dla ciebie łóżko na dzień, dwa, a potem się za czymś rozejrzysz.

Podziękowałem mu i spróbowałem sobie wyobrazić, co o mnie myśli. Byłem dorosłym mężczyzną, który nie ma dachu nad głową, podróżuje bez celu i nie zna miejsca swojego przeznaczenia. Wstyd mi, bo nie przywykłem zależeć od innych ludzi. Przygnębiało mnie to żalosne położenie.

Mike zatrzymał ciężarówkę przed domem na końcu cichej uliczki, wysadzonej wysokimi drzewami. Dzień właśnie się zaczynał i patrzyłem, jak schludnie ubrane angielskie dzieci idą do szkoły. Martwiłem się, bo niby dlaczego towarzysze Mike'a mieliby zaakceptować obcego człowieka? Mike nic o mnie nie wiedział i moim zdaniem nie powinien tak się trudzić

dla jakiegoś Afrykanina. Wysiadłem i krótką ścieżką z tłuczonych kamieni poszedłem za nim w stronę dużego domu. Mike nie sięgnął do kieszeni po klucz ani nie zastukał do drzwi, po prostu je otworzył. A potem krzyknął „Cześć!” i schylił się, żeby rozwiązać sznurowadła. Ja też zacząłem zdejmować bezużyteczne buty, zażenowany tym, że śmierdzą. Ojciec wpoił mi zasady przyzwoitości i przed przyjazdem do Anglii nawykłem do wielu oczyszczeń i ablucji. Wejście do czyjegoś domu w tym stanie oznaczało, że zaprezentuję się jako kiepski przedstawiciel swojego narodu.

- Jest tam ktoś? - ryknął Mike, aż zaboląły mnie uszy. Wyłożonym wykładziną korytarzem poszedłem za nim do kuchni, gdzie przy drewnianym stole niemłody mężczyzna czytał gazetę. Przed nim znajdowała się do połowy opróżniona miska z płatkami śniadaniowymi. Przy zlewie, z rękami zanurzonymi w mydlanej wodzie, stała drobna kobieta.

- Przyprowadziłem przyjaciela. Chyba nie najlepiej mu się powodzi, więc pomyślałem, że moglibyśmy mu pomóc. Mamo, tato, to jest Salomon.

Oboje popatrzyli na mnie, kobieta z uśmiechem. Mężczyzna głową wskazał miejsce przy stole.

- Cóż, siadaj. Damy ci śniadanie, a potem znajdziemy miejsce, gdzie mógłbyś zostawić swoje rzeczy. - Powrócił do czytania gazety. Była bardzo duża i zauważyłem, że dość trudno mu ją składać w odpowiedni sposób. Dziwna rzecz, to bardziej go zajmowało niż niezwykły fakt, że ktoś obcy przekroczył próg jego domu.

Usiadłem, rozejrzałem się dookoła, a kobieta niemal natychmiast postawiła przede mną miskę płatków, zachęcając do jedzenia. Mój żołądek radośnie przyjął płatki, więc jadłem, podobnie jak Mike. Wtem mężczyzna odłożył gazetę, dźwignął się i oznajmił, że czas iść do pracy. Wkrótce po jego nagłym odejściu Mike ziewnął i stwierdził, że musi się

przespać. Ścisnął mnie za ramię, po czym zostawił w kuchni samego z kobietą. Nie przerywając zmywania, zadała mi mnóstwo pytań: skąd pochodzę i co zamierzam ze sobą zrobić teraz, kiedy już jestem w Anglii. Chociaż wrodzony instynkt nakazywał mi nie ufać nikomu, ta drobna starsza kobieta miała w sobie coś takiego, że poczułem się bezpieczny. Więc opowiedziałem jej o bolesnym rozstaniu z krajem, o niewygodnej podróży do Anglii i trudnej przeprawie na statku. Mówiłem, że moim największym problemem w Anglii jest pogoda, bo temperatury bywają tu bardzo niskie, ale skoro już jestem na miejscu, gorąco pragnę się uczyć. Zdobyć wykształcenie. Powiedziałem, że w moim kraju sytuacja jest bardzo, bardzo zła. Że w następstwie wojny ludzie się boją, że nic nie mają i nikt nie chce tam zostać, w Anglii natomiast panuje pokój. W mojej ojczyźnie nie ma pokoju, a liczne zgrzyoty zdają się nie mieć końca. Słowem nie wspomniałem o Feliksie, Ammie, moim wuju Jozuem ani Brighcie; o tym, jak serce mi krwawiło, kiedy się z nimi rozstawałem; o tym, jak biedna dziewczyna, jedna z najbardziej opuszczonych przedstawicielek swojego gatunku, wystawiała mnie na pokusę i jak mogłem się poniżyć, po prostu zaspokajając żądzę; nie mówiłem o Saidzie ani o więzieniu, gdzie nie musiałem siedzieć, bo nie popełniłem żadnego przestępstwa; nie mówiłem o Katherine, która pomogła mi częściowo przezwyciężyć strach, jaki budziła nieznajomość angielskich obyczajów. Nie mówiłem o Jastrzębiu. Nie mówiłem o Gabrielu. Powiedziałem, że mam na imię Salomon i muszę zdobyć papiery, żebym mógł pracować i pozostać w Anglii. Powiedziałem, że nie mam innej ojczyzny. Kobieta wytarła ręce ręcznikiem i zaparzyła herbatę. Usiadła przy mnie, pogrążona w chwilowej zadumie. Potem naląła herbatę do dwóch filiżanek i znów zajęła się moją osobą.

- Będziesz musiał zostać poddany procedurze, Salomonie, a to trzeba będzie zrobić we właściwy sposób. Tata i ja nigdy tego nie robiliśmy, ale znamy ludzi, którzy potrafią ci pomóc. Tymczasem możesz tu zostać. Moim zdaniem masz prawo ubiegać się o bony.

Powiedziałem jej, że nie mam pieniędzy, ale ze śmiechem odparła, że bony są formą pieniędzy. Poinformowała mnie, jak można je wymieniać na żywność i inne towary. Niewiarygodne, na tym jednak dobre wiadomości się nie skończyły. Powiedziała mi, że władze samorządowe zapłacą za mój wikt i mieszkanie, a jej mąż pewnie mógłby mi pomóc, gdybym postanowił szukać jakiejś pracy na czarno. Patrzyłem na tę kobietę i usiłowałem odgadnąć, jakimi pobudkami się kieruje. Czy ona i jej mąż dostaną jakąś specjalną nagrodę? Jeśli tak, nie będę im zazdrościł, bo pragnę jedynie być bezpieczny w Anglii. Jeżeli to źli ludzie, niewątpliwie z biegiem czasu zobaczę, jaki los mnie spotka, lecz wtedy z powodu zmęczenia nie byłem w stanie wybiegać myślą naprzód. Kobieta wstała, zdając sobie z tego sprawę.

- Jest wolny pokój obok pokoju Mike'a. Niezbyt duży, ale możesz go zająć.

Pokój, choć mały, był bardzo wygodny. Nie mogłem jednak zasnąć, bo w złych snach nawiedzali mnie rodzice, z surowymi minami ostrzegając, że nieszczęśliwe wydarzenia z pewnością złamią mi życie, jeśli zechcę tutaj pozostać. Błagałem rodziców, żeby podzielili się ze mną tymi złymi wiadomościami, lecz kiedy już mieli dać upragnioną odpowiedź, zawsze budziłem się z lekkiego snu, roztrzęsiony i stropiony. Rozglądałem się po obcym pokoju, jeszcze raz starając się zrozumieć, gdzie jestem, przypomnieć sobie, jak tu trafiłem, a dopiero po odzyskaniu spokoju z powrotem zapaść w sen. Niestety po jakimś czasie znowu zaczynałem się miotać i przewracać na łóżku, bo nad moimi snami chyba na

stałe zaciążyło przekleństwo w postaci oskarżycielskich twarzy rodziców, najwyraźniej zżeranych niepokojem o los ich „utraconego” Gabriela. Kiedy kobieta weszła do pokoju i wzięła mnie za ramię, szybko przybrałem obronną postawę. Natychmiast tego pożałowałem, widząc, że napędziłem jej stracha. Trzymała w ręce filiżankę, którą postawiła na nocnym stoliku.

- Przyniosłam ci filiżankę mocnej kawy. - Urwała i popatrzyła na mnie. - Niedługo będzie obiad. Tata wróci lada chwila, a Mike już nie śpi. - Wskazała na ręcznik, porządnie złożony i przewieszony przez poręcz fotela, stojącego przy drzwiach. - Przygotowałam ci ręcznik, a drzwi do łazienki są na prawo. Nie śpiesz się, nie ma gwałtu.

Patrzyłem, jak wychodzi. Gdzieś w oddali słyszałem muzykę, potem zastąpiło ją bicie dzwonów, a jeszcze później usłyszałem głos mężczyzny, odczytującego wiadomości. Wszystko to było bardzo zagmatwane. Sięgnąłem po filiżankę i z przyjemnością wypilem łyk mocnej kawy.

Dom, w którym mieszkam, stoi przy końcu ulicy i jest mniejszy od innych. Tak naprawdę, powiedział pan Anderson, był to pierwotnie magazyn, ale kiedy uznali, że ktoś musi mieszkać na terenie osiedla, prędko go zaadaptowali i teraz nie różni się od innych. Pan Anderson przewiózł wczoraj mój skromny dobytek. Miałem niewiele rzeczy do przetransportowania, nie zajęły nawet całego tylnego siedzenia jego samochodu, bo była to głównie odzież i książki, które udało mi się zdobyć. W tej chwili jednak, kiedy parkuję własny, a właściwie dawny samochód Mike'a przed domem, czuję się tak, jakbym rzeczywiście przyjechał tu po raz pierwszy. Dziwne, bo w tej wsi pracuję od wielu miesięcy, pomagam w pracach stolarskich i hydraulicznych. Znam tę wieś i ten teren, lecz od dziś to ma być mój dom. Będę stróżem nocnym, który ma strzec tych ludzi.

W domu jest mało mebli. Nie potrzebuję dużo, a to, co potrzebne, dali mi państwo Anderson. Kupili nowe rzeczy do swojego domu w Szkocji, więc łóżko, stół, cztery krzesła i fotel są darami od moich aniołów stróżów. Deweloperzy zadbali o to, żebym miał lodówkę i kuchenkę. Nie mam telewizora, lecz potrafię wyżyć bez tego luksusu. Mam radio i ono mi wystarcza. Siedzę w fotelu, rozmyślam o pogrzebie Mike'a i zastanawiam się, jak to jest, że taki życzliwy człowiek może u kresu życia mieć tak niewielu kolegów, którzy oplakivaliby jego śmierć. Lecz Mike by się tym nie przejmował, bo zawsze gwizdał na to, co o nim myślą inni. Albo przynajmniej wciąż mi powtarzał: „Nie masz wpływu na to, co myślą inni”. Wstaję i spoglądam przez okno na zachmurzone niebo. Jest jeszcze jasno, więc za wcześnie na wzięcie latarki i patrolowanie terenu. Na rozpoczęcie mojej pracy. Będzie na to dość czasu w późniejszych godzinach. Teraz, ponieważ przestało padać, postanawiam pospacerować po mojej nowej wsi.

U stóp wzniesienia przechodzę na drugą stronę drogi. Widzę pub, ponieważ zaś nie mam ochoty znów znaleźć się w takim miejscu, ruszam ścieżką nad kanałem. To pan Anderson, zachęcając mnie do codziennego zażywania ruchu, wyznał, że na tym polega sekret jego dobrego zdrowia w tak podeszłym wieku. Radził mi: „Codziennie musisz spędzać trochę czasu sam i chodzić na spacer”, a ja starałem się stosować do jego wskazówek. Te samotne spacerunki wpłynęły na poprawę mojego nastroju. Zaraz po przyjeździe do państwa Anderson nie mogłem sypiać, a teraz przesypiam prawie całą noc jak spokojne dziecko. Największą harmonię odnajduję w tym miejscu nad wodą i z przyjemnością obserwuję, jak przez pochylone nad ścieżką drzewa sączą się na ziemię cienkie smużki słonecznego światła. Wiem jednak, że już niedługo będzie je widać, bo chociaż jest angielskie lato, wiatr



przeczesuje dziś drzewa i bezlitośnie odziera je z liści. W Anglii pogoda jest przykra, słońce każdego dnia z mozołem wspina się na niebo. To bardzo smutne, ale przynajmniej dziś jest go trochę. Tak mi się marzy, żeby jeszcze raz poczuć, jak przyjemnie grzeje mi skórę.

Widzę czterech nadchodzących z przeciwka chłopaków. Przez chwilę się zastanawiam, czy nie zawrócić na pięcie, lecz nie chcę ich mieć za plecami, bo wiem, że nie mają dobrych zamiarów. Lepiej, jak będę ich widział. Zresztą ich poznaję. Są dziwnie, prawie całkiem bezwłosi, z jajowatymi głowami i niebieskim tatuażem na obnażonych ramionach. Wszyscy mają wyglansowane buty, jakby byli umundurowani, lecz różnią się, jeśli idzie o resztę ubrania. Czasami zjawiali się na osiedlu, a inni pracownicy musieli ich przeganiać. Zauważyłem ich spojrzenia i wiem, że są na mnie źli. Ze śmiechem zagradzają mi drogę. Żeby ich minąć, będę musiał iść tuż nad wodą, co jest niebezpieczne, oni zaś nie budzą mojego zaufania. Przystaję i choć grzecznie proszę o przepuszczenie, wciąż się we mnie wpatrują. - O co chodzi?

Nie odpowiadam na pytanie ich przywódcy, więc jakby za karę postanawiają obrzucić mnie wyzwiskami. Zawracam i ruszam tam, skąd przyszedłem, bo wiem, że gdybym nie ustąpił albo spróbował wzruszyć ten pogardliwy motłoch prośbami, moje wysiłki spełzyłyby na niczym. Oni podążają za mną i śmiejąc się, opluwają mi plecy. Idę dalej tym samym powolnym krokiem, świadomy, że gdyby jeden z nich spróbował mnie uderzyć, sytuacja stałaby się bardzo nieprzyjemna. Nie wiedzą, kim jestem. Jestem synem członka starszyny, człowiekiem, który rozstrzygał spory i karał za przestępstwa. Człowiekiem, który przemierzył znaczną odległość na południe, potem zaś wrócił na łono swojej skazanej na zagładę rodziny; który zawsze poruszał się nocą, żywił jagodami i pił wodę ze strumieni. Jestem człowiekiem,

który przeżył, i wolałbym raczej umrzeć jako wolny mężczyzna niż pozwolić, żeby puszczono mi krew jak niewolnikowi.

Wreszcie docieramy do pubu, oni skręcają do ogródka i dają mi spokój. Idę dalej do drogi, potem pod górę do swojego bungalowu. Ściemnia się, więc niebawem będzie trzeba wziąć latarkę, pójść między tych ludzi i starać się o zapewnienie im bezpieczeństwa. Na szczycie wzniesienia mijam dziewczynkę, która w czasach, kiedy pracowałem na budowie, chyba zawsze spoglądała w moją stronę. Mieszka z matką na przeciwnym końcu uliczki niż ja. Ilekroć ją widzę, zawsze na mnie patrzy. Jestem wrażliwy na takie spojrzenia. Dziewczynka przypomina mi Denise i podobnie jak ona nie odznacza się skromnością, czego bym oczekiwał po tak młodej osobie. Mijam ją, walcząc z pokusą obejrzenia się i sprawdzenia, czy mnie obserwuje. Idę dalej w nadziei, że wkrótce zniknie z mojego życia. Już raz dałem się nabrać i nie chcę znów zostać wystrychnięty na dudka. Po powrocie do domu staję w saloniku i wyglądam na ulicę. Za moim oknem jest latarnia, która rzuca światło w taki sposób, że mogę widzieć, co się dzieje na zewnątrz, ale jeśli znajduję się w głębi, w cieniu, chyba pozostaję niewidoczny. Dodatkową osłonę zapewniają mi też plastikowe żaluzje. To mnie cieszy, bo choć korzystam z okazji i patrzę na nich, nie chcę, żeby ci ludzie mogli mnie widzieć.

Mama podjęła wyzwanie i zabiegała dla mnie o status legalnego imigranta. Co dzień rano pan Anderson wychodził do pracy, jej pozostawiając przewyciężanie trudności, jakie stwarzała moja sytuacja. Mama poinformowała mnie, że pan Anderson jest dyrektorem spółki, która buduje domy i małe obiekty przemysłowe, więc często musi wychodzić o piątej rano, żeby ocenić postęp robót i wyznaczyć zadania na bieżący dzień. Gdyby pracował gdzieś w pobliżu, mógłby

wrócić do domu na śniadanie, przeczytać gazetę i znów pójść na budowę. Mike żył zupełnie inaczej. Wychodził do roboty i znikał na wiele dni z rzędu, bo nieraz jeździł swoją ciężarówką bardzo daleko. Mówił mi, że był kiedyś żonaty i ma kilkunastoletniego syna, do którego pisuje czasami krótkie, lecz serdeczne listy. Starał się widywać go raz czy dwa razy do roku, zależnie od tego, dokąd miał wyjazdy, mówił jednak o sobie, że jest „wyleczony z małżeństwa”. Chętnie się przy tym śmiał. „Byłem tam, zrobiłem to”, po czym znów wybuchał śmiechem. Już dawno się przekonał, że na żadne osobiste pytanie, zadane nowemu afrykańskiemu przyjacielowi, raczej nie uzyska odpowiedzi. Sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej z mamą, która zadawanie mi pytań uważała zapewne za swój obowiązek, nauczyłem się jednak tolerować ten jej zwyczaj i liczyłem, że się nie obrazi, kiedy czasem udzielę wymijającej odpowiedzi.

Początkowo, kiedy Mike wyjeżdżał ciężarówką, a pan Anderson był w pracy, pomagałem mamie w robotach domowych. Lubiłem chodzić z nią po sklepach i szybko nauczyłem się jeździć autobusami i posługiwać pieniędzmi. Wkrótce zacząłem oglądać programy telewizyjne, Anglia zaś przestała być dla mnie taka tajemnicza. Już się nie dziwiłem, że kobiety używają na ulicy ordynarnych wyrazów i przeklinają, a mama poświęciła czas na wytłumaczenie mi, dlaczego przed zdjęciem pierścionków zawsze smaruje palce masłem. Nadal jednak nie pojmowałem, dlaczego w tak wielu gazetach angielskich pokazują prawie wyłącznie kobiety w bieliźnie. Ale uważałem, że tego tematu nie mogę poruszać z mamą, więc starałem się o tym nie myśleć. Tak naprawdę żałowałem tylko tego, że nie mogę porozmawiać z kimś z mojego kraju. Ojczysty język zasychał mi w ustach i czasami, kiedy nikogo nie było w pobliżu, wypowiadałem w nim parę słów, żeby go nie zapomnieć. Co tydzień mama dawała mi

kieszonkowe i zawsze pytała, czy nie potrzebuję papieru, koperty i znaczków na list do rodziny, ja zaś patrzyłem na nią, dziękowałem i mówiłem „nie”. Nigdy nie chciałem powiedzieć nic więcej.

Mama musiała coś szepnąć panu Andersonowi, bo któregoś dnia wczesnym rankiem usłyszałem stukanie do drzwi. Za oknem było jeszcze ciemno, więc przypuszczając, że puka Mike i że widocznie ma jakieś kłopoty, cicho powiedziałem „tak”. Ale w otwartych drzwiach ukazał się pan Anderson z filiżanką kawy w ręce. Postawił kawę na nocnym stoliku i polecił mi się przygotować, gdyż jeszcze tego rana pójde z nim do roboty. Zdziwiłem się, bo mama mówiła, że dopóki urzędnicy nie rozpatrzą mojego podania, mogę mieć trudności z podjęciem pracy. Nie kwestionowałem jednak słów pana Andersona, ubrałem się szybko i parę chwil później siedziałem już obok mojego dobroczyńcy w jego furgonetce. Podczas jazdy zimnymi, ciemnymi ulicami mówił bardzo mało, natomiast po przybyciu na miejsce przedstawił mnie Grekowi, który obiecał mi pokazać, jak się robi różne rzeczy. Pod koniec dnia znałem się już trochę na murarce i stolarce. Pod koniec tygodnia zdobyłem też doświadczenie hydraulika i elektryka, a choć od tych pierwszych prac bardzo ucierpiały moje ręce, czułem, że nowe umiejętności może pozwolą mi kiedyś samodzielnie zbudować dom. W tym tygodniu mama dała mi kieszonkowe trochę większe niż zazwyczaj, więc zrozumiałem, że to moja „pensja”. Zrozumiałem też, że pan Anderson chce, abym się wyuczył fachu. Czasami cierpiałem tylko z powodu grubiaństwa innych mężczyzn.

Po kilku miesiącach pracy na budowie pan Anderson zaczął mnie uczyć prowadzenia samochodu. Ilekroć Mike był w domu, przejmował od niego ten obowiązek, dzięki czemu mój nauczyciel mógł od czasu do czasu zasiąść przed kominkiem i w spokoju wypalić wieczorną fajkę. Mike'owi

zawsze sprawiałem zawód, kiedy po „lekcji” nie zdradzałem zainteresowania pubem. Nie chcąc go urazić, nie mówiłem mu, że po pierwszym doświadczeniu, zdobyłym w takim miejscu, wolę czegoś podobnego drugi raz nie przeżyć. Choć zapewniał, że spodobałby mi się Jego” pub, bardzo przyjemny lokal z lustrami i mosiężnymi ozdobami, próbowałem się tłumaczyć. Po pierwsze, mówiłem, nie piję, na co odpowiadał, że mogę wziąć coca - colę. Mówiłem jeszcze, że boję się znaleźć na tyłu językach, ale nie chciał mi wierzyć. Wkrótce przestał nalegać na moje towarzystwo i po lekcji odstawiał mnie do państwa Anderson, do pubu zaś wypuszczał się sam. Przepadał tam na resztę wieczoru, często jednak słyszałem, jak się zatacza, aż wreszcie pada na łóżko, a czasem na podłogę. Spotkany następnego dnia, zawsze się śmiał i przepraszał za hałas, jakiego mógł narobić, kiedy był „na bani”. W moim przekonaniu Mike, człowiek samotny, niewątpliwie tęsknił za rodziną. Choć wyobrażałem sobie, że nie jest z nią z powodu pijaństwa, nigdy nie pytałem o te najbardziej osobiste sprawy. Niejednokrotnie natomiast przychodziło mi do głowy, że nigdy nie widziałem go pijącego, kiedy miał prowadzić ciężarówkę. Wkrótce zrozumiałem, że to ona jest dla niego ratunkiem, bo wiedziałem, że picie szkodzi zdrowiu.

Następnego rana po tym, jak ludzie wymalowali słowa na ścianie domu państwa Anderson, siedziałem przy śniadaniu z mamą, która wciąż niespokojnie wyglądała przez okno. Pan Anderson, uzbrojony w twardą szczotkę i plastikowy kubełek, szorował zaciekle, a minę miał według mnie straszną. Mama, chyba zdenerwowana, nie przestawała mówić.

- Zanim herbata naciągnie, zjedz jeszcze jedną grzanekę.
- Nie, dziękuję. Już jestem syty.

Mama nigdy nie potrafiła ukryć rozczarowania, kiedy grzecznie odmawiałem przy stole. Mike wyjechał, co

pogarszało sytuację, bo kolejny raz mogła mi przypomnieć, że on zawsze zjada wszystko, co przed nim postawi. Wiedziałem, że od dwudziestu lat, odkąd wynajmowała ludziom pokoje, tylko my dwaj dłużej byliśmy jej lokatorami. Wszyscy inni przyjeżdżali i odjeżdżali: biznesmeni, którzy w trakcie przeprowadzek musieli gdzieś mieszkać, zanim znajdą domy dla swoich rodzin; dyrektorzy, którzy brali udział w konferencjach; pracownicy między jednym kontraktem a drugim; specjaliści od obsługi maszyn czy od podpisywania umów, którzy po wykonaniu swojej pracy wracali na południe. Pan Anderson pomagał mamie rozwijać interes, bo niekiedy sprowadzał do domu lokatorów, utrzymujących z nim zawodowe kontakty, lecz mama mówiła mi, że cieszy się dobrą opinią i figuruje na liście rady, dzięki czemu nigdy nie próżnuje. Mówiła też, że Mike i ja jesteśmy jak synowie, których nigdy nie miała, ja jednak nie zachęcałem jej do rozprawiania na ten temat.

Po powrocie do kuchni pan Anderson postawił kubek i szczotkę w kącie przy drzwiach, wyrzucił do śmieci pustą puszkę po karmie dla psów i cicho podszedł do zlewu, żeby umyć ręce.

- W tej puszcze mieli farbę.

- Napijesz się herbaty, kochanie? - Mama wstała od stołu i poszła do kredensu po czystą filiżankę.

- Z miłą chęcią. - Pan Anderson spojrzał na mnie, kiedy wycierał ręce w ścierkę do naczyń. - Wszystko w porządku, Salomonie?

Kiwnąłem głową.

- Dobrze. - Usiadł, a mama postawiła przed nim herbatę. - Dobrze.

Mama wyjęła bekon z lodówki. Ilekroć ją otwierała, serce podskakiwało mi do gardła. Jeszcze nie przywykłem do tego, że za drzwiczkami znajduje się mleko, są owoce, chleb, jajka.

Wszystko było za darmo i mama wciąż nalegała, żebym brał, na co mam ochotę. Państwo Anderson na pozór żyli jak ludzie bogaci, lecz dzięki temu, czego się nauczyłem, potrafiłem zrozumieć, że w Anglii są ludźmi przeciętnymi i wiele rodzin ma szczęście żyć tak jak oni.

Pan Anderson zjadł śniadanie, po czym jego furgonetką pojechaliśmy na budowę. Od wewnątrz szybę pokrywał szron, więc wytarłem ją rękawem kurtki. Tego właśnie rana, nie zdradzając swego zamiaru, pan Anderson obrał inną trasę, zjechał z drogi i zaparkował przed wiejskim pubem. Rozejrzałem się dookoła, ale nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Później przeniosłem wzrok na pana Andersona, który patrzył nie na mnie, tylko przez okno, jakby się przygotowywał do trudnej rozmowy. Zauważyłem, że zimowe słońce wreszcie przedziera się przez chmury, następnie zaś ujrzałem swoje odbicie w szybie samochodu. W tym kraju, pomyślałem, moja skóra staje się popielata, a moją głowę przenika lodowaty ziąb. Mama zapowiadała, że wkrótce nadejdzie lato, dla mnie jednak nadchodziło zbyt wolno. Wtem pan Anderson odwrócił się w moją stronę i przyłapał mnie na wpatrywaniu się we własne odbicie w szybie.

- Salomonie, ich pierwszą linią obrony jest uprzedzenie. Z chwilą gdy ją przełamiesz, zawsze znajdzie się kącik, gdzie będziesz mógł żyć i być tym, kim zechcesz. Ale musisz przełamać tę pierwszą linię, potem wcale nie robi się łatwiej. Jest was strasznie dużo i system już trzeszczy w szwach. Mam na myśli to, że jest źle zwłaszcza wtedy, kiedy starasz się dostać do jednego z naszych szpitali.

Ludzie się denerwują. - Bacznie mi się przyjrzał, jakby próbując czytać w moich myślach. - Rozumiesz, co usiłuję ci powiedzieć, prawda, Salomonie?

Kiwnąłem głową, choć nie miałem pewności, co właściwie pan Anderson usiłuje mi powiedzieć.

- Widzisz, Salomonie, chodzi o to, że ta wyspa nie jest bardzo duża i nie mamy aż tyle miejsca. Ludzie uważają, że powinny was przyjmować najpierw inne kraje, bo my już zrobiliśmy swoje. - Urwał i odwrócił oczy. - Przykro mi, Salomonie, ale niektórzy tak uważają. Że wy tylko chcecie łatwego życia albo że macie za dużo dzieci. Myślą, że tak naprawdę nie chcecie pracować. To mają w głowach i dlatego są wściekli.

- Kto im to wbił do głów?

Pan Anderson skierował wzrok na mnie i widziałem, że pytanie go zaskoczyło. Z łagodniejszym już wyrazem twarzy odparł:

- Nie wiem, Salomonie. Naprawdę nie wiem. Siedzieliśmy na parkingu jeszcze przez dłuższy czas, ale żaden z nas nic więcej nie powiedział ani nie patrzyliśmy na siebie. Pan Anderson był wyraźnie zaniepokojony tym, co się stało z jego domem, i nie wiedział, co robić. Teraz rozumiałem, że tłumacząc mi te sprawy, w jakiś sposób tłumaczy je sobie, jego zdziwiona mina świadczyła jednak, iż nadal dręczą go liczne pytania.

Dwa dni później Mike wrócił z długiej podróży. Siedziałem w moim pokoju i słyszałem, jak rozmawia z państwem Anderson. Mówili cicho, więc zakładałem, że szepczą, abym nie mógł rozróżnić poszczególnych słów. W głębi serca czułem, że mówią o mnie, ale nie miałem pewności. Potem Mike zastukał do moich drzwi, a zaproszony do środka, przysiadł na łóżku.

- Jak leci, Salomonie?

Uśmiechnąłem się, lecz milczałem. Przez chwilę słyszałem tylko skrzypienie łóżka i obawiałem się, że Mike może stracić zimną krew. Później odkaslnął.

- Słuchaj, mama opowiedziała mi, co się stało, ale musisz zrozumieć, że niektórzy ściągają to na siebie, wiesz. To



znaczy, dzisiaj zwłaszcza ci, co wyglądają na Hindusów. - Mike urwał z westchnieniem i spojrzał na mnie.

- Jestem starym tradycjonalistą, Salomonie, chcę ryby z frytkami, a nie curry z frytkami. Nie mam uprzedzeń, ale wkrótce będziemy żyć w obcym kraju, jeśli ktoś nie skończy z całą tą imigracją. Ci Hindusi nadal zmuszają swoje kobiety, żeby łąziły za nimi, mają swoje meczety i świątynie, swoje sklepy mięsne, w których rzeźnicy zabijają zwierzęta w suterenie i coś tam robią z krwią. Bo to są chłopi. Pochodzą ze wsi i większość z nich nigdy nie widziała toalety ze spuszczaną wodą ani kontaktu. Tego jest dla nich za dużo. I dla nas też. Powinni być jakoś szkoleni albo powinni wracać do siebie. To przez podobnych ludzi inni mają złe nastawienie do obcokrajowców i robią to, co ze ścianą mamy. Nie mówię, że postępują słusznie, bo tak nie jest. Ale dużo jeżdżę i widzę, co czują ludzie, widzę więcej niż nasi starzy. To się dzieje wszędzie. - Mike umilkł i wpatrzył się we mnie strapiiony.

- Rozumiesz, ty jesteś w innej sytuacji, Salomonie. Ty uciekasz przed uciskiem, a to różnica. W takich wypadkach mamy odpowiednie procedury. Ty przecież pracujesz. Nie jesteś pasożytem. Oni jednak o tym nie wiedzą, więc coś takiego się zdarza. - Mike urwał. - Wiesz, o czym mówię, Salomonie, prawda?

Popatrzyłem na niego i kiwnąłem głową. Wiedziałem, o czym mówi. Rozumiałem go.

Kiedy wreszcie dostałem papiery i list z zawiadomieniem, że mogę legalnie pozostać w Wielkiej Brytanii, mama uparła się, że zaproszą mnie na obłowanie do miejscowej restauracji rybnej. Ponieważ Mike był nieobecny, wybraliśmy się tylko we trójkę, ale wyczuwałem, że pan Anderson nie zachowuje się całkiem swobodnie. Tępo wpatrywał się w kartę i wreszcie poprosił mamę, żeby coś dla niego zamówiła. Mama była bezgranicznie szczęśliwa, a choć starała się tego nie

okazywać, dumna ze mnie i przekonana, że mój „legalny” status jest jej osobistym triumfem. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby wzięła do ust alkohol, do tego posiłku wypła jednak kieliszek czerwonego wina. Pan Anderson dopiero po jedzeniu zwrócił się do mnie z pytaniem, co zamierzam robić teraz, kiedy - jak to ujął - mam wybór. Prawie rok upłynął od dnia, w którym Mike przyprowadził mnie do ich domu, i przez ten czas nabyłem wiele umiejętności budowlanych. Miałem szczęście, że znalazłem się w Anglii, ale życia tutaj nie dało się porównać z tym, jakie prowadziłem we własnym kraju, więc czułem, że moja nowa rodzina wie o mnie bardzo mało. Prawdę powiedziawszy, tylko na pół żyłem i funkcjonowałem. Próbowałem rozmawiać z paroma przybyszami z Indii Zachodnich, którzy wystawali na ulicy przed karaibską restauracją z daniami na wynos, mieli dredy na głowach i puszki piwa w rękach, oni jednak nie odnosili się do mnie przyjaźnie, często odwracali się w drugą stronę, odpowiadali krzykami i zachowywali się jak pijani. Dawno temu zaś stwierdziłem, że próby zagadywania Hindusów czy Pakistańczyków nie mają sensu, bo oni byli gorsi niż niektórzy Anglicy. Siedziałem w rybnej restauracji i patrząc na państwa Anderson, odparłem, że nie wiem, co będę robił teraz, kiedy mam „wybór”. Poczuję się mniej samotny? Tylko na to liczyłem. Nagle jednak zrozumiałem, co może sugerować pan Anderson, i zrobiło mi się głupio. Skoro przebywam tu legalnie, chcą, żebym się od nich wyniósł i znalazł sobie inne mieszkanie. Oni zrobili swoje. Może trafił im się inny lokator? Nie byłem pewny, czułem jednak, że chcą się mnie pozbyć, więc postanowiłem w odpowiednim momencie z całym szacunkiem powiadomić moich dobroczyńców, że nadszedł czas, kiedy Salomon powinien odejść, i że niestety będę musiał opuścić ich szczęśliwy dom.

Jestem tu od miesiąca i mieszkańcy wsi zaczynają się ze mną oswajać. Każdego wieczoru widzą mnie z latarką i niektórzy z nich nawet coś mówią. Na ogół tylko „dobry wieczór”, co mi wystarcza. To początek. No, a dziś rano dostałem list. Zazwyczaj nie otrzymuję listów. Patrzę na niego teraz, leży przede mną na stole. To list od kogoś, kto nie jest moim przyjacielem, a podpisał się tak, jakbym powinien go znać. Słowa są przykre i nie mam pewności, czym tego człowieka obraziłem, ale po niemiłym incydencie w domu pana Andersona i po wysłuchaniu Mike'a wiem, że tacy ludzie istnieją. Niektórzy z nich, zatrudnieni u pana Andersona na budowie, i chłopaki spotkane nad wodą są wrogo nastawieni. Niestety, list dowodzi, że takie osoby mieszkają w moim bezpośrednim sąsiedztwie. Trzymam go i obracam w rękach. Nie boję się tej wiadomości, ale nie wiem, co robić. Chyba najmądrzej byłoby tę obraźliwą rzecz wyrzucić, pragnę ją jednak zachować z niejasnych pobudek. Może chciałbym pokazać, że się nie boję. To zapewne dobry powód, więc odkładam list na stół i postanawiam codziennie na niego patrzeć. Nie boję się.

Widzę ją, kiedy mijam przystanek autobusowy. Często widuję ją samą na przystanku. Mieszka w sąsiednim do mu, ale z nikim się nie zadaje. Jak na swoje lata jest bardzo piękna. Przyzwoita kobieta, która według mnie mogłaby nauczyć młodsze mieszkanki tego kraju dbałości o swój wygląd. Chodzi z wysoko podniesioną głową, jakby dumna z tego, kim jest, a ja podziwiam tę godność. Czasami podglądam ją z mojego saloniku, kiedy siedzi i patrzy przez okno. Sprawia wrażenie samotnej. Mike uchronił mnie przed deszczem jak dobry Samarytanin, a chociaż tak naprawdę nie pada, bo tylko lekka mżawka zwilża mi szybę, uważam za swój obowiązek zatrzymać się na przystanku i przyjść tej kobiecie na ratunek. Mijając przystanek, postanawiam podwieźć ją następnym

razem. Ze smutkiem wyznaję, że już wcześniej to sobie obiecywałem, ale za każdym razem brakowało mi odwagi. Teraz wiem jednak, że za wszelką cenę muszę ją ratować.

W mieście zakupy na cały tydzień zajmują mi godzinę. Jestem szczęśliwy, bo na dworze robi się bardzo przyjemnie. W tym kraju lato przychodzi nocą. Człowiek może się położyć do łóżka w zimie, a kiedy się obudzi, przyroda znów jest rozśpiewana, jego skóra zaś ciepła. Myślę o tym cudzie i jestem szczęśliwy. Przez prawie całą spędzoną w mieście godzinę obmyślam plan, który umożliwi mi poznanie tej kobiety. Prawda jest taka, że muszę poznać więcej mieszkańców wsi. W liście napisano, że ci ludzie nie chcą, abym był tutaj, ale mnie nie znają. Może to moim obowiązkiem jest ich poznać? Jeśli mam rozpocząć nowe życie w tej wsi, może powinienem zrobić coś więcej, niż tylko siedzieć sam w domu czy od czasu do czasu jeździć gdzieś samochodem. Ale po nieprzyjemnym zajściu nad wodą nie lubię wychodzić w dzień. W nocy muszę to robić, gdyż na tym polega moja praca, obchód z latarką jest jednak czymś innym, bo wyobrażam sobie, że zasługuję na szacunek. Jestem osobą urzędową.

Po powrocie do wsi parkuję przed małym ośrodkiem zdrowia u podnóża wzniesienia. Pan Anderson poinformował mnie, że w takich miejscach zawsze potrzeba kierowców. Powiedział mi to, kiedy mnie zawiadamiał, że samochód Mike'a wkrótce stanie się moją własnością. „To mogłoby ułatwić zawieranie znajomości”. Dopiero teraz w pełni rozumiem jego słowa. Poczekałnia jest pusta, widzę jednak młodą pielęgniarkę za biurkiem, ponieważ drzwi gabinetu zabiegowego są szeroko otwarte. Podnosi oczy i odkłada pióro.

- W czym mogę pomóc, kochany?

Nie wiem, czy powinienem wejść, czy zaczekać i porozmawiać z nią z miejsca, w którym stoję. Postanawiam zrobić parę kroków i zaryzykować wejście do gabinetu. Wskazuje krzesło, a ja odczuwam ulgę, że widocznie niczym jej nie uraziłem.

- Proszę, może zechce pan usiąść. Kończę pracę i wątpię, czy jeszcze ktoś przyjdzie.

Patrzę na tę ciemnowłosą kobietę i uprzytamniam sobie, że zapewne bierze mnie za pacjenta.

- Przyszedłem zgłosić się na ochotnika jako kierowca.

- Och, dobrze. Zawsze przydają się kierowcy. Rozumiem, że ma pan własny pojazd, prawda?

Wskazuję za okno, choć zdaję sobie sprawę, że ze swojego miejsca nie może widzieć samochodu.

- Tak, mam własny samochód.

- Rozumiem. Dobrze. - Jest zadowolona, podsuwa mi bloczek i pióro. - Niech pan tylko napisze swoje nazwisko i numer telefonu. Kiedy będzie trzeba zawieźć chorego do miasta, poprosimy, żeby zadzwonił i spytał, czy jest pan wolny.

- Zaczynam spisywać swoje dane, ona zaś mówi dalej: - W ten sposób uniknie pan kłopotu ganiania za ludźmi. I proszę śmiało odmówić, jak będzie pan zajęty. Jest pan wolontariuszem, nie taksówkarzem. Muszą zrozumieć, że ma pan własne życie.

Popycham bloczek i pióro w jej stronę, po czym wstaję. Wyciągam do niej dłoń i czuję, jak słabo ją ściska.

Siedzę po ciemku, obiema rękami obejmując filiżankę kawy. W moim domu czuję się bezpieczny. Choć list leży tu nadal, czuję się bezpieczny. Najpierw dopiję kawę, potem pójdę na patrol. Wyruszam z latarką wczesnym wieczorem, kiedy niebo zaczyna ciemnieć. Później, jak robi się czarne, wyjdę po raz drugi. Zazwyczaj jest to około dwunastej, po

powrocie ludzi z pubu, kiedy wieś uspokaja się przed nocą. Światło księżyca pada na fotografię Mike'a na gzymsie kominka. Gdyby dziś żył, Mike miałby do wyboru albo pub, albo pozostanie z państwem Anderson. Zawsze mógłby przyjechać tutaj i dotrzymać mi towarzystwa. Moglibyśmy porozmawiać o doświadczeniach, jakie zdobył, dorastając w Irlandii, o tym, jak ojciec go błagał, żeby nie walczył z Anglikami, o tym, jak przyплыł ze swojego kraju promem do Holyhead, i o tym, jak wbrew woli wpadł w małżeńskie sidła. Mój przyjaciel wielokrotnie powtarzał te historie, lecz ja lubiłem dźwięk jego głosu. I oczywiście słuchanie go oznaczało, że nie muszę odpowiadać na żadne zadawane mi pytania. Patrzę na przyjazny uśmiech Mike'a i czuję napływającą falę smutku.

W środku nocy wyrwał mnie z głębokiego snu telefon. Potem usłyszałem krzyk mamy i słowa pana Andersona, próbującego ją uspokoić, lecz nie odważyłem się wstać z łóżka. To pan Anderson zastukał do drzwi, wszedł i usiadł na jedynym krześle. Z ciężkim sercem powiadomił mnie, że Mike miał wypadek drogowy i nie będzie go już wśród nas. Czując chłód, odwróciłem oczy od pana Andersona. Ze wszystkich ludzi Mike wydawał się najmniej prawdopodobną ofiarą wypadku, bo znakomicie opanował sztukę prowadzenia. Okrutne zaś było to, że do tragedii doszło w czasie jego pierwszej europejskiej podróży. Mike strasznie się podniecał, że pojedzie swoją ciężarówką do Niemiec, „do Europy”. Widziałem też, jak bardzo cieszą się państwo Anderson, nie tylko ze względu na Mike'a. Po czterdziestu latach pan Anderson odchodził z pracy w budownictwie i oboje mieli na emeryturze prowadzić hotelik w Szkocji, skąd pochodziła mama. A teraz, skoro mogłem pracować „legalnie”, pan Anderson postarał się dla mnie o pracę nocnego stróża. Oszczędził mi wymyślania powodu, dla którego miałbym

opuścić ich dom. Potem telefon w środku nocy odebrał nam naszą ogromną radość i przez wiele kolejnych nocy miałem złe sny.

Wspominałem wędrówkę na północ, na lewo od wschodzącego słońca. Nie mogłem się trzymać utartych dróg, więc moja potajemna podróż trwała tygodniami. W końcu dotarłem do rodzinnego domu, lecz wkrótce potem zjawily się krwiożercze wojska rządowe. Ojciec wepchnął mnie, swojego jedyne go syna, do kredensu i błagał, żebym siedział cicho, cokolwiek się stanie. Zająkiwał się, a jego oddech zalatywał alkoholem. „Jeśli przeżyć ma jeden człowiek, Gabrielu, to musisz nim być ty”. Nie miałem czasu na kłótnie, a sprzeciw oznaczałby brak szacunku. Kiedy żołnierze kopali w drzwi naszego rodzinnego domu, wchodziłem do kredensu, a mój smutny ojciec zatrząskiwał mi drewniane drzwiczki przed nosem. Patrzyłem bez strachu. Patrzyłem z lodowatym sercem. Wspominałem matkę, leżącą na podłodze w moim teraz tak oddalonym kraju, i krew, która płynęła z jej ran. Wspominałem ojca i siostry, zastrzelonych jak zwierzęta. W tych snach zawierała się moja historia. W nocy i w dzień starałem się już nie myśleć o tych sprawach. Starałem się już nie myśleć o tych ludziach. Chciałem ich uwolnić, żeby mogli się stać ludźmi z czyjejs innej opowieści. Chciałem nie śnić już o nich po nocach ani nie myśleć o nich w ciągu dnia, lecz po śmierci Mike'a odczuwałem wielki niepokój i nie potrafiłem uciec ani przed sobą, ani przed moim krajem, ani przed rodziną. Przez całe trzy dni i całe trzy noce, poprzedzające pogrzeb, byłem nieszczęśliwym człowiekiem. Tchórzem. Nie mogłem jednak wrócić do mojego kraju, bo nie miałem do czego wracać. Nie miałem rodziny. Ilekroć otwierałem oczy, słyszałem płacz mamy. Byłem tchórzem, który nauczył się zapominać. Brałem od ludzi. Od państwa Anderson. Nie byłem już Jastrzębiem. Nie byłem już

Gabrielem mojej matki. Byłem Salomonem, który dowiedział się o śmierci Mike'a. Byłem Salomonem, który leży w ciepłym łóżku, w obcym pokoju u tych dobrych ludzi. Byłem Salomonem. Byłem Salomonem.

Pogrzeb był trudny, bo nie tylko pożegnałem Mike'a, lecz także musiałem zerwać więzy z państwem Anderson. Po wręczeniu mi kluczyków do samochodu Mike'a pan Anderson dał mi złożoną kartkę papieru z ich nowym adresem i numerem telefonu w Szkocji. Nie nalegał na złożenie im wizyty. Po prostu dawał mi wolną rękę. Decyzja, czy ich odwiedzę, czy nie, będzie należała do mnie. Pan Anderson miał taki sposób postępowania. Mama była zbyt zrozpaczona, żeby powiedzieć cokolwiek, i nawet perspektywa powrotu do ukochanej Szkocji nie mogła podnieść jej na duchu. Płakało niebo i ona również. Kiedy odeszli, wróciłem do ich domu, czując w kieszeni ciężar kluczyków do samochodu Mike'a. Mike świetnie prowadził i jak dowiedziałem się później, nie on spowodował wypadek. Inny kierowca stracił panowanie nad samochodem, który zjechał na środek szosy. Mike skręcił, żeby uniknąć zderzenia, i jego ciężarówka się przewróciła. Wszystko to wydarzyło się w Kent, zanim zdążył wyjechać z kraju. Przed pogrzebem pan Anderson dał mi jego oprawioną fotografię. Tego samego wieczoru postawiłem ją na gzymsie kominka w moim nowym domu. Obok położyłem kluczyki Mike'a. Mike był na ogół łagodny, życzliwy, szczodry, dobroduszny i sprawiedliwy; dla mnie był przyjacielem. Dziękuję ci, Mike, powiedziałem, rozglądając się dokoła. Dałeś Salomonowi nowy dom. W Anglii.

Siedzący obok mężczyzna nie odzywa się do mnie. Jest starszym człowiekiem, którego ciało wydziela nieprzyjemny zapach. Nie umie o sobie zadbać. Jedziemy w milczeniu, a ja skupiam się na ruchu ulicznym. Nie zwracam na niego uwagi. Nie pragnę zmuszać tego niechętnego mi mężczyzny do



rozmowy. Kupiłem rękawiczki, bo kierownica bywa czasami zimna. Mam też nadzieję, że dzięki nim to wożenie będzie wyglądać bardziej profesjonalnie. Mężczyzna jednak wciąż z niezadowoleniem wygląda przez okno i unika mojego wzroku. Zatrzymuję się na parkingu przed szpitalem, on wysiada i trzaska drzwiczkami. Nie dziękuje. Nie mówi nic. Wczoraj poszedłem poinformować pielęgniarkę, że nikt do mnie nie dzwonił. Robiła wrażenie trochę zakłopotanej, a potem powiedziała, że gdybym przyjechał tego dnia o dziesiątej rano, niejaki pan Simons byłby gotów do przewiezienia do szpitala. Wyznała mi w zaufaniu, że ten człowiek nie ma telefonu, jakby to było coś, czego powinien się wstydzić. Zwlekałem przez chwilę, ciekaw, czy chce jeszcze coś dodać. Ale tak naprawdę to ja chciałem jej coś powiedzieć.

- A pani, która mieszka w moim najbliższym sąsiedztwie. Nie znam jej nazwiska. - Widząc zmarszczkę zdziwienia na czole pielęgniarki, opisałem tę panią. Pielęgniarka nadal wyglądała na zdezorientowaną, więc podałem adres tej pani.

- Och, wiem, o kogo panu chodzi. - Urwała. - Rozumie pan, ona moim zdaniem lubi autobus.

Nie przychodziło mi do głowy nic więcej, co mógłbym jej powiedzieć.

Patrzę na lśniący nowy budynek szpitalny. W moim kraju każdy, kto idzie do szpitala, musi zabrać ze sobą koce i bandaże, i trochę pieniędzy, żeby zachęcić lekarza do otoczenia go opieką. Rozumiem, że w Anglii sprawy załatwia się inaczej. Oblizuję zęby, lecz nie wydają się czyste. Żałuję, że nie mogę użyć gumy do żucia, bo szczoteczka i pasta do zębów to dla mnie dziwne wynalazki i pozostawiają nieprzyjemny smak w ustach. Kiedy dostrzegam pana Simonsa, idącego w moją stronę, zerkam na zegarek na tablicy rozdzielczej i widzę, że upłynęło zaledwie dziesięć minut. Pan Simons trzyma białą papierową torbę, więc się domyślam, że

odebrał jakieś lekarstwa. Przechylam się, otwieram mu drzwi, on wsiada. Ruszam, a on spogląda na mnie.

- Jedziemy prosto z powrotem, prawda?

- Odwiozę pana z powrotem.

Chrząka, jakby chciał dać do zrozumienia, że właśnie tego sobie życzy. Żaden z adresowanych do mnie listów nie jest podpisany jego nazwiskiem, choć potrafię sobie wyobrazić, że ten człowiek czuje to samo co ich autorzy. Listów przyszło już siedem, w tym jeden z żyletkami. Wczoraj w nocy ktoś wepchnął mi psią kupkę przez otwór na korespondencję. Musiał się posłużyć małą szufelką, bo kupka tworzyła porządny stosik. Rano, po przebudzeniu, zemdlilo mnie na ten widok i pogałem do łazienki. Ci ludzie są chorzy, bo nikt przyzwoity nie zachowuje się w ten sposób. Pisanie do mnie rynsztokowym językiem to jedno, ale coś takiego to już jest zdziczenie. Uważają mnie za swojego wroga, tyle rozumiem, lecz ich zagrania są nieczyste. Prawdę powiedziawszy, pan Simons nie jest temu winny.

Zostawiam go u stóp wzniesienia i powoli jadę w stronę domu. Na szczycie wzgórza mijam dziewczynkę, która się śpieszy, jakby była spóźniona na autobus. Patrząc na nią w lusterku, ona jednak woli się nie odwracać. Samochód mam zakurzony i postanawiam umyć go jutro. Przekręcam klucz w zamku i natychmiast czuję zapach rozpuszczalnika, którym rano czyściłem wycieraczkę. Zużyłem całą butelkę. Zamykam za sobą drzwi, a jakaś moja część odczuwa ulgę, że nie znajduję już psiej kupki ani kolejnego listu. Widzę, że siedzi w oknie. Jest w domu. Dlaczego pan Simons, nie ona? Chętnie bym z kimś porozmawiał, a to przyzwoita kobieta. Kobieta, której mógłbym opowiedzieć moją historię. Jeśli jej komuś nie opowiem, mam tylko ten jeden rok życia. Jestem jednorocznym mężczyzną, który chodzi ciężkim krokiem. Jestem mężczyzną, niosącym brzemień skrywanej historii.

Spoglądam w lustro, prostuję kołnierzyk koszuli, później poprawiam krawat. Wychodzę na dwór i po porządnie przystrzyżonym trawniku idę do jej domu. Stukam do drzwi. To przyzwoita kobieta, a może pielęgniarka nie ma racji. Może ta kobieta nie przepada za autobusem. Może jej upodobanie do autobusu jest tylko chwilowe. Pukam po raz drugi.

## Część piąta

Te kwiaty, każdy ma osobowość albo tak tylko pisali w magazynie, który kiedyś czytałam. Albo może mówili w radiu. Nie pamiętam. Było to dawno temu. Zdecydowanie jednak pamiętam, że każdy kwiat ma rzekomo swoją osobowość. Chyba czerwone to złościcy, żółte to dziewczynki, niebieskie to chłopcy. Lubię na nie patrzeć tutaj w ogrodzie. Pielęgniarka ustawia mi pod drzewem niezbyt wygodne krzesło. Jest drewniane, z prostym oparciem, jakby do sadzania za karę. Nie mam pojęcia, czym sobie zasłużyłam na takie okropne krzesło. Zauważcie, że przynajmniej sama siedzi na identycznym. Nie posadziła mnie na tym krześle, a sama nie poszła po wygodne. Imię ma dość długie, więc musiałabym łamać sobie język, żeby je poprawnie wymówić. Wobec tego nie próbuję, ale jej chyba nie zależy. Jest mniej więcej w moim wieku i przypuszczalnie rozumie. Mówię do niej po prostu: siostró. Zauważyłam, że nie lubi siadać zbyt blisko mnie. Lubi zostawiać mi wolną przestrzeń, bo tak chyba chciałaby o tym myśleć. Więc siedzi tam, gdzie zawsze, oddalona o jakieś dwadzieścia kroków, w cieniu, nad ozdobną sadzawką, z książką w ręce. Czasami jest to książka, kiedy indziej czasopismo, raz nawet przyniosła robotę na drutach. Dziś jednak trzyma książkę, choć wiem, że tak naprawdę jej nie czyta. Przypuszczalnie wylaliby ją z pracy, gdyby jej zajęcie polegało tylko na sadzaniu nas ogrodzie, a potem zatapianiu się w lekturze dobrej książki. Podobno ma nas pilnować i sprawdzać, czy niczego nam nie brakuje, ale widzę, że musi zachowywać równowagę. Z jednej strony chce nam pozostawiać swobodę, z drugiej nie chce nas zaniedbywać. Prawdę powiedziawszy, te próby są skazane na niepowodzenie.

Dzisiaj postanowiłam do nikogo się nie odzywać i zauważam, jak niezręcznie się czuję, ale to przecież nie mój problem, prawda? Mnie interesują kwiaty, jej nie, i na tym

koniec. Nie prosiłam, żeby ze mną siedziała, więc jeśli chce pójść, proszę bardzo. Ale przynajmniej jest ładnie i możemy przebywać na dworze. Przez ostatnie dwa dni lało jak z cebra i naprawdę przygnębiające było sterczenie w sali rekreacyjnej, z włączonym telewizorem, z porozrzucanymi wszędzie niedokończonymi układankami i kłębiącymi się ludźmi, którzy usiłowali zachowywać się normalnie. Ona nie wie, jakie ma szczęście, że siedzi sobie w ogrodzie, w swoich niezgrabnych butach i w tej idiotycznej ciasnej bluzce. Zwykle nogi mi się pocą, kiedy jestem niespokojna, dziś jednak są suchuteńkie. Szczęśliwa siedzę tutaj na słońcu z moimi kwiatami, pod moim przesadnie wystrojonym drzewem, próbującym ukryć swoje kruche kości. Zimą drzewo ulegnie zniszczeniu, ale na razie jest jesień, więc wolno mu się mizdrzyć. Pielęgniarka nie ma pojęcia, że jestem szczęśliwa. Kicha, potem dyskretnie wyciera nos odpowiednią chusteczką. Chyba ma alergię. Jedno natomiast mogę o niej powiedzieć, mianowicie, że jest czysta, a w tych stronach takie rzeczy się liczą.

Muszę im przyznać, że lśni tu czystością. Codziennie szorują prysznic i wanny, opróżniają kosze na śmiecie, potem zmywają i froterują podłogę, w której prawie można się przejrzeć. Punktualne jak zegarki zjawiają się dwie młode kobiety, uzbrojone w długie mopy ze strakami sznurków i w plastikowe wiaderka. Każdego dnia z wybiciem dziesiątej. Najpierw zamiatają, potem zmywają, następnie wszystko porządnie pastują. Jeżeli czystość jest czymś nieomal boskim, to w tym domu żyjemy dość blisko nieba. Tylko nie w nocy. Nie wolno nam mieć nic takiego, jak nożyczki, golarki czy choćby pęsety. Nie przywykłam kłaść się do łóżka niepodstrzyżona i zaniedbana. Ale nie wolno i koniec. Później co godzina przychodzą z latarkami, świecą mi w twarz i sprawdzają, czy nie zrobiłam sobie krzywdy. Starają się być

cicho, lecz zawsze je słyszę. Patrol oddechowy, nasłuchujący, czy nie wymknęłam się w nocy na tamten świat. Wyobrażam sobie, że to narobiłoby im bałaganu w księgowości. Rano, zupełnie jak w prawdziwym świecie, nakładam moją dzienną twarz. Właściwie większość z nich nie zadaje sobie tej fatygi, co jest po części powodem, dla którego znalazły się tutaj. Po prostu snują się, powłócząc nogami, a miny mają nieszczęśliwe, jakby śmierć próbowała coś do nich mówić w nocy. Cóż, dla mnie to też jest czasami męczące, lecz nikt nie zmusza do słuchania. Nie jest powiedziane, że trzeba zwracać uwagę.

Unikam wzroku pielęgniarki. Wolę kwiaty, ale wiem, że chce porozmawiać. Nie może już znieść milczenia. Robię jej trudności, choć przypuszczam, że nie jest temu winna, niczemu nie jest winna. Spoglądam na biedną kobietę, siedzącą na niewygodnym krześle, i świadoma, że nic nie stracę, jeśli będę dla niej miła, uśmiecham się do niej, po czym bacznie ją obserwuję, kiedy odwzajemnia uśmiech. Przychodzi mi na myśl, że mojej egzotycznej pielęgniarce aż tak bardzo nie brakuje urody, żeby nie dało się temu zaradzić maźnięciem czerwonej szminki i odrobiną makijażu. Potem zaczynam się zastanawiać, czy ona jednak nie interesuje się kwiatami. Może dałoby się o nich porozmawiać, a wtedy miałybyśmy ze sobą coś wspólnego? Mogłabym podzielić się z nią moją jedyną obawą, związaną z tym, jakie są skryte, bo kwiaty tak wolno rosną, że nigdy do końca nie wiadomo, w co się zmieniają. O tym nie da się rozmawiać z nimi, ponieważ są dość przebiegłe. Pielęgniarka odkłada rozłożoną książkę, żeby wiedzieć, na której była stronie, po czym wychodzi z cienia i rusza w moim kierunku. Nadal się uśmiecha. Ze wszystkich sił stara się być wesoła. Zadaje mi pytanie, ale nie odpowiadam. Po prostu na nią patrzę. Nie pragnę zatrzymać tu

pielęgniarki wbrew jej woli. Jeśli chce, może odejść. Naprawdę.

Doktor Williams przyszedł mnie odwiedzić. Wzywają go zazwyczaj, kiedy są jakieś trudności, co musi być dla niego bardzo irytujące, bo ma przecież inne zajęcia. To człowiek szalenie zapracowany. Przegląda jakieś papiery, od czasu do czasu zerka na mnie, i tyle. Słowem się nie odzywa. Słyszę, jak burczy mi w brzuchu. Jestem głodna, lecz nie cierpię obiadów, bo wszystko tu jest takie dziecinne. Najpierw musimy zebrać się w jadalni, gdzie wysłuchujemy również ogłoszeń i uczestniczymy w zajęciach grupowych, takich jak wyrób biżuterii, modelowanie w glinie i zdobnictwo. Czasami nie zadają sobie nawet fatygi, żeby sprzątnąć po zajęciach, tylko używane do nich rzeczy spychają w kąt sali. Następnie trzy sanitariuszki wtaczają metalowe wózki z jedzeniem, bierze się tacę, wciska na wolne miejsce na ławce i stawia tacę na stole. Są tu dwa stoły z długimi ławkami po obu stronach. Musimy siedzieć i jeść z naszych tac, patrzeć jedni na drugich i decydować, czy mamy coś do powiedzenia osobie, która siedzi naprzeciwko i patrzy, jak łykamy potrawy. W tej sali jest kolorowy telewizor, ale podczas obiadu potowa pensjonariuszy chce, żeby był włączony, połowa się sprzeciwia. W końcu pielęgniarki postanawiają go wyłączyć, a włączają po obiedzie, niezależnie od tego, czy ktoś ogląda program. I pozostaje włączony do północy, kiedy musi zamilknąć na dobre. Tak to ich zdaniem należy robić.

Doktor Williams odrywa oczy od papierów i patrzy na mnie, potem znów na papiery, a teraz znowu na mnie. Odsuwa papiery, kładzie łokcie na stole. („No więc, Dorothy, powiedz mi, jak leci?"). Wbijam w niego wzrok, nie bardzo wiedząc, od czego zacząć. Wydaje mi się, że traci dla mnie czas, coś jednak muszę powiedzieć. Zastanawiam się, czy powiedzieć, że niedaleko stąd znajduje się sala, gdzie niektórzy grają w



ping - ponga. Mijam ją po drodze do swojego pokoju, ale jest zanadto oświetlona, więc nie wchodzę do środka. Pod sufitem zawieszono są długie neonowe lampy. W tej sali zawsze przebywa pielęgniarka, po prostu siedzi i patrzy, czy przypadkiem sprawy nie wymkną się trochę spod kontroli. Ale w ping - ponga nie grywa prawie nikt prócz dwóch młodych dziewczyn, które chyba zażywają tak dużo środków uspokajających, że tylko cudem podnoszą rakiety. Są chude i widocznie cierpią na tę chorobę związaną z jedzeniem. Gdyby mnie ktoś o to pytał, trzymanie tam pielęgniarki zakrawa na stratę czasu. O wiele lepiej można by ją wykorzystać gdzieś indziej. Mogę też odpowiedzieć na pytanie, gdzie są mężczyźni. Paru z nich łązi w obwisłych spodniach i szura nogami, jest też jeden młodszy, ładnie ubrany, choć na niebieskim golfie ma plamy. Wyglądają na plamy po jedzeniu. Przypuszczalnie mężczyźni zalewają robaka w pubie. Albo biją ludzi. Może doktor Williams wie, dlaczego jest tu tak mało mężczyzn. Myślę, czy nie zadać mu tego pytania, ale tylko zaczynam się śmiać, takie to wszystko jest absurdalne.

On milczy i patrzy na mnie tak, jakby miał mi do powiedzenia coś, co dla nas obojga będzie trudne. („Nie widać u ciebie żadnej poprawy, Dorothy”). Nie rozumie jednak, że są dobre i złe dni. Dzień dzisiejszy uważałam za dobry, ale widocznie był zły i dlatego wezwali doktora. Mimo wszystko jestem szczęśliwa. Tylko najzwyczajniej nie mam na to czasu. Przykro mi, ale tracę czas. („Czy nie chcesz wrócić do domu?”). Nie chodzi o to, że nie jestem wdzięczna tym ludziom za wszystko, czego od nich doświadczyłam, są jednak różne rzeczy do zrobienia. Patrząc wstecz na moje życie, dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że zmarnowałam setki dni w przekonaniu, iż zawsze potrafię je odzyskać. Dzisiaj niestety wiem, że to niemożliwe. Są różne rzeczy do zrobienia. Salomon musi mieć jakąś rodzinę. Jak na ich miejscu

czulibyście się wy, gdyby wasz syn albo brat wyjechał za granicę i nigdy nie dał znaku życia? Będą wiecznie nosić ból w sercu, jeśli im nie pomogę. Będą chcieli wiedzieć, że trzech mordercy siedzą w więzieniu i że Carla z matką widocznie za najlepsze uznały przeniesienie się z Weston gdzieś do środkowej Anglii. Przyzwoitość nakazuje ich o tym zawiadomić. I współczucie. Będą mieli szansę zaleczyć rany. („Trzeba cię jeszcze obserwować, ale obecnie jest wiele programów opieki w miejscu zamieszkania”). To jednak nie dotarło do tego mężczyzny, prawda? Patrzę na niego i nie chcę się sprzeczać. W przeszłości czułam, że sprawia mi zawód, lecz z czasem zaczęłam rozumieć mojego specjalistę zapewne lepiej, niż sądzi. Doktor Williams wstaje, a ja patrzę na niego, tak schludnego i porządnego. Tą dbałością o wygląd przypomina mi Salomona. Nie odznaczał się nią dawniej, ale widzę, że po czterdziestce wreszcie postanowił walczyć z abnegacją. („Prześpij się, Dorothy. Wpadnę cię zobaczyć pod koniec tygodnia”). Nie jest złym człowiekiem. Wiem, co się stanie po jego wyjściu. Znam rozkład dnia. Odprowadzą mnie do mojego pokoju i dadzą mi tabletki z gorącym mlekiem w nadziei, że będę spać. Ale nie będę.

Nie lubię odwiedzin. Wczoraj wieczorem, po wyjściu doktora Williamsa, zdecydowali się uśpić mnie zastrzykiem zamiast mi dać proszki i gorące mleko. Teraz pielęgniarka mówi, że mam kolejnego gościa, nie chce jednak powiedzieć, kto to taki. Leżę jeszcze w łóżku, omotana bawełnianym prześcieradłem. Spałam, może za długo. Dlatego w drodze wyjątku proponują pomoc w porannej toalecie. Siadam, a pielęgniarka stara się nadać mi przyzwoity wygląd. Przypominam, że teraz wolę zbierać włosy w kok, więc tak mnie czesze. Nie muszę już robić sobie makijażu, bo znikły wszystkie guzy i siniaki, nabite przez cygankę. Przygotowuję się, jak mogę, i wtedy go widzę. Postarzałego i jeszcze

bardziej korpulentnego Briana, ściskającego bukiet czerwonych kwiatów. Buty ma niewyczyszczone. Myślałam, że do tej pory zdążył odłożyć trochę pieniędzy, ale chyba nie. Nie wie, co zrobić: podejść do łóżka, nachylić się i mnie pocałować czy stać dalej. Wreszcie pielęgniarka prowadzi do go plastikowego krzesła przy łóżku, więc siada. I zaczyna mówić, jak gdyby bał się na chwilę zamilknąć. Pielęgniarka siada na krześle przy drzwiach, z nosem wetkniętym w książkę. On mówi, że odeszła od niego żona Barbara, że wrócił do Birmingham i prowadzi tam pensjonat. Mówi, że nie nadała za technologią komputerową, toteż nie mógł wrócić do bankowości, ale tym się nie przejmuje. Jest całkiem szczęśliwy. Okazało się, że Hiszpania nie spełniła wszystkich pokładanych w niej nadziei. Widzę, że patrzy na mnie i wciąż gada jak najęty. Przeżył wstrząs, to jasne.

I wcale się nie dziwię. Przypuszczalnie ktoś z nienacka do niego zadzwonił i powiedział, że jego była żona wraca do zdrowia w zakładzie, a on zapewne pomyślał, że nie ma z tym już nic wspólnego, zresztą słusznie. Mimo to przyjechał. Patrzę na Briana, w tym jego sfatygowanym ubraniu, i próbuję w nim dostrzec szczupłego, olśniewającego elegancika, którego poznałam na uniwersytecie, a do którego już nie pasuje. Niewątpliwie ja też nie pasuję do tego, co zobaczył we mnie, kiedy się poznaliśmy. O czym myśleliśmy wtedy? Jestem przekonana, że miłość nigdy nie zakłóciła rytmu otłuszczonego serca biednego Briana. Choć odwracam oczy, czuję na sobie jego litościwy wzrok, co jest żałosne. Ja też się nad nim lituję. Brian odchrząkuje, więc zwracam się do niego twarzą, gotowa wysłuchać, co jeszcze ma do powiedzenia na swój temat. Powinien był się ogolić. Nie ma nic brzydszego od zarostu mężczyzny, który posiwiął. Ten widok naprawdę uprzytamnia człowiekowi, że panowie osiągnęli etap, kiedy nie potrafią już zadbać o siebie. Coś takiego czeka niedługo

Mahmuda i niejakiego pana Geoffa Waverleya. Brian uśmiecha się do mnie. Z nim sprawa dawno skończona. Znacznie przekroczył termin ważności. Nie ma rady, muszę się rozeźmiać. Pielęgniarka patrzy na mnie, lecz nawiązuję z nią kontakt wzrokowy, dając do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Niechętnie powraca do lektury. On wyciąga rękę, jakby chciał mnie dotknąć. Nie ma obawy! Cofam się i widzę to w jego oczach. Nie rozumie. Dlaczego nie chcę, żeby dotykał mnie brudnym łapskiem? Dlaczego się śmieję? Przestaję się śmiać. On musi już iść. To przecież krępujące. Patrzę na niego i wyraźnie wprawiam go w jeszcze większe zakłopotanie. Zmusza się do uśmiechu, lecz nie ma pojęcia, jak mało to jest pociągające. Pielęgniarka odkłada książkę, a ja zauważam, że zagina róg strony, żeby zaznaczyć miejsce, zanim ją zamknie. Tego nie znoszę. Można posłużyć się zakładką, kartką papieru, czymkolwiek. Dlaczego ludzie niszczą książki w ten sposób? To wskazuje na brak poszanowania. Chcę jej to wszystko powiedzieć. Może powiem, ale nie teraz. („Dorothy”). Odwracam się i patrzę na niego. Wciąż się uśmiecha. Wymówił moje imię, żebym zwróciła na niego uwagę. Kwiaty nie mówią. To jedna z rzeczy, które w nich lubię. Można siedzieć z nimi cicho i nie muszą zwracać na siebie uwagi. („Dorothy”). Znowu milknie. Jeśli sądzi, że mu pomogę, to grubo się myli. Nie mam mu nic do powiedzenia, tym bardziej że się zacina jak pęknięta płyta. Tata zawsze powtarzał, że w końcu nie liczą się czyjeś pieniądze ani kwalifikacje. Liczy się zachowanie i szacunek dla innych ludzi. Bo przecież bez dobrych manier nie jesteśmy lepsi od zwierząt. Oglądałam kiedyś w telewizji program o gorylach. Moim zdaniem niektóre zwierzęta mają o wiele lepsze maniery od nas, i to fakt. Teraz powinien już pójść. Nie powinnam mu tego mówić ani robić z tego sprawy, lecz nie pozostawia mi wyboru. Jestem tutaj z powodu słabych

nerwów, które nie wytrzymały. Przyznaję. Nie wstydzę się do tego przyznać, bo takie rzeczy przytrafiają się wielu osobom, nie wyłączając sławnych ludzi. Wracają do zdrowia, więc nie ma w tym nic niezwykłego i daje się to wyleczyć. Jest dobrze, wkrótce wyzdrowieję i będę mogła znów żyć normalnie. Właśnie to robię. Wracam do zdrowia. Sprawiałam zawód Sheili. Wiem o tym teraz. Byłam tchórzem. Teraz jednak muszę tylko czuć się chroniona, powiedział mi to lekarz. Dopóki nie odzyskam sił, muszę mieć wrażenie, że ktoś się mną opiekuje. Czasami nie mogę sobie ze wszystkim poradzić. To też przyznaję. Ale nie jestem głupia, więc dlaczego ten mężczyzna traktuje mnie jak idiotkę i powtarza moje imię? Powinien już pójść. Nie lubię odwiedzin i nie chcę ich więcej. Dlaczego nigdy nie słuchają? Widzę, jak książka zsuwa się jej z kolan, jak ona rzuca się w moją stronę. Teraz ręką zakrywa mi usta i każe być cicho. Zaczynam się wyrywać, bo nie znoszę takiego przytrzymywania. Słyszę, jak woła o pomoc. Mówi Brianowi, żeby wyszedł, a on wstaje i zaczyna się cofać. Kiedy pedałuje do tyłu, staczam się z łóżka. Pielęgniarka kładzie się na mnie. Widzę kwiaty, które przyniósł mi Brian. Czerwone to złościcy. Teraz wiem. Tylko je widzę. Widzę stopy tego mężczyzny w brzydkich, niewyczyszczonych butach. Idzie tyłem, a ja widzę czerwone kwiaty.

Lubię leżeć w łóżku i wpatrywać się w sufit. Zwłaszcza w nocy. Oczywiście dni w tym miejscu nigdy naprawdę się nie zaczynają. Nie ma ustalonego porządku. Nie ma się nic do roboty prócz łykania proszków i gorącego mleka, a także zachowywania się jak należy. Pomógłby fortepian, szczególnie teraz, kiedy zakończył się wieloletni rozdźwięk między klawiszami i raz jeszcze potrafię je zmusić, żeby prowadziły swobodną rozmowę. Mam szczęście, ponieważ frazy muzyczne, które pomogła mi odkryć Sheila, pozostają

silnie zespolone, czego byłam pewna. Ale nie ma fortepianu. Nie ma ustalonego porządku. Oddział, jak lubią nazywać to oficjalnie, ma być miejscem innym od tego, co jest na zewnątrz. Kryjówką. Miejscem, gdzie można lizać rany i zbierać siły przed powrotem do świata. Miejscem, gdzie można się nauczyć pamiętania, a przez to rozumienia własnego życia. Ale jaki jest teraz z tego pożytek? Podobno nas chronią. Tutaj czas nie ma znaczenia. W nocy pozwalają mi nie zaciągać zasłon, więc obserwuję cienie drzew, tworzące dziwne kształty na ścianie. Wiem, że to nie Weston. Ani Stoneleigh. Nie ma wiaduktu w oddali. Moje serce pozostaje pustynią, lecz próbowałam. Miałam uczucie, że Salomon mnie rozumie. To nie jest mój dom i dopóki tego nie zaakceptują, będę milczeć z takim zdecydowaniem jak ptak w locie. Kiedyś przed świtem, gdy światło zacznie jak krew sączyć się z nocnego nieba, wstanę z tego łóżka i wezmę się do nakładania mojej dziennej twarzy.